

|

**Karen ROBARDS**

Dziewczyny z plaży

# Prolog

Śliczne dziewczyny w bikini były wszędzie, pluskały się w morzu, spacerowały po plaży, leżały na ręcznikach jak okiem sięgnąć. W tę pierwszą sobotę sierpnia na Nags Head kłębił się tłum plażowiczów. Słońce jak kula ognia wielkości pomarańczy wisiało nad poszarpaną linią hoteli, apartamentowców i prywatnych rezydencji, które górowały nad kremowymi wzniesieniami plaży niczym kręgosłup jakiegoś prehistorycznego gada. W powietrzu unosił się zapach olejku do opalania. Ryk magnetofonu niemal zagłuszał szum fal i pomruk oceanu. Urlopowicze tłoczyli się na plaży, mnóstwo ludzi w różnym wieku, różnej tuszy i koloru skóry, roześmianych, rozgadanych i rozleniwionych, chłonących ostatnie promienie słońca. Większość odpoczywających była dlań praktycznie niewidzialna, tak jak on dla nich. Bardzo wyraźnie widział jednak dziewczyny. Gdy jego spojrzenie przesunęło się od jednej do drugiej, dotykając jakiejś smukłej blondjomy dreszczyk emocji. Samo oglądanie tych ślicznotek sprawiało mu ogromną przyjemność. I cóż w tym dziwnego? Były przecież jego ulubioną zdobyczą.

- Uwaga!

Plażowa piłka uderzyła go w głowę. Uderzenie nie było bolesne, ale zamrugał gwałtownie powiekami, zaskoczony, i rozejrzał się dokoła. Młoda dziewczyna o okrągłych kształtach i długich blond włosach ściągniętych w kucyk pochwyciła odbitą od jego głowy piłkę.

- Przepraszam! - rzuciła z uśmiechem.

- Ależ nie szkodzi - odrzekł, lecz ona biegła już z powrotem do przyjaciółek.

Wpatrzony w podskakujący tyłeczek dziewczyny, szedł za nią, dopóki nie zatrzymała się przed jakimś starszym facetem, wyciągającym właśnie kajak z wody. Piłka przeleciała nad jego głową i została złapana przez inną dziewczynę. Brunetkę. Otworzył szerzej oczy, kiedy ta

podskoczyła, by pochwycić nadlatującą piłkę. Blondynka była ładnie ubrana, apetycznie opalonym kaskiem, lecz brunetka okazała się naprawdę wyjątkowa.

Była wyższa od blondynki i szczuplejsza. Różowa bandana podtrzymywała jej gęste włosy, opadające luźno na ramiona. Ona także miała na sobie cukierkoworóżowe bikini z połyskującej, napiętej mocno tkaniny, której zapragnał nagle dotknąć palcami. Niemał czuł już jej jedwabistość, ciepło ukrytej pod spodem skóry - ślicznej, nieskazitelnie gładkiej skóry o barwie złocistego karmelu.

Czuł, jak na jej widok ślina napływa mu do ust. Zacisnął mocno zęby, gdy ogarnął go dobrze znany ból, straszliwy głód. Jego zmysły wystrzyły się nagle, wyczułone na najmniejszy nawet sygnał. Czuł zapach ciała dziewczyny, dostrzegł najmniejsze nawet szczegóły, takie jak trójkątny pieprzyk w szczylinie między jej piersiami i małego motyla wytatuowanego na lewym biodrze, słyszał, jak zakłęła pod nosem ze złością, kiedy piłka otarła się o jej głowę i zsunęła chustkę.

Przystanąła, by poprawić bandanę i ponownie odgarnąć włosy do tyłu. Stała odwrócona doń tyłem, tak że bez przeszkód mógł zachwycać się widokiem jej ciała, gładkich pleców, kragłociami kształtnego tyłeczka.

- Liz, łap! - krzyknęła blondynka, wbiegając ponownie w pole jego widzenia.

Brunetka odwróciła się ku lecącej piłce, pochwyciła ją i ruszyła biegiem prosto w jego stronę. Pozostałe dziewczęta goniły ją, śmiejąc się głośno.

Kiedy biegła, jej piersi podskakiwały jak tenisowe piłeczki.

W ostatniej chwili zmieniła kierunek i pognała ku wodzie. Pozostałe dziewczęta także ruszyły w tę stronę, a piłka ponownie wzbijała się w powietrze.

- Mam ją! - krzyknęła trzecia dziewczyna, krótko ostrzyżona, biodrzasta brunetka w żółtym bikini, chwytając piłkę i rzucając się wraz z Liz do ucieczki.

- Do mnie, Terri! - krzyknęła Liz, a biodrzasta dziewczyna posłusznie odrzuciła jej piłkę. Liz podskoczyła, by ją złapać, a jej piersi omal nie wymknęły się z małego stanika.

Gorące, bolesne niemal, pulsowanie między nogami stawało się nie do zniesienia. Pragnął ją pościć, pożądanie było tak silne, że nie mógł

ruszyć się z miejsca. Zamknął oczy. Jego nozdrza poruszały się miarowo, kiedy wdychał głęboko jej zapach. Ślina wypełniła mu usta, przełknął ciężko. Czuł już niemal na języku smak ciepłego karmelu.

- Przepraszam, któreś do Ramada Inn? - spytał jakiś jasnowłosy dzieciak, zatrzymując się przed nim.

Potrzebował całej minuty, by zrozumieć, o co go zapytano. Potem pokręcił tylko głową, nie odpowiadając. Dzieciak skrzywił się i odszedł. Ten irytujący incydent miał jednak pozytywny skutek: rozwiął gęstą mgłę pożądania, która nie pozwalała mu ruszyć się z miejsca. Opanował się, zdusił rodzącą się w nim bestię i wziął głęboki oddech, by oczyścić umysł. Dopiero teraz usłyszał sobie, że przez dłuższą chwilę stał nieruchomo, wpatrzony w brunetkę, a to nie było dobre. Ktoś mógł zwrócić uwagę i przypomnieć sobie jego twarz potem, kiedy dziewczyna zaginie.

- Cholera, wpadła do wody!

Wszystkie cztery ze śmiechem i piskiem wbiegły do morza, ścigając piłkę, która unosiła się na falach. Wyobrażał sobie już, jak kusząco wygląda teraz ten lśniący różowy kostium, musiał jednak iść dalej. Zbyt długo już stał w jednym miejscu. Choć wymagało to ogromnego wysiłku, oderwał wzrok od dziewczyny i ruszył wzdłuż plaży. Serce waliło mu jak młotem. Oddychał z trudem, jak po długim biegu. Z trudem też przesuwał ciężkie niczym z ołowiu stopy. Omijając dwójkę dzieci bawiących się na ręczniku, dusił rodzącą się w nim moc, chował się z powrotem do swojej skorupy, za maskę, która chroniła go przed wzrokiem innych, która nie pozwalała dojrzeć im, kim i czym jest naprawdę.

Znów stał się niewidzialny.

Czterdzieści metrów dalej zatrzymał się w cieniu palmy rosnącej na brzegu plaży, już na terenie Quality Inn. Oparł się plecami o murek oddzielający motel od plaży, poprawił okulary przeciwsłoneczne i powrócił spojrzeniem do swej ofiary.

Polowanie się rozpoczęło. Znalazł tę, którą chciał. Teraz, kiedy już ją namierzył, praktycznie nie miała szans na ucieczkę. Oczywiście, w takich sprawach zawsze pewną rolę odgrywał ślepy los, przypadek, ale jak mówiło przysłowie, szczęście sprzyja tym, którzy są odpowiednio przygotowani. Ona nie była przygotowana. Nie miała pojęcia, że została wybrana. On zaś przechadzał się tymi plażami już wiele razy, tak wiele, że do perfekcji opanował sztukę porwania młodych dziewczyn. Outer Banks pełne były potencjalnych ofiar; między innymi właśnie dlatego postanowił się tutaj przenieść. Poza tym tutaj dziewczyny zachowywały się niefrasobliwie, jakby zapomniały o zwykłych środkach ostrożno-

ści, uszione fałszywym poczuciem bezpieczeństwa, sielską atmosferą wakacji, morza, piasku i fal. Do diabła, jesteście przecież na wakacjach! - myślały. Go z tego może nas tutaj spotkać?

Uśmiechnął się na tę myśl. Może je spotkać on.

Kiedy Liz wraz z przyjaciółkami opuściła plażę, ruszył za nimi w bezpiecznej odległości, by nie wzbudzać niczyich podejrzeń.

Nie zauważyły go. Nikt go nie zauważał, aż do chwili, gdy chciał, by go zauważono. Niestety, wtedy zwykle było już za późno - dla nich.

Było ich cztery: cztery ładne dziewczyny w czterech pysznych smokach, każda kusząca jak czekoladka w walentynkowej bombonierce, lecz on chciał tylko Liz. Krew szumiała mu w uszach, gdy szedł, podniecony, jej śladem. Minęło już sporo czasu, od kiedy ostatni raz pozwolił sobie na luksus porwania; próbował się ograniczać, nauczył się już bowiem, że jeśli robił to zbyt często, ludzie zaczynali go zauważać. W gazetach pojawiały się wielkie nagłówki „Seryjny zabójca atakuje”, gadające głowy w telewizji paplały o ostatnich ofiarach i o tym, jak kobiety mogą się bronić, dziewczyny na ulicach wciąż oglądały się przez ramię i podskakiwały przy każdym gwałtowniejszym poruszeniu. Gliniarze, naciśnięci przez media, szukali mordercy z coraz większą zajądlnością.

Byli zbyt głupi, by go złapać, ale mogli mu utrudnić życie, dlatego też przed kilku laty opuścił swój stary teren łowiecki i przeniósł się na południe. Żegnajcie, dziewczyny w kurtkach i rękawiczkach, witajcie, ślicznotki w bikini. Żegnajcie, paskudne mrozy, witaj, ciepła bryzo. Żegnajcie, gliniarze pochyleni nad komputerami, zajęci przeszukiwaniem archiwów i badaniem najmniejszych śladów, które mogłyby ich doprowadzić do zabójcy, witajcie, gliniarze nieświadomi nawet jego istnienia.

Tak, przeprowadzka okazała się naprawdę świetnym pomysłem. Był szczęśliwy, rozpalony, podniecony rozpoczętym przed chwilą polowaniem. Znów robił to, co kochał. Mroczne dni stresu, nerwów, nieustannego oglądania się przez ramię należały już do przeszłości.

I właśnie tak zamierzał to rozgrywać. Jakby był na diecie; musiał tylko nauczyć się nad sobą panować, by od czasu do czasu móc pozwolić sobie na smakowitą przekąskę.

Kolorowa czwórka przeszła przez małą bramę z kutego żelaza prowadzącą na teren przyhotelowego basenu. Nie znał Nags Head dość dobrze, by z miejsca, gdzie się znajdował, określić, który to basen, dopóki jednak nie tracił dziewczyn z oczu, nie miało to większego znaczenia. Zatrzymał się w cieniu nieczynnej już wypożyczalni sprzętu do pływania i zaczął wytrzępywać piasek z sandałów. Ludzie przechodzili obok obojętnie, nawet na niego nie spoglądając. Z ogromną cierpliwością,

którą zawsze potrafił w sobie znaleźć podczas polowania, czekał, aż Liz i jej koleżanki pójda dalej. Uśmiechał się lekko, słuchając ich paplaniny, obserwował ukradkiem, jak optukiwały się z morskiej wody pod wolno stojącymi prysznicami, i z satysfakcją myślał o tym, co wkrótce nastąpi". Gdy wreszcie ruszyły w dalszą drogę, owinięte ręcznikami, poszedł za nimi, wciąż utrzymując bezpieczną odległość. Odprowadził je aż do drzwi motelu i obserwował z ukrycia, jak wspinają się na betonowe schody - był to Windjammer, tani motel z zewnętrznyimi klatkami schodowymi ciągnącymi się wzdłuż budynku. Wszystkie dziewczęta weszły do jednego pokoju: 218.

- Umieram z głodu - dobiegł go zza uchylonych drzwi głos jednej z nich. - Pójdziemy coś zjeść?

- Może do Taco?

Drzwi zamknęły się, ucinając dalszą część rozmowy, ale to już nie miało znaczenia. Wiedział, gdzie mieszkają. Teraz musiał tylko czekać i obserwować.

Potrzebował tylko pięciu minut, by dotrzeć do swojego campera i zaparkować go naprzeciwko motelu. Czekał w ciszy, spoglądając od czasu do czasu na zegar. Minęło dokładnie czterdzieści siedem minut, gdy cztery przyjaciółki wyszły z hotelu. Liz była w bluzce bez pleców i szortach, które odsłaniały jej długie smukłe nogi. Minęło już wpół do jedenastej, a on zwykle bywał o tej porze zmęczony. Lecz nie dzisiaj. Nigdy nie czuł zmęczenia, kiedy tropił zwierzynę. Wręcz przeciwnie, wtedy przepełniała go energia, niezwykła moc. W takich chwilach uświadał sobie, że jego codzienne życie toczy się w szarej, bezbarwnej scenarii. Tylko wówczas gdy polował, świat wokół nabierał intensywnych tęczy kolorów. To było podniecające. To było odurzające. To było wyzwalające. Prawdę mówiąc, tylko w takich chwilach czuł się naprawdę sobą.

Dziewczyny wsiadły do hondy civic i ruszyły w dół Beach Road. Pojechał za nimi, a później obserwował przez przeszklone ściany Taco Bell, jak zabierają się do jedzenia. Nim skończyły i przejechały pod centrum handlowe, by zrobić jakieś wieczorne zakupy, było już całkiem ciemno. Na niebie pojawił się księżyc, żółty niczym cytryna. Mężczyzna okrążył powoli budynek, wypatrując sylwetki Liz w jasno oświetlonych oknach sklepów. Jej widok za każdym razem wywoływał miły dreszcz podniecenia. Kiedy dziewczyny wstąpiły do Parrot Cay na drinka, zaparkował przed wejściem i czekał. Nie spieszył się. Właściwie całkiem dobrze się bawił. Oczywiście wyobraźni widział siebie samego ja-

ko lwa skradającego się przez wysokie trawy sawanny ku pasącej się nieopodal gazeli. Lew wiedział o wszystkim, co działo się dokoła, wysłuchiwał kierunek wiatru, obecność innych zwierząt, które mogły ostrzec jego ofiarę, także przenikający go głód. Gazela czuła jedynie słodki smak trawy.

Na sawannie nieostrożne zwierzęta oddalają się czasem od bezpiecznego stada, co zwykle kończy się dla nich tragicznie. Właśnie to zrobiła po piętnastu minutach Liz. Wyszła sama z baru i zaczęła przechadzać się po chodniku, rozmawiając przez telefon komórkowy. Hałas panujący w środku albo potrzeba prywatności pchnęły ją prosto w jego ręce.

I pomyśleć tylko, że nienawidził telefonów komórkowych!

Dochodziła północ, lecz na ulicy wciąż panował spory ruch. Ludzie wchodzili do baru i wychodzili stamtąd, inni robili jeszcze spóźnione zakupy. Jednak przed wejściem do lokalu było dość ciemno i spokojnie. A Liz, wciąż rozmawiając, oddalała się powoli od drzwi i zbliżała do niego.

Nie mógł dłużej tego znieść. Znajdowała się zbyt blisko. Bezpieczniej byłoby zapewne poczekać na lepszą okazję, lecz wtedy nie sprawiłoby mu to takiej przyjemności.

Stała teraz zaledwie kilka kroków od parkometru, przy którym zostawił samochód. Krew krążyła szybciej w jego żyłach, mięśnie miał napięte, gotowe, zmysły wyostrzone. Czuł, jak rośnie, wysuwa się ze swej normalnej skóry, by zamienić się w śmiercionośną broń.

Bestia wychodziła z ukrycia, i było to niezwykle przyjemne uczucie.

Wysiadł z samochodu i ruszył w jej stronę. Spojrzała na niego przełotnie, gdy się do niej zbliżał.

- Liz? - Przyspieszył kroku, pozdrawiając ją jak dawno niewidziany przyjaciel, uradowany nieoczekiwanym spotkaniem.

Zmarszczyła brwi, przerywając rozmowę, i popatrzyła pytająco. Zauważył, że jej lekko rozchylone usta pomalowane są błyszczącym. Lśniły kusząco w błękitnym świetle neonu zawieszzonego nad oknami baru.

- Cześć - powiedział niemal czule, gdy do niej podszedł. Przyłożył paralizator do jej boku. Ciche brzęczenie zawsze przywodziło mu na myśl komara, wbijającego igłę w skórę. Gryzący zapach spalenizny wpływał do jego nozdrzy niczym kokaina. Lewą ręką obejmował już Liz w sposób, który przypominał przyjacielski uścisk. Dziewczyna zachłystnęła się gwałtownie powietrzem, potem zeszywniała i opadła nań bezwładnie. Jej telefon upadł bezgłośnie na trawnik.

Potrzebował zaledwie kilku sekund, by wpełznąć ją na tył samochodu i zamknąć drzwi. Przerobił swój pojazd na idealną celę: nie można było stamtąd uciec. Wiedział z doświadczenia, że dziewczyna zacznie

się poruszać najwcześniej za piętnaście minut. Miał więc dość czasu, by wyjechać z miasteczka. Rozejrzał się szybko dokoła, by sprawdzić, czy w pobliżu nikogo nie ma, czy nikt go nie widział. Dostrzegł jej telefon komórkowy: nie chciał go tutaj zostawiać. Jeśli koleżanka Liz go znajdzie, natychmiast zacznie się martwić. Jeśli nie, pomyśli, że wróciła do sklepów, i pójdą jej tam szukać.

-Liz?

Był pochylony, sięgał właśnie po telefon. Gdy się wyprostował, zobaczył jedną z przyjaciółek Liz, biodrzastą, krótko ostrzyżoną dziewczynę o imieniu Terri. Stała na chodniku, zaledwie kilka kroków dalej i przyglądała mu się podejrziwie.

- Co pan z tym robi?

Przeniósł spojrzenie na telefon i zmarszczyła brwi. Z baru wyszła jakaś para, nie zwróciła na nich jednak uwagi; gdy tylko zeszła ze schodów, ruszyła, czule objęta, w górę ulicy. Mimo to mężczyzna poczuł lekki niepokój, miał wrażenie, że wydarzenia wymykają mu się spod kontroli. Nienawidził tego uczucia i przez moment nienawidził jej za to, że przerwała mu w najlepszej chwili, zepsuła radość polowania, cudowne uczucie jedności, które łączyło go ze wszystkimi potężnymi i wolnymi istotami.

- Leżał tu na ziemi - odparł swobodnie, spoglądając na telefon. - To pani?

Wyciągnął ku niej rękę. Serce wciąż biło mu jak szalone, podekscytowane udanym polowaniem na Liz. Rozsadała go energia, niepoohamowana siła. Nie mógł jej teraz stłumić. Jeszcze nie. Było za wcześnie. Bał się, że ta dziewczyna wyczyta wszystko z jego twarzy, z jego oczu, nie mógł jednak zrobić nic innego, tylko zawierzyć własnemu szczęściu i mocy otaczających ich ciemności.

- Moja przyjaciółka... - Wyraźnie zatroskana, uczyniła krok w jej stronę i sięgnęła po telefon. Wiedział już, co robić.

- Jest ze mną.

Jego uśmiech przypominał raczej wściekły grymas, a gdy brała od niego telefon, rzucił się do ataku. Otworzyła szerzej oczy, gdy ich spojrzenia się spotkały, było już jednak za późno. Pochwycił ją za nadgarstek, przyciągnął do siebie i uderzył paralizatorem. Stłumiony okrzyk, który wydała tuż przed tym, nim opadła na jego ramię, nie był głośniejszy od kasznięcia. Podniósł ją, rozejrzał się ponownie dokoła, a potem przeniósł do samochodu i rzucił na podłogę, obok Liz. Uderzyła głową o metalową skrzynkę, którą postawił tam kilka dni wcześniej. Z pewnością nabiła sobie porządne guza, choć wcale go to nie obchodziło. Ta nie była już taka ładna, nie chciał jej, zmusiła go jednak, by zabrał i ją.

Może będzie towarzyszką Liz.

Ta myśl była intrygująca. Nigdy dotąd nie porywał dwóch dziewczyn naraz.

Telefon Liz leżał na chodniku. Podniósł go, obszedł samochód z przodu i wsiadł do szoferki. Chciał jak najszybciej odjechać; wiedział, że im dłużej stoi w tym miejscu, tym większe prawdopodobieństwo, że ktoś zapamięta campera. Zrobił jednak wszystko, by jego pojazd był niewidzialny, tak jak on sam. Wydawało się, że żadna z tych dziewczyn nawet nie zauważyła auta, tak jak nie zauważyły jego osoby. Na myśl o ich reakcji, gdy w końcu się przebudzą i poznają jego prawdziwe oblicze, odzyskał dobry humor. Czuł się tak dobrze, że wyjeżdżając z miasta, gwizdał pod nosem jakąś wesołą melodię.

# Rozdział 1

*Dwa tygodnie później...*

Czasami w życiu dzieje się tak, że jedno niepowodzenie wyzwała następne, a to z kolei następne, aż katastrofy mnożą się niczym króliki. Christy Petrino zaczynała podejrzewać, że przydarzyło jej się właśnie coś takiego.

Ktoś ją śledził, kiedy spacerowała po oblanej blaskiem księżycą plaży, zdawała sobie z tego sprawę. Wiedziała o tym. Wiedziała o tym z pewnością, która sprawiała, że serce waliło jej jak młotem, oddech stawał się coraz szybszy, a drobne włoski na karku podnosiły się z przerażenia. Ktoś był za nią. Czowała na sobie jego spojrzenie, jego wrogość, nieuchwytnie wibracje wywołane obecnością innego człowieka, które odbierała dodatkowym, szóstym zmysłem. Dziś, jak zawsze kiedy dawał o sobie znać, ów szósty zmysł drwił ze wzroku i słuchu, dotykał, zapachu i smaku. Nauczyła się już, że powinna mu zawsze wierzyć.

Proszę, panie Boże... Strach ciążył jej w żołądku, wił się niczym wąż. Jak każda katolicka dziewczyna ogarnięta strachem zwróciła się o pomoc do siły wyższej, choć minęło już zawstydzająco dużo czasu, odkąd po raz ostatni była w kościele. Miała jednak nadzieję, że Bóg nie prowadzi szczegółowych rachunków.

Pójdę na mszę w tę niedzielę. Przysięgam. To znaczy, obiecuję. Niech się tylko okaże, że to moja wyobraźnia.

Zaciskając mocno dłoń na maleńkiej puszcze gazu łzawiącego, mającego ją obronić przed niebezpieczeństwami, które czały się w mroku, robiła wszystko, co w jej mocy, by odsunąć od siebie to, co mówił szósty zmysł. Szum fal, które uderzały o brzeg niemal u stóp Christy, wypełniał jej uszy, zagłuszał wszystkie inne dźwięki, choć na piaszczystej plaży i tak nie słyszała by kroków śledzącego ją człowieka. Obejrzała się

nerwowo przez ramie, nie zobaczyła jednak nic, prócz pustej przestrzeni oświetlonej blaskiem księżycy. Biorąc pod uwagę, że była pierwsza w nocy, a po niedawnej ulewie zrobiło się jeszcze parniej niż dotychczas, pustka wokół nie była niczym niezwykłym: stateczne rodziny, które w wrześnie zaludniały ten odcinek wybrzeża, spały teraz smacznie w swych przytulnych domkach letniskowych. Prócz tych właśnie domków, ledwie widocznych zza wysokich wydm, widać było jedynie odległą latarnię morską, smukłe wysokie trawy kołyszące się na wietrze, który pchał do brzegu spienione grzbiety fal, oraz blade półkole samej plaży, która wyglądała niczym zgięty palec wznający się w mroczne wody Atlantyku.

Była sama. Oczywiście, że była sama.

Odetchnęła z ulgą i wzniosła oczy ku niebu. Dziękuję, Boże. Będę siedziała w pierwszym rzędzie, tuż przed ołtarzem, przy... obiecuję.

I wtedy jej nieznośny szósty zmysł znów się obudził.

- Co ty, paranoiczka jesteś, czy co? - mruknęła Christy pod nosem. Lecz oskarżanie samej siebie o paranoję nie przyniosło żadnego skutku. Ruszyła z powrotem w stronę domu przejęta - zgoda, musiała to przyznać - coraz większym strachem.

Nie lubiła się bać. Strach wyprowadzał ją z równowagi. Wychowywała się w Atlantic City, w New Jersey, w dzielnicy całkiem nietrafnie zwanej Pleasantville, gdzie bardzo szybko nauczyła się, że ten, kto okazuje strach, dostaje od innych po tyłku. Dziewczyna, której ojciec od dawna już nie żył, a matka pracowała całymi dniami i bawiła się całymi nocami, musiała umieć zatroszczyć się o siebie - a w wypadku Christy także o dwie młodsze siostry. Nabrała odporności i nauczyła się wiary we własne siły, która pozwalała jej przezwyciężyć wszystkie przeszkody, jakie życie stawiało jej na drodze. Teraz miała dwadzieścia siedem lat, sto siedemdziesiąt centymetrów wzrostu, była szczupła - co kosztowało ją sporo wysiłku - miała ciemnokasztanowe włosy sięgające do ramion, brązowe oczy i twarz, może nie olśniewająco piękną, ale która nie odstręczała mężczyzn. Innymi słowy, była już dorosła, skończyła prawo - choć wciąż sama nie mogła w to uwierzyć - i prowadziła życie, które jeszcze trzy dni temu mogłaby nazwać idealnym.

Teraz to życie rozsypało się na drobne kawałeczki. A ona się bała.

- Mięczak - mruknęła pod nosem. Nie miała się czego bać - chyba. Zrobiła przecież wszystko, co chcieli. Przyjechała do domku letniskowego na Ocracoke i czekała na telefon. Kiedy wreszcie zadzwonił, pół godziny temu, zrobiła wszystko, co jej kazano: zaniósła walizkę do hotelu Crosswinds i położyła ją na tylnym siedzeniu szarej maximy zapar-

kowanej przy basenie. Nie wiedziała, co jest w walizce. Nie chciała wiedzieć. Chciała tylko pozbyć się jej, i zrobiła to, kupując tym samym klucz do swojego więzienia.

To wszystko już się skończyło. Była wolna.

Boże, miała nadzieję, że tak właśnie jest. A może dopiero jeśli odmówi różaniec piętnaście razy i pomodli się do świętego Judy, patrona rzeczy niemożliwych i spraw beznadziejnych, naprawdę stanie się wolna.

A może nie.

Więc dobrze, można powiedzieć, że jest pesymistką. Niektórych ludzi odwiedza błękitny ptak szczęścia. Ptak, który od czasu do czasu przelatywał przez jej życie, był raczej szarym ptakiem niewiary. Niewiary w to, że blask słońca i róża kiedykolwiek na stałe zagoszczą w życiu Christine Marie Petrino. Niewiary w to, że na jej parkingi kiedykolwiek przyjeżdżają samochody, gdzie czekał na nią Vince. Po raz pierwszy w życiu naprawdę się bała wujka Vince'a, który przez ostatnich piętnaście lat był facetem jej matki. Twarde życie w Pleasantville nauczyło ją odróżniać prośby od gróźb. Vince był dobrze ustawiony już wtedy, gdy o Tonym Soprano nikomu się jeszcze nie śniło, a jego „prośba” była w rzeczywistości rozkazem, ofertą, której się nie odmawia.

Teraz jednak zrobiła już to, o co ją prosił. Ta myśl wcale nie podniosła Christy na duchu. Przyspieszyła kroku, pragnąc jak najszybciej znaleźć się w domu, choć była (prawie) pewna, że nie ma żadnego powodu, by robić to, co nakazywał jej instynkt, i uciekać jak najszybciej z plaży.

Dostarczyła walizkę na miejsce. Teraz tamci wiedzieli, że jest lojalna i nie pójdzie z tym do nikogo, a już na pewno nie do gliniarzy. Owszem, rzuciła pracę. Wielka mi rzecz. Tysiące ludzi to robią. A także rzuciła narzeczonego. To też nie było niczym niezwykłym. Na całym świecie ludzie rezygnują z pracy, a zaręczone pary się rozstają i nikt z tego powodu nie umiera. Wprawdzie Michael DePalma, który był jej szefem w do-

brze prosperującej filadelfijskiej firmie prawniczej DePalma & Lowery,

Prócz tego, że wiedziała za dużo.

Choć noc była upalna, Christy zadrżała.

- Zrób dla mnie tę jedną rzecz - powiedział wówczas wujek Vince.

Christy przeknęła z trudem ślinę, przypomniawszy sobie, jak przechwycono ją wtedy w drodze do domu mamy i wepchnięto na tylne siedzenie samochodu, gdzie czekał na nią Vince. Po raz pierwszy w życiu naprawdę się bała wujka Vince'a, który przez ostatnich piętnaście lat był facetem jej matki. Twarde życie w Pleasantville nauczyło ją odróżniać prośby od gróźb. Vince był dobrze ustawiony już wtedy, gdy o Tonym Soprano nikomu się jeszcze nie śniło, a jego „prośba” była w rzeczywistości rozkazem, ofertą, której się nie odmawia.

Teraz jednak zrobiła już to, o co ją prosił. Ta myśl wcale nie podniosła Christy na duchu. Przyspieszyła kroku, pragnąc jak najszybciej znaleźć się w domu, choć była (prawie) pewna, że nie ma żadnego powodu, by robić to, co nakazywał jej instynkt, i uciekać jak najszybciej z plaży. Dostarczyła walizkę na miejsce. Teraz tamci wiedzieli, że jest lojalna i nie pójdzie z tym do nikogo, a już na pewno nie do gliniarzy. Owszem, rzuciła pracę. Wielka mi rzecz. Tysiące ludzi to robią. A także rzuciła narzeczonego. To też nie było niczym niezwykłym. Na całym świecie ludzie rezygnują z pracy, a zaręczone pary się rozstają i nikt z tego powodu nie umiera. Wprawdzie Michael DePalma, który był jej szefem w do-

brze prosperującej filadelfijskiej firmie prawniczej DePalma & Lowery,



a jednocześnie jej narzeczonym, powiedział: „Czyżbyś nie wiedziała, że nie możesz odejść? Naprawdę myślisz, że po tym, czego dowiedziałas się od Franky’ego, pozwolą ci tak po prostu odejść?”, ale to nie oznaczało jeszcze, że jest pierwsza na liście do odstrzału.

A może właśnie oznaczało?

Może wuj Vince, albo ktoś inny, uznał, że - by zapewnić sobie jej milczenie - potrzebne są jakieś inne środki. Bardziej radykalne. Bo wciąż czuła, że ktoś czai się za nią w ciemności. Obserwuje ją. Czeką. W jej umyśle pojawił się obraz myśliwego tropiącego cierpliwie zwierzynę.

Wyobraziwszy sobie siebie samą jako ofiarę, Christy nie poczuła się ani trochę lepiej.

Wzięła głęboki oddech, próbując zapanować nad rosnącym strachem, i zacisnęła mocniej dłoń na puszcze z gazem łzawiącym. Próbowwała zidentyfikować ciemne kształty, którym mrok nadawał przerażające cechy. O Boże, co to jest...a to... i to? Serce zamarło jej na moment w piersiach, gdy dojrzała te bliżej nieokreślone zagrożenia. Dopiero po chwili podjęło przerwany rytm, gdy Christy uswiadomiła sobie, że nie-ruchomy prostokąt naprzeciwko niej to nie przyczajony mężczyzna, lecz leżak zostawiony przez kogoś na plaży; wysoki, lekko rozkołysany trójkąt - głowa i ramiona człowieka - wznoszący się groźnie nad pobliską wydumą, był w rzeczywistości częściowo złożoną parasolką wbity w piach; a jakiś okrągły kształt - napastnik siedzący w kucki? - widoczny tuż pod ogrodzeniem okazał się wystającym na zewnątrz tylnym kołem roweru.

Nic prócz zwykłych, nieszkodliwych przedmiotów codziennego użytku. Gdy Christy powtórzyła to sobie po raz kolejny, jej niepokój osłabł nieco, nie zniknął jednak całkiem. Drepczące poczucie czyjejs obecności - zagrożenia - było zbyt silne, by mogło się rozwiać tylko za sprawą kilku uspokajających obrazów. Christy objęła się mocno rękami i nadal bała ciemność za pomocą wszystkich dostępnych jej zmysłów. Stała nieruchomo, wbijając nerwowo palce stóp w piasek, a luźna, zielona wienienka z półprzezroczystego materiału opinała jej nogi, targana wienienką bryzą. Gwiazdy bawiły się w chowanego z pędzącymi chmurami: cienki jak palec księżyc wisiał wysoko na atramentowocarnym niebie; zwińczone pienistą grzywą fale uderzały o brzeg, cofały się i napływały ponownie, w jedhostajnym, nieustającym rytmie, który powinien kończyć jej nerwy, lecz w tych okolicznościach wcale tego nie czynił. Nastuchiwała i wpatrywała się w ciemność, smakowała sól osadzającą się na wargach i wdychała głęboko morskie powietrze, próbując zapanować nad przenikającym ją strachem.

- W porządku, Christy, weź się w garść.

Mówienie do siebie prawdopodobnie nie było dobrym znakiem. O nie, pomyślała Christy posepnie, to na pewno nie jest dobry znak. Jeśli zaczęła tracić zmysły, rozmyślała, idąc coraz szybciej w kierunku parterowego domu, który wydawał jej się teraz oazą bezpieczeństwa, to mogła uznać to tylko za kolejne wydarzenie z kategorii „Jeszcze Jedna Niespodzianka”. Tkwiła po szyję w kłopotach i czekała tylko z rezygnacją, kiedy dołączy do nich kolejny. Zwykle uwielbiała Ocracoke; spędzała tu wakacje już po raz siódmy czy ósmy. Możliwość korzystania z domu na plaży była jedną z niewielu korzyści, jakie dawała znajomość jej matki z wujem Vincentem. Teraz jednak ta niewielka plażowa społeczność zamieszkuje Outer Banks w Karolinie Północnej zaczynała sprawiać wrażenie, jakby wyjęto ją ze stronic powieści Stephena Kinga. W umyśle Christy pojawił się obraz ducha Czarnobrodego - cieszącego się złą sławą pirata, który podobno przechadzał się po tych plażach, trzymając pod pachą swą odciętą głowę. Ta wizja przyprawiła dziewczynę o gęsią skórę. Co było absurdalne, oczywiście. Kto wierzy w duchy? Nie ona, oczywiście, ale z drugiej strony... Panie Boże, będą chodzić na mszę w każdą niedzielę do końca życia, jeśli tylko pozwolisz mi bezpiecznie wrócić do domu. Musiała się uspokoić i przemyśleć to wszystko. Jeśli naprawdę ktoś szedł za nią, jeśli owa przerażająca świadomość obecności wrogiej istoty śledzącej ją w mroku nocy nie była tylko wytworem wybujałej wyobraźni i napiętych nerwów, to Christy powinna jak najszybciej wynosić się z plaży. Jeśli znacznie biec, nieznanymi przesładowca zrozumie, że ona wie o jego obecności. Jeśli będzie tylko szła, ów nieznanymi napastnik może ją dogonić.

To był decydujący argument. Podciągnęła sukienkę i rzuciła się do biegu.

Piasek plaży był ciepły, upstrzony plamami kałuż, w których pływały włókniste wodorosty. Blask księżycy odbił się na moment w przezroczystym cieple meduzy, przewracanej przez bijące o brzeg fale. Walcząc z narastającą paniką, Christy chwyciła ciężko powietrze i wyteżając wszystkie siły, pędziła przed siebie, poganiana jedną tylko myślą: uciekaj z plaży. Szum fal skutecznie zagłuszał wszystkie inne dźwięki, targane wiatrem włosy wpadały jej do oczu. Nie słyszała nawet uderzeń własnych stóp o piasek, ledwie widziała, dokąd biegnie. Ale czuła - a to, co czuła, coraz mocniej ją przerażało.

Do diabła z pięcioma zmysłami; w tej chwili liczył się tylko szósty. A szósty zmysł mówił jej, że znajduje się w niebezpieczeństwie. Ktoś był za nią, ktoś ją ścigał - ktoś na nią polował.



Dokładnie w chwili, gdy kolejny raz oglądała się przez ramię, Chrysty zawadziła stopą o jakiś przedmiot i runęła jak długa.

Uderzyła ciężko o piasek. Jej kolana i dłonie wybiły bliźniacze dołki, zęby zacisnęły się z bolesnym impetem. Słone krople uderzyły ją w twarz, gdy jakaś wyjątkowo duża fala rozbiła się o plażę zaledwie kilka metrów dalej.

Zaskoczona i oszołomiona Chrysty próbowała zebrać myśli. Potknęła się. O co się potknęła? Kawał drewna wyrzucony przez fale?

On tu idzie. Ruszaj się.

Poganiąca sygnałami, jakie wysyłał jej wewnętrzny system ostrzegawczy, Chrysty zerwała się na równe nogi. Jednocześnie obejrzała się przez ramię, ciekawa, co stało się na drodze. Oczywiście nie miało to teraz żadnego znaczenia. Ten, kto ją ścigał, był coraz bliżej. Wyczuwała jego obecność coraz mocniej, prawie go widziała...

U jej stóp leżała szczupła ręka, nieruchoma i biała jak sama plaża. Uświadomiwszy sobie, o co się przewróciła, Chrysty znieruchomiała na moment z przerażenia. Jej wzrok powędrował wyżej, ku głowie okrytej splątanymi, wilgotnymi włosami, ku wąskim ramionom, tali, biodrom, krągłym pośladkom i długim nogom. Przed nią leżała kobieta, zwrócona twarzą do ziemi. Była naga, jedną rękę wyciągała przed siebie, jakby chciała przeczłgać się przez plażę. Nie poruszała się, nie wydawała żadnych dźwięków, zdawało się, że nawet nie oddycha. Wyglądała na martwą.

Potem jej dłoń się poruszyła, palce wbiły się piasek, a ciało wyprężyło, jakby próbowała przesunąć się do przodu.

- Pomóż... proszę...

Czy Chrysty naprawdę usłyszała te słowa? Czy tylko je sobie wyobraziła? Serce biło jej jak szalone, szum pulsującej krwi niemal zagłuszał huk oceanu. Ale...

- Jestem tu - powiedziała Chrysty, kucając i ostrożnie, z uwagą dotykając głowy kobiety. Gdy pod palcami wyczuła zimną, oblepioną piaskiem skórę, ogarnęła ją nagle fala współczucia. Biedaczka...

Wargi kobiety poruszyły się, jakby w reakcji na dotyk ręki Chrysty.

-Po... po...

Teraz nie miała już najmniejszych wątpliwości: naprawdę słyszała te urywane sylaby, choć nie miały już one żadnego sensu. Kobieta nie była martwa, choć wydawało się, że niewiele już zostało w niej życia. Musiało się wydarzyć coś strasznego. Jakiś okropny wypadek.

- Wszystkie będą... - zaczęła mówić Chrysty, przerwała jednak, dojrawszy kątem oka jakiś ruch.

Podniosła wzrok i ujrzała mężczyznę, odległego o jakieś trzysta metrów, skradającego się za wydymami, które skrywały go do tej pory. Mężczyzna szedł w jej stronę, pochylony nad śladami stóp - jej śladami - odcisniętymi w piasku. Jej prześladowca! Przez moment całkiem o nim zapomniiała. Znów przesyłał ją strach, ostry i dojmujący, niczym grot strzały. Serce podeszło jej do gardła. Na razie nieznajomy był tylko nie wyraźnym kształtem w blasku księżycy, z pewnością jednak nie należał do świata duchów i nie stanowił tylko wytworu jej wyobraźni. Był tutaj. Prawdziwy i rzeczywisty. Ucieleśnienie jej lęków w ciemnym dresie i z jakimś lśniącym przedmiotem w dłoni.

Pistolet?

Jakby przywołany jej spojrzeniem, mężczyzna podniósł głowę. W tym świetle nie mogła ujrzeć jego twarzy czy oczu, czuła jednak na sobie jego spojrzenie, czuła bijący od niego gniew, kiedy spojrzął na nią i zrozumiał, że został dostrzeżony. Przez krótką, mrozącą krew w żyłach chwilę, ich spojrzenia się spotkały, połączyły prześladowcę i ofiarę.

Chrysty natychmiast zapomniała o rannej kobiecie, gdyż szósty zmysł niemal zawył w jej głowie niczym syrena alarmowa, przekazując tylko jeden sygnał: uciekaj! Instynkt samozachowawczy kazał jej zerwać się na równe nogi i natychmiast rzucić do ucieczki z krzykiem, który słychać było zapewne aż do samego Atlantic City.

## Rozdział 2

Cholera. Idzie tu.

Ta krótka wiadomość od Gary'ego rozbrzmiała z zaskakującą siłą w słuchawce umieszczonej zdecydowanie zbyt blisko czułego ucha Luke'a Randa. Luke, który wychodził właśnie na patio, skrzywił się zaskoczony. Niemal w tej samej chwili usłyszał przeraźliwe kobiece krzyki. Zasnął szybko drzwi i rozejrzał się dokoła; dziewczyna Donniego Juniora biegła przez wydmy w stronę domu z gracją świni tańczącej na lodzie. Christina Marie Petrino - Christy, dla rodziny i przyjaciół, do których on z pewnością nie należał - wrzeszczała ile sił w płucach, wzywając pomocy. Od czasu do czasu cichła na moment, by się obejrzeć, po czym zaczynała krzyczeć ze zdwojoną siłą. Nie słyszał jej wcześniej pewnie tylko dlatego, że był zbyt pochłonięty tym, co robił w jej domu. Ledwie zdążył wyrwać małą słuchawkę z ucha i schować ją do kieszeni szortów, gdy Christy zbiegła z ostatniej wydmy i ruszyła prosto na niego.

Musiał błyskawicznie podjąć decyzję. Zostać i wymyślić jakąś głupią historyjkę czy próbować się ukryć albo uciec? Ponieważ stał właśnie na małym wybetonowanym patio, mając za sobą dom, a po bokach chwiejny, wysoki na blisko dwa metry płot, zarówno ucieczka jak i szukanie kryjówek nie wchodziły raczej w grę. Chcac się stąd wydostać, musiałby pobic prosto na dziewczynę. Księżyc świecił tej nocy dość jasno, Luke nie miał więc większych szans na to, by uciec niepostrzeżenie pod osłoną mroku. Wiedział, że Christy łada moment i tak go zobaczy, a stanie się to jeszcze wcześniej, jeśli wyjdzie z cienia rzucanego przez okap dachu. Ponieważ miała to być tajna operacja, nie chciał ryzykować niczego, co mogłoby nasunąć jej podejrzenie, że dom został przeszukany.

Jedynie więc, co mógł zrobić, to nie ruszać się z miejsca... nie, iść do przodu... a nawet podbiec, jakby spieszyl jej z pomocą, usłyszawszy rozpaczliwe krzyki i uznawszy, że jest w niebezpieczeństwie.

I wymyślić napredce jakąś wiarygodną bzdurę.

Był to dość kulawy plan, ale musiał wystarczyć. Luke nie miał już czasu. Dziewczyna go zobaczyła. Z całą pewnością. Jej spojrzenie spoczęło na nim, kiedy stał nieruchomo niczym posąg pośród niskich krzewów w jej ogrodzie. Najpierw otworzyła szeroko oczy z przerażenia, potem otworzyła także usta. Wypuściwszy z dłoni skraj sukienki, która niczym kurtyna zasłoniła jej zgrabne nogi, Christy zatrzymała się kilka kroków przed patio i podniosła ręce w obronnym geście.

- Hej, co się stało? - spytał Luke beztruskim tonem i kierując się zasadą, że najlepszą obroną jest atak, ruszył w jej stronę.

Zły ruch. Odkoczyła do tyłu i wrzasnęła tak przeraźliwie, jakby stanęła nagle twarzą w twarz z synem piekiel. Luke skrzywił się, zakrywając odruchowo uszy, a potem obserwował ze zdumieniem i rozbawieniem, jak Christy potyka się na czymś i siada nagle na piasku, trafiając swym seksownym tyłeczkiem niemal prosto w starannie zbudowane mrowisko. Jakaś mała latarka, a może duża zapalniczka, coś lśniącego i walcowatego, co trzymała do tej pory w dłoni, wysunęło jej się z palców i wylądowało w trawie u podnóża najbliższej wydmy. Obejrzała się za siebie, jakby chciała sprawdzić, gdzie spadł ów przedmiot. Potem ponownie spojrzała na Luke'a, jeszcze bardziej przerażona niż przed chwilą.

- Zostaw mnie! Pomocy! Pomocy!

- Spokojnie... - Ruszył w jej stronę, chcąc jedynie pomóc jej wstać.

- Nie zbliżaj się do mnie!

Zaczęła przesuwać się na czworakach do tyłu, i choć sukienka nieco krępowała jej ruchy, szło jej to całkiem niezle. Luke nie mógł się powstrzymać: na moment uległ swej samczej naturze i przyglądał się dziewczynie z nieklamana przyjemnością. Jej nogi, długie, szczupłe i opalone, były naprawdę fenomenalne, o czym miał okazję przekonać się już podczas poprzednich obserwacji. Jej piersi - ładne, nie za duże, ale krągłe i jędrne, podtrzymywane zawsze przez cieniutki staniczek lub górę kostiumu bikini - podskakiwały w miły dla oka sposób. Ciemne włosy splotywały gęstą falą na plecach, wielkie oczy były teraz okrągłe jak spodki, a szczupła, trójkątna twarz o wysokich kościach policzkowych uniesiona tak, że padał na nią blask księżyca. Dziewczyna mafiosa czy nie, w tej konkretnej chwili wyglądała naprawdę bardzo ładnie i kusząco. DePalma znał się na kobietach, trzeba mu to przyznać.

Wielka szkoda, że po zakończeniu całej tej historii Christy musiała trafić do więzienia.

- Hej, spokojnie, nie chcę zrobić ci krzywdy.

Podniósł ręce, by pokazać jej, że nie ma złych zamiarów, i uśmiechnął się szeroko, robiąc wszystko co możliwe, by upodobnić się do dobrodusznego sąsiada, spieszącego z pomocą. Nie wyglądała na przekonaną. Dotarłszy do wydmy, próbowała bez powodzenia wspiąć się tyłem na jej piaszczyste zbocze, które osuwało się pod jej rękami i stopami.

- Nie zbliżaj się do mnie!

Nie zważając na krzyki, szedł dalej, i zatrzymał się dopiero wtedy, gdy jego stopy niemal dotykały jej stóp. Był pewien, że wyglądał wystarczająco niewinnie, ot zwykły Joe na wakacjach nad morzem - bo czym mógł ją przerazić uśmiechnięty blondas w rozciągniętych spodenkach i niedopiętej koszuli? Poza tym krzyczała, nim dobiegła do domu, więc to nie on był powodem strachu. Uśmiechnął się szerzej i pochylił, by pomóc jej wstać, lecz dziewczyna wydała z siebie jeszcze jeden przesywający krzyk i syknęła mu w twarz garść piachu.

To nie było miłe. Luke wyprostował się raptownie i potrząsnął głową, dziękując w myślach opatrności, że zdążył zamknąć oczy.

- Jezu - skrzywił się. - Wyluzuj, co? Wszystko w porządku.

- Pomocy! Pali się!

- Pali się?

Te słowa nie miały żadnego sensu, ale też nie miały znaczenia; chodziło tylko o to, by przekonać ją, że jest zupełnie nieszkodliwy. Spróbował uśmiechnąć się ponownie i wyciągnął do niej rękę. Odwdzięczyła mu się za ten dżentelmeński gest potężnym kopniakiem.

- O cholera!

Trafiła go prosto w rzepkę! Luke złapał się za nogę i odskoczył do tyłu, ale wtedy zawadził o plastikowy leżak, którego udało mu się szczęśliwie uniknąć podczas dwóch poprzednich, zdecydowanie bardziej udanych wypadków na jej patio.

Tym razem szczęście mu nie dopisało. Wpadł prosto na leżak, stracił równowagę i runął na podnózek mebla. Tani plastik pękł pod jego ciężarem z głośnym trzaskiem, a kość ogonowa Luke'a uderzyła z całą siłą o beton. Sekundę później o betonowy chodnik uderzyła także jego głowa. Jakby tego było mało, fragment rozbitego mebla spadł mu prosto na twarz. Przez moment Luke leżał nieruchomo na betonie, szybko jednak zdał sobie sprawę, że kłujące go w pośladek plastikowe drzazgi, fragment oparcia uwierający go w twarz, obolała kość ogonowa i szum w rozbitej głowie to nie jego jedyne problemy.

- Nie ruszaj się! Nie ruszaj się!

Gdy tylko ściągnął z twarzy fragment leżaka i podniósł wzrok, przekonał się, że sytuacja coraz bardziej się pogarsza; tuż nad nim stała zde nerwowana i wystraszona Christy trzymająca w dłoni puszkę z gazem łzawiącym.

Wylot rozpylacza skierowany był prosto na niego.

Cholera. Jeszcze tego brakowało.

- Spokojnie, jestem po pani stronie! - krzyknął, wyrzucając ręce do góry w geście wykonywanym przez osaczonych złoczyńców we wszystkich spaghettiwesternach, jakie widział. - Próbuję tylko pani pomóc. Jeśli nie chce pani mojej pomocy, wystarczy jedno słowo i już sobie stąd idę.

Wciąż mierzyła w niego rozpylaczem, zaciskając obie dłonie na puszcze niczym Brudny Harry na swojej czterdziestceczwórce, lecz te słowa jakby nieco ją uspokoiły. Przynajmniej nie zrobiła głupstwa i nie psiknęła mu gazem prosto w twarz.

- Co pan robi na moim patio?

Dobre pytanie.

- Szukam kota. - To wyjaśnienie pojawiło się nagle w jego głowie, pewnie dlatego, że wcześniej widział jakiegoś kota skradającego się wzdłuż ogrodzenia posesji.

- Szuka pan kota?

Określenie „sceptyczny” w odniesieniu do jej głosu byłoby w tym wypadku nieodmówieniem. No dobrze, rzeczywiście była to dość kiepska wymówka.

Lecz Luke pokiwał energicznie głową.

- Marvina. Szukam mego kota, Marvina. Widziałem, jak uciekł w te krzaki. - Wskazał kciukiem na otaczające ich krzewy. - Nawet nie pomyślałem, że to czyjeś patio, po prostu poszedłem za nim. Nie chciałem wchodzić na pani teren. Przepraszam.

Zerknęła na krzaki. Luke zastanawiał się przez moment, czy nie wykorzystać tej sytuacji i nie próbować wyrwać jej puszki z gazem, lecz myślał o tym, co może się wydarzyć, jeśli nie będzie dość szybki, skutecznie go zniechęciła. Dobrze znał skutki działania takiego gazu. Używał go na ćwiczeniach i widział ludzi, którzy zostali nim potraktowani, a sam dwukrotnie już znalazł się w takiej sytuacji. Nie było to doświadczenie, które chciałby powtórzyć.

- Tu nie ma żadnego kota.

- Pewnie go pani wystraszyła tymi wrzaskami. Może już uciekł na drugą stronę wyspy - odparł Luke urażonym tonem. - A właściwie dla czego tak się pani wydzierała? Coś się stało?

Christy sposepniała nagle i zerknęła lekliwie w stronę oceanu.

- Na plaży jest kobieta... potrzebuje pomocy... Jest tam też mężczyzna... on...

- Hej, wy tam! Gdzie się pali? - przerwał jej głos należący do jakiejś starej kobiety.

Luke ośmielił się odwrócić wzrok od puszki z gazem i ujrzał światło latarki migoczące za ogrodzeniem. Najwyraźniej ktoś zbliżał się do domu. Luke wzdygnął się mimowolnie. Wiedział, kto spieszy z pomocą Christy, a przynajmniej tak mu się wydawało. Kobieta nazywała się Rosa Castellano i była wdową po mafijnym bossie Anthonym Castellano, zwanym „Kleń”. Miała blisko osiemdziesiąt lat i mieszkała przez cały rok w sąsiednim domu, dzięki uprzejmości obecnego szefa mafii, Johna DePalmy, ojca Donniego juniora, który był właścicielem kilku domków w tej części plaży. Spędzała czas głównie na pielęgnacji niewielkiego ogródka i obserwowaniu życia sąsiadów. Luke był pewien, że niewiele uchodziło jej uwagi. Wiedział, że na pewno został dostrzeżony. Wdowa była w swoim ogródku, kiedy przyjechał tu z Garym tego ranka, i przyglądała im się podejrzliwie, dopóki nie zniknęli w swoim domu, sąsiadującym z posesją Christy od południa. Ten dom także należał do Johna DePalmy i był wynajęty na całe lato, udało im się jednak załatwić coś w rodzaju podnajmu.

- Pani Castellano, to pani? - W głosie Christy pobrzmiwała ogromna ulga.

Luke spojrzął na nią uważnie. Fakt, że znała Rosę Castellano, był interesujący, choć niezbyt dziwny. Członkowie mafii i ich rodziny musieli gdzieś spędzać wakacje, a plaże wschodnich stanów robiły się coraz modniejsze. Prawdę mówiąc, mieszkało tu obecnie tylu byłych znajomych Johna DePalmy, że bardziej odpowiednią nazwą dla tego miejsca byłoby New Jersey South.

- Tak, oczywiście, że ja. A kogo się spodziewałaś, moja droga? Dzwoniła do mnie twoja mama, powiedziała mi, że jesteś tutaj, i prosiła, że bym miała cię na oku.

Pani Castellano wyszła zza ogrodzenia i zatrzymała się raptownie, kierując promień latarki na Luke'a. Światło uderzyło go prosto w oczy. Skrzywił się i pomachał ręką na przywitanie. Pani Castellano zmarszczyła brwi, jakby szukając w pamięci jego twarzy.

- Mogłaby pani wejść do domu i wezwać pomoc? - spytała Christy, wciąż trzymając rozpylacz skierowany na twarz Luke'a.

- Zadzwońłam już po straż pożarną, kiedy krzyczałaś, że się pali.

Chcesz, żebym wezwała też gliniarzy? Trzeba było mówić. - Pani Castellano była pulchną kobietą o rzadkich siwych włosach, licznych zmarszczkach, którymi mogłaby się podzielić z tuzinem szczeniaków shar-pei, ostrym, przypominającym dziób nosie sterującym nad małym kim, lekko wydętymi ustami i plecach pochylonych na skutek wieku. Miała na sobie długi do kolan płaszcz kąpielowy, zakrywający prawdopodobnie koszulę nocną, oraz rozdeptane kapcie. Wydawała się słaba i krucha, Luke przypuszczał jednak, że jest mniej więcej tak słaba i krucha jak osławiona Ma Baker, dokonująca zuchwałych napadów razem ze swoimi synami.

- Ciociu Roso, ja jestem gliniarzem, nie pamiętasz? Jestem zastępcą szeryfa.

Za kobietą pojawił się ciemnowłosy mężczyzna koło czterdziestki. Miał mniej więcej metr siedemdziesiąt pięć wzrostu i ważył pewnie ponad sto kilogramów. W dłoni trzymał broń, glocka czterdziestkę. Ubrały był w ciemne spodnie i białą bawełnianą koszulkę. Podobnie jak jego ciało, nalana twarz mężczyzny wydawała się szeroka i agresywna. Na pierwszy rzut oka wyglądał jak żołnierz mafii. Albo, jak sam twierdził, jak gliniarz.

- No tak, ciągle zapominam. - Pani Castellano pokręciła głową i dołączyła półgłosem: - Po prostu w głowie mi się nie mieści, że Castellano został zastępcą szeryfa.

- To może ja wreszcie wstanę - powiedział Luke, krzywiąc się lekko i rozcierając obolałe kolano.

- Nie ruszaj się! - wrzasnęła Christy. Ogarnięta na nowo chorobliwą wrogością skierowała nań wylot rozpylacza.

- Ejże, wyluzuj wreszcie, co? - skrzywił się Luke z niesmakiem. Podniósł ręce, w nadziei że to choć trochę ją uspokoi.

- Spokojnie, panuję nad sytuacją - powiedział do niej Castellano kochającym tonem i zrobił krok do przodu, przypatrując się uważnie Luke'owi i zaciskając mocniej dłoń na rękojeści pistoletu. - Więc co się tu dzieje? Gdzie ten pożar?

- Nie ma żadnego pożaru - odparła Christy, zerkając na Luke'a. - Ten facet...

Nim zdołała dokończyć, Luke przerwał jej, wciąż utrzymując się w roli życzliwego sąsiada.

- Usłyszałem wrzaski i biegiem na pomoc, a jej coś odbiło.

- Odbiło! - zgrzytnęła Christy zębami, a potem spojrziała na Castellana. - Ten facet chował się w krzakach na moim patio! Mówi, że szukał swojego kota!

- Kota? - Castellano obrzucił Luke'a podejrziwym spojrzeniem. Miał małe, ciemne, wredne oczy, oczy człowieka, na którego nie chciałbyś trafić, gdybyś był zbiegłym z domu dzieciakiem. Albo facetem, którego przyłapano na posesji obcej kobiety i którego jedyną wymówką są poszukiwania nieistniejącego kota.

- Marvina - potwierdził Luke z powagą. Tak, to była jego wersja i zamierzał trzymać jej się do końca.

- Christy Petrino, poznaj mojego bratanka, Gordiego Castellano. Gordie jest zastępcą szeryfa - powiedziała pani Castellano, przyłączając się do całej trójki. Jej ton świadczył jednoznacznie o tym, że zamierza bawić się w swatkę.

- Miło mi - odrzekli Christy i Castellano jednym głosem.

Luke, który przyglądał im się spod przymrużonych powiek, pomyślał, że to świadectwo przyzwoitego mafijnego wychowania. Różnego rodzaju zbrodnie i przestępstwa były na porządku dziennym w organizacji, lecz dzieci zawsze uczono dobrych manier. Przeniosł wzrok na Christy i zaczął przyglądać jej się uważniej. Brwi miała lekko zmarszczone, a w oczach pojawił się niepokój, jakby nie ufała nowemu znajomemu. Ciekawe dlaczego. Czy zawsze zachowywała się tak w stosunku do stróżów prawa, czy też tylko ten wywoływał u niej taką reakcję?

- Na plaży jest kobieta... - W głosie Christy pojawiła się niemal niechęć. Zmierzyła Castellana wzrokiem i jeszcze mocniej ściągnęła brwi. Tak, wyraźnie mu nie ufała. Pozostawało tylko pytanie dlaczego? Przecież gdy biegła z plaży do domu, była czymś śmiertelnie przerażona. Czemu więc nie witała zastępcy szeryfa z otwartymi ramionami? Nie odrywając spojrzenia od Castellana, zapytała niepewnie. - Pan chyba nie wraca właśnie z plaży?

- Ja? - Castellano pokręcił głową. - Nie, skąd. Oglądałem telewizję z ciotką Rosą. - Zmarszczył brwi i spojrzał uważniej na Christy. - Mówi pani, że na plaży jest jakaś kobieta, tak? I co z nią?

- Coś jej się stało. Leży na piasku, chyba jest ranna. Potrzebuje pomocy. Powinniśmy wezwać karetkę. - W jej tonie wciąż pobrzmiwała nuta niechęci i nieufności, co wydawało się Luke'owi dość dziwne w tych okolicznościach.

- Co? Gdzie? - wypytywał Castellano ostrym tonem. Christy wciąż go obserwowała, przygryzając nerwowo dolną wargę.

- W kierunku latarni.

Z oddali dobiegł ich odgłos syreny.

- To pewnie straż pożarna - stwierdziła pani Castellano, a potem

spojrzała gniewnie na Christy. - Pewnie nieźle się wkurzą. Dlaczego krzyczałaś, że się pali, skoro nie ma żadnego pożaru.

- Straż pożarna, ekipa ratunkowa, pogotowie to tutaj jedno i to samo - odparł Castellano, zniecierpliwiony. - Może zaprowadzi mnie pani do tej kobiety? - zwrócił się do Christy. - Ciocia Rosa pokaże drogę chłopakom z ekipy ratunkowej, kiedy już tu dotrą.

- Nie! Nie! - odparła Christy, kręcąc energicznie głową i robiąc krok do tyłu. Syrena wyła coraz głośniejsze, tamci byli coraz bliżej. - Będą tu lata da moment, więc może lepiej na nich poczekajmy.

Boi się Castellana, to oczywiste. Czy znali się już wcześniej? Raczej nie, sądząc po reakcji Christy. Z drugiej jednak strony, Luke dobrze wiedział, że rzeczy nie zawsze są takie, na jakie wyglądają.

- Tak, pewnie ma pani rację - odrzekł Castellano, przyglądając jej się uważnie. - Lepiej nie ryzykować, bo jeszcze wszyscy pogubimy się w ciemnościach.

- Posłuchajcie, miło było was poznać, ale widzę, że będę tu tylko zawadzał, więc lepiej już sobie pójdę. - Luke musiał podnieść głos, by przekrzyczeć wycie syreny. Ranną kobietą na plaży mógł zająć się ktoś inny, a on wolał jak najszybciej zniknąć i nie tłumaczyć się przed nikim z tego, kim jest i co robi. Im mniej uwagi ściągnie na siebie, tym lepiej. Spojrzał na Christy. - Przepraszam za nieporozumienie.

- Chwileczkę. - Castellano spojrzął na niego swymi świńskimi oczkami. Lufa jego pistoletu skierowana była w dół, Luke wiedział jednak, że może się to zmienić w każdej chwili. - Może przed odejściem poda mi pan swoje nazwisko i adres. Na dobry początek znajomości.

Cholera.

- Luke Randolph - odparł swobodnie, podając nazwisko, na które wynajął chatę.

Było niebezpiecznie zbliżone do jego prawdziwego nazwiska. Należało wybrać coś zupełnie innego. Oczywiście, kiedy używał go po raz pierwszy, nie przypuszczał, że będzie musiał się tłumaczyć przed zastępcą szeryfa. Gdyby wszystko poszło dobrze, ani ten gliniarz, ani Christy Petrino nigdy by go nie zauważyli. Byłby tylko jednym z setek bezimiennych urlopowiczów spędzających ostatnie dni lata nad morzem. Los chciał jednak - los, który posłużył się Garym, oj dostanie mu się jeszcze za gapiostwo - by ta kobieta niemal złapała go na gorącym uczynku, wychodzącego z jej domu. Pozostawiony sam sobie musiał ją coś rozwiązać tę sytuację. Zerknął na Christy i postanowił powiedzieć jej prawdę - a przynajmniej drobną część prawdy. Wykrzywił twarz w czarującym, jak mu się wydawało, uśmiechu.



- Jestem pani sąsiadem. Wynajęliśmy z kolegą chatę obok. Christy nie wyglądała na oczarowaną. Nie wyglądała też na przekonaną.

- To prawda. - Pani Castellano skinęła głową. - Widziałam, jak się wprowadzali dzisiaj rano. On i jakiś drugi facet. Sonny i Nora Corbitto-wie - bo to oni zazwyczaj wynajmują ten domek w sierpniu - wygrali rejs na Karaiby, wiece, wszystkie koszty opłacone, i musieli zmienić plany, żeby to wykorzystać, więc ich chata była wolna. Ale mieli szczęście, co? Ja nigdy nie wygrałam nawet gumy do żucia.

- On był na moim patio - powiedziała Christy do Castellana, a potem spojrzęła na Luke'a, wciąż nieufna i podejrziwa. - A ja nie widziałam tu żadnego kota.

- Więc co się stało? Słyszała pani, jak chodził koło okien czy drzwi? Myśli pani, że panią podglądał? - Castellano ponownie obrzucił Luke'a przeciągłym spojrzeniem, pełnym niewypowiedzianych gróźb.

- Ja... nie było mnie w domu. Nie mogłam spać, więc wyszłam spacerować po plaży, a kiedy wróciłam, on tu był.

Kłameczucha, pomyślał Luke. Dobrze wiedział, po co poszła na plażę. Castellano spojrzął na niego pytająco.

- Mówiłem już, że szukałem kota. - Luke mówił tonem tak niewinnym i przekonującym, że sam był z siebie dumny. - Uciekł, a ja nie wypuszczam go w nocy na zewnątrz, szczególnie w obcych miejscach. - Spojrzął na Christy i przybrał skruszoną minę. - Przepraszam, jeśli panią wystraszyłem.

- Hej, patrzcie, tam jest kot! - zawołała pani Castellano, wskazując w bok latarką.

Luke, równie zaskoczony jak pozostali, spojrzął w tamtą stronę. Rzeczywiście, promień oświetlał kota, czarnego wielkiego kocura, którego Luke widział już wcześniej. Nie zważając na obserwującą go publiczność, zwierzak czał się w wysokiej trawie, gotów do skoku i skupiony wyłącznie na jakimś stworzeniu, które miało stać się jego wieczorną przekąską.

- To pański kot? - spytał Castellano, spoglądając na Luke'a. Jakże było prawdopodobieństwo, że w pobliżu patio Christy Petrino wałęsały się dwa koty? Prawie żadne. W myślach Luke przytulił czule czarnego tłściocha.

- Tak - odparł z przekonaniem. - To on. Mój Marvin.

- Wygląda na to, że ten facet mówi prawdę - zwrócił się zastępca szeryfa do Christy.

- Pewnie tak - westchnęła, choć wcale nie wyglądała na przekonaną.

na. Ale przecież widziała kota, żywy dowód prawdziwości słów Luke'a. Cóż mogła zrobić?

Luke z trudem ukrył uśmiech radości. Czasami wszystko układało się jak na zamówienie.

Migotliwy blask i wycie syreny oderwały na moment uwagę wszystkich od kocura przyczajonego pod płotem. Spomiędzy domów letniskowych wynurzył się samochód strażacki, pędzący po wąskiej asfaltowej drodze wzdłuż posesji położonych nad plażą. Sekundę później znów zniknął im z oczu, kryjąc się za domem Christy. Zza budynku dał się słyszeć pisk hamulców, potem trzask otwieranych drzwi. Luke widział oczami wyobraźni strażaków wyskakujących z samochodu i pędzących do wnętrza domu...

- Z tyłu - krzyknął Castellano, przykładając dłoń do ust. Dopiero wtedy Luke uświadomił sobie, że wycie syreny ucichło.

- Gordie, przestraszyłeś tego cholemnego kota - powiedziała pani Castellano. - Patrz, jak zmyka.

Luke odwrócił się i dojrzał czarną sylwetkę znikającą za grzbietem najbliższej wydmy.

Tak, czasami wszystko układa się jak na zamówienie.

- Do diabła - syknął, zaplatając ręce na piersiach. Nie zdążył powie-dzieć nic więcej, bo zza domu wyskoczyło właśnie czterech strażaków w pełnym ekwipunku. W tej samej chwili jego uwagę przyciągnął jakiś ruch po prawej stronie. Spojrzął w tamtym kierunku i zobaczył rodzinę z trójką lub czwórką dzieci zmierzającą ku domowi Christy od północy, niewątpliwie zwabioną niecodziennym zamieszaniem. Za strażakami biegło z kolei trzech nastolatków, którzy zapewne ścigali wóz strażacki już od dłuższego czasu z nadzieją na jakąś atrakcję w miejscu, gdzie nocne życie zdominowane było głównie przez komary i chrząszcze. Za nastolatkami biegło dwóch policjantów w mundurach.

No tak, za chwilę zbiegnie się tutaj pół stanu, pomyślał Luke z niesmakiem.

- Gdzie się pali? - zawołał jeden ze strażaków.

- Nigdzie się nie pali - odparł Castellano, kręcąc głową. - To pomyłka. Mamy za to informacje o rannej kobiecie na plaży. - Odwrócił się do Christy. - Zechciałaby pani pokazać nam, gdzie ona jest? - Wziął ją pod rękę.

Christy skinęła głową, a Luke obserwował z zainteresowaniem, jak dziewczyna wzdrygnęła się, potem wyrwała rękę z uścisku i bez słowa ruszyła przed siebie. Castellano zmarszczył brwi, zaskoczony, potem jednak poszedł za nią.



- Pan pójdzie ze mną - zawołał przez ramię do Luke'a, gdy cała grupa ruszyła w stronę plaży. - Chciałbym zadać panu jeszcze kilka pytań.

Świetnie. Teraz będzie go widziała połowa miasteczka, łącznie z miejscowymi gliniarzami i kobietą, którą miał śledzić. Nikt z nich nie wiedział i nie mógł się dowiedzieć, kim był naprawdę i co tutaj robił: Luke Rand, agent specjalny FBI, tropiący Donniego juniora, zwanego także Michaeliem DePalma, który zniknął im z oczu dwa dni wcześniej, tuż przed tym, nim tajna ława przysięgłych przekazała potwierdzony pieczęcią akt oskarżenia, zarzucający mu, między innymi, wymuszanie okupów i oszustwa. Śledzenie dziewczyny drania, która mniej więcej w tym samym czasie wyjechała na południe z czymś, co zdaniem ich informatora było walizką pełną pieniędzy, wydawało się najprostszym sposobem odnalezienia DePalmy.

Niestety, sprawy nie układały się tak, jak to zaplanował. Ta mała katastrofa była tylko jedną w całym ciągu różnych niepowodzeń. Plan A, zgodnie z którym mieli trzymać się w ukryciu, obserwować dziewczynę i czekać na Donniego juniora, nawalił na całej linii. Nadszedł czas, by wcielić w życie plan B - najpierw jednak Luke musiał go wymyślić.

## Rozdział 3

Święta Mario, Matko Boża, módl się za nami grzesznymi, teraz i w godzinę śmierci naszej...

Christy nakreśliła na piersiach znak krzyża i odwróciła się, gdy ciążo kobiety zostało podniesione i przelożone na nosze. Nie była dość szybka. Blade, bezwładne ramię wysunęło się spod prześcieradła i zawisło nieruchomo nad ziemią. Martwe palce wskazywały na piasek. Ta sama ręka, która przedtem ściągnęła jej uwagę? Christy nie wiedziała - i wolała o tym nie myśleć. Ze zwiotczałych palców skapywały krople jakiejś gęstej cieczy.

Krew.

Choć tak bardzo chciała, Christy nie mogła oderwać oczu od tego makabrycznego widoku. Sanitariuszka w białych gumowych rękawiczkach podniosła rękę i wsunęła ją z powrotem pod prześcieradło. Wprawny, beznamiętnymi ruchami poluzowała taśmę obwiążującą ciało, a potem zacisnęła ją mocniej, unieruchomiwszy także rękę. Dyskretne okrycie powróciło na swoje miejsce, osłaniając zmarłą przed wzrokiem ciekawskich. Śmierć zamieniła kobietę w bezimienny pakunek, przedmiot, rzecz, którą należało zabrać.

Mała ciemna plama pojawiła się na prześcieradle w pobliżu miejsca, gdzie leżała ręka kobiety. Christy obserwowała, jak zahipnotyzowana, gdy plama powoli rosła do rozmiarów piłki baseballowej.

Tyle krwi.

- Zabieracie ją do szpitala? - spytał brzuchaty, łysy mężczyzna w średnim wieku, który przybył na miejsce w tym samym czasie, co karetka. Pani Castellano powiedziała Christy, że to Aaron Steinberg, wy-

dawca i główny reporter jedynej lokalnej gazety w Ocracoke. Stojąc za ledwie kilka kroków od falującego tłumy gapiów, Christy słyszała każde słowo wypowiedziane przez dziennikarza.

- Do kostnicy - odparł Gordie Castellano.
- Przyczyna śmierci?
- Dowiemy się dopiero po sekcji zwłok.
- Można założyć bez większych wątpliwości, że to morderstwo?

Białe prześcieradło wchłonęło jeszcze więcej krwi, teraz plama miała rozmiary piłki do koszykówki. Christy czuła, jak żołądek podchodzi jej do gardła, i choć ani ona, ani rozmówcy nie ruszyli się z miejsca, ich głosy jakby przycichły, oddaliły się. Wstrząśnięta, zamknęła oczy i zdołała wreszcie odsunąć od siebie ten obraz, choć myśli, które mu towarzyszyły, nie zniknęły. Dręczyło ją poczucie winy. Gdyby została przy kobiecie, gdyby szybciej sprowadziła pomoc, gdyby, gdyby, gdyby...

Teraz już za późno na gdybanie. Kobieta nie żyła.

Gdyby ona tu została, też mogłaby już nie żyć.

Przeszedł ją zimny dreszcz. Wspomnienie owej chwili, kiedy przeniosła wzrok i ujrzała tamtego mężczyznę biegnącego w jej stronę, sprawiło, że serce znów zaczęło jej szybciej bić. Odwróciła się plecami do noszy, które przygotowywano właśnie do transportu, wzięła głęboki oddech i otworzyła oczy. Odgarnęła dłonią włosy, które wiatr nawiewał jej na twarz, i wbiła wzrok w horyzont, gdzie rozgwieżdżone niebo zlewało się niemal niezauważalnie z powierzchnią morza. Nieco bliżej na falach widać było białe weżowe linie światła księżycy odbitego w wodzie.

Teraz już ani ona, ani nikt inny nie mógł pomóc tej biednej kobiecie. Teraz Christy musiała myśleć o ratowaniu samej siebie.

- Dobrze się pani czuje?

Męski głos z lekkim południowym akcentem zabrzmiał nagle koło niej, sprawiając, że Christy aż podskoczyła ze strachu. Obejrzawszy się przez ramię, zobaczyła nowego sąsiada, faceta od zgubionego kota, Luke'a coś tam.

- Nic mi nie jest - odparła opryskliwie, chcąc zniechęcić go w ten sposób do dalszej rozmowy.

Przez całą godzinę, kiedy czekali na ambulans, stał w pobliżu, nie odzywał się jednak do niej ani słowem. Wydawało jej się, że nie odzywał się do nikogo, nie licząc krótkiej rozmowy z Gordiem Castellano, którą odbył na samym początku. Teraz stał tuż obok Christy, o wiele za blisko, by mogła poczuć się pewnie w tych okolicznościach. Cofnęła się o dwa kroki i ponownie wbiła wzrok w horyzont.

- To musiało być dla pani wstrząsające przeżycie. Na pewno chciałyby pani odsunąć to od siebie. - Znów stał tuż za nią.

- Kiedy ją znalazłam, jeszcze żyła - odparła Christy odruchowo, choć przecież nie chciała z nim rozmawiać, nie ufała mu i nie wierzyła, że szukał na jej patio kota. Opowiadała wiele razy o tym, co przydarzyło jej się tego wieczora, mówiła o tym Gordiemu Castellano, innym policjantom, lekarzom, dziennikarzowi. W końcu sama doszła do wniosku, że powtarzając głośno tę opowieść, próbuje ulżyć swemu sumieniu. Miała zapewne nadzieję, że w końcu doczeka się jakiegoś rozgrzeszenia za to, że pozostawiła tę kobietę własnemu losowi. - Żyła i rozmawiała ze mną. Powiedziała: pomóż mi. I... i coś, co się zaczynało na „lo”.

Nie mogła nad sobą zapanować. Jej głos drżał, kiedy kończyła.

Minęła chwila, nim mężczyzna odpowiedział lekko zmienionym tonem.

- Zrobiła pani, co mogła. Wezwwała pani pomoc.

- Nie dość szybko. - Zadrżała i skrzyżowała ręce na piersiach. Wiatr wiejący od oceanu był teraz ostrzejszy, podnosił grzywe piany na falach. Rozrzucił włosy dziewczyny i targał jej spódnicę, przyciskając ją mocno do nóg Christy.

- Pani drzy. Zimno pani?

- Troszeczkę. To nieważne. - Chłód wcale nie był najgorszy. Drżała, bo nie mogła otrząsnąć się z przerażenia, nie mogła uwierzyć w ten koszmar, który jakby wciąż nie ustawał. Nie chciała jednak mówić o tym głośno.

- Owszem, to ważne. Przeżyła pani szok, powinna pani się ogrzać. - Luke przysunął się bliżej, a sekundę później coś opadło na jej ramiona. - Proszę.

Zdumiona, obróciła się w miejscu, jednak zanim jeszcze zobaczyła mężczyznę, wiedziała już, co to jest: jego koszula. Zwykła bawełniana koszula pachnąca czymś przyjemnym, olejkiem do opalania czy płynem zmiękczającym tkaniny, jeszcze rozgrzana ciepłem jego ciała. Wydawała się tak miła, tak bezpieczna, że Christy przez moment czuła pokusę, by ją wziąć. Lecz przyjmowanie przysług od nieznajomych nie leżało w jej naturze, nie robiła tego nawet w znacznie bardziej sprzyjających okolicznościach. A ten facet był więcej niż nieznajomym, był podejrzanym nieznajomym. Poza tym nie mogła wykluczyć, że on próbuje ją podrywać.

I w tych okolicznościach naprawdę, ale to naprawdę nie miała na to najmniejszej ochoty.

- Dzięki - odparła, kręcąc głową. Zdjęła koszulę i podała ją nieznajomemu. - Ale nie skorzystam. Nie jest mi aż tak zimno.

- W porządku. - Jego ton świadczył o tym, że rozumiał wreszcie, iż Christy nie życzy sobie jego pomocy. Kiedy wkładał koszulę, dziewczyna zmrugała oczy, oślepiła nieco blaskiem halogenowych lamp rozstawionych wokół miejsca zbrodni, i po raz pierwszy dobrze mu się przyjrzała. Mierzył ponad sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu, był szczupły i całkiem przystojny, jeśli ktoś lubił blondynów rodem z filmów o surferach. Miał twarz o mocno zarysowanej szczęce, oczy, które prawdopodobnie były niebieskie, choć w tym świetle trudno to było określić, długie, lekko zakrzywiony nos oraz usta o wąskich wargach. Jego włosy o wiele za długie jak na jej gust, opadały mu drobnymi loczkami na uszy i szyję. Ramiona i ręce nieznanego były mocno umięśnione, jednak nie dość mocno, by zatuszować fatalne wrażenie, jakie robiły na Christy jego włosy. Był bardzo opalony, jakby całe dnie spędzał na słońcu i to bez koszuli, co w przypadku człowieka w wieku około trzydziestu lat wydawało się dość dziwne. Christy wolała mężczyzn o znacznie ciemniejszej karnacji i włosach, bardziej przypominających prawdziwych macho, w jej prywatnej skali męskiej urody ten osobnik więc nie mógł dostać więcej niż siedem punktów. W dodatku miał na sobie luźne, sięgające kolan spodnie, a jego włosy wyglądały tak, jakby przeczesał je ręką, kiedy były jeszcze wilgotne, prawdopodobnie niedawno gdzieś pływał. W oceanie? Być może, choć przy niektórych domach znajdowały się baseny. Czy to on mógł być tam na plaży? Obserwując, jak nieznanomy zapina koszulę, Christy rozważała w myślach tę możliwość. Nie, raczej nie. Nie zgadzał się czas, nie zgadzały się vibracje, a przy tym ten facet był szczupły i jasnowłosy, a tamten na plaży wydawał się zwalisty i miał ciemne włosy.

Chyba że miał wtedy jakąś czapkę. Chyba że chodził w za dużym dresie. Chyba że zdołał jakoś zdjąć dres, nim pojawił się na jej patio i dobiec tam wcześniej niż ona. Chyba że blask księżycy plątał jej dziwne figle i zmieniał świat przed jej oczami.

Nie, tych „chyba” było o wiele za dużo, by mogło być prawdą.

- Cokolwiek się stało, ja tego nie zrobiłem. - Na jego ustach pojawił się lekki uśmiešek, a gdy ich spojrzenia się spotkały, dojrzała w jego oczach iskrę satysfakcji.

Christy uswiadomiła sobie, że gapiała się na niego, a on wziął jej podejrzliwość za zainteresowanie. Najwyraźniej facet przyzwyczajony był do tego, że kobiety wpadały w zachwyty na jego widok. Christy ściągnęła gniewnie brwi.

- Coś mi się zdaje, że pan nie obejmuje całej tej sytuacji: przytąpałam pana zaczajonego na moim patio, w środku nocy. To nie czyni z nas przyjaciół. A prócz tego naprawdę nie mam teraz ochoty na rozmowę.

Podniósł ręce i pokiwał głową.

- Jasne, nie ma problemu.

Ostentacyjnie odwróciła się plecami i ponownie zapatrzyła w morze. Po chwili przekonała się z irytacją, że facet wciąż za nią stoi. Wydeła usta i postanowiła go ignorować. Najchętniej zostawiłaby go tutaj i wróciła do domu, gdyby nie upokarzający fakt, że bała się iść sama między wydmami, a Castellano prosił ją, by została w pobliżu, na wypadek gdyby miał jeszcze jakieś pytania. Oczywiście nie miała mu już nic więcej do powiedzenia. Wiedział tyle samo, co ona - to znaczy tyle, ile chciała mu wyjawić.

Najgorsze było to, że kobieta już nie żyła, kiedy dotarła do niej ekipa ratunkowa. O ile Christy mogła to stwierdzić - a Castellano nalegał, by przyjrzała się ciału naprawdę uważnie - kobieta nie poruszyła się od chwili, gdy ją tam zostawiła, zmieniło się jedynie położenie jej ręki. Kiedy Christy wróciła, ręka kobiety, zgięta w łokciu, leżała blisko jej ciała. Może zrobiła to z bólu, a może próbowała się czoięgać, Christy nie mogła tego wiedzieć i nie chciała się nad tym zastanawiać. Jednak tym, co naprawdę nią wstrząsnęło, była ciemna plama wokół tułowia nieznanego, nieregularny kształt przypominający plątki rozłożonego kwiatu.

To była krew. Ktoś - Castellano? - powiedział, że piasek nasiąknął ty był krwią. Krew sączyła się powoli w piasek niczym atrament w pierowy ręcznik.

Kiedy kilka chwil wcześniej Christy przyklekła, by dotknąć zimnej ręki wciąż jeszcze żywej kobiety, na piasku nie dostrzegła śladów krwi. Wciąż mogła odtworzyć w myślach tę scenę: plaża była wtedy kremowobiała. Robiło jej się słabo na myśl, że cała ta krew wypłynęła w czasie, którego ona potrzebowała, by dobiec do domu i wrócić z pomocą.

Gdyby tylko była trochę szybsza...

Castellano znów szedł w jej stronę, w dłoni trzymał niewielki notatnik, w którym zapisywał jej zeznania. Choć według słów jego ciotki nie był na służbie, właściwie przejął kontrolę nad tym, co się działo na miejscu zbrodni. Podczas gdy Christy i inni cywile czekali, aż zakończą się wszystkie żmudne procedury związane ze znalezieniem ciała, pani Castellano wyjawiała jej, że Gordie pracował w wydziale zabójstw w Hoke, ale przed sześciu laty, kiedy przybył z wizytą do swej babki, niech spoczywa w spokoju, czyli siostry pani Castellano, poznał pewną dziewczynę z Ocracoke i się z nią ożenił. Małżeństwo skończyło się fiaskiem, ale Gordie wciąż tu mieszkał i cieszył się takim szacunkiem, że był młodym kandydatem na nowego szeryfa, który miał zastąpić bliskiego już emerytury sympatycznego sześćdziesięcioletka, którego wszyscy na-

zywali Budem. Surowy jankes, czyli Gordie, postawiony nad leniwymi południowcami, potrafi zaprowadzić tu porządek, chępliwa się pani Castellano. Poza tym miał własny bardzo ładny dom przy Back Road, nie- źle zarabiał i chciał mieć dzieci.

- Więc mówi pani, że widziała jakiegoś mężczyznę. - Castellano za- trzymał się przy niej i przewrócił kilka kartek w notesie, sprawdzając, co zapisał do tej pory.

- Tak. - Christy zwilżyła nerwowo usta.

- Ale nie potrafi go pani opisać.

- Nie - pokręciła głową, zastanawiając się, dlaczego ten człowiek wciąż zadaje jej te same pytania.

- Był wysoki? Niski? Gruby? Szczupły? Pamięta pani jakiegokolwiek znaki szczególne? - W jego głosie pobrzmiwała nutka zniecierpliwie- nia.

Christy czuła, że Castellano na nią patrzy, nie chciała jednak odpo- wiadać mu tym samym i gapiła się uparcie w fale oceanu. Czuła lekki niepokój. Czy powinna była w ogóle wspominać o tym, że widziała męż- czynę? Jeśli ten człowiek był naślany przez mafię, a ona rozmawiała o tym z zastępcą szeryfa, konsekwencje mogą być dla niej niewesołe.

Powinna wbić sobie to do głowy: nikt jeszcze nie zastąpił na sycylij- ski krawat, trzymając język za zębami.

- Było ciemno. Właściwie widziałam tylko cień.

Castellano pokręcił głową z niśmakiem. Najwyraźniej nie takiej od- powiedzi oczekiwał. Trudno. Nic więcej nie mogła dla niego zrobić. Gdy- by rzeczywiście mogła jakoś zidentyfikować tego człowieka, może pod- jełaby ryzyko. Ale nie mogła. Potrafiła jedynie opisać ogólnie jego sylwetkę, wzrost i kolor włosów. Taki opis nie wystarczyłby, by wsadzić kogolwiek do więzienia, a być może ściągnąłby na nią nieszczęście. Serce zabiło jej mocniej na tę myśl.

- Powiedziała pani, że miał broń.

- Powiedziałam, że to mogła być broń. Trzymał coś w ręce. Nie je- stem pewna, co to było.

Wciąż dręczyło ją podejrzenie, że to Castellano był wtedy na plaży, że to on szukał jej śladów i że to on obrzucił ją wtedy spojrzeniem, od którego poczuła zimny dreszcz. Miał taką samą sylwetkę. Czas też by się zgadzał. I z pewnością nosił przy sobie broń.

Czyżby bawił się z nią, sprawdzał, co naprawdę widziała i co mogła zeznać? Znów zrobiło jej się zimno ze strachu.

- Ofiara mówiła coś do pani, tak? - Kątem oka Christy dostrzegła, że zastępca szeryfa zagląda do swojego notesu.

-Tak.

- To bardzo ważne. Jest pani tego pewna?

- Tak, jestem pewna. - Christy zerknęła nań z ukosa. - Dlaczego to takie ważne?

Zawahał się na moment, a potem spojrzął jej prosto w oczy.

- Ktoś poderzwał jej gardło. Tak głęboko, że uszkodził struny głoso- we. Jeśli ofiara rzeczywiście mówiła coś do pani, to musiała zostać za- bita już po pani odejściu.

Sens tych słów dopiero po chwili dotarł do Christy.

- O mój Boże...

Więc naprawdę została zamordowana. Christy była wstrząśnięta, choć nie do końca zaskoczona; przeczuwała to od chwili, gdy jeden ze strażaków powiedział, że kobieta nie żyje. A więc mężczyzna, którego wtedy widziała, musiał być mordercą. Jakie były szanse, że ktoś inny pojawił się nagle znikąd i zamordował tę biedaczkę w krótkim czasie, gdy Christy zostawiła ją samą? Niewielkie. Zagrożenie, jakie wyczuwa- ła na plaży, zło, dosięgnęło kogoś innego. Skierowane było na nią, ale zdołała uciec. Druga kobieta nie miała tyle szczęścia.

To ona mogła być na miejscu tej martwej kobiety na plaży. Niewiele brakowało.

Nagle Christy zrobiło się słabo. Zakręciło jej się w głowie, poczuła dziwne dzwonienie w uszach. Zamknęła oczy i mimowolnie zrobiła krok do tyłu. Jej plecy natrafiły na coś twardego i ciepłego, czyjeś dłonie po- chwyciły ją za ramiona i przytrzymały.

- Hej, to było trochę niedelikatne, nie uważa pan? - zaprotestował Luke.

Jeśli Castellano coś odpowiedział, Christy nawet tego nie usłyszała. Oparła się o swojego podejrzanego, irytującego sąsiada, inaczej bowiem upadłaby na piasek.

- Wygląda na to, że już się zbierają - stwierdziła pani Castellano, podchodząc do swego krewniaka.

Starsza pani z ogromnym zainteresowaniem obserwowała wszyst- ko, co działo się na plaży, i wyglądała niemal na rozczarowaną. Christy otworzyła oczy i odprowadziła spojrzeniem nosze, z którymi sanitariu- sze ruszyli już między wydmy do czekającej opodal karetki. Żółta taśma odgradzała kawałek plaży, gdzie leżała martwa kobieta. Policyjny foto- graf robił jeszcze ostatnie zdjęcia. Flesz aparatu eksplodował oslepiają- cym blaskiem na tle czarnego jak atrament oceanu i gwieździstego nie- ba, na którym pojawiało się coraz więcej chmur. Halogeny oświetlające miejsce zbrodni zostały zgaszone i zdemontowane.

- Ma pan jeszcze jakieś pytania? - spytał Luke. - Wygląda na to, że zaraz będzie padać.

- Na razie to wszystko. - Castellano zamknął notes. - Chodźmy, ciociu Eoso, odprowadzę cię do domu. Ja też muszę szybko wrócić do siebie i położyć się spać, jutro na pewno będzie niezły młyn.

Gordie i pani Castellano ruszyli w stronę domu.

- Gotowa? - spytał cicho Luke, zaciskając mocniej dłonie na ramionach Christy. Dopiero wtedy uświadomiła sobie, że wciążyła się o niego opiera. Zawstydzona wyprostowała się szybko, skinęła głową i ruszyła śladem tamtych dwojga. Luke po chwili do niej podszedł.

- Znacie już jej tożsamość? - spytała pani Castellano swego siostrzeńca.

- Nie, choć jestem pewien, że to nikt ze stałych mieszkańców. A przynajmniej nikt, kogo znałem.

- Gordie, hej, Gordie, poczekaj!

Christy, podobnie jak pozostali, obejrzała się zaskoczona. W ich stronę biegł zadyszany Aaron Steinberg. Patrząc na jego postać, oblaną błaskiem księżycy, Christy uświadomiła sobie, że i on miał podobną sylwetkę i posturę jak jej prześladowca. Zasadnicza różnica polegała na tym, że światło księżycy odbijało się w jego łysinie.

Mógł wtedy mieć czapkę.

Serce zabiło jej szybciej na tę myśl.

- Nie przypuszczacie, że to jedna z tych studentek, które zaginęły na Nags Head parę tygodni temu? - spytał Steinberg, gdy wreszcie ich dogonił.

Castellano wzruszył ramionami.

- Nie dowiemy się, dopóki nie ustalimy jej tożsamości.

- Popraw mnie, jeśli się mylę, ale w tym roku na wybrzeżu Karoliny zaginęło już pięć młodych kobiet. To dość zastanawiające, nie uważasz?

- Słyszałam, że grasuje tu seryjny zabójca - powiedziała pani Castellano. - To by dopiero było coś! Skoro jest tak blisko, może powinniśmy wyciągnąć ze schowka pistolet.

Seryjny zabójca? Do tej pory Christy nawet nie pomyślała o takiej możliwości. Była to przerażająca myśl, nie bardziej jednak przerażająca niż perspektywa zostania ofiarą mafii, czego obawiała się najbardziej. Ostatecznie jednak rezultat jest taki sam - śmierć, a tego stanu nie chciałaby jeszcze doświadczyć osobiście.

- Zabrałam twój pistolet, ciociu Roso, nie pamiętasz? Po tym, jak próbowałaś go wyczyścić i przestrzeliłaś ścianę w sypialni. - Castellano

wydawał się nieco poirytowany. Spojrzał na Steinberga. - Wiesz, Aaron, ludzie przyjeżdżają tutaj z różnych powodów, ale seryjny zabójca to dla miejscowości turystycznej reklama równie dobra jak ataki rekinów. Na twoim miejscu nie rozpisywałbym się na ten temat w gazecie. Chyba że chcesz, żeby miejscowi ukręcili ci stryczek.

- Hmm... - Steinberg zasepił się na moment, a potem odwrócił do Christy. - Mogłaby pani przeliterować swoje nazwisko? Nie chciałbym napisać go z błędem.

- Jak to: napisać z błędem? Napisać gdzie?

- On chyba mówi o swojej gazecie - wyjaśnił Luke.

- Naprawdę? Naprawdę chce pan wymienić moje nazwisko w gazecie? - Christy była przerażona. Potem wpadła w panikę. Była więcej niż przekonana, że wuj Vince i jego towarzysze niezbyt się ucieszą, kiedy jej nazwisko pojawi się w gazecie.

Steinberg obdarzył ją promiennym uśmiechem.

- Moja droga, to pani ją znalazła. Podczas samotnego spaceru po plaży, w blasku księżycy. Brzmi nieźle, co?

- Wie pan co? Tak sobie myślę, że wymieniając nazwisko tej pani w artykule, może pan narazić ją na niebezpieczeństwo. Jeśli to naprawdę jest seryjny zabójca - zauważył Luke beznamiętnym tonem.

Steinberg był wyraźnie rozczarowany.

- No cóż, może nazwę panią po prostu turystka.

- Tak, proszę - wtrąciła Christy błagalnym tonem.

- Nie ma żadnego seryjnego zabójcy - oświadczył Castellano z naciskiem. - Pięć kobiet zaginionych na terenie tak gęsto zaludnionym to tylko zbieg okoliczności, nic więcej.

- Mogę to zacytować, Gordie? - spytał Steinberg, odzyskując dobry humor.

- Nie, do diabła. Cała ta rozmowa w ogóle się nie odbyła, jasne? Po prostu słuchaj, wpadnij do mnie jutro, a ja przekażę ci wszystko, co będziemy wiedzieli o tej sprawie, zgoda? Najpewniej okaże się, że to zwykła kłótnia domowa.

- Oby tak było. - Steinberg zatrzymał się, uniósł rękę w pożegnaniowym pozdrowieniu i ruszył z powrotem w stronę miejsca zbrodni.

- Pięć zaginionych kobiet w ciągu jednego lata to chyba dość sporo - powiedział Luke tonem człowieka, który stwierdza tylko fakty, ale nie jest szczególnie zainteresowany tematem.

Castellano parsknął.

- Wcale nie, jeśli wziąć pod uwagę, ilu turystów przyjeżdża tu co roku. To przeróżni ludzie, a wszyscy przywożą ze sobą swoje problemy.



Narkotyki, pijaństwo, przemoc domowa, gwałty, praktycznie wszystko, o czym można tylko pomyśleć. Przy tym zmienia się skład miejscowej populacji, co wcale nie ułatwia nam zadania. - Castellano umilkł na moment, a potem przyjrzał się badawczo Luke'owi. - Może mi pan powiedzieć, jaki jest pański zawód?

W tym momencie cała grupa dotarła do ścieżki między wydrami, prowadzącej do domu pani Castellano. Idąc tędy, Christy nadkładała sporo drogi, nie zamierzała jednak odłączyć się od pozostałych i wracać do siebie samotnie czy też w towarzystwie Luke'a, którego domek stał tuż obok jej chaty. Większa grupa dawała poczucie bezpieczeństwa.

- Jestem prawnikiem - odparł Luke.

-Tak?

Castellano przyjął odpowiedź Luke'a z umiarkowanym zainteresowaniem. Christy, ze swej strony, była mocno zaskoczona. Ukradkiem jeszcze raz przyjrzała się swojemu nowemu sąsiadowi. Nie wyglądał na prawnika - ale czy można powiedzieć, jak wyglądał typowy prawnik? Z pewnością nie jak urodzony plażowicz.

- Odprowadzimy panią - zaproponował Castellano, kiedy dotarli do rozwidlenia ścieżek. Christy nie protestowała - nawet nie przyszło jej to do głowy - więc wszyscy ruszyli w stronę jej domu.

- Jeśli będzie pani czegoś potrzebować, chętnie służę pomocą, jestem cały czas w domu - wyszeptał jej Luke do ucha, kiedy dotarli na patio.

Nim Christy zdążyła odpowiedzieć, podniósł rękę w pożełnalnym geście i odszedł.

- Co z pańskim kotem? Nie zamierza pan go szukać? - zawołała za nim pani Castellano.

- Pewnie jest już w domu! - odrzyknął i zniknął w ciemności.

- Czy on mógł być tym mężczyzną, którego widziała pani na plaży? - spytał Castellano.

- Nie sądzę. Ale jak już mówiłam, widziałam tylko cień, jakiś ciemny kształt.

Christy przesunęła się bliżej drzwi domku. Prawdę mówiąc, czuła się znacznie mniej pewnie w towarzystwie zastępcy szeryfa niż w towarzystwie swojego sąsiada. Owszem, to Luke był na jej patio, a potem próbował podrywać ją w najmniej odpowiednich okolicznościach, Christy miała jednak niemal stuprocentową pewność, że nie on szedł za nią wcześniej na plaży. W wypadku zastępcy szeryfa nie była już taka pewna. Tylko obecność pani Castellano dodawała jej nieco otuchy. Z dala od policyjnych halogenów i tłumy na plaży, owinięta w mrok nocy, ciemna, zwalistą sylwetka stróża prawa budziła strach.

To on mógł być mężczyzną na plaży.

- Byłbym zobowiązany, gdyby przyszła pani jutro do biura. Chciałbym, żeby złożyła pani oficjalne zeznanie - powiedział Castellano. Christy była już w połowie drogi do drzwi.

- Oczywiście - rzuciła przez ramię, udając gotowość do współdziałania, której wcale nie czuła.

Dotarła wreszcie do wejścia, zapaliła światło na zewnątrz, pomachała na pożegnanie pani Castellano i jej siostrzeńcowi, którzy czekali cierpliwie na skraj patio, zawołała „dobranoc” i zatrzasnęła za sobą drzwi.

Zamknęła je na klucz i zaciągnęła zasłony. Potem oparła się plecami o ścianę i stała przez chwilę nieruchomo, mocno zaciskając powieki.

Już po wszystkim, powtarzała w myślach. Jesteś bezpieczna. Jesteś wolna.

Jedyne, co musi teraz zrobić, to spakować się i opuścić tę wyspę. Najpierw jednak trzeba się uspokoić. Zostawić za sobą koszmar z plaży. Cieszyć się przytulnością własnego salonu.

Swego własnego ciemnego salonu.

Czy nie zostawiła zapalonego światła?

Christy natychmiast otworzyła oczy. Przez zasłony sączyło się dość żółtawego światła, by widziała zarysy przedmiotów w pokoju. Jej spojrzenie powędrowało ku lampie stojącej za sofą. Serce podeszło jej do gardła. Wychodząc, zostawiła ją zapaloną. Wiedziała, że tak było. Była - niemal - na sto procent pewna.

Może spaliła się żarówka.

Christy ledwie zdążyła zanotować w myślach tę możliwość, gdy zadzwonił telefon. Podskoczyła, wystraszona piskliwym dźwiękiem, potem zawałała się na moment.

Kto mógł tutaj do niej dzwonić? Tylko kilka osób wiedziało, gdzie jest. I żadna z nich nie dzwoniłaby o tej porze.

To mogła być pomyłka. Albo jakiś głupi żart. Włączając światło i przechodząc do aparatu ustawionego na wyłożonym płytkami barze, Christy modliła się, by była to któraś z tych możliwości. Oczywiście, że to właśnie coś takiego.

Lecz jej szósty zmysł nie pozwalał w to uwierzyć.

Jej szósty zmysł sygnalizował bliskość nowych kłopotów.

Telefon zadzwonił po raz siódmy, gdy wreszcie zebrała się na odwagę i podniosła słuchawkę.

- Halo? - rzuciła do mikrofonu.



## Rozdział 4

Głęboko zamysłony Luke wszedł do niewielkiej chaty, która tymczasowo pełniła funkcję jego domu i biura. Był już w połowie salonu, kiedy zauważył Gary'ego, a przecież wcale nie powinno go tu być - miał za zadanie śledzić tę cholerną walizkę, którą Christy Petrino niosła przez plażę kilka godzin wcześniej. Tymczasem jego partner machał jak szalony z centrali dowodzenia, którą to funkcję pełniła małeńka sypialnia.

Luke znał Gary'ego Freemana zaledwie od trzech dni, jednak już na początku ich współpracy doszedł do wniosku, że Gary to zemsta jego szefa. Regularnie opóźniane raporty, służbowy samochód rozbity przez Luke'a, i ten drugi, wysadzony w powietrze, informator, który zniknął z pięćdziesięcioma tysiącami rządowej gotówki - to wszystko z pewnością rozgniewało Toma Boyce'a. Przydzielenie mu na partnera Gary'ego Maniaka, jak nazywali go koledzy innymi ze względu na jego znajomość komputerów, musiało więc być odwetem. Luke nie potrafił znaleźć innego wyjaśnienia. W tej chwili, pomimo upału i letniskowego otoczenia, pomimo faktu, że próbowali przeprowadzić nocną akcję śledczą, Gary wyglądał i zachowywał się jak irytujący elegancik. Ubrany był w starannie wyprasowane spodnie koloru khaki, niebieską koszulę z krótkimi rękawami, zapiętą od góry do dołu, wypolerowane skórzane buty i ciemne skarpetki. O cztery lata młodszy od Luke'a, miał dwadzieścia osiem lat, był dziesięć centymetrów niższy, co dawało mu ponad metr siedemdziesiąt wzrostu, i co najmniej dwadzieścia kilogramów lżejszy od partnera.

- Załóż - wyszeptał Gary, wskazując na słuchawki, kiedy Luke wszedł do sypialni.

Fakt, że Gary także założył słuchawki, choć mógł w ten sposób zniszczyć swą starannie ułożoną fryzurę, mógł oznaczać tylko jedną rzecz.

A właściwie dwie. Po pierwsze, pluskwa, którą Luke zainstalował w telefonie Christy Petrino, działała. Po drugie, ktoś do niej dzwonił.

Spojrzął na zegar: była trzecia dwadzieścia dwie. Jeśli więc nie był to jakiś szalony telemarketer, rozmowa musiała mieć coś wspólnego z niedawną wyprawą dziewczyny do hotelu Crosswinds. Świetnie. Wreszcie jakies konkrety.

Luke przysiadł na skraju łóżka, wziął od Gary'ego słuchawki i wsunął je na uszy.

- ... do diabła narobiła? - zaskrzeczał mu do uszu jakiś męski głos z akcentem robotnika z okolic Jersey. Rozgniewanego robotnika.

- Kto mówi? - spytała Christy. W jej głosie dało się słyszeć lekkie drżenie. Czy jest wystraszona? Oczywiście, że tak, pomyślał Luke, świadomie tłumiąc kielkujące w nim współczucie. Christy Petrino z pewnością nie jest głupia, przekonał się o tym sam, a musiałaby być głupia, by nie odczuwać strachu w takich okolicznościach, kiedy pływała z rekinami.

Mężczyzna mówił dalej tym samym agresywnym tonem.

- O to się nie martw. Martw się czym innym. Wciągnęłaś w to gliny, a to znaczy, że nie będziemy już przyjaciółmi, jasne?

- To nie moja wina! Dziś w nocy ktoś zamordował na plaży kobietę. Dlatego przyjechali tam gliniarze. To nie miało nic wspólnego z... walizką - właściwie wyszeptala to ostatnie słowo, potem umilkła na moment, dysząc tak ciężko, że Luke słyszał jej oddech w słuchawce. Potem ton jej głosu zmienił się nagle, pojawiła się w nim nuta oburzenia. - Obserwujecie mnie?

- Brawo, kochanie. Każdy twój ruch. Nie zapominaj o tym ani na chwilę.

- Zrobiłam, co kazaliście.

Chrząknięcie.

- Być może. Tyle że wciągnęłaś w to gliny. Nie lubimy takich numerów, dobrze o tym wiesz.

Chwila ciszy.

- Czy... czy jest tam wujek Vince? Mogę z nim porozmawiać?

Krótki, nieprzyjemny śmiech.

- Nie, nie ma tu Vince'a. A teraz słuchaj mnie uważnie. Jutro pójdziesz do latarni morskiej. Około drugiej. Będziesz udawać turystkę. Ktoś się z tobą skontaktuje. Rozumiesz?

- Nie! Nie rozumiem. Miałam tylko dostarczyć walizkę i...

- Bądź tam. - W głosie slychać było niewypowiedzianą, lecz jednoznaczoną groźbę. Potem mężczyzna odłożył słuchawkę.

Luke usłyszał dźwięk przypominający ciche westchnienie, potem Christy także odłożyła słuchawkę. Luke spojrział na Gary'ego.

- Mamy go?

Gary zerknął na ekran komputera.

- Mamy numer. - Wystukał coś na klawiaturze i zaraz skrzywił się z niesmakiem. - To jedna z tych cholernych komórek na kartę. Mówił za krótko, żebyśmy go zlokalizowali. Przykro mi.

- Cholera. Tak czy inaczej gość musi być gdzieś w pobliżu. Jak inaczej wiedziałby o tym, co działo się na plaży?

Gary wzruszył ramionami.

Luke zdjął słuchawkę, wstał i przeszedł obok kolegi, by wcisnąć guzik na monitorze, który podobnie jak laptop Gary'ego stał na małej toalecie. Był to tani mebel z pomalowanej na biało wikliny, część większego kompletu stanowiącego wyposażenie domku. Monitor rozbliżył niebieskim światłem, potem na ekranie pojawiła się kuchnia Christy i część jej salonu. Ich domki były niemal identyczne, w pełni umeblowane parterowe budyneczki składające się z trzech miniaturowych sypialni, dwóch łazienek i jednego większego pomieszczenia pełniącego funkcję kuchni, jadalni i salonu. Na ekranie nie było widać Christy. Luke przycisnął inny guzik, a miniaturowa kamera, którą zainstalował w pokoju w tym samym czasie co podsłuch w telefonie, zaczęła się powoli obracać. Aha, jest. Luke nacisnął guzik i kamera znieruchomiała.

- Nie wygląda na szczęśliwą - zauważył Gary i wyglądał nakrycie łóżka, na którym siedział przed chwilą kolega.

- Trudno się dziwić. - Luke patrzył na monitor z ponurą miną.

Ukrył kamerę w zegarze nad lodówką. Christy stała odwrócona bokiem, z pochyloną głową, wpatrzona w blat, na którym leżał telefon. Gęste, brązowe włosy zakrywały jej twarz, lecz emocje wyrażone przez ciało były jednoznaczne. Ręce trzymała skrzyżowana na piersiach. Szczupłe, delikatne ramiona, które jeszcze przed chwilą ścisnęła, były opuszczone. Christy oddychała ciężko, wyraźnie zdenerwowana. Ubrana w luźną, zieloną suknię sięgającą do kostek, wyglądała niezwykle kobieco, delikatnie, krucho.

Luke musiał po raz kolejny stłumić rodzące się w nim współczucie i troskę. Owszem, Christy Petrino wyglądała na przygnębioną, ale z pewnością nie była niewinną ofiarą; jej rodzina od dawna miała powiązania z mafią. Luke przygotował się dobrze do tego zadania: ojciec Christy, Joseph, drobny oszust, zginął zastrzelony przed własnym domem, kiedy Christy kończyła dziewięć lat. Jej matka, Carmen, pracowała w fabryce papierosów i przez długi czas była przyjaciółką mafiosa Vincenta Amorice-

go. Dwudziestoczteroletnia siostra Nicole rozwiodła się niedawno z irytującym cwaniakiem, Frankym Hilleem, który zostawił ją z trójką małych dzieci, doskonałym materiałem na przyszłych członków organizacji. Dwudziestoletnia siostra Angela pracowała w domu towarowym, była bardzo rozrywkową dziewczyną i nie stroniła od towarzystwa młodych bandziorów. Christy, która dzięki ciężkiej pracy skończyła college i studia prawnicze, na pierwszy rzut oka w ogóle nie pasowała do tej rodziny. Zachowywała czyste konto aż do chwili, gdy związała się z Donniem juniorem, jak nazywano w FBI Michaela DePalme, zarówno dlatego, że przypominał nieco Donniego Osmonda, jak i dlatego, że był synem don Johna DePalmy. Christy znalazła się w kręgu zainteresowań biura od chwili, gdy przed dwoma laty zaczęła pracować w kancelarii prawniczej Michaela DePalmy. Początkowo Luke w ogóle nie zwracał na dziewczynę uwagi. Potem, kiedy zaczęła sypiać ze swoim szefem, zaczął przyglądać jej się bliżej. Teraz, kiedy Michael przysnął, Luke był przekonany, że to właśnie ona może ich zaprowadzić do zbiega.

Problem w tym, że Luke zaczynał się o nią martwić. I nie trzeba było geniusza, by domyślić się dlaczego. Tym, co utrudniało mu rozsądne podejście do sprawy, był fakt, że...

- Ładna kobieta. - Gary oparł głowę na dłoniach i wyraził słowami to, o czym właśnie myślał Luke.

- Tak - zgodził się, nie chcąc drażnić tego tematu z kolegą. - Co się stało z walizką? Powiedz mi, że wiesz, gdzie jest, i że zostanie tam jeszcze przez jakiś czas.

Gary skrzywił się i podniósł nań wzrok. Luke nie potrzebował już żadnych wyjaśnień, by wiedzieć, co się stało. Czuł, jak gwałtownie podnosi mu się ciśnienie krwi. Zdażył już dobrze poznać tę minę swojego nowego partnera - oznaczała, że Gary nie ma mu nic dobrego do powiedzenia.

- Zgubiłem ją.

- Zgubiłeś? - Luke z najwyższym trudem zachowywał spokój. Przeszył Gary'ego wściekłym spojrzeniem, choć jednocześnie starał się utrzymać nerwy na wodzy. Ommmm, powtarzał w myślach, sięgając głęboko do swego ja, tam bowiem miał znajdować się wewnętrzny spokój, o czym zapewniano go podczas ćwiczeń jogi (uczęszczał na nie niedawno, prowadząc inne śledztwo). - Jak, do... Jak mogłeś ją zgubić?

- A jak miałem cię ostrzec, kiedy dziewczyna zaczęła z wrzaskiem biec do domu, i jednocześnie zajmować się tą cholemną walizką?

Luke skinął głową i zacisnął mocniej zęby, by nie wyrzucić z siebie całej wiązanki przekleństw. Bardzo się starał, lecz ów obiecany wewnętrzny spokój pozostawał daleko poza jego zasięgiem.

- Przyniosła walizkę, włożyła do szarej maximy, jak jej kazano, a potem poszła z powrotem na plażę. Gdy tylko zniknęła mi z oczu, próbowałem cię ostrzec, ale ten cholerny nadajnik nie działał. Bałem się, że nakryje cię w swoim domu, a nie chciałem opuszczać posterunku, więc nie wiedziałem, co robić. Pomyślałem, że nadajnik nie działa, bo skończyły się baterie, tylko że to mi w niczym nie pomogło, bo nie miałem nowych. Potem przypomniałem sobie, że mam w kieszeni latarkę na baterijkę trzy A, dokładnie taką, jak w nadajniku. W samochodzie nie było nikogo, parking był pusty, nic się nie działo. Więc wymknąłem się do męskiej toalety przy basenie, bo tylko w kabinie było światło, i zmieniłem baterie. Byłem tam tylko minutę, przysięgam, i niczego nie słyszałem, ale kiedy wróciłem, samochód... zniknął. - Głos mu lekko zadrzął, prawdopodobnie w reakcji na minę kolegi.

- Zniknął? - powtórzył Luke jak papuga, lecz rozmiary partactwa, którego dopuścił się Gary, były tak ogromne, że nie dało się ich zamknąć w słowach. Luke sprawdził walizkę podczas jednej z poprzednich wizyt w domu Christy. Skatalogował i obfotografował zawartość, niczego się jednak nie dowiedział. Zamiast plików pieniędzy przeznaczonych dla Donniego juniora, które spodziewał się znaleźć w środku, zobaczył jedynie plik starych gazet. Co oznaczało, że wciąż nie miał pojęcia, co się tu właściwie dzieje. Jedynie, co im pozostawało, to śledzić walizkę, dowiedzieć się, kto ją przejął - nie przypuszczał, by był to sam Donnie junior - i co się z nią dalej stanie. Teraz stracili także ten trop.

- Tak, zniknął. Pstryk. Tak po prostu. Puste miejsce na parkingu. Luke ponownie sięgnął do swego wnętrza, nie znalazł tam jednak ani krztyny spokoju. Widocznie zasoby spokoju znajdowały się gdzie indziej, on jednak nie miał pojęcia gdzie.

- I co zrobisz? - spytał po chwili.

- Najpierw pomyślałem: cholera. Potem pomyślałem, że powinienem ci o tym powiedzieć. Potem znów spróbowałem uruchomić nadajnik. Nic. To cholerstwo wciąż nie działało. Potem uświadomiłem sobie, że nasza dziewczyna wkrótce wróci do domu, a ty nadal nic o tym nie wiesz, więc zacząłem biec wzdłuż plaży... to znaczy ścieżką między wzdmaciami i domami. Przez cały czas próbowałem uruchomić nadajnik. Wreszcie przywaliłem mu z całej siły i proszę, bingo, zaczął działać. Właśnie wtedy dziewczyna zaczęła wrzeszczeć i pognała między wzdmaciami. Ostrzegłem cię i przypadłem do ziemi. Na pewno mnie nie widziała.

Gary wypowiedział ostatnie słowa takim tonem, jakby spodziewał się gratulacji. Luke odegnał od siebie obraz Osbourne'a od-

gryzającego na scenie głowę nietoperza. W tej wersji Ozzy miał twarz Luke'a, a Gary był nietoperzem.

Porzuciwszy daremne próby odzyskania wewnętrznego spokoju, zerknął na monitor - Christy odwróciła się właśnie od kontuaru i szła przez salon, włączając po drodze lampy - i wyrzucił z siebie całą litanię przekleństw.

- To nie moja wina! - tłumaczył się Gary. - Skąd mogłem wiedzieć, że ktoś odjedzie samochodem? Dokoła było całkiem pusto. Promy nie kursują w nocy. Dokąd mógłby pojechać? Jakie było prawdopodobieństwo?

Luke zachował dla siebie kilka możliwych odpowiedzi, by skupić się na ogólnym obrazie sytuacji.

- Masz numery rejestracyjne tego wozu? - rzucił przez ramię, wychodząc już z pokoju.

- Oczywiście, że mam. - Gary przycisnął jakiś klawisz i odczytał z monitora numery rejestracyjne. - Myślisz, że jestem idiotą, czy co?

Ponieważ miało to być zapewne pytanie retoryczne, Luke postanowił zachować odpowiedź dla siebie.

- No i co?

- Tablice zostały skradzione przed miesiącem w Asheville. - Gary stanął w drzwiach pokoju i spojrzął na Luke'a, który otwierał właśnie drzwi łączące salon z garażem. - Dokąd jedziesz?

- Rozejrzę się po okolicy, poszukam tego samochodu. Do diabła, przecież to wyspa. Promy nie kursują w nocy, jak sam zauważyłeś. Dokąd można tu pojechać? Ty nie spuszczaaj oka z monitorów.

- Dobra, ale...

Luke nie słyszał już, co nastąpiło po tym „ale”. Starannie zamknął za sobą drzwi, wsiadł do dwuletniego forda explorera, należącego do biura, wycofał go z garażu i powoli wjechał na wąską ulicę. Samochody ekipy ratunkowej dawno już zniknęły, a ta część wyspy ginęła w ciemnościach rozświetlanych jedynie przez lampki płonące na werandach domów.

Wszystko to przypomina sytuację z jakiegoś kiepskiego sitcomu o policjantach, pomyślał ze złością. Światła samochodu natrafiły na oposa, który zamarł na moment w bezruchu, a potem ukrył się pośpiesznie wśród sosen rosnących przy drodze. Tak, w tej sprawie wszystko toczyło się zgodnie z prawem Murphy'ego: jeśli coś może pójść źle, to na pewno właśnie tak się stanie. Agenci zajmujący się przestępstwami zorganizowaną mieli kiedyś do dyspozycji wszystko, co najlepsze: świetne samochody, najlepsze gadżety, piękne dziewczyny. Teraz

gdy biuro było zajęte walką z terroryzmem, działania przeciwko mafii zeszyły na dalszy plan. Mimo to nadal obserwowano najbardziej podejrzanych osobników i zgromadzono dość informacji, by sformułować akt oskarżenia przeciwko Donniemu juniorowi. Kiedy jednak ten zwiłt gli-niarzom, wezwano Luke'a. Fakt, że Rand cieszył się właśnie pierwszym tygodniem zasłużonych trzytygodniowych wakacji, nie miał najmniejszego znaczenia ani dla Toma Boyce'a, ani dla niego samego. Liczyło się tylko to, że Luke dobrze znał głównych graczy w tej partii. Podczas pierwszych lat pracy w oddziale FBI w Filadelfii zajmował się tylko nimi. Później musiał skupić się na innych, ważniejszych sprawach, nadal jednak bardzo zależało mu na tym, by dopaść DePalme, jego ojca, przyjaciół i znajomych.

Właśnie dlatego Boyce odszukał go w Cayman Brac, dokąd ten wybrał się z przyjaciółmi, by nurkować z akwalungiem. Usłyszawszy, że Donnie junior zniknął bez śladu, Luke natychmiast się spakował, przetrwał urlop, złapał samolot do Durham w Karolinie Północnej, skąd mógł już bez problemu dostać się na wyspę Ocracoke, gdzie zgodnie z rozmową telefoniczną podsłuchaną przez agentów biura miała być przetransportowana duża suma pieniędzy o niewiadomym przeznaczeniu. Choć DePalma działał głównie w Jersey oraz, na mniejszą skalę, w Nowym Jorku i Filadelfii, plaże Karoliny Północnej były ulubionym miejscem spotkań jego rodziny. Suma pieniędzy, pośpiech i czas operacji również wskazywały, zdaniem Luke'a, na DePalme. Na prośbę Boyce'a w Durham zaopatrzonego Luke'a w samochód, odpowiedni sprzęt i dano mu nowego partnera w osobie Gary'ego. Samochód był całkiem przyzwyczajony, sprzęt nieco przestarzały, a Gary... Cóż, zgodnie z opinią jego kolegów był prawdziwym czarodziejem, jeśli chodzi o komputery, a prawdziwą ofertą na niemal wszystkich innych polach. Wczorajsze-go ranka przyjechali na Ocracoke i wprowadzili się do domku, który został wcześniej przygotowany przez agentów udających sprzątaczy. W sąsiednim domku mieszkała już Christy Petrino. Luke był zaskoczony - by nie rzec, szokowany - gdy odkrył, że kurierem, którego miał za zadanie śledzić, jest nie kto inny tylko seksowna dziewczyna Donniego juniora. Fakt ten jednak tylko potwierdził jego przypuszczenia, że odbiorcą pieniędzy miał być Michael DePalma. Oznaczało to prawdopodobnie, że Donnie junior, który musiał się stąd szybko wynosić, zamierzał przejąć jednocześnie dziewczynę i pieniądze.

Powoli jednak zaczął się przekonywać, że jego teoria nie do końca się sprawdza. Christy Petrino była porządnie wystraszona, nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości. Realizując plan B, zgodnie z którym

należało się z nią zaprzyjaźnić i wyciągnąć od niej jak najwięcej informacji, ujrzał ją w zupełnie nowym świetle. Jako dziewczyna Donniego, wydawała mu się zimna, wyniosła i pewna siebie, bystra ślicznotka skupiona na jednym celu. Kiedy poznał ją odrobinę lepiej, okazało się, że jest... bezbronna. Przestraszona. I... tak, trzeba to powiedzieć wprost, cholernie pociągająca.

To ostatnie martwiło go najbardziej. Obawiał się, że utrudni mu trzeźwą ocenę sytuacji. Bo zaczynał się teraz zastanawiać, czy Christy trafiła na Ocracoke z własnej woli. Ostatnia rozmowa telefoniczna, zachowanie dziewczyny i jego instynkt kazały mu się zastanowić, czy nie została zastraszona lub zmuszona do czegoś.

Luke westchnął ciężko, odsuwając od siebie te jałowe rozważania, i zaparkował przed hotelem Crosswinds. Był to niewielki piętrowy budynek z siedemnastoma pokojami i basenem na zewnątrz. Spokojna, rodzinna atmosfera. Luke znał ten slogan, bo przed przybyciem na Ocracoke przeczytał niemal wszystkie dostępne informacje o tej wyspie i jej mieszkańcach.

Parking okazał się niemal pełny, co oznaczało, że parkuje na nim około dwudziestu samochodów. Puste miejsce po maximie widoczne było z dala. Luke zaparkował naprzeciwko, wysiadł z auta i wyjąwszy z kieszeni latarkę, obejrzał uważnie zarówno puste miejsce parkingowe jak i przestrzeń wokół niego. Miał nadzieję, że znajdzie coś interesującego, potwierdzenie z bankomatu, zgubioną wizytówkę, cokolwiek, co mogłoby pomóc mu w ustaleniu, kto siedział w tym samochodzie. Zobaczył jedynie zgnieciony kubek na kawę ze Starbucks, jednej z ulubionych sieci Donniego juniora. Oczywiście kubek mógł zostawić ktoś inny, Luke podniósł go jednak, łudząc się, że znajdzie na nim jakiś użyteczny materiał dowodowy. Poza tym nie doszukiwał się niczego, nawet plam po oleju. Postanowił, że następnego dnia rozejrzy się dyskretnie wśród gości hotelowych, instynkt podpowiadał mu jednak, że nie znajdzie wśród nich żadnego z podejrzanych. To byłoby zbyt proste, a w tej sprawie jak dotąd nic nie było proste.

Wrócił do samochodu i przez następnych dwadzieścia minut krążył po wyspie. Układ ulic nie był zbyt skomplikowany: prócz długiej i krętej drogi, biegnącej wzdłuż linii brzegowej, na wyspie znajdowały się jeszcze dwie główne ulice, Back Street i Front Road, na których o tej porze nie było żadnego ruchu. Problem polegał jednak na tym, że wciąż trwał sezon turystyczny i wszędzie stało mnóstwo samochodów, zaparkowanych na podjazdach, przed hotelami i przy campingach. Wzdłuż ulic. Przy przystani. Dziesiątki samochodów. Setki samochodów. Wciąż

jednak nie dostrzegali wśród nich tego, którego szukali. Poza tym na wyspie było przecież wiele innych miejsc, takich jak garaże, zaciemnione boczne uliczki czy wewnętrzne podwórka, gdzie można ukryć samochód. W końcu Luke się poddał. Jedynie, co mógł jeszcze zrobić, to obszeregować promy wypływające od rana z portu na wyspie. Jeśli przekona się, że na żadnym z nich nie ma poszukiwanego auta, będzie przynajmniej wiedział, że maxima na pewno wciąż jest na wyspie.

Było już po czwartej, kiedy Luke wrócił do domu i zastał Gary'ego drzemającego na wiklinowym krześle. Szturechnął go w ramię. Kolega poderwał się przestraszony.

- Coś ciekawego? - spytał Luke, wskazując głową na monitor, co prawda włączony, ale pokazujący jedynie ciemność. W domu Christy znajdowała się tylko jedna kamera, a jej pole widzenia nie obejmowało sypialni i łazienek. Luke'owi zależało najbardziej na widoku na drzwi i salon, i właśnie na nie teraz patrzył; w domu było całkiem ciemno.

- Nie. Wyłączyła światła i poszła spać wkrótce potem, jak wyszedłeś. - Gary ziewnął potężnie. - A ty coś znalazłeś?

- Nie. Od siódmej obserwujemy promy. Nie wiem jak ty, ale chcę jeszcze złapać parę godzin snu.

- Tak. - Gary wstał, zdjął okulary i przetarł oczy. - Co z nią? - Wskazał głową na monitor.

- Ja się tym zajmę.

- Świetnie. - Mrugając powiekami niczym senna sowa, wymruczał coś, co brzmiało jak dobranoc, i poszedł do swojej sypialni. Luke pomyślał z żalem o wielkim łóżku stojącym w pokoju, który zajął dla siebie. Niestety, cały sprzęt znajdował się tutaj, a gdyby Christy otrzymała tej nocy jeszcze jeden telefon, Luke wolał o tym wiedzieć. Na szczęście miał bardzo lekkiego sen. Wiedział, że jeśli zostanie w pokoju, uda mu się choć trochę przespacerować, a przy tym będzie miał pewność, że niczego nie przegapi.

Chętnie wzięby prysznic, nie chciał jednak tracić ani chwili z niecałych trzech godzin snu, jakie mu pozostały. Rozebrał się, wyciągnął światła i opadł nagi na łóżko. Odwróciwszy się na bok, naciągnął kołdrę na ramiona i spojrzął po raz ostatni na ekran. Nie zobaczył tam nic prócz maleńkiego zielonego światełka, które upewniało go, że monitor wciąż działa. Przypomniał sobie, że ma także podłuch tego, co dzieje się w domku, i że jeśli Christy będzie głośno oddychała, z pewnością ją usłyszy. Miał nadzieję, że do tego nie dojdzie.

## Rozdział 5

Wcześniej szedł za Christy Petrino wzdłuż plaży, nie spiesząc się i ciesząc jej narastającym strachem. Była zdenerwowana, z pewnością bała się spacerować samotnie o tej porze. I nie bez powodu - wiedział o tym lepiej niż ktokolwiek inny. Miał ją cały czas na oku, podbiegał i zatrzymywał się, kiedy ona to robiła. Teraz wszystko się zmieniło: Christy Petrino musiała umrzeć. Teraz. Tej nocy. Pora była nieodpowiednia, miejsce też, wszystko było nieodpowiednie, ale musiał to zrobić. Widziała go, tam, na plaży, kiedy pochylał się nad Liz. Przyjrzała mu się dobrze, tak jak on przyjrzał się dobrze jej. Dla niej nie był już niewidzialny. Musiał ją zabić, zanim przypomni sobie, gdzie widziała go wcześniej, nim powie coś, co pomoże im go znaleźć. Musiał.

Problem w tym, że zazwyczaj napadał na kobiety w miejscu i czasie, który sam sobie wybrał. Dawno już nie był zmuszony do takiego działania. Ta zmiana go zdenerwowała: stracił swój zwykły spokój. Uświadomił to sobie w chwili, gdy cienki wytrych, który chciał włożyć do dziurki na klucz, brzęknął w zetknięciu z metalową obudową zamka w drzwiach domku. Zamarł w bezruchu, a potem nastąpiła chwila. W środku wciąż było ciemno i cicho. Nie zapaliło się żadne światło. Nic nie świadczyło o tym, że go usłyszała. Oczywiście, przecież to był bardzo cichy dźwięk. Jego wyteżone zmysły wzmocniły go tysiąc-krotnie.

Nie, takie paranoiczne reakcje nie były w jego stylu. Spojrzał w dół i przekonał się, że jego dłoń drża. Nigdy dotąd nie drżały mu dłonie. Za dużo adrenaliny. Czuł pulsowanie krwi, słyszał jej szum w uszach. Mięśnie miał napięte, oddychał ciężko i szybko. Zbyt mocno zaciskał palce na wytrychu.



Teraz rzadko włamywał się do domów. Kiedyś był w tym dobry, lecz sporo już zapomniał. Włożył wytrych między zęby, poprawił rękawiczki i spróbował jeszcze raz. Wytrych wsunął się w zamek. Wcisnął go głębiej, wysunął, spróbował obrócić. Nic. Spróbował ponownie.

Powinien już dawno być w środku, lecz zamek był zaskakująco oporny. Prawdę mówiąc, ucieczka Liz wyprowadziła go z równowagi. Jak ona się wydostała? Do tej pory żadnej z nich nie udało się uciec. Żadnej. Dobrze, potem będzie się nad tym zastanawiał. Teraz powinna mu wystarczyć świadomość, że ją odzyskał, ukarał, uciszył. Na zawsze. Jeszcze raz ujrzal jej przerażone oczy, kiedy pochwycił ją za włosy i odciągnął głowę do tyłu, by zadać ostateczny cios. Próbowwała walczyć, krzyczeć, okazała się jednak za słaba, a on był zbyt szybki. Jej szyja była jak masło; nóż przeciął ją niemal na wylot. Oczy, wpatrzone w jego twarz, rozszerzyły się; zadrżała, kiedy poczuła ostrze. To trwało ledwie sekundę. Jej zduszony krzyk zamienił się w bulgotanie. Ostry zapach krwi wypełnił jego nozdrza. Jej oczy zaczęły zachodzić mgłą, kiedy musiał ją porzucić. Lecz choć ta chwila trwała tak krótko, przyjemność była ogromna. Poczucie triumfu bardzo intensywne.

Ponieważ jednak musiał przystanąć, by zająć się Liz, Christy uciekła. Nie na długo. Do świtu została jeszcze godzina. Wciąż mógł wszystko naprawić. Miał mnóstwo czasu.

Musiał zostawić ciało Liz na plaży: nie miał czasu, by je ukryć. Była pierwszą z jego dziewczyn, którą znalazł od czasu, gdy przeprowadził się na południe. Martwiło go to. Wiedział, że jej ciało może dostarczyć wskazówek dotyczących jego tożsamości. Ciała, podobnie jak miesca zbrodni, zawsze dostarczały takich informacji.

Znaczenie takich wskazówek zależało jednak od tego, kto je interpretował. A cokolwiek znajdą przy ciele Liz, nie wystarczy, by go zidentyfikować. Chyba że Christy naprowadzi ich na właściwy trop: wtedy te informacje mogą wystarczyć, by go znaleźli.

Zamek stworzył się z cichym metalicznym trzaskiem, który w jego uszach brzmiał jak wystrzał z pistoletu. Wsunął wytrych do pasa z narzędziami oplatającego mu talię i rozejrzał się ostrożnie dookoła. Noc była ciemna, pełna tajemniczych cieni i odgłosów: brzęczenia owadów, rechotania żab, odległego szumu morza. Karłowate palmy na podwórzu szeleściły niepokojąco, kiedy wiatr poruszał ich liśćmi. Nieco bliżej stały wysokie krzewy, ocieniające wejście do domu. W pobliżu nie dostrzegł żywej duszy. Spóźniona ekipa ratunkowa, która przybyła do Liz, dawno już odjechała, a droga przed domem była pusta. Domy po obu stro-

nach stały ciemne i uśpione. W ciemnościach trudno było nawet dostrzec ich zarysy.

Obrócił powoli gałkę, by nie czynić najmniejszego hałasu, i wszedł do środka. Zamknął za sobą drzwi i przez chwilę stał w bezruchu, pozwalając, by jego zmysły się wyostrzyły, wyczuły otoczenie. Oczy szybko przywykły do ciemności. Stał pośrodku salonu. Wyjście na patio znajdowało się na wprost. Bładożółte światło obmywało brzegi zasłony. Zostawiła więc zapaloną lampkę na patio. Uśmiechnął się drwiąco: jakby światło mogło go powstrzymać albo w czymkolwiek mu przeszkodzić.

Otwarta kuchnia znajdowała się po jego lewej stronie, więc sypialnie musiały być...

Usłyszał jakiś dźwięk i spojrzął szybko w prawo. Był to dźwięk przypominający westchnienie lub stłumiony krzyk przerażonej kobiety. Napiął mięśnie, gotów do ataku, i próbował przeżyć wzrokiem ciemności, nie dostrzegł jednak nikogo. Gdzie ona jest? Zobaczyła go? Czy próbowała się teraz wycofać, uciec, ukryć?

Zastygł w bezruchu i przez chwilę nastuchiwał czujnie. Nie słyszał żadnych kroków, przyspieszonego stłumionego oddechu, nic, co wskazywałoby na ukradkową, paniczną ucieczkę. Po minucie lub dwóch oczekiwania usłyszał wreszcie coś innego: przytłumiony pomruk, a potem skrzypienie materaca i szelest koldry. Powoli wypuścił powietrze z płuc. Odgłosy niespokojnego snu? Z pewnością. Stłumiony krzyk? Może dręczył ją jakiś koszmar. Czemu nie? Znalazła Liz. I widziała go na plaży. Czy podświadomość Christy odtwarzała teraz jej napięcie, przerażenie, wspomnienia? Czyżby właśnie w tej chwili odgrywał główną rolę w jej śnie? Bawił się przez chwilę tą myślą i odkrył, że sprawia mu przyjemność. Nawet jeśli ten koszmar nie był o nim, mógł zagwarantować, że następny już będzie.

Na jego ustach pojawił się lekki uśmiech. Wiesz co, Christy? Twój najgorszy koszmar jest już w tym domu.

Spojrzął na telefon. Na wszelki wypadek przeciął kable, niewykluczone jednak, że Christy ma komórkę. Ale też wiedział już z doświadczenia, że na wyspie czasami trudno było się dodzwonić z telefonu kupionego w innej części Stanów, a ona z pewnością przywozła swój z Filadelfii albo Atlantic City. Choć oczywiście nie zamierzał dać jej okazji do wypróbowania tego aparatu.

Powoli, ostrożnie stawiając stopy, przeszedł przez salon do łukowatego otworu prowadzącego do małego, pozbawionego okien korytarza. Wiedział, że jest krótki, oświetlił go bowiem na moment małą lataką, którą zawsze nosił w swoim pasie z narzędziami. W świetle latak



zobaczył białe ściany, bezowy dywan i czworo drzwi: trzy sypialnie i łazienka. Powoli, bezszelestnie zakradł się do drzwi ostatniej sypialni.

Tylko te były zamknięte. Wiedział, że Christy tam jest, nie musiał nawet zaglądać do innych pokojów, by się o tym przekonać. Słyszał, jak przewraca się na łóżku, słyszał jej niespokojne pomrukiwania, nierówny oddech. Czuł zapach mydła i szamponu, zapach kobiety.

Czy ona wciąż śpi? Ogarnięty na moment wątpliwościami, zmarszczył brwi. Jeśli tak, to miała naprawdę bardzo niespokojny sen. Stał przed drzwiami i przyłożył do nich ucho. Wszystko, co słyszał, umacniało go w przekonaniu, że Christy śpi. Świetnie. Podkradnie się blisko i pozbawi ją świadomości paralizatorem. Wtedy będzie już jego.

Ta myśl poruszyła w nim falę podniecenia. To nie bestia kazała mu przyjść tutaj tej nocy, czuł jednak, jak rośnie w nim coraz większe zainteresowanie, coraz większe napięcie, oczekiwanie. Christy Petrino była młodą kobietą, atrakcyjną, w jego typie. Po śmierci Liz to ona mogła się stać towarzyszką zabaw Terri.

Uradowany tą myślą, uśmiechnął się do zamkniętych drzwi i sięgnął do gałki. Drzwi były zamknięte na klucz. Cóż, nie stanowiło to większego problemu. Ponownie wyjął wytrych, oświetlił małą dziurkę na środku gałki i wsunął w nią cienki drucik.

## Rozdział 6

Sen zaczął się całkiem przyjemnie; była w swoim mieszkaniu w Filadelfii, w wesołej żółtej kuchni, wkładała naczynia po kolacji do zmywarki. Dochodziła dziewiąta wieczorem, jakąś godzinę wcześniej wróciła z pracy, a w tecze miała jeszcze trochę papierów, które chciała przejrzeć przed nocą. Ktoś zapukał do drzwi, przeszła więc po wypolerowanej podłodze korytarza i wyjrzała przez wizjer. Na zewnątrz stał były mąż jej siostry Nicole, Franky. Franky nigdy nie budził sympatii Christy, nawet wtedy gdy był jeszcze z Nicole. Wydawał się ogromnie czymś poruszony i niemal wpełznął ją do mieszkania, kiedy w końcu uchyliła drzwi.

- Ścigają mnie! Musisz mi pomóc! - błagał, ściskając ją za ramiona tak mocno, że aż syknęła z bólu. Był przystojnym, szczupłym mężczyzną o ciemnych włosach i brązowych oczach. Zwykle irytująco pewny siebie, teraz jednak wyglądał na porządnie wystraszonego.

- Kto cię ściga? - spytała, marszcząc brwi.

I wtedy jej powiedział...

Scena zmieniła się nagle w całkiem inną: Christy, przykucnąwszy przy dziewczynie na plaży, ścisnęła palcami jej zimną, oblepioną piaskiem rękę. Słyszała zachrypnięty, błagalny głos: „pomóż mi”. Jakiś mężczyzna biegł w ich stronę - ciemny budzący grozę kształt na tle rozgwieżdżonego nieba. W jego sylwetce było coś, co obudziło w niej głęboko ukryte pokłady przerażenia. Poderwała się na równe nogi, krzycząc...

Christy obudziła się raptownie. Przez moment leżała w bezruchu, mrugając powiekami i próbując przypomnieć sobie, gdzie właściwie jest. Serce jej biło jak szalone. Oddychała nierówno. Czują, że jest w niebez-

pieczeństwie. Jej życiu zagraża straszliwe niebezpieczeństwo. Szósty zmysł oszalał, bez opamiętania pompował adrenalinę do jej krwi, niemal krzyczał jej do ucha, by wstała i rzuciła się do ucieczki.

Spojrzenie Christy powędrowało do wąskiej smugi światła widocznej zza niedomkniętych drzwi łazienki obok jej sypialni i strach powoli zaczął ustępować. Przypomniała sobie, że zapaliła tam lampę, nim położyła się spać, przypomniała sobie, że uchyliła drzwi tak, by światło jej nie budziło, lecz by po wyłączeniu nocnej lampki pokój nie pogrążył się w całkowitych ciemnościach. Wszystkie te myśli i wspomnienia powróciły w jednej chwili. Oczywiście, była na wyspie Ocracoke, w domku na plaży, w głównej sypialni. Zwięta w kłębek wyglądała lekliwie spod koldry.

Odetchnęła z ulgą, uświadomiwszy sobie, że miała koszmar senny. Nic dziwnego. Po horrorze, który przeżyła na plaży, po wszystkim, przez co ostatnio przeszła, koszmar był prawdopodobnie najłagodniejszą z reakcji, jakich mogła oczekiwać. Doznała psychicznego urazu, do cholery. To niesprawiedliwe. To nie powinno się było wydarzyć. W ogóle nie powinna tu trafić. Chciała odzyskać swoje zwykłe życie. Spokojne, bezpieczne, szczęśliwe.

Marne szanse.

A wszystko to przez jej byłego szwagra, Frankiego Hilla, który na własne życzenie wpakował się w ogromne kłopoty i nie potrafił trzymać języka za zębami. Chociaż nie, to wszystko wina Michaela, bo...

Christy zamarta nagle, wpatrzona szeroko otwartymi oczami w drzwi sypialni. A właściwie w zamek. Gałka się obracała.

Przez ułamek chwili wpatrywała się w nią jak zahipnotyzowana, nie wierząc, nie chcąc wierzyć własnym oczom.

Nie, gałka nie mogła się obracać. Pomimo smugi światła padającej z łazienki, w pokoju było dość ciemno, wzrok mógł więc płatać jej różne figle. Poza tym nie obudziła się jeszcze całkiem. Prawdopodobnie nie widziała rzeczywistości, lecz jakieś resztki koszmaru, zagubione obrazy ze snu.

A może nie.

Ta myśl rozbrzmiała w jej głowie niczym dzwonek alarmowy, kiedy gałka zaczęła się obracać w przeciwnym kierunku.

Serce podeszło jej do gardła. Wstrzymała oddech. Wciąż nie mogła oderwać oczu od mosiężnej gałki i obserwowwała z rosnącym przerażeniem, jak ta obraca się powoli w lewo.

Teraz nie miała już wątpliwości: była w pełni przytomna, a wszystkie zmysły działały prawidłowo. Wniosek mógł być tylko jeden: ktoś stał pod drzwiami sypialni i próbował dostać się do środka.

Bogu dzięki, że zabarykadowała je komoda. Kiedy przed północą spać mocowała się z ciężkim meblem, czuła się bardziej niż głupio, teraz jednak błogosławiła w myślach tę przezorność. Możliwe, że będzie zadzięczała jej życie, bo skoro gałka się obracała, to znaczy, że tani zamek został już sforsowany. Tak, widziała go, wystawał ze środka gałki niczym metalowy pepek. Przelknęła z trudem ślinę, uświadomiwszy sobie całą grozę sytuacji: komoda była jedyną przeszkodą, która nie pozwalała nieznalnemu intruzowi dostać się do pokoju.

Jeśli dożyje następnego dnia, nigdy już nie będzie nazywać siebie paranoiczką.

Nie zwlekając ani sekundy dłużej, pochwyciła komórkę i puszkę z gazem, które na wszelki wypadek położyła tuż obok, na stoliku nocnym, i wysunęła się z łóżka. Przykucnięta niczym sprinter przed biegiem, spojrzała jeszcze raz na gałkę i jednym skokiem znalazła się w łazience. Okno sypialni wychodziło na łąkę piasku, trawy i płot oddzielający jej dom od domu nowego sąsiada, wielbiciela kotów. Może powinna spróbować je otworzyć i tamtędy uciekać? Pamiętała, że okno wyglądało tak, jakby nikt nie ruszał go od wielu lat. Mogła się założyć, że jest wypaczone, zamalowane albo zabite gwoździami.

I miała przerażającą pewność, że stawką tego zakładu byłoby jej własne życie.

Tłumiąc okrzyki przerażenia, ostrożnie, cicho zamknęła drzwi i przekręciła zamek, taki sam jak ów tani, bezwartościowy zatrzask, który miał chronić drzwi jej sypialni. Z bijącym sercem, dysząc ciężko, odsunęła się od drzwi, oparła plecami o zimne, gładkie płytki z lat pięćdziesiątych i wybrała numer 911 na klawiaturze telefonu komórkowego. Uznała, że wołanie o pomoc nie jest w tych okolicznościach najlepszym rozwiązaniem. W ten sposób dałaby znać napastnikowi, że wie o jego obecności, a nie sądziła, by ktokolwiek inny usłyszał jej krzyki. Ściany domu wykonano z betonu pokrytego tynkiem, w czasach gdy przed gorącym chroniła gruba warstwa izolacji, a nie klimatyzacja. Krzyki zostawi na później, kiedy przyjedzie już policja. Komoda nie była aż tak wytrzymała. Wystarczy kilka silnych kopnięć i uderzeń, by silny mężczyzna odepchnął ją od drzwi.

Przypomniałszy sobie krepą, przysadzistą sylwetkę, którą widziała na plaży, Christy oblała się zimnym potem. Wiedziała, wiedziała z całą kowitą, choć instynktowną pewnością, której nigdy już nie zamierzała kwestionować, że za drzwiami sypialni stał właśnie tamten człowiek z plaży. Wyraźnie starał się nie obudzić Christy - i prawdopodobnie nie odkrył jeszcze, co blokowało mu drogę. Kiedy to odkryje...

Pomyślała o kobiecie z poderżniętym gardłem i zaczęła drzeć.

- Proszę wybrać jedynkę i numer kierunkowy...
  - Odsunęła telefon od ucha i spojrzała na niego z niedowierzaniem.
- Co za bezużyteczny...

Głuche uderzenie. Dźwięk dochodzący z pokoju przejął ją zimnym dreszczem. Wiedziała, co oznacza. Mężczyzna zrozumiał, że coś blokuje drzwi sypialni i próbował otworzyć je siłą.

Dobry Boże, do końca życia będę chodzić co tydzień na mszę i do spowiedzi, jeśli tylko mnie ocalisz.

Kierując się zasadą, że Bóg pomaga tym, którzy sami sobie pomagają, Christy modliła się, jednocześnie wybierając ponownie numer 911 i rozglądała w popłochu po łazience, szukając czegoś, czym dałoby się zabarykadować drzwi. Było to niewielkie pomieszczenie, miało może dwa na trzy metry, z podłogą wyłożoną czarno-białymi płytkami i zielonymi ścianami. Umywalka znajdowała się po jednej stronie, wanna po drugiej, a drzwi i toaleta zajmowały tę samą ścianę. Właściwie nie działała tu niczego, co mogłaby przesunąć, aby zablokować tym drzwi. Może tylko biała wiklinowa etażerka...

Kolejne uderzenia.

- Jeśli chcesz zadzwonić, odłóż słuchawkę i spróbuj ponownie. Jeśli potrzebujesz pomocy...

Krew dudniła jej w uszach, serce pracowało dwa razy szybciej niż zwykle. Rzuciła bezużyteczny telefon na zielone futerko okrywające klawisze toalety i zdjęła z etażerki jedyny twardy przedmiot znajdujący się w łazience - osadzoną w szklanej kuli pachnącą świeczkę - i postawiła ją obok telefonu. Potem przewróciła etażerkę na bok, wysypując ułożone w niej ręczniki na podłogę. Etażerka nie była zbyt wysoka, miała może metr siedemdziesiąt wysokości. Ale łazienka nie była też zbyt szeroka...

W mgnieniu oka ułożyła etażerkę na podłodze, opierając wiklinowe nóżki o drzwi. Niestety, górna część oddalona była od przeciwległej ściany o jakieś trzydzieści centymetrów.

Rozległy się kolejne głośnie uderzenia, a potem huk przewracanego mebla.

Był w sypialni.

Słyszała jego kroki. Ucichły, a Christy pomyślała, że stanął przy łóżku. Wyobraziła sobie, jak spogląda na rozrzuconą pościel, a potem podnosi wzrok na smugę światła wyływającą spod drzwi łazienki.

Serce biło jej w szalonym tempie. Wzięła głęboki, drżący oddech, próbując zapanować nad ogarniającą ją paniką. Za późno, by wyłączyć zdradliwe światło. Zresztą i tak niewiele by to zmieniło. Szafa i łazien-

ka to jedyne miejsca, w których mogła się ukryć. Wstrzymawszy oddech, usłyszała, jak podszedł do szafy i otworzył drzwi. Potem ruszył w jej stronę.

Strach zmroził jej krew w żyłach. Dyszała ciężko, spocona i zziębnięta jednocześnie. Czas po raz kolejny spojrzeć prawdzie w oczy: łazienka nie była schronieniem. Była śmiertelną pułapką.

Proszę, Boże. Proszę.

Jej spojrzenie padło na kosz na śmieci. Pochwyciła go szybko i wstała między etażerkę i ścianę. Lepiej, choć nie doskonale. Wciąż pozostało kilka centymetrów wolnej przestrzeni. Rozejrzała się dokoła raz jeszcze.

Kolejne kroki. Coraz bliżej. Potem - wstrzymała oddech - gałka zaczęła się przekręcać. Znalazł ją. Stał pod drzwiami.

Wydawało się, że serce za moment wyskoczy jej z piersi. Zrobiło jej się słabo. Świat zakolysał się przed jej oczami.

Boże, nie pozwól mi teraz zemdleć.

Pochwyciła plastikowe pudełko z przyborami toaletowymi i wcisnęła je między etażerkę i kosz na śmieci. Teraz przynajmniej pusta przestrzeń została całkowicie wypełniona. Kosz na śmieci dotykał ściany; etażerka dotykała drzwi.

Pozostawało tylko pytanie, czy ta naprędce sklecona blokada wytrzyma. Christy westchnęła ciężko, zastanawiając się, czy chce znać odpowiedź.

Gałka poruszyła się ponownie.

- Christy?

Dziwny, piskliwy głos przejął ją zimnym dreszczem. Jeszcze bardziej przerażający był fakt, że ten człowiek znał jej imię. Cofnęła się, przywierając plecami do ściany.

- Wiem, że tam jesteś. Otwórz drzwi.

Spojrzała przypadkiem w lustro: była biała jak śmierć. Groza wypełniała bez reszty jej szeroko otwarte brązowe oczy, rozchylone usta wydawały się równie białe jak skóra.

Klik. Zamek w gałce się otworzył.

Przez moment, tylko przez moment, patrzyła na to jak zahipnotyzowana. Potem dopadła go jednym skokiem, wcisnęła z powrotem w gałkę i trzymała z całych sił. Myśl, że morderca jest po drugiej stronie drzwi, tuż obok niej, sprawiała, że miała ochotę krzyczeć. Pomyślała jednak, że w tych okolicznościach byłaby to najgorsza rzecz, jaką mogła zrobić. Nie daj mu poznać, że się boisz! Musiała zachować spokój i jasność myśli.

- Wezwałam policję! Już tu jadą! - zawołała. Było to kłamstwo, ale nie mógł o tym wiedzieć. Strach ścisnął jej serce, kiedy gałka poruszyła się w jej dłoniach.

- Jeszcze pożałujesz, że narobiłaś mi tyle kłopotów - powiedział upiorny, piskliwy głos.

Pomimo jej wysiłków zamek ponownie wyskoczył z galki. Mężczyzna pchnął drzwi, a te uchyliły się nagle. Christy krzyknęła i odskoczyła do tyłu. Drzwi uderzyły w etażerkę, a kosz na śmieci zatrzymał się na przeciwległej ścianie z głośnym, metalicznym trzaskiem. Między futryną a drzwiami otworzyła się szczelina szerokości dwóch czy trzech centymetrów. Oblana zimnym potem, zdyszana jak po długim i wyczerpującym biegu, Christy wpatrywała się w tę szparę, jakby patrzyła na wrota piekieł.

W sypialni było ciemno, a szczelina była zbyt wąska, by mogła dostrzec jego twarz. Nie widziała jego rysów, tylko kontury sylwetki. A jednak... a jednak...

- Cześć, Christy.

Ona go nie widziała, ale on widział ją. O Boże, on ją widział! Zrobiła szybko krok w lewo, kryjąc się przed jego wzrokiem.

- Mówiłam ci, że policja już tu jedzie! Będą lada moment! Aresztują cię! Lepiej uciekaj!

- O ile się założysz, że dopadnę cię, nim oni się tutaj zjawią?  
Uderzył ponownie. Etażerka zadrzęła, kosz uderzył o ścianę. Do diabła z zachowaniem spokoju: Christy krzyknęła i rzuciła się po puszkę z gazem. Ale prowizoryczna barykada wytrzymała. Zaciskając kurczowo obie dłonie na puszcze, zmagając się z falą mdłości i paniki, świadoma, że lada moment napastnik może wtargnąć do łazienki, gorączkowo szukała jakiegoś rozwiązania. Boże, co zrobić? Jeśli wedrze się do środka, może zdoła wycelować mu prosto w oczy i oślepić go gazem. Nie był to jednak plan, któremu zawierzylaby swoje życie. Jej spojrzenie spoczęło na telefonie. Pochwyciła go i spróbowwała wybrać inny numer - informację. Tam zawsze byli jacyś wolni operatorzy.

Przez szparę wsunęły się jego palce. Miał czarne skórzane rękawiczki. Christy patrzyła, skamieniała ze strachu, jak jego dłonie zamykają się na krawędzi drzwi.

Pierwszy sygnał.

- Wchodzę, Christy. Zaraz się pobawimy.

Drugi sygnał.

- Policja już tu jedzie! Właśnie rozmawiam z dyspozytorem! Będą tutaj lada moment! - Przelknęła z trudem ślinę, nadaremnie próbując

zwiłyć wysuszone gardło. Potem, kłamiąc najbardziej przekonująco, jak tylko potrafiła, krzyknęła do telefonu, w którym wciąż słychać było tylko kolejne sygnały: - Tak, 29 Ocean Road. Jestem uwięziona w łazience, do mojego domu włamał się jakiś mężczyzna. Potrzebuję pomocy, natychmiast! - Oczekwała sekunde, udając, że słucha odpowiedzi. - Są już prawie na miejscu? - Spojrzała na drzwi. - Słyszalesz, co powiedziałam? Policja zaraz tu będzie!

Jedyną odpowiedzią było kolejne uderzenie w drzwi. Nie mogła już dłużej powstrzymywać krzyków, kiedy po raz kolejny uderzał całym ciałem o drzwi. Kosz na śmieci zaczął tracić swój kształt, zgniatany napierającą krawędzią etażerki. Z plastikowego pudełka wyciekał szampon. Wiklinowy mebel coraz głośniej trzeszczał pod naporem drzwi. Christy wiedziała, że prowizoryczna barykada nie wytrzyma już długo. Wpatrując się bezradnie w ciemną szparę, dojrzała błysk jego oczu. Zimnych, bezlitosnych oczu drapieżcy...

Szpara między drzwiami i futryną miała już z dziesięć centymetrów szerokości. Napastnik wsunął przez nią rękę, potem ramię.

Oblał ją zimny pot, kiedy uświadomiła sobie, że za kilka minut prawdopodobnie umrze.

- Nie! - zawyla.

Rzuciła telefon na podłogę, doskoczyła do drzwi, wycelowała spryskiwacz i nacisnęła zawór. Wystrzelił snop białej mgiełki. Głośny syk i ostry zapach przywiódł jej na myśl strumień płynnego ognia.

- Co powiesz na to, draniu!

Napastnik krzyknął przeraźliwie i cofnął rękę.

- Ty cholerna suko!

Bingo. Tak.

Napompowana energią, Christy rzuciła beużyteczną już puszkę, zatrzęsnęła drzwiami i wcisnęła zamek na miejsce.

- Utnę ci głowę, dziwko!

Nagle przez drzwi przebiło się z trzaskiem ostrze topora, a jego ostry czubek uderzył prosto w ramię Christy. Krzyząc przeraźliwie, odskoczyła do tyłu, przykładając dłoń do rany. Nie czuła bólu, lecz szok, a potem jakies lodowate odrętwienie, kiedy podniosła zakrwawioną rękę i spojrzała z niedowierzaniem na krew wypływającą z rany.

- Mam cię! - ryknął napastnik triumfalnie. Drewniane drzwi jęknęły, gdy wyszarpnął z nich topór.

- Idź stąd! - wrzasnęła Christy rozpaczliwie.

Drzwi zadrzęły pod kolejnym uderzeniem, jakby morderca naparł na nie całym ciałem. Nieważne rozcięte ramię: teraz chodziło o jej życie!

Christy ponownie dopadła drzwi i przytrzymała zamek. Topór znów przebił się przez drewno, niemal muskając jej twarz. Krzycząc teraz na cały głos, Christy pochyliła się, wznosząc opór etażerki ciężarem własnego ciała i trzymając zamek obiema rękami. Wiedziała, że strumień gazu uderzył w napastnika, nie trafił jednak zapewne prosto w twarz i tylko go rozszedził, a nie unieszkodliwił. Słyszała jego głośne przekleństwa, chrapiawy, nierówny oddech. Nie próbował już nawet otworzyć zamka: był rozwścieczony i chciał go rozbić.

Dobry Boże, proszę, ocal mnie. Proszę. Zrobię wszystko...

Krew spływała po jej ramieniu karmazynowym strumieniem. Czuli jej ciepło, wiedziała, że okrwawione płytki staną się zdradliwie śliskie. Rozcięcie znajdowało się na jej lewym ramieniu, było niewielkie i prawdopodobnie nie zagrażało życiu. Mimo to kiedy patrzyła na zranione miejsce, robiło jej się słabo. Bała się, że lada moment straci władzę w nogach. Nie mogła jednak poddać się hysterii, nie mogła opaść z sił. Nie teraz. Kapitulacja oznaczała śmierć.

- Pptnę cię na kawałki, suko. Będziesz mnie błagać o litość.

Uderzył ramieniem w drzwi, potem znowu i znowu. Wrzeszcząc co sił w płucach, Christy próbowała utrzymać zamek i drzwi. Kiedy jednak zaczął walić w zamek toporem, musiała odsunąć się do tyłu. Pozbawiona gazu łzawiącego, była teraz bezbronna. Rozejrzała się gorączkowo dookoła, szukając telefonu. Mógł być wszędzie: pod ręcznikami zaścielającymi podłogę, za sedesem.

Nagle rozległ się głośny trzask, a drzwi uchyliły się do środka. Christy odskoczyła do tyłu, omal nie przewracając się na sedes.

Wyrwał jeden z zawiasów, uświadomiła sobie, przerażona. Dłoń bójcy wsunęła się ponownie do środka i zacisnęła na framudze. Etażerka zadrzała pod naporem kolejnych wściekłych uderzeń. Wiklina za-trzeszczała, wygięła się lekko. Tak. Koniec był już blisko...

Strach poderwał ją do czynu. Pochwyciła lokówkę leżącą na umywalce i uderzyła metalowym prętem w dłoń mężczyzny. Zaklął i cofnął rękę. Zanim jednak mogła ponownie zatrasnąć drzwi, uderzył w nie ze zdwojoną siłą. Christy odsunęła się do tyłu, pośliznęła na własnej krwi i omal nie upadła na podłogę. Zgniatany kosz na śmieci jęknął głośno. W szparę między drzwiami a futryną wsunęła się stopa obuta w porośnięte, czarne robocze buty.

- Pomocy! - krzyknęła w ostatnim akcie rozpacz. - Pomocy!

Z dala, jakby z innego świata, dobiegł ją przytłumiony łomot, jakby ktoś chciał dostać się do środka przez drzwi wychodzące na patio. Może to tylko bicie jej serca, ale...

- Słyszysz? Policja już tu jest! Są tutaj! - Wykrzykując głośno coś, co w jej przekonaniu było kiepskim kłamstwem, ponownie rzuciła się do drzwi.

Nie przypuszczała, by udało jej się powstrzymać go zbyt długo: jeszcze dwa lub trzy uderzenia i wejdzie do środka. Kiedy jednak naparła całym ciałem na poharataną płytę, przekonała się z niedowierzaniem, że nikt nie stawia jej oporu. Mogła nawet zamknąć drzwi, gdyby nie to, że napastnik rozwalił je tak, że nie pasowały do futryny.

Czyżby jednak zrezygnował? Nie, to niemożliwe. A może to pułapka? Może czekał, przyczajony, aż Christy otworzy drzwi, by na nią się rzucić? Thumiąc krzyki, które cisnęły jej się na usta, przyłożyła ucho do drzwi i nasłuchiwała uważnie.

Ktoś zapalił lampę w sypialni. Christy zamrugła powiekami, kiedy intensywne światło wpadło do łazienki przez dziury wybite w drzwiach.

- Christy?

Gałka obróciła się pod jej dłonią, a drzwi ponownie zaczęły się uchylać, gdy Christy spróbowała zajrzeć przez otwór do sypialni. Nieprzytomna ze strachu, wrzasnęła piskliwie i uciekła do tyłu. Na krawędzi drzwi zacisnęła się męska dłoń. Tyle że teraz okrywała ją jedynie opalona skóra, a nie czarna rękawiczka.

Bogu dzięki.

- Christy, tu Luke. Nic ci nie jest?

Luke. Dysząc ciężko, wyrzała przez szparę między drzwiami i futryną i napotkała jego spojrzenie. Patrzył na nią tak, jak przed chwilą tamten mężczyzna. Były jednak różnice, cudowne, uspokajające różnice, które dopiero po chwili zdołała sobie uprzytomnić: jego oczy znajdowały się wyżej; jego dłoń, bez rękawiczki, wydawała się większa; jego głos był inny, głębszy, z południowym akcentem. W pokoju paliło się światło, widziała go więc wyraźniej. Tak, to z pewnością jej sąsiad.

- O mój Boże! - jęknęła. Uświadomiła sobie wreszcie, że jednak nie umrze tej nocy, kolana ugięły się pod nią i opadła bezwładnie na podłogę.

- Do diabła. Jesteś ranna? - Czuliła na sobie jego spojrzenie. Drzwi zadrzały, gdy próbował je otworzyć. - Christy? Christy, wpuść mnie do środka.

- Uważaj. W domu jest mężczyzna. Próbował... próbował mnie zabić.

Zdołała jakoś wypowiedzieć to ostrzeżenie przez szcękające bez

opamiętania zęby. Zrobiło jej się zimno - okropnie zimno. I krwawiła. Rana coraz mocniej ją piekła. Krew była wszędzie, spływała po ramieniu, pokrywała ręce i nogi, płytki na podłodze. Christy zacisnęła zęby, próbując opanować niekontrolowane drżenie, i sięgnęła po ręcznik.

- Ten człowiek uciekł. Mój kolega sprawdza jeszcze, czy nie ukrył się gdzieś koło domu, ale jestem pewien, że zwiął, gdy tylko nas usłyszał. Jesteś bezpieczna, naprawdę. - Jego głos złagodniał iabrał kojących tonów. Christy przyłożyła rącznik do ramienia. Luke ponownie przekreślił gałkę i napał na drzwi. - Christy? Możesz mnie wpuścić?

Czuła się nieco zamroczone, nie do końca świadoma tego, co dzieje się wokół. Spróbowała jednak zebrać myśli i patrzyła przez chwilę na uchylone drzwi: widziała rozczochrane blond włosy, przystojną, zatkana twarz, dużą, opaloną dłoń, muskularną nogę w białym trampku: tak, to z pewnością nie tamten morderca. Jest naprawdę bezpieczna. Poczucie ulgi rosnęło w niej niczym ogromny bąbel.

Drzwi zadrzęły pod jego naciskiem.

- Christy. Wpuść mnie do środka.

Tym razem był to rozkaz, nie prośba. Siegając po ostatnie zasoby siły, Christy zmieniła pozycję i wyprostowała nogę, by wypchnąć zgnieciony kosz spomiędzy etażerki i ściany.

## Rozdział 7

Luke przecisnął się przez szparę w drzwiach, popatrzył wokół i przykucnął obok Christy, wyraźnie zatroskany. Miał niebieskie oczy, uważała Christy mimochodem. Jasnyniebieskie.

- Dobrze, pozwól, że to obejrzę.

Zamknął dłoń na jej dłoni i uniósł ją delikatnie, potem odsunął zatkawiony rącznik, by przyjrzeć się jej ramieniu. Zaciśnął mocno usta. Z powrotem przyłożył rącznik do rany i spojrzął Christy w oczy.

- Nie jest źle. - Jego głos wciąż był łagodny i kojący, choć spojrzenie stwardniało, jakby przeniknięte gniewem. - Chociaż przydałoby ci się kilka szwów. Masz jakieś inne obrażenia?

Christy pokręciła głową. Zrozumiała, z pewnym zdziwieniem, że teraz, kiedy niebezpieczeństwo już minęło, zaczęła tracić kontrolę nad własnym ciałem. Zaciśkała zęby tak mocno, że aż bolały ją szczęki; gdyby je jednak otworzyła, szczekałaby zębami jeszcze mocniej niż poprzednio. Trzęsła się i oddychała nierówno, jej ciało wydawało się pozbawione kości niczym ciało meduzy wyrzuconej na plażę. Przypomniała sobie martwą meduzę, którą widziała poprzedniego wieczora, i zrobiło jej się niedobrze.

- Jesteś pewna?

Oglądał ją uważnie, od stóp do czubka głowy. Dopiero wtedy Christy uświadomiła sobie, w co jest ubrana, a właściwie w co nie jest ubrana. Zwykle do snu wkładała wycięte figi i bawełniany t-shirt. Tego wieczora miała na sobie cienkie majteczki z różowego nylonu. Koszulka była dość kusa, niedługo jasnozielona, teraz, po licznych praniach, raczej w kolorze rozdeptanej gąsienicy. Obcisła jej piersi tak dokładnie, że nawet najmniejsze szczegóły - jak choćby reakcja sutków na szok i zim-



no - były doskonale widoczne. Seksowność tego stroju umniejszał jedynie fakt, że w tej chwili była cała umazana krwią.

- Co się stało?
- Mówiłam ci: próbował mnie zabić. Wszedł do środka, kiedy spałam. Miał siekierę... - Przerwała, bo znów zaczęła szczerkać zębami.
- Stał rana na twoim ramieniu? Zaatakował cię?
- Próbował wyrąbać dziurę w drzwiach. - Zadrżała ponownie, a potem zebrała siły, by wyznać: - To był mężczyzna z plaży. Ten, który... zabił tamtą kobietę. Przeszedł po mnie. - Kolejny dreszcz. - Zabiłby mnie. Gdyby nie ty...
- Ale przyszedłem. On uciekł, a ty jesteś bezpieczna. - Chwycił jeszcze jeden ręcznik, poskładał go i przykrył ranę, odsuwając pierwszy, nasączony już krwią. Christy odruchowo przycisnęła świeży ręcznik do ramienia, a Luke podniósł się energicznie. - Resztę opowiesz mi w drodze do szpitala. Możesz wstać?

Zacisnęła zęby, skineła głową i próbowała. Lecz mimo pomocy Luke'a, który podtrzymał ją za łokcie, nie mogła o własnych siłach wstać z podłogi. Mięśnie po prostu odmawiały jej posłuszeństwa. Skończyło się na tym, że Luke praktycznie podniósł ją na nogi. Christy oparła się o niego, gdy sekundę później ugięły się pod nią kolana. Przewróciłaby się ponownie, gdyby nie objął jej mocno. Był ciepły, pachniał olejkami do opalania i płynem do zmiękczenia tkanin, jak poprzednio. Pomyślała, że to zapewne zapach jego koszuli, tej samej, którą miał na sobie wcześniej, a przynajmniej tak jej się wydawało. Tyle że teraz koszula włożona była na lewą stronę i zapięta tylko na dwa guziki, w dodatku krzywo. Wydawało jej się, że miał na sobie także te same co poprzednio jasnoniebieskie spodnie do kolan. Wyglądało na to, że usłyszała krzyki, wyskoczył z łóżka, chwycił leżące obok ubranie i przybiegł jej z pomocą.

Zastanawiała ją tylko jedna rzecz: jak mógł usłyszeć jej krzyki przez grube ściany chaty i szum oceanu? Jeśli leżał śpiąc w swoim domu...

Zmarszczyła brwi.

- Skąd wiedziałeś, że coś mi grozi?

Jego oczy błysnęły wesoło.

- Moja droga, twoje krzyki obudziłyby umarłego - odparł i wziął ją na ręce.

Zaskoczona i zakłopotana, Christy milczała, gdy ruszył do wyjścia. Musiała przyznać, że jest naprawdę silny. Jego mięśnie były twarde jak skała, klątka piersiowa szeroka i masywna. Lekki zarost okrywał mu cieniem dolną część twarzy. Te blond loczki są mylące, uznała Christy,

opierając głowę o jego imponujące ramię. Może i wyglądają odrobine ko-bieco, lecz cała reszta jest naprawdę męska.

- Mogę iść sama - zaprotestowała słabo, choć w tej samej chwili uświadomiła sobie, że prawdopodobnie jednak nie może. Drżała na całym ciele, było jej niedobrze. Nie mogła wykluczyć, że za chwilę zymiotuje. Jeśli jednak Bóg nadal nad nią czuwał, nie zrobiłaby tego ze względu na Luke'a.

Luke spojrzął na nią z politowaniem.

- Nie żartuj sobie.

W porządku, miał rację. Jedyne, co mogła zrobić, to przytulić się mocniej do jego ciepłego torsu i spróbować uspokoić szczerkające zęby.

- Uciekł frontowymi drzwiami. To znaczy, na pewno nie wyszedł tylnymi, bo inaczej...

Drgnęła, usłyszawszy obcy głos. Luke przytulił ją mocniej do siebie, kiedy jakiś facet o głupkowatym wyglądzie wysunął głowę zza drzwi sypialni wciąż częściowo zablokowanych komodą. Urwał w pół zdania, ujrawszy Christy. Jego mina uświadomiła jej, jak to wygląda: zakrwawiona, prawie naga, spoczywała bezwładnie w ramionach Luke'a.

- O kurczę! - odezwał się nowo przybyły, wyraźnie pod wrażeniem tego widoku.

Christy zmarszczyła brwi. Pomyślała, że chyba powoli wychodzi z szoku, czuła się bowiem coraz bardziej zażenowana, kiedy obcy mężczyźni oglądali ją w tak skąpym stroju.

- Obszedłeś cały dom? - spytał Luke.

Tamten skinął głową, wciąż nie odrywając wzroku od Christy. Luke zmarszczył gniewnie brwi i powiedział sucho:

- Gary, poznaj Christy. Christy, to jest Gary Freeman.

Gary podniósł wzrok na Luke'a i przez chwilę obaj mężczyźni patrzyli sobie w oczy, przekazując jakieś pozawerbalne komunikaty. Potem Gary skrzywił się, skwitował krótkie przedstawienie skinieniem głowy i spojrzął ponownie na Christy, tym razem jednak skupił wzrok wyłącznie na jej twarzy.

- Skąd ta krew? - spytał ze sztuczną swobodą.

- Łobuz zaatakował ją siekierą.

- Jezu.

- No właśnie - mruknął Luke. - Wychodzimy.

Gary wszedł szybko do sypialni, zostawiając im wolne przejście na korytarz, a potem przyjrzał się ze zmarszczonymi brwiami komodzie blokującej drzwi. Christy zauważyła, że ubrany jest w granatową piża-

me, która wyglądała tak, jakby kupił ją poprzedniego wieczora. Na nogach miał kaptcie z frędzelkami.

- Skąd to się tutaj wzięło? - spytał, wskazując na komode, kiedy Luke próbował przecisnąć się na korytarz.

Trochę było jej wstyd wyjaśnić, że bała się położyć spać i dlatego zastawiła drzwi. Cóż jednak mogła zrobić?

- Zabarykadowałam tym drzwi - odrzekła, starając się, by nie brzmiało to zbyt wyzywająco.

- Tak? - Luke spojrział na nią zaskoczony. - Nim położyłaś się spać?

- I dzięki temu zapewne ocalałam życie. Gdyby dostał się niepostrzeżenie do pokoju, raczej już bym nie żyła. - Zadrżała ponownie. - Zamknęliście drzwi na klucz? - zapytała nerwowo, kiedy szli przez korytarz.

- On może tu wrócić. Chyba nie ma pistoletu, ale...

- Nie wróci. - Luke powiedział to z taką pewnością, że Christy od razu poczuła się bezpieczniej, choć zdawała sobie sprawę, że tak naprawdę nie mógł tego wiedzieć. - Atakował samotną kobietę. Uwierz mi, teraz, kiedy przekonał się, że masz towarzystwo, nie odważy się tutaj wrócić.

- Tak czy inaczej, zamknąłem frontowe drzwi - oświadczył Gary.

- Co do drzwi na patio...

- Musieliśmy je wylamać, żeby dostać się do środka - dokończył za niego Luke, a gdy weszli do jasno oświetlonego salonu, Christy przekonała się sama, co miał na myśli. Jedno skrzydło drzwi było szeroko otwarte, a zaczepiona o ich brzeg zasłona trzepotała, poruszana zimną oceaniczną bryzą. Na srebrnej futrynie pozostały tylko długie, poszarpane drzazgi. Na podłodze leżały odłamki szkła i drewna. Luke przeszedł obok nich do kuchni.

- Kluczyki do samochodu? - Luke spojrział na nią pytająco.

- Przy telefonie - odparła, wskazując głową na kluczyki. Widok aparatu telefonicznego ożywił w jej mózgu procesy, które do tej pory toczyły się w zółtym tempie. - Powinam zadzwonić na policję.

- Już to zrobiłem - powiedział Gary. - Jadą tu. A poza tym telefon nie działa. Musiałem zadzwonić z mojej komórki.

- Pewnie przeciął kable. - Luke zabrał kluczyki i z Christy w ramionach ruszył w stronę garażu. Zatrzymał się jeszcze na moment przed drzwiami i spojrział na Gary'ego. - Powiedz im, że pojechalśmy do całodobowej kliniki przy Front Street. Gdyby koniecznie chcieli o coś zapytać, nim tu wrócimy, mogą nas tam znaleźć. Zamkniesz za nami?

- Jasne. - Gary pospieszył z pomocą.

- Poczekaj - powstrzymała go Christy, coraz bardziej przytomna. -

Nie mogę jechać nigdzie w takim stroju. Muszę coś włożyć, chociażby szlafrok. I wziąć torebkę. Mam w niej kartę ubezpieczeniową.

Luke obrzucił ją spojrzeniem i najwyraźniej doszedł do podobnego wniosku, bo nie próbował się spierać.

- Gdzie ten szlafrok?

- W szafie w sypialni.

- Dobra. - Popatrzył na Gary'ego.

- Już leczę. - Gary pospiesznie ruszył do sypialni.

- Torebka?

- Na krzesle. - Christy wskazała głową jedno z czterech metalowych krzeseł ustawionych wokół małego stołu ze szklanym blatem. Czarna skórzana torebka wisiała na oparciu. Luke wsunął pasek na palec. Gary wrócił ze szlafrokiem.

- Proszę - powiedział grzecznie, podając jej ubranie. Szlafrok kupiony w Victoria's Secret uszyty był z czerwonego jedwabiu, miał pikowane mankiety i pasek - Christy zawsze czuła się znacznie seksowniej, gdy miała go na sobie. Gdyby była teraz w lepszej formie, pewnie krępowałby ją fakt, że dotyka go dwóch obcych mężczyzn. Ale miał dużą zaletę; plamy krwi stały się na nim niemal niewidoczne.

Luke postawił ją powoli i podtrzymując przez cały czas w pasie, mógł jej włożyć zdrową rękę do rękawa. Zanim jednak zdołała wsunąć rękaw na zranione ramię, owinał ją resztą szlafroka, zawiązał pasek, zarzucił torebkę na ramię i z powrotem wziął Christy na ręce.

- Teraz już możemy iść?

Skinęła głową. Kilka minut później siedziała na przednim siedzeniu własnej toyoty camry prowadzonej przez Luke'a, zdecydowanie za szybko. Poza tym, że było całkiem ciemno, znów się rozpadło. Krople deszczu tłukły jak szalone o przednią szybę, wycieraczki pracowały na pełnych obrotach. Zapach wilgoci był bardzo intensywny, nawet we wnętrzu samochodu. Kiedy wjeżdżali na Silver Lake Road, przemknął obok nich wóz policyjny. Kolorowe światła na dachu migotały w oszalałym tempie, syrena była jednak wyłączona, by nie budzić bez potrzeby pogrążonych we śnie obywateli. Christy pomyślała, że policja gdzieś pewnie do niej do domu, chyba że w pobliżu popełniono jeszcze jakieś inne przestępstwo.

- Wszystko w porządku? - spytał Luke, zerkając na nią kątem oka. Były to pierwsze słowa, jakie wypowiedział po wejściu do samochodu. W oddali błyszczały zamglone światła latarni ustawionych wzdłuż przystani; Christy zobaczyła je dopiero wtedy, gdy odwróciła ku niemu głowę. Budynki stojące bliżej ulicy były całkiem ciemne. Poza rytmicznym

szelestem wycieraczek do jej uszu docierały jedynie szum wentylatora i stukot opon na mokrym asfalcie.

- Tak, daję sobie radę. - W rzeczywistości było jej okropnie zimno i niedobrze. Bolało ją ramię. I wciąż była wystraszona. Przerazona. Nie widziała jednak powodu, by mówić mu o tym wszystkim. - Wygląda na to, że uratowałeś mi dzisiaj życie. Dziękuję.

- Cóż, zawsze spieszę na pomoc potrzebującym.

Uśmiechnęła się lekko, a potem zmarszczyła brwi.

- Ciekawe, że pani Castellano, choć mieszka niemal równie blisko, nie słyszała moich krzyków i trzasku rozbijanej szyby w drzwiach na patio. Dlaczego nie wezwała policji?

- Kto wie? Może ma bardzo mocny sen.

- Może. - Christy mimowolnie zadrżała. Po chwili milczenia zapytała: - Marvin wrócił do domu?

Luke odpowiedział dopiero po kilku sekundach.

- Tak, był już, kiedy wróciłem z plaży. - Zerknął na nią, a kąciaki jego ust uniosły się w lekkim uśmiešku. - Zastanawiam się, czy ty zawsze robisz wokół siebie tyle zamieszania.

Christy skrzywiła się i pokręciła głową.

- Zwykle prowadzę spokojne, ciche życie. Ja też jestem prawniczką.

Luke uniósł lekko brwi.

- Naprawdę? Nigdy bym się nie domyślił. Nie wyglądasz na prawniczkę.

- A ty na pewno nie wyglądasz na prawnika. - Przyjrzała mu się ukradkiem. Miał naprawdę ładny profil, a te jasne loczki coraz bardziej jej się podobały. Jak on cały. - Jesteś tu na wakacjach?

- Tak. Przyleciałem z Atlanty. A ty?

- Też. - Wyjrzała za okno, kiedy zatrzymał się na skrzyżowaniu, a potem skręcił w główną drogę prowadzącą do Ocracoke Village.

- Przyjechałaś dopiero dzisiaj, prawda? - Samochód znów nabierał prędkości. - Ktoś ma do ciebie dołączyć? Mąż? Chłopak? Jakaś druga połowa?

- Nie. - Nie zamierzała mówić mu, że po tym, jak rozstała się z narzeczonym, w jej życiu na razie nie ma żadnego mężczyzny. Ten facet jest miły, to prawda, ale na razie myślała jedynie o przetrwaniu, a nie o nowych romansach.

- Odrobina odpoczynku w samotności, co?

- Coś takiego.

- Szkoda, że akurat tej nocy zachciało ci się wybrać na samotny spacer po plaży.

- Tak. - Miał rację.

- Ten mężczyzna, który włamał się do twojego domu... Powiedziałaś, że to ten sam, którego widziałaś wcześniej.

- Tak. Jestem tego pewna.

- Dlaczego?

Christy zwilżyła wargi.

- Czuję to samo... Zło. - Nie potrafiła inaczej opisać wibracji, jakie czuła w jego obecności. Choć miała na sobie szlafrok, a wnętrze samochodu zdążyło się już dobrze nagrzać, zadrżała. - Poza tym był mniej więcej tego samego wzrostu i postury, znał moje imię... a poza tym, jakie jest prawdopodobieństwo, że w ciągu jednej nocy, w tym samym miejscu pojawi się dwóch szalonych morderców?

- Znał twoje imię? - spytał Luke ostrzejszym niż do tej pory tonem i zerknął na nią z ukosa. - Chcesz powiedzieć, że zwrócił się do ciebie po imieniu?

Na samo wspomnienie zrobiło jej się niedobrze. Skinęła głową.

-Tak.

- Co dokładnie powiedział?

Zaatakowała ją kolejna fala mdłości.

- Kiedy odczuwał się pierwszy raz, zawołał mnie po imieniu, takim dziwnym, piskliwym głosem. Później, kiedy uchylił drzwi i mnie zobaczył, powiedział: „Cześć, Christy”.

- Jak myślisz, skąd znał twoje imię?

Przychodziło jej do głowy kilka możliwości, wołała jednak nie wspominać o żadnej z nich.

- Nie wiem.

Luke umilkł, pogrążony w myślach, a Christy zastanawiała się gorączkowo, czy podczas tej krótkiej rozmowy nie powiedziała przypadkiem zbyt wiele. Wujek Vince wyraźnie dał jej do zrozumienia, że jeśli wyjawি komukolwiek to, co wiedziała o organizacji, może pożegnać się z życiem. Z drugiej jednak strony nie była całkiem pewna, czy organizacja tak czy inaczej nie trzyma jej już na celowniku. Fakt, że napastnik znał jej imię, napełniał ją przerażeniem. Straszliwe podejrzenie, które dręczyło ją od chwili, gdy natknęła się na tę biedną kobietę na plaży, nabrało teraz wyraźnych kształtów: a jeśli tamto zabójstwo było pomyłką? A jeśli morderca zaatakował niewłaściwą osobę? A jeśli śledził właśnie ją, Christy, potem zaś popełnił fatalny błąd? A jeśli to ona miała być główną osobą dramatu, który rozegrał się na plaży? Być może późniejszy napad był próbą naprawienia tego błędu? To tłumaczyłoby z pewnością, skąd napastnik znał jej imię.

Zrobiło jej się zimno na tę myśl.

- Nie znasz nikogo, kto mógłby chcieć cię skrzywdzić? - Jego pytanie tak doskonale pasowało do jej toku rozumowania, że Christy drgnęła na fotelu, zaskoczona. Dopiero po kilku sekundach opanowała się na tyle, by odpowiedzieć.

- Nie - skłamała. - Nie znam nikogo takiego.

- Może ten facet ma jakiś związek z twoją pracą?

Christy wzięła głęboki oddech. Luke był tak blisko prawdy, że zaszła się go bać.

- Niby dlaczego? Po pierwsze, pracuję daleko stąd, w Filadelfii. Po drugie, nie zajmuję się niczym, co mogłoby ściągnąć na mnie czyjaś zemstę. Jestem prawnikiem korporacyjnym, a nie adwokatem czy prokuratorem.

Tak, ale pracowała w firmie, która, jak się niedawno dowiedziała, była jedynie przykrywką dla działania mafii. Gdyby Franky, ta ośliźla gnida, nie dał jej wtedy do myślenia swoimi słowami, nie zaczęłaby dobiegać prawdy i nie miałaby teraz tylu kłopotów. Do diabła z Frankym! Christy mówiła Nicole, że nie powinna za niego wychodzić. Ale siostra nie słuchała. Nigdy jej nie słuchała. Oni spieprzyli sprawę, ona po nich sprzątała. Tak pokrótce wyglądała historia jej życia.

- Więc jaka jest twoja teoria na temat tego, co wydarzyło się dzisiejszej nocy?

Christy się zawahała. Trudno jej było oddzielić to, co mogła powiedzieć, od tego, co powinna była zachować dla siebie, szczególnie teraz, gdy czuła się tak, jakby jej mózg wyjechał na wakacje, zostawiając resztę ciała bez opieki. Zamknęła oczy i spróbowała skupić się na jedynej wersji wydarzeń, która dawała jej nadzieję na przetrwanie: była po prostu niewinną ofiarą przestępstwa, nikim więcej.

- Nie mam żadnej teorii. Skąd miałabym ją wziąć? Wiem tylko tyle, że dzisiejszej nocy ktoś zamordował kobietę na plaży, że ją znalazłam, a potem jakiś szaleniec włamał się do mojego domu i próbował mnie zabić. Nie trzeba geniusza, aby skojarzyć z sobą te dwa fakty.

Zamknęła oczy, jakby chciała w ten sposób zakończyć rozmowę. Luke posłusznie milczał przez jakiś czas, zajęty być może własnymi myślami.

- Kiepsko się zaczęły te twoje wakacje.

W jego tonie pobrzmiwała nuta cierpkiego humoru. Christy otworzyła oczy i spojrzała na niego.

- Dla ciebie też - zauważyła.

-Tak.

Samochód zwolnił i uświadomiła sobie, że właśnie dojechali do kliniki. Dobrze, bo ręcznik już nasiąkł krwią, a ramię coraz mocniej bolało. Podświetlona tabliczka wskazywała wejście do przychodni pogotowia ratunkowego, otwartej całą dobę. Tuż obok znajdował się sklep spożywczy, także całodobowy. Tuż przed piętą, w deszczowy niedzielny poranek, żadna z tych placówek nie mogła narzekać na nadmiar klientów. Na obu parkingach stały łącznie trzy samochody.

- Nie musisz mnie nieść na rękach - powiedziała Christy, kiedy Luke zaparkował przed kliniką.

- Jak sobie życzysz.

Wciąż jednak siedziała na fotelu, kiedy do niej podszedł. Wkrótce przekonała się, że jej nogi są równie silne jak wstażki rozgotowanego spaghetti. Choćby naprawdę bardzo się starała, nie zdołałaby przejść do kliniki o własnych siłach.

- Nie mam butów - oświadczyła, naburmuszona, kiedy spojrzął na nią pytająco. Deszcz padał nadal, choć już niezbyt intensywnie, krople błyszczały na twarzy i włosach Luke'a. Jego koszula była poplamiona krwią.

Uśmiechnął się lekko.

- Tak, to poważny problem - zgodził się, wsuwając rękę pod jej plecy.

Christy wtuliła się w jego ramiona, kiedy niósł ją w deszczu do jasno oświetlonych drzwi kliniki.

## Rozdział 8

Świtło. Wrócił do swego zamku, bezpiecznego domu, kryjówki. Do legowiska bestii. A bestia była wściekła. Wszystko, wszystko tego wieczora potoczyło się nie po jego myśli. Christy Petrino wciąż żyła. Musiał zmykać, by ocalić własne życie, i to dwukrotnie. A Liz uciekła.

Jak ona to zrobiła, do diabła?

Dowie się tego, choć jeszcze nie teraz. Teraz musiał się jakoś uspokoić. Był cały rozedrgany. Miał wrażenie, że zaraz popęka mu skóra, że bestia jest już zbyt duża, zbyt potężna, by zmięścić się w zwykłym ludzkim ciele. Znow obudziła się w niej żądza krwi, tym razem jednak nie została zaspokojona. Musiał jakoś ugasić to pragnienie i to szybko. Jeśli pójdzie do pracy w tym stanie - a już niedługo musiał iść - ktoś mógłby coś zauważyć. Ktoś mógł się domyślić.

Kim naprawdę jest.

Będzie musiał zadowolić się Terri. Wciąż była w swojej celi: ukarawszy Liz, wrócił pospiesznie do siebie, by sprawdzić, czy i ona nie uciekła. Wtedy miałby poważne problemy: musiałby ją znaleźć, i to szybko.

Lecz nic takiego się nie wydarzyło. Terri wciąż była tam, gdzie powinna. Do tej pory nie wykorzystywał jej zbyt często. Krótko ostrzyżone włosy, małe piersi i szerokie biodra mu nie odpowiadały. Bawił się z nią trochę, wypróbował to i owo, głównie jednak zmuszał ją do oglądania tego, co robił z Liz. Początkowo Terri krzyczała, płakała i błagała, by nie krzywdził jej przyjaciółki, jednak szybko ją tego oduczył. Miał wprawę w uczeniu dziewczynek dobrych manier. Trzy dni po porwaniu wytresował Liz tak, że wystarczyło, by kiwnął palcem, a już wykonywała każde polecenie. Nauczył tego samego również Terri.

Christy też, kiedy przywiezie ją tutaj i pobawi się z nią trochę, nim ją zabije. Tak, ona była bardziej w jego typie. To, że już ją znał, dodawało smaczku całej zabawie. Podobnie jak to, że potraktowała go gazem i zdołała się wymknąć z jego rąk.

Tak, Christy Petrino da mu jeszcze wiele radości.

Idąc na dół, zapalił światło pod sufitem. W ten sposób dawał dziewczynom - teraz już jednej dziewczynie - znać, że nadchodzi. Zwykle, gdy tylko to zrobił, słyszał brzęczenie łańcuchów, gdy jego ofiary podnosiły się z podłogi, przerażone oddechy, nerwowe szmery i szelesty. Nauczyły się już, że nie powinny krzyczeć ani płakać. Nauczyły się, że jest panem, którego mają kochać, któremu mają być posłuszne - i przed którym mają drżeć.

Zszedł na sam dół i zdjął z haka torbę ze swoimi zabawkami. Ten poziom był wyjątkowy ze względu na szczególne wyposażenie, do którego należały, między innymi, cztery klatki - co prawda nigdy jeszcze nie miał czterech dziewczyn jednocześnie, ale uważał, że powinien być przygotowany na każdą okoliczność. Klatki, ustawione po dwie pod przeciwnymi ścianami, oddzielone były od siebie schodami, pod którymi znajdowała się toaleta. Do tej pory trzymał Terri i Liz w przeciwnych pomieszczeniach, by nie mogły się widzieć, chyba że na to pozwolił. Był to jeden z tych drobniagów, forma kary i nagrody jednocześnie, który czynił jego małe hobby tak przyjemnym. Wiedział, że krzyczały do siebie, kiedy myślały, że jest na zewnątrz, wcale się tym jednak nie przejmował. Ściany były dźwiękoszczelne.

Cela Liz znajdowała się po lewej stronie, lecz teraz nie chciał na nią patrzeć. Ten widok obudziłby w nim zbyt wielki gniew, a nie chciał jeszcze zabijać Terri: najpierw musiał znaleźć kogoś na jej miejsce. Wiedział już jednak, że drzwi do celi Liz były zamknięte, a łańcuch, który więził jej nogę, leżał na podłodze, wciąż przymocowany do ściany.

Jak ona to zrobiła? Jak? Pomyślał, że Terri na pewno zna odpowiedź na to pytanie.

- Terri? - Czuję, jak jego głos nabiera piskliwych tonów, jak zawsze, gdy zaczynał się podniecać. - Terrii, gotowa do zabawy?

## Rozdział 9

Biuro szeryfa mieściło się w małym parterowym budynku tuż przy Front Road, naprzeciwko pubu. Z jednej strony sasiadowało ze stacją benzynową Shella, z drugiej z salonem fryzjerskim Curl-o-Rama. Christy zaparkowała na skraju ocienionej gałęziami dębów ulicy, która, podobnie jak wszystkie drogi na Ocracoke, pierwotnie przeznaczona była dla koni i powozów, i wyglądała tak, jakby od tamtej pory jej nie poszerzano. Znalezienie wolnego miejsca było trudne, bo wyspa, w zimie mająca nie więcej niż dziesięćuset mieszkańców, teraz niemal pękała w szwach - w sezonie letnim przybywało tu niemal pięć tysięcy turystów. Christy przekonała się o tym na własnej skórze, próbowała bowiem znaleźć pokój w hotelu na resztę swego krótkiego, jak miała nadzieję, pobytu na Ocracoke. Okazało się, że wszystkie hotele i ośrodki, od najtańszych po najdroższe, wypełnione są do ostatniego łóżka.

Na razie wolała spać w samochodzie niż we własnym domu. Nie była nawet w stanie wrócić tam po ubrania. Na samą myśl o takiej wyprawie robiło jej się zimno ze strachu. Czowała się tak, jakby została uwięziona w domu z luster i przy każdej próbie ucieczki trafiała w ślepa uliczkę. Zaczynała się obawiać, że naprawdę znalazła się w sytuacji bez wyjścia.

Najgorsza była świadomość, że zdana jest wyłącznie na własne siły. Nie mogła się nikomu zwierzyć, nikomu zaufać. Nawet nie przyszło jej na myśl, by zwrócić się o pomoc do rodziny; wystawiłaby w ten sposób swoich bliskich na śmiertelne niebezpieczeństwo. Zastanawiała się przez chwilę, czy nie opowiedzieć o wszystkim policji, wiedziała jednak, że jeśli narazi się na gniew mafii, będzie musiała ukrywać się do końca życia. To samo dotyczyłoby jej matki, sióstr i dzieci Nicole. Krótko mó-

wiąc, sytuacja była beznadziejna. Lepiej zachować spokój, robić wszystko, co jej każe, aż przekonają się, że nic im z jej strony nie grozi i że po-trafi zachować milczenie. Musiała tylko utrzymać się przy życiu do cza-su, aż to zrozumieją.

Nawet uczynny sąsiad ją opuścił. Zastaniając się czy też wymawiając jakimś arcyważnym spotkaniem, Luke zniknął wkrótce po tym, jak do kliniki przyjechał Meyer Schultz z jednym z zastępców. Po jego odej-sciu poczuła się dziwnie opuszczona: było jej wstyd, kiedy uświadomiła sobie, że w jego obecności czuje się bezpieczna. Choć na pierwszy rzut oka sprawiał wrażenie beztroskiego chłopca, troszczył się o nią z wy-trwałością, która naprawdę jej zaimponowała. Ocalił jej życie, uspokoił ją i zawiózł do kliniki, zachowując przy tym spokój, który kazał jej wie-rzyć, że na nim może naprawdę polegać. Potem jednak zostawił ją sa-mą, zapewne by wrócić do przerwanych wakacji. Tymczasem Christy musiała radzić sobie z koszmarem, w który zamieniło się jej życie.

Oczywiście tak naprawdę wcale nie żałowała, że odszedł. Był obcym człowiekiem, prawnikiem, który przez przypadek wynajął sąsiedni dom. Nie mógł ofiarować jej prawdziwej pomocy. To idiotyczne, że po-czuła się porzucona, gdy zajął jeszcze na moment do pokoju zabiego-wego, by się pożegnać. Szeryf został przy niej, kiedy Luke odszedł, za-dawał jej pytania nawet wtedy, gdy lekarz zszywał ranę. Innymi słowy, była w dobrych rękach. Później szeryf gdzieś zadzwonił i dokonał tego, czego Christy nie mogła zrobić: wynajął dla niej pokój w Silver Lake Inn. Zastępca zawiózł ją do hotelu, gdzie bezskutecznie próbowała za-snąć przez kilka godzin.

Bicie kościelnych dzwonów obudziło ją w południe, tuż przed tym, jak zadzwonił jej budzik. Kiedy leżała w łóżku, słuchając donośnego głosu dzwonów, uzmysłowiła sobie, że przegapiła niedzielną mszę, i to pomimo wszystkich obietnic, które złożyła wcześniej Bogu. Krzywiąc się z bólu, przeszła do łazienki i wzięła prysznic, uważając na zakrytą specjalną folią ranę. Wtedy też odmówiła krótką modlitwę, przeprasza-jąc Boga za swoją niesłowność i jednocześnie dziękując za ocalenie życia. Miała tylko nadzieję, że Bóg nie obrazi się na nią z tak błahego powodu.

Była to jedna z najgorętszych, najbardziej dusznych niedziel, jakie przeżyła Christy. Zbliżała się pierwsza po południu, kiedy przyszła do biura szeryfa, by zgodnie z życzeniem Schultza obejrzeć zdjęcia miej-scowych przestępców, choć sama nie widziała w tym większego sensu. Jak mówiła szeryfowi i wszystkim, którzy chcieli jej słuchać, ani razu nie zobaczyła twarzy napastnika, nie mogła więc go zidentyfikować.



A nawet gdyby mogła, bałaby się to zrobić, choć o tym oczywiście nie powiedziała nikomu.

Senne miasteczko Ocracoke było niezwykle zatłoczone. Kolejka ludzi, którzy chcieli dostać się do pubu na spóźniony brunch, ciągnęła się wzdłuż całego budynku i sięgała aż na chodnik. Christy ominęła czekających, a potem przeszła przez ulicę, w ostatniej chwili uciekając spod kół rozpedzonych rowerzystów, którzy chcieli zapewne spalić nadmiar kalorii z niedzielnego posiłku. Dwie małe dziewczynki, odświętnie ubrane, przechodziły wraz ze swą mamą w przeciwnym kierunku, by dołączyć do kolejki oczekujących przed pubem. Parking przy pobliskiej stacji Shella pełen był, między innymi, wielkich samochodów z przyczepami, na których spoczywały zabawki dla dorosłych, czyli skutery wodne lub łódzie. Christy ogarnęła je ponurym spojrzeniem. Ona nie bawiła się dobrze w tym parnym wakacyjnym raj. Bolała ją głowa, rwało ramię i była przerażona.

Podmuch zimnego powietrza, który przywiał ją w drzwiach biura szeryfa, przyniósł odrobinę ulgi. Nawet wyłożona szarym linoleum podłoga i pomalowane na zielono ściany wydawały się przyjemnie chłodne. Wyszła z zajazdu zaledwie piętnaście minut wcześniej, ale już opadła z sił. A właściwie zaczęła się roztopiać. Tutaj, na południu, powiedzieliiby, że się świeci, to znaczy, że jej skórę pokrywała cienka, lśniąca warstwa potu. Dzięki uprzejmości hotelowego sklepu z pamiątkami, miała na sobie białe bikini, które służyło jej za bieliznę, pomarańczową koszulkę ozdobioną rysunkiem tańczących małży i białe szorty. Całe ubranie wilgotne było od potu i kleiło się do ciała, podobnie jak zaczesane do tyłu włosy. Nawet stopy w sandałach z cieniutkimi paskami wydawały się spoczone.

Recepcja, znajdująca się na lewo od wejścia, była pusta. W głębi jednak, za otwartymi drzwiami, widać było trzech mężczyzn: Gordiego Castellano, szeryfa Schultza i Aarona Steinberga. Policjanci mieli na sobie mundury, dziennikarz kraciaste bermudy i białą koszulkę polo. Szeryf, muskularny mężczyzna pod sześćdziesiątkę, o płaskich rysach twarzy i białych jak śnieg włosach, siedział za metalowym biurkiem. Dwaj pozostali zajmowali miejsca po przeciwnych stronach biurka i klócili się zajadle o jakieś dokumenty leżące na blacie.

- ... tego nie potrzebuje. - Castellano dźgnął palcem w papiery, spoglądając przy tym gniewnie na Steinberga. Szeryf podniósł wzrok, zobaczył Christy i przerwał kłótnię, wstając z krzesła.

- Witam, pani Petrino, jak się pani czuje? Wyspała się pani choć trochę? - Wyszedł zza biurka i podszedł do niej, uśmiechając się serdecznie.

- Trochę. - Wykrzywiła twarz w grymasie udającym uśmiech. Jego beceremonialna serdeczność nieco ją irytowała, pamiętała jednak dobrze, że wcześniej zrobił dla niej znacznie więcej, niż musiał. Oczywiście nie zmieniło to w niczym faktu, że podobnie jak dwaj pozostali mężczyźni w pokoju, pasował do opisu mordercy. - Jeszcze raz bardzo dziękuję, że znalazł pan dla mnie ten pokój.

- Zawsze do usług.

- Słyszałem, że w nocy miała pani jeszcze jedną niemłą przygodę. - Steinberg przyjrzał jej się uważnie, otwierając szerzej oczy. Potem odwrócił się, wyraźnie podekscytowany, do Gordiego, który przywiał Christy skinieniem głowy. - Widzisz, miałem rację. Spójrz tylko na nią. To ten typ urody. Ciemne włosy, szczupła, młoda, atrakcyjna...

- To jedna wielka bzdura - przerwał mu Castellano. On także popatrzył uważnie na Christy, uprawiając ją tym w zakłopotanie. Pomyślała, że pierwszy raz widzi go w dobrym świetle. Zauważyła, że miał krótko obcięte włosy i mógł uchodzić za przystojnego. Gordie odwrócił się z powrotem do Steinberga. - No i dobrze, jest szczupła i ma ciemne włosy. Jak wiele innych kobiet. I co z tego?

- Mówiłem ci, to właśnie ten typ.

Castellano przewrócił oczami i spojrzął na Christy.

- Niech pani nie pozwoli się nastraszyć. Ten facet ubzdurał sobie, że na wyspie grasuje seryjny zabójca.

- No nie wiem, Gordie, może Aaron ma jednak trochę racji. - Szeryf wziął Christy pod rękę i doprowadził do biurka. - Choć, oczywiście, może też robić z igły widły.

- O co chodzi z tymi szczupłymi ciemnowłosymi dziewczynami? - Christy dyskretnie uwolniła rękę z uścisku szeryfa. Po ostatniej nocy wszyscy krępi mężczyźni budzili w niej strach. Szeryf przysunął jej krzesło i opadła na nie z ulgą.

- Lubi kobiety w takim typie. Takie atakuje. Wszystkie zaginione wyglądają podobnie. - Steinberg uderzył otwartą dłonią w papiery na biurku i spojrzął z triumfem na swoich towarzyszy. - Spójrzcie na te zdjęcia i spróbujcie mi wmówić, że pani Petrino nie pasuje do tego wzorca.

- Pan mówi poważnie? - Serce Christy zabiło mocniej. Przyjrzała się uważnie papierom leżącym na biurku. Były to zdjęcia młodych kobiet. Szczupłych, młodych, atrakcyjnych brunetek. Na każdym ze zdjęć znajdował się duży czarny napis: „zaginiona”. Pod zdjęciami znajdowały się szczegółowe informacje o każdej z dziewczyn. Sądząc po papierze, zdjęcia zostały wydrukowane z komputera.

- Tak jest, mówię cholemlnie poważnie - odparł Steinberg. Potem zreflektował się i dodał: - Przepraszam, za ten język, nie chciałem pani obrazić.

- Aaron bardzo się przejął tą historią o seryjnym zabójcy - dorzucił szeryf przepraszącym tonem, spoglądając na Christy. - Jeśli się okaże, że to prawda, wszyscy będziemy mieli spore kłopoty.

- A ja twierdzę, że byłoby głupotą rozpowszechnianie takich pogłosków. Najpierw musimy zdobyć pewność, że rzeczywiście mamy do czynienia z seryjnym zabójcą, choć moim zdaniem to bzdura - warknął Castellano. - I w ogóle nie powinniśmy rozmawiać o tym w obecności pani Petrino, straszmy ją tylko niepotrzebnie.

- Pogłoski, dobre sobie! Zjem twój samochód, jeśli się okaże, że to tylko zbieg okoliczności. - Steinberg wskazał szerokim gestem dokumenty leżące na stole. - Jest ich osiem. Osiem w ciągu ostatnich trzech lat. Wszystkie zaginęły więcej w tej samej okolicy, w promieniu trzystu kilometrów od tego miejsca. Aż pięć zniknęło w tym roku, tutaj, na Outer Banks. Pani Petrino powinna o tym wiedzieć, bo chodzi o jej bezpieczeństwo. To kwestia bezpieczeństwa publicznego!

- Przykro mi to powiedzieć, Gordie, ale Aaron ma trochę racji. - Szeryf pokręcił głową i podniósł jedno ze zdjęć. Christy dojrzała głowę i ramiona ładnej, młodej dziewczyny o długich brązowych włosach i rozmarzonych oczach. - Weźmy choćby te dwie ostatnie: Elizabeth Ann Smolski i Terri Lynn Miller, studentki uniwersytetu, przyjechały dwa tygodnie temu na długi weekend do Nags Head i zniknęły któregoś wieczora, kiedy wybrały się na drinka do baru. Ostatniej nocy znaleźliśmy Elizabeth martwą na plaży, sto kilometrów od miejsca, w którym zaginęła. Widziałeś jej zwłoki. Wiesz, co się z nią stało. Nadal nie wiemy, gdzie jest Terri i czy w ogóle żyje. - Podniósł inne zdjęcie i postukał w nie palcem. Przedstawiało ono dziewczynę w podobnym wieku, z krótko przystrzyżonymi, ciemnymi włosami - chyba jako jedyna z całej ósemki miała krótkie włosy - i szerokim uśmiechem. - Skoro to nie seryjny zabójca, jak inaczej to wyjaśnisz?

- Powie, że to przemoc domowa - wtrącił Steinberg z irytacją.

- Mówię tylko, że Elizabeth Smolski zerwała niedawno ze swoim chłopakiem, że była przy tym wielka awantura i że ten chłopak znajdował się na wyspie w dniu zaginięcia dziewczyny a przynajmniej tak twierdzą jej przyjaciele - odparł Castellano. - Nie możemy go odnaleźć. Jego rodzina, przyjaciele, współlokator - nikt nie wie, co się z nim stało.

- Na ciele Elizabeth Smolski znaleziono ślady ludzkich zębów! Była więziona przez dwa tygodnie, torturowana i głodzona! Chcesz powiedzieć, że zrobił to jej chłopak? - Steinberg uderzył pięścią w stół, wyrażając zdenerwowanie.

- Chcę tylko powiedzieć, że musimy zbadać wszystkie inne ewentualności, nim zaczniemy straszyć ludzi opowieściami o seryjnym zabójcy, bo jeśli napiszemy o tym w gazecie, nikt nie będzie chciał tu przyjeżdżać - odrzekł Castellano podniesionym głosem.

- Więc uważasz, że chłopak Elizabeth Smolski zabił swoją byłą dziewczynę, a kilka godzin później włamał się do domu pani Petrino? Moim zdaniem to się w ogóle nie trzyma kupy. - Steinberg obrzucił Castellana gniewnym spojrzeniem, a on odpowiedział mu tym samym. Po tem dziennikarz zwrócił się do Christy. - A może uważasz, że to dwa zupełnie niezwiązane ze sobą przestępstwa? Może pani Petrino też ma jakiegoś byłego narzeczonego o morderczych skłonnościach?

Uwaga, w zamierzeniu z pewnością ironiczna, była tak bliska prawdy, że oszołomiona Christy przez chwilę nie mogła wydobyć z siebie głosu. Nigdy nie patrzyła na tę sprawę z takiej perspektywy, ale rzeczywistość miała narzeczonego o morderczych skłonnościach. Z pewnością nie znała całej prawdy o Michaelu, udało jej się jednak ustalić, że miał na sumieniu całą gamę różnego rodzaju przestępstw i zbrodni: prowadzenie domów publicznych, przemyt, handel narkotykami i bronią, zlecenie zabójstw tych, którzy weszli mu w drogę. Pozostawało tylko pytanie, czy kazał także zabić ją. Michael? Czy to właśnie on stał za wszystkim, co się wydarzyło minionej nocy? Christy musiała przygryźć wargę, by powstrzymać drżenie.

Do tej pory myśląc o zabójcy, widziała jakiegoś abstrakcyjnego, pozbawionego twarzy osobnika. Teraz zaczęła się zastanawiać, czy to nie twarz Michaela. Nieważne, kto był wykonawcą tego zlecenia: przerażała ją sam fakt - świadomość, że mogła się znaleźć na celowniku mafii. Wolałaby chyba mieć do czynienia z seryjnym zabójcą; opuściwszy wyspę, mogłaby o nim zapomnieć. Zlecenie zabójstwa, z kolei, było niczym śmiertelna choroba, towarzysząca jej wszędzie, gdzie mogła się udać, by wcześniej czy później doprowadzić do jej śmierci.

- Pani Petrino? - odezwał się szeryf Schultz. Wszyscy trzej przyglądali jej się z niepokojem. Christy omal nie wpadła w panikę, zastanawiając się, co mogli wyczytać z jej twarzy.

- Nie, nie znam nikogo takiego - odparła ze spokojem, który zaskoczył nawet ją samą. - Co prawda nie widziałam jego twarzy, widziałam jednak wystarczająco dużo, by mieć pewność, że to żaden z moich

byłych narzeczonych. Poza tym jestem całkowicie pewna, że mężczyzna z plaży i ten, który włamał się do mojego domu, to jedna i ta sama osoba.

- Widzisz? - Steinberg spojrział triumfalnie na Castellana.
- Myślisz tylko o tym, żeby sprzedać jak najwięcej egzemplarzy swojej gazety - odparł Castellano z niesmakiem.
- W porządku, chłopcy, założmy, że zbadamy tę sprawę nieco dokładniej, zanim zrobimy coś głupiego i napiszemy w gazecie o seryjnym zabójcy grasującym na wyspie. Może coś się wyjaśni, kiedy dostaniemy wyniki badania DNA z ciała Elizabeth Smolski. A teraz chciałbym porozmawiać z panią Petrino na osobności. Pozwolicie?
- Tak, oczywiście. - Castellano spojrział na Christy, kiedy Steinberg zbierał zdjęcia. - Wraca pani na noc do swojego domu?

Za żadne skarby świata. I dlaczego właściciel chciał to wiedzieć? Christy znów zrobiła się podejrziwa.

- Załatwiłem jej pokój w Silver Lake - wyjaśnił za nią szeryf. - Oczywiście tylko na dzisiaj. - Odwrócił się do niej. - Zamierza pani zostać u nas dłużej?

- Nie wiem - odrzekła zirytowana, że ujawnił miejsce jej pobytu. - Na razie nie mam jeszcze żadnych planów.
- Ciocia Rosa ma kilka wolnych pokoi.

- My też chętnie będziemy panią gościć, mamy wolną sypialnię. Wiem, że Elaine byłaby bardzo zadowolona z pani towarzystwa - dodał szeryf.

- Ja też bym panią zaprosił, ale Bud ma o wiele większy dom, a Elaine świetnie gotuje - dorzucił Steinberg, puszczając do niej oko.

Christy objęła spojrzeniem całą trójkę. Na myśl, że miałaby spędzić noc w pobliżu któregośkolwiek z tych mężczyzn, reagowała jednoznacznie: Nie ma mowy. Nie mogłaby zaufać żadnemu z nich, nawet szeryfowi.

- Dzięki, będę o tym pamiętać - odparła.

Castellano i Steinberg wyszli z biura, a Christy przeglądała zdjęcia, które podsunął jej Schultz. Pozostawszy sama z szeryfem, poczuła się dość niepewnie. Przerzuciła nerwowo kolejne fotografie, by jak najszybciej mieć to za sobą i wyjść. Kilku spośród mężczyzn na zdjęciach było krepych i miało ciemne włosy. Żadna z twarzy jednak nie wydawała jej się znajoma. Oczywiście mógł to w pewnym stopniu tłumaczyć fakt, że nie widziała dotąd twarzy napastnika.

- Cóż, trudno - westchnął rozczarowany szeryf, kiedy odłożyła ostatnie zdjęcie i podniosła się z krzesła. - Zawsze warto próbować.

I jeszcze jedno: jeśli obawia się pani o swoje bezpieczeństwo, mogę przydzielić pani dzisiaj jednego z moich zastępców do ochrony. Niedziele są zazwyczaj bardzo spokojne, a w pani sprawie i tak nie możemy nic zrobić, dopóki nie dostaniemy wyników badań.

Tak, ochrona policyjna byłaby świetna, gdyby nie to, że Christy wkrótce wybierze się na spotkanie z mafią.

Szczerze żałując, że nie może przystać na tę propozycję, zdobyła się na uśmiech i pokręciła głową:

- Myślę, że w biały dzień nic mi nie grozi.

Szeryf Schultz zmarszczył brwi.

- Ja też tak uważam, ale nigdy nie wiadomo... Jeśli będzie pani miała jakieś kłopoty, proszę do mnie zadzwonić. - Wyciągnął z portfela wizytówkę, napisał coś na odwrocie i wręczył ją Christy. - To jest numer do mojego biura - powiedział, wskazując na zadrukowaną stronę wizytówki. - To... - odwrócił kartonik i przesunął palcem po cyfrach, które przed chwilą napisał - ...mój numer domowy, to komórka, a to pager. Może pani dzwonić do mnie o każdej porze dnia i nocy, jasne?

Christy skinęła głową, wzięła wizytówkę i schowała do torebki. Potem pożegnała się i wyszła. Na zewnątrz wciąż było gorąco i parno, po chodnikach przechadzały się tłumy rozbawionych czasowiczów, Christy jednak prawie nie zauważała, co się dzieje wokół, gdy szła z powrotem do samochodu. Wciąż czuła wibracje bijące od Gordiego Castellano, które mogła scharakteryzować jednym słowem: „uciekaj”. Ich siłę osłabiało jednak znacznie przekonanie, że równie dobrze mogła sobie wyobrazić Aarona Steinberga i szeryfa Schultza w roli napastników. Właściwie, zauważyła bliska hysterii, zatrzymując się przy toyocie, by otworzyć drzwi, niemal ćwierć populacji Ocracoke pasowała do obrazu mordercy, który miała w pamięci. Pomyślała z przerażeniem, że tym człowiekiem może być każdy, dosłownie każdy.

Może obserwuje mnie nawet teraz.

Wzdrygnęła się i wsunęła szybko do samochodu. W chwili gdy jej nogi uda dotknęły rozgrzanej skórzanej tapicerki, wrzasnęła, zapominając na moment o zabójcy. Pospiesznie wyjęła ze schowka mapę i wsunęła ją pod nogi. Uruchomiła silnik, włączyła klimatyzację i nie zważając na potencjalne zagrożenie ze strony ukrytego w tłumie mordercy, otworzyła szeroko okna, by wypuścić rozgrzane powietrze. Nie ruszyła jednak z miejsca. Zegar na desce rozdzielczej pokazywał pierwszą trzydziestą. Miała jeszcze pół godziny, a latarnia morska oddalona była nie więcej niż o dziesięć minut jazdy.

Miała więc trochę wolnego czasu. Wystarczająco dużo, by zadzwonić. Nie umiała żyć w zawieszonym wypełnionym strachem i zamierzała zrobić wszystko, co w jej mocy, by ten stan zmienić.

Serce biło jej mocno. Nie do końca przekonana, czy postępuje właściwie, niezdolna jednak do jakiegokolwiek innego działania, które mogłoby przywrócić jej choć odrobinę spokoju, wyjęła telefon komórkowy, dostarczony jej przez jednego z zastępców szeryfa, zamknęła okna i wybrała numer Michaela.

## Rozdział 10

Kiedy słuchała sygnału, strach ścisnął jej żołądek. Oczywiście teraz, gdy wcale nie była pewna, że chce się dozwonić, połączyła się z wybranym numerem bez kłopotu. Dlaczego los zawsze jest taki przekorny?

Jej ostatnia rozmowa z Michaeliem dotyczyła zarzutów postawionych przez Franky'ego, jej własnych oskarżeń, których potwierdzenie znalazła w dokumentach firmy, nowej, przerażającej wiedzy o tym, kim naprawdę był i czym w istocie się zajmował.

„Tak już jest na tym świecie - odparł Michael zniecierpliwiony, nie okazując ani odrobiny zdumienia i skruchy, której oczekiwała. Tak zawsze było. Czas wyjść spod klosza, Christy, i zacząć żyć w prawdziwym świecie”.

Ocenzurowana i poprawiona wersja jej odpowiedzi brzmiała mniej więcej tak: „Nie po to studiowałam prawo, żeby zostać bandzirem, więc baw się w to sam”.

Była głupia, wierząc, że Michael jest czysty, że jego firma prawnicza jest czysta. Teraz to rozumiała. Powinna pamiętać, że niedaleko pada jabłko od jabłoni.

„Witaj w rodzinie” - powiedział John DePalma w Boże Narodzenie, kiedy Michael zawiadomił wszystkich, że się zaręczyli. Przypomniawszy sobie te słowa, Christy pokręciła głową nad własną naiwnością.

Jaka ty jesteś głupia!, łajęła się w myślach, czekając, aż ktoś odbierze telefon. Mieszkała w Atlantic City niemal przez całe życie - i znała wszystkie opowieści o Johnie DePalmie. Wystarczyło choć przez chwilę pomyśleć, by zrozumieć, że jej niedoszły teść mówił o rodzinie przez duże R.

Może nie tyle głupia, ile rozmyślnie ślepa. Połowa populacji Pleasantville miała takie czy inne powiązania z mafią. Do diabła, działalność

przestępca była właściwie najpopularniejszym miejscowym przemyślem, miejscową specjalnością. Niemal wszystkie telewizory, komputery i inne urządzenia elektroniczne w okolicy, w której dorastała, kupione zostały u niejakiego Nicka, lokalnego pasera. Ludzie wiedzieli, że w podziemiach pralni samoobsługowej mieści się nielegalny zakład bukmacherski, a u Mickeya Dee na rogu Czwartej i Głównej można było kupić nie tylko hamburgery, ale i narkotyki. Wszystko jednak sprowadzało się do tego, że Christy porzuciła Pleasantville dla bogatych przedmieść Filadelfii z jednego zasadniczego powodu. Gdyby chciała żyć na bakier z prawem, nie ruszałaby się stamtąd - i nie pracowała na dwa etaty, żeby opłacić studia i zdobyć wyższe wykształcenie.

Zamierzała osiągnąć sukces i nie martwić się jednocześnie, że jeśli coś pójdzie nie tak, przez kilka czy kilkanaście lat będzie musiała zadowolić się więziennym wiktem.

Myślała, że Michael - śniady, przystojny macho, starszy od niej o dziesięć lat mężczyzna, który nosił garnitury za tysiąc dolarów, znał się na winach i wykwinionych potrawach - czuje to samo, co ona. Pomimo tego, kim był jego ojciec. Pomimo tego, że dorastał w cieniu mafii. Myślała, że tak jak ona, miał już dość towarzystwa bandziorów. Oczywiście myliła się.

Kiedy tuż po ukończeniu studiów otrzymała od niego ofertę pracy za duże pieniądze, była ogromnie podniecona perspektywą nowych zwąń i życia w Filadelfii, skąd mogła szybko dostać się do Atlantic City, gdzie wciąż mieszkały jej matka i siostry. Cieszyła się - podobnie jak wielu krewnych Michaela - z perspektywy pracy u doświadzonego, zręcznego prawnika, który wziął ją, nieopierzoną nowicjuszkę, pod swe skrzydła. Przez kolejne dwa lata, kiedy pracowała w DePalma & Lowery, miała własne mieszkanie w eleganckiej, położonej na wzgórzach dzielnicy, pracę, którą uwielbiała, szafę pełną eleganckich, drogich ubrań, dobry samochód i nowych, sympatycznych przyjaciół. Kiedy Michael zaproponował jej małżeństwo podczas romantycznej kolacji przy świecach, nie zastanawiała się ani chwili: przyjęła jego oświadczenie niczym niezastulony dar niebios. Przez następnych kilka miesięcy była naprawdę szczęśliwa, szczęśliwsza niż kiedykolwiek dotąd.

Do chwili gdy Franky wśliznął się do jej mieszkania niczym biblijny waż do raj. Wyznał, że sknocił zadanie, które zlecił mu ludzie Michaela, i teraz boi się ich zemsty.

Słowa Michaela w telefonie wyrwały ją z rozmyślań. Z początku sam dźwięk znajomego głosu sprawił, że zrobiło jej się słabo. Wstrzymała oddech. Potem, kiedy zrozumiała, że słucha nagranej wiadomości, a nie

jego samego, odetchnęła z ulgą. Dopiero teraz przekonała się z całą pewnością: nie kochała już Michaela. Jedynym uczuciem, jakie budził w niej teraz eksnarzczony, był strach.

- ...oddzwonię, gdy tylko będę mógł. Dziękuję. - Bip.

Christy wzięła głęboki oddech. Gdyby tylko mogła z nim porozmawiać i wyjaśnić...

- Tu Christy. To ważne. Zadzwoń do mnie.

Gdy kończyła połączenie, zobaczyła, że drżą jej ręce.

Przez chwilę wpatrywała się w telefon, potem wzięła jeszcze jeden głęboki oddech i wybrała kolejny numer.

- Tak? - Głos po drugiej stronie był jej niemal równie dobrze znany jak głos Michaela.

- Wuj Vince? Tu Christy.

Słyszała, jak głośno wciągnął powietrze.

- Jezu Chryste, dlaczego do mnie dzwonisz? Nie mogę teraz z tobą rozmawiać. Mamy tu straszne gówno i...

Słyszała w jego głosie coś, co mówiło jej, że zaraz się rozłączy.

- W nocy ktoś próbował mnie zabić - przerwała rozpaczliwie. - Czy to był wasz człowiek? Czy Michael albo ktoś inny wydał na mnie wyrok?

Po drugiej stronie na moment zapadła cisza.

- Jezu. - Wydawało jej się, że Vince z trudem przełknął ślinę. - Nie, oczywiście, że nie. Mówiłem ci, że jeśli zrobisz, co ci każą, i będziesz trzymać język za zębami, nic ci się nie stanie.

- Posłuchaj, dostarczyłam walizkę. Powiedziałeś mi, że to wszystko, co muszę zrobić. Ale wczoraj w nocy znów ktoś do mnie zadzwonił i...

- Nie przez telefon. Nie mów o tym przez telefon. - Słyszała jego ciężki, przyspieszony oddech. - Posłuchaj, sprawdzę to. Umawialiśmy się, że dostarczasz walizkę i jesteś wolna. Ale może coś się zmieniło. Może u nich zrobiło się tak gorąco jak u nas i muszą zrobić coś innego, niż planowali. Rób, co ci każą, i czekaj na mój telefon. Muszę już kończyć.

- Poczekaj! Ten facet włamał się do domku, zniszczył drzwi, zamki...

- Zadzwoń do Tony'ego w Manelli Management. On się tym zajmie. I zostaw już ten cholerny telefon. Nie dzwoń przypadkiem do Carmen i nie mieszaj jej w to, choćby nie wiem, co się działo.

Teraz już się rozłączył.

„Nie dzwoń do Carmen”. Do matki. Christy westchnęła ciężko i zamknęła kłapkę telefonu. Nie, nie zadzwoni do matki, nałogowej palaczki, wielbicielki hucznych imprez i zakupów w centrach handlowych, przyjaciółki mafiosa, która pomimo wszystkich wad ogromnie kochała Christy i jej siostry. Gdyby Carmen dowiedziała się, że Christy jest



w niebezpieczeństwie, zrobiłaby Vince'owi taką awanturę, że słyszełiby ją aż w Kanadzie. A potem przejechałaby natychmiast na Ocracoke. Tutaj zrobiłaby jeszcze większą awanturę, co skończyłoby się tym, że zginełby zapewne obie - ona i Christy. A być może także Nicole i Angie.

Tak, z pewnością nie powinna dzwonić do mamy. Mimo to kusilo ją, by to zrobić. Kiedy miała prawdziwe kłopoty, kłopoty, wywracające jej świat do góry nogami, mama była pierwszą osobą, do której zwracała się po pomoc.

Przykład: po rozmowie z Michaeliem zrobiła to, co robi każda dorosła kobieta, jeżeli zdarzy jej się rzucić narzeczonego i pracę jednocześnie - zadzwoniła do mamy. Ponieważ sama nie zdążyła jeszcze przeanalizować do końca swej nowej sytuacji, nie zdradziła jej przyszłego, powiedziała tylko, że pokłóciła się z Michaeliem. „Przyjedź do mnie, pogadamy” - brzmiała dobrze sprawdzona recepta Carmen. Kiedy jednak Christy posłuchała jej rady i pojechała prosto do Atlantic City, przeżyła szok, największy dotychczas w życiu: gdy zatrzymała się na skrzyżowaniu w pobliżu domu matki, samochód otoczyła gromada zbirów. Mierząc do Christy z pistoletu, kazali jej wysiąść z toyoty i wrzucili na tylne siedzenie zaparkowanego w pobliżu czarnego auta, w którym czekał wujek Vince. Zabrał ją na „przejażdżkę” i wyjaśnił krótko, jak wygląda jej nowa sytuacja życiowa. Christy oblała się zimnym potem, kiedy wreszcie wszystko zrozumiała.

Jeśli zamierzała wybrać się do znajomej pani prokurator i powie-dzieć o wszystkim, co wiedziała - a Christy rzeczywiście brała pod uwagę taką możliwość - to ta krótka przejażdżka z wujkiem skutecznie ją od tego odwiodła. Chora ze strachu, zgodziła się wyświadczyć mu „prysługę”: zawieźć walizkę, którą jej dał, na Ocracoke, czekać tam na telefon i dostarczyć walizkę we wskazane miejsce. Vince obiecał jej, że jeśli to zrobi i będzie trzymać język za zębami, może być spokojna o życie swoje i rodziny. Wydawało jej się wtedy, że rozumie jego intencje: chciał wplątać ją w jakąś kryminalną intrygę, by potem nie mogła pójść na policję, nie narażając się tym samym na poważne kłopoty. Prawnik oskarżony o współpracę z mafią nie miałby już szans na pracę w swoim zawodzie. Gdyby wyświadczywszy Vince'owi ową przysługę, zdecydowała się zawiadomić policję, długie lata ciężkiej pracy poszłyby na marne. Mogłaby wyrzucić do śmieci swój dyplom, zdobyty z tak wielkim trudem. Wtedy ona także stałaby się przestępcą.

Rozumiała to. I była gotowa postawić na szali własną przyszłość, dostarczyć walizkę i zapomnieć o tym, co wiedziała. Z pewnością to lepsze, zdecydowanie lepsze niż śmierć jej samej i całej rodziny.

Wuj Vince postawił sprawę jasno: jeśli Christy nie zechce współpracać, narazi nie tylko siebie, ale także matkę i siostry.

Kiedy więc w końcu dotarła do Carmen tego wieczora, powiedziała tylko, że zerwała z Michaeliem, a w związku z tym rzuciła też pracę, i że wyjeżdża na krótkie wakacje na Ocracoke, gdzie zatrzyma się w domku, w którym wuj Vince wspomniał wcześniej, że zamieszkać.

Carmen przyjęła to wszystko ze zrozumieniem. Wiedziała, co znaczą kłopoty z mężczyznami.

Z rozmyślań wyrwało Christy głośne stukanie w szybę. Podskoczyła na fotelu, wracając nagle do rzeczywistości. Z bijącym sercem odwróciła głowę

tak szybko, że zabolala ją szyja. Gdy ujrzała ciemne oczy Gordiego Castellano, omal nie wyskoczyła z samochodu, w porę jednak się opanowała. To on zastukał w szybę jej samochodu. Na ulicy było pełno ludzi, a Castellano miał na sobie mundur. Chyba nie zamierzał zrobić jej krzywdy?

Opuszczając szybę, uświadomiła sobie, że oddycha zbyt szybko i przygląda mu się nazbyt podejrzliwie.

- Czy coś się stało? - spytał, marszcząc brwi. - Siedzi tu pani już od dłuższego czasu.

- Dzwoniłam. - Christy zdobyła się na sztuczny uśmiech. - Ale dziękuję za troskę.

- Rozumiem. Przepraszam, że przeszkodziłem. - Podniósł rękę w poże-gnalnym geście i wyprostował się. Słońce świeciło tak jasno, że musiała zmrużyć oczy, kiedy na niego patrzyła - a to, co zobaczyła, zmroziło krew w jej żyłach. W blasku odbitym od wypolerowanej karoserii jego rysy zamazały się tak, że widać było jedynie sylwetkę - przysadzistą, groźną postać, bardzo, bardzo podobną do tej, którą widziała na plaży.

Lecz czy tę samą? Boże, nie była pewna.

Drżącą ręką wcisnęła guzik podnoszący szybę.

Weź się w garść, przykazała sobie surowo w myślach, gdy szyba od-dzieliła ją już od mężczyzny. Może to był on, a może i nie, ale tak czy inaczej, tutaj nic ci nie zrobi.

Mimo to wciąż nie mogła się opanować. Świadoma, że zastępca szeryfa ją obserwuje, pomachała mu przez szybę i wyjechała na ulicę. Dochodziła druga i musiała się spieszyć.

Czy to właśnie Castellano miał na nią czekać w latarni, czy też ktoś inny? Głos w słuchawce powiedział, że ktoś się z nią skontaktuje. To mogło oznaczać każdego.

Jednego była pewna - no, prawie pewna - że głos w telefonie nie należał do tego mężczyzny.



Teraz mogła tylko, rozmyślała, ostrożnie stawiać kroki i próbować jakoś wy dostać się z tego labiryntu strachu, nim będzie za późno.

Spojrzała we wsteczne lustro. Castellano stał nieruchomo na chodniku i patrzył za jej odjeżdżającym samochodem. Przyjacielska troska czy raczej coś złowieszczego? Nie wiedziała. Nie umiała odczytać jego intencji. Do diabła, kto by potrafił na jej miejscu?

Analizując w myślach różne możliwości, mijała rodziny w szortach i sandałach, niedzielnych rowerzystów, malownicze, obficie zdobione budynki oraz senne konie ciągnące bryczki pełne turystów przez kręte uliczki Ocracoke. Niestety, nie mogła docenić ani swobodnej atmosfery wakacji, ani dziewiętnastowiecznej urody miasteczka, gdyż przez cały czas dręczyło ją śmiertelne przerażenie. Antykwariaty, restauracje z wystawionymi na chodnik tablicami zachwalającymi świeże owoce morza, malownicza przystań, gdzie na leniwych falach kołysały się łodzie i jachty - wszystko to jakby nie docierało do jej świadomości. Gdy w końcu ujrzała biały budynek latarni morskiej, była zaskoczona, że jest już u celu podróży. Parkując, zauważyła, że w otaczającym latarnię parku aż roi się od turystów. Gdy wysiadła z samochodu, przyszło jej do głowy, że właściwie nie wie, kogo powinna szukać.

Nie miało to większego znaczenia. Była pewna, że ten, na kogo tu czeka, sam ją znajdzie.

Na zewnątrz znów buchnął na nią wilgotny żar. Lepki pot oblepił jej ciało, gdy uczyniła zaledwie kilka kroków. Szorty sięgały zaledwie do połowy uda, a koszulka została uszyta z cienkiej, przewiewnej bawełny, a mimo to Christy uznała, że byłoby jej równie gorąco, gdyby opatuliła się szalenie grubym zimowym płaszczem. Przywołując w myślach obrazy lodowców i zziębniętych pingwinów, przeszła przez parking, a potem przez trawnik i przystanąła przy białym płocie zagrządzającym wejście do latarni, która, jak wynikało z broszury podanej przez usługowego pracownika obsługi, została zbudowana w 1823 roku. Pomiędzy wspaniałego błękitnego, bezchmurnego nieba i turkusowego oceanu w tle latarnia wyglądała bardzo prozaicznie. Przyglądając się jej zza białego płotu, Christy pomyślała, że ten bardzo rozreklamowany zabytek przypomina w istocie wielką solniczkę. Solniczkę ustawioną pośrodku trawnika.

W porządku, może tego dnia nie była w nastroju do romantycznych uniesień.

Ale przynajmniej jej szósty zmysł wciąż działał prawidłowo. Uświadomiła to sobie, kiedy poczuła nieprzyjemne mrowienie na plecach, jakby ktoś wpatrywał się w nią uparcie. Ścisnąc w dłoni broszurę niczym

linę ratunkową, rozejrzała się wokół. Nikt nie zwrócił jej uwagi ani nie wzbudził podejrzeń. Mimo to wciąż czuła, że ktoś na nią patrzy.

Wszędzie dokoła kręcili się ludzie, ale wszyscy byli zajęci swoimi sprawami.

Po chwili uzmysłowiła sobie, że oddycha nerwowo, nierówno, a jej serce wykonuje w piersi jakiś dziwny, chaotyczny taniec. Dopiero po chwili zauważyła, że zgniotła broszurę niemal na miazgę. W ciągu ostatnich kilku dni nauczyła się, że strach ma nieprzyjemny, metaliczny smak i kiedy zwilżyła językiem wysuszone wargi, znów go poczuła.

Wyrzuciła broszurę do kosza i ruszyła nerwowym krokiem przed siebie, wzdłuż płotu, na taras widokowy. W pobliżu tarasu znajdował się snack-bar, a dalej muzeum poświęcone Czarnobrodemu i sklep z piatkami. Wykute w skale schody prowadziły w dół, na plażę, gdzie budowano instalację odtwarzającą ostatnią bitwę Czarnobrodęgo. Turysty przechadzali się w mniejszych i większych grupach, robili sobie zdjęcia na tle latarni, objadali się hamburgerami, preclami i frytkami. Zapachy unoszące się w powietrzu przyprawiły Christy o mdłości, dręczył ją coraz silniejszy ból głowy, spowodowany zapewne przez upał i brak snu. Uświadomiła sobie, że jeszcze nic nie jadła tego dnia. Wciąż czuła, że ktoś ją obserwuje, nie potrafiła jednak zlokalizować intruza. Rzucając ukradkowe spojrzenia na boki, spacerowała po parku, udając znudzoną turystkę w oczekiwaniu na klepnięcie w ramię czy inny sygnał wskazujący, że ktoś chce nawiązać z nią kontakt.

Chodziła tak półtorej godziny. W tym czasie została jedynie zaatakowana plastikowymi mieczami przez grupę rozwrzeszczanych dzieciaków w pirackich kapeluszach, które na własną rękę odtwarzały ostatnią bitwę Czarnobrodęgo. Jakiś starszy mężczyzna poprosił, by zrobiła zdjęcie jemu i jego rodzinie na tle latarni, od czasu do czasu odganiała też natrętne komary, które nawet o tej porze dnia nie dawały jej spokoju. Telefon do firmy, której zleciła naprawę domku, pochłonał niecałe pięć minut, potem znów musiała szukać sobie jakiegoś zajęcia. Wreszcie, zmęczona nieustannym wpatrywaniem jakiegoś znaku w kolorowym tłumie turystów, poddała się i wycofała do baru, gdzie poprosiła o dużą colę light i aspirynę. Było zbyt gorąco na cokolwiek innego, zresztą Christy i tak nie miała apetytu.

Zmęczona i niepocieszona, usiadła przy jednym z metalowych stolików, połknęła aspirynę, wypiła colę i przeczytała broszurę pozostawioną przez jakiegoś innego turystę.

Najbardziej zainteresowała ją informacja, że w niedzielę latarnię i park zamykano o piątej po południu.

Została więc jeszcze niecała godzina. Choć Christy nie wyzbyła się strachu, nie miała najmniejszej ochoty wychodzić z miłego cienia na piekące słońce. Jeśli ktoś chciał ją znaleźć, nie powinien mieć z tym większego problemu. Nosila jaskrawopomarańczową koszulkę, a poza tym była jedną z nielicznych samotnych osób w tym miejscu.

A co, jeśli nikt się z nią nie skontaktuje? To pytanie zaczęło dręczyć Christy, kiedy wybrała się na chwilę do toalety. Czy może się spakować i wyjechać do domu?

Chciałabyś, pomyślała z żalem. Napotkała w lustrze zdziwiony wzrok jakiejś kobiety, która pomagała córeczce umyć ręce, i zrozumiała, że to ostatnie słowo wymówiła na głos.

Zamknęła się w kabinie, załatwiła co trzeba, i zmagala się właśnie z plastikowym podajnikiem papieru toaletowego, kiedy jej spojrzenie powędrowało w dół, pod drzwi.

Tuż obok nich przesunęły się czarne męskie buty. Niemal w tym samym momencie drzwi sąsiedniej kabiny otworzyły się z cichym sykkiem.

## Rozdział 11

Odprowadziwszy dyskretnie Christy do damskiej toalety, Luke postanowił zaryzykować i sam szybko wybrał się do męskich ubikacji. Właśnie wychodził, chcąc jak najszybciej oddalić się do miejsca, z którego mógłby niezauważony obserwować wracającą do baru Christy, kiedy ta wystrzeżliła jak pocisk zza drzwi i wpadła prosto na niego. Cholera.

- Hej - powiedział, chwytając ją za łokcie, kiedy odsunęła się od niego z piskiem. Nie zamierzał dopuścić, by klapnęła tym swoim seksownym tyłeczkiem prosto na podłogę: i tak wciąż miał wyrzuty sumienia, że nie zapobiegł wypadkom minionej nocy. Nie mógł jednak przewidzieć, że ktoś włamie się do domu i zaatakuje Christy siekiera. Spodziewał się raczej, że odwiedzi ją narzeczony. W całym ciągu nieszcześliwych przypadków i porażek pojawił się bowiem jeden jaśniejszy punkt: na kubku ze Starbucks odnaleziono fragment odcisku palca Michaela DePalmy. Oczywiście nie był to żaden decydujący dowód - kubek mógł leżeć w samochodzie już od dłuższego czasu i zostać wyrzucony przez kogoś z ludzi mafiosa - Luke gotów był się jednak założyć, że Donnie junior jest na wyspie.

- Luke...

Nie wiadomo czemu, Christy najpierw popatrzyła w dół, na jego buty. Potem podniosła głowę i spojrzała mu w oczy. Luke natychmiast zrozumiał, że jego sąsiadka, podopieczna i podejrzana jednocześnie, jest ogromnie wystraszona. Odruchowo napiął mięśnie. Ostatnio spadały na nią same nieszczęścia.

- Co się stało?

Jej usta drżały; zerknęła nerwowo na drzwi.

- Myśle... ten mężczyzna jest w środku. Człowiek z plaży.

Drzwi śmiertelnie przerażona. Spojrzał ponad jej ramieniem na drzwi, zza których właśnie wyszła.

- Poczekaj tu - rzucił ostro i zdecydowanym krokiem wszedł do damskiej toalety. Odetchnął z ulgą, nie słysząc oburzonych krzyków ani pisków, choć jak się okazało, powód był prosty: w środku nikogo nie było. Upewnił się szybko, że wszystkie kabiny są wolne, odkrył też, że z tyłu pomieszczenia znajdują się drugie drzwi. Pamiętając, że zostawił Christy samą, zawrócił i wyszedł tędy, którą wszedł do toalet. W momencie gdy otwierał drzwi, omal nie wpadła na niego jakaś starsza kobieta. Stała jak wryta i wbiła weń zdumione oczy.

- Przepraszam, pomyliłem drzwi - mruknął i wyszedł szybko, odprowadzony oburzonym wzrokiem starszej damy.

Christy stała oparta plecami o pomalowaną na żółto, betonową ścianę korytarza. Przesunął spojrzeniem po dziewczynie, uświadamiając sobie po raz kolejny, jak bardzo jest wystraszona - i jak bardzo seksowna. Niemal automatycznie zarejestrował szczegóły jej wyglądu: proste brązowe włosy założone za uszy, wilgotna od potu skóra, zmarszczone brwi, delikatne różowe, lekko rozchylone usta i unoszące się miarowo piersi, które przyciągały wzrok każdego mężczyzny. Mimowolnie zauważył, że wilgotna od potu koszulka okleiła jej ciało, ujawniając nie tylko bandaże na ramieniu, ale i krągłe guziczki sutków; że krótkie szorty odsłaniały jej oszalałymi zgrabne nogi oraz że jest szczupła i bardzo ładna. Zauważył też, że jej twarz jest blada jak ściana, a oczy niemal czarne ze strachu.

- Pusto - powiedział, odpowiadając na jej niespokojne, pytające spojrzenie.

- Niemożliwe.

- Z tyłu są drugie drzwi. Chodźmy.

Nie chcąc zostawić jej samej, pochwycił ją za rękę i pociągnął za sobą, a potem ruszył szybko na zewnątrz, by przekonać się, czy ktoś nie ucieka chyłkiem z budynku. Christy poszła za nim bez sprzeciwu, miał też wrażenie, że ucieszyła się, iż nie jest już sama. Że ucieszyła się z jego towarzystwa.

Nagle poczuł się za nią odpowiedzialny. Bez względu na to, co zrobiła czy też czego nie zrobiła, z pewnością miała już za dużo kłopotów, by radzić sobie z nimi w pojedynkę.

- Co ty robisz? - spytała, kiedy przystanął za budynkiem baru, przysłonił oczy i rozejrzał się dokoła. Nie wiedział, jak to się właściwie stało, ale ich palce były teraz splecione. Czuł jej miękką skórę, która przy-

pomiwała mu, jak trzymał tę dziewczynę w ramionach poprzedniej nocy. Jej ciało było ciepłe i jędrne, wyglądała tak cudownie kobieco w tym czerwonym szlafroku...

Opanuj się, przykazał sobie w myślach. Musiał pamiętać o tym, że w grze w kotka i myszkę, którą prowadził z Donniem juniorem, ona była przynętą dla myszki.

- Jeśli wyszedł tylnymi drzwiami, powinniśmy go jeszcze zobaczyć.

- Nie ma go tutaj - oświadczyła Christy z przekonaniem.

Wodząc wzrokiem po potencjalnych podejrzanym, musiał przyznać, że prawdopodobnie miała rację. Grupa rozchichotanych dziewczyn ze słuchawkami na uszach zmierzała w stronę baru. Jakaś starsza para usiadła przy jednym z plastikowych stolików, by w spokoju zjeść lody. Dostawca pchał wyładowany pudłami wózek po betonowym chodniku prowadzącym do sklepu z pamiątkami. Przez moment Luke zastanowił się, czy to właśnie on jest mężczyzną, którego szukała, ten facet był jednak Murzynem, a Christy twierdziła, że napastnik był biały.

- Czy on mógł przejść do męskich toalet? - Christy patrzyła na budynku. Luke także tam spojrzał i zauważył, że tam również są tylne drzwi.

- Sprawdź.

Ale choć wypuścił z uścisku jej dłoń i poszedł do toalety, by szukać krepiego, śniadego mężczyzny średniego wzrostu - bo tak opisała psychopatę z minionej nocy - wiedział, że jest za późno. Jeśli facet rzeczywiście wszedł za Christy do damskiej toalety, a potem wycofał się tylnym wyjściem i przeszedł do męskiej, z pewnością dawno już prysnął. Na pewno zorientował się, że Christy go zauważyła, więc raczej nie czekał, aż ktoś go złapie.

Miał rację. W męskiej toalecie był tylko jakiś chudy nastolatek korzystający z pisuaru. Luke rozejrzał się uważnie, nie dostrzegł jednak niczego podejrzanego. Wrócił do Christy.

Stała tam, gdzie ją zostawił, ręce miała skrzyżowane na piersiach.

- Nie ma nikogo - powiedział, podchodząc do niej. - Chcesz zadzwonić do szeryfa?

Zawahała się na moment, a potem pokręciła głową. Spojrzała na niego podejrziwie.

- Co tu robisz? - spytała. Czuł, jak wyrasta między nimi bariera, jak Christy oddała się od niego i sztywnieje.

Nie była głupią dziewczyną, o nie.

- Pewnie to samo, co ty. Zwiedzam latarnię. Przecież turysta musi robić to, co należy do turysty, czyż nie?

Obdarzył ją uśmiechem, który miał wyglądać jednocześnie niewinnie i czarująco. Nie była to może doskonała odpowiedź, ale nie mógł wyjawić prawdy: że po bezskutecznym obserwowaniu promów mógł liczyć jedynie na wyznaczone spotkanie przy latarni. Obserwował Christy, odkał tu przysła, w nadziei że ktoś się z nią spotka - może nawet sam Donnie junior albo ktoś, kto mógłby ich do niego zaprowadzić. Przegapił jednak tego faceta w damskiej toalecie - jeśli rzeczywiście on tam był i nie jest to tylko wytwór wyobraźni Christy - co bardzo go niepokoiło. Co jeszcze mógł przegapić?

Nie wyglądała na całkiem przekonaną, czemu wcale się nie dziwił. On też by tego nie kupił, spróbował więc odwrócić jej uwagę od tej sprawy.

- Powiedz mi, co się właściwie wydarzyło w toalecie?

Udało się. Christy znów zaczęła się rozglądać, wyraźnie przestraszona.

- Zobaczyłam jego but, to znaczy but, który mógł być jego. Czarny, roboczy but z porysowanym czubkiem. Byłam w kabinie i widziałam ten but obok moich drzwi.

Zadrżała. Teraz Luke wiedział już, dlaczego spojrzała na jego stopy, gdy wpadła nań pod drzwiami. Sprawdziła buty. Luke miał na nogach klapki, poza tym nosił długie do kolan szorty i granatową koszulkę z napisem: „Nurkowie robią to w głębinach”. Nie był to może strój zalecany przez biuro, ale dzięki temu wyglądał jak rasowy turysta.

- Jesteś pewna?

- Ze widziałam czarny roboczy but? Tak. Że to jego... - zawałała się, by jeszcze raz przeanalizować tę kwestię. - Nie. Nie jestem pewna w stu procentach. Choć tak pomyślałam.

- Hmm... - Luke rozejrzał się ponownie dokoła, tym razem przysłuchując się uważniej obuwii pobliskich turystów. Dostawca już zniknął, starsza para nie wchodziła w grę... Jedna z dziewczyn miała na nogach wysokie, wojskowe buty.

- Czy to mógł być taki właśnie but? - spytał, wskazując głową na nastolatkę. Christy spojrzała w kierunku dziewcząt i zmarszczyła brwi.

- Być może - odparła, nie wyglądała jednak na przekonaną.

- Jesteś pewna, że nie chcesz zadzwonić do szeryfa?

- Po co? Co mu powiem, że widziałam podejrzanego but?

Luke podniósł na nią oczy, zaskoczony pełnym znużenia tonem. W miejscu, gdzie stali, na tyłach baru, słońce prażyło niemiłosiernie. Jemu to nie przeszkadzało, prawdopodobnie dlatego, że przywykł do długiego przebywania na słońcu podczas wakacji, których nie dane mu było dokończyć. Wyglądało jednak na to, że upał i przeżycia minionej nocy pozbawiały Christy resztek sił. Choć jej policzki nieco się zaróżo-

wiły, wciąż była o wiele za biała i miała mocno podkrążone oczy. Nie spała też pewnie dłużej niż godzinę czy dwie, czyli tyle samo co on. Tyle że Luke był do tego przyzwyczajony. Brak snu był nieodłączną częścią jego pracy.

Poczuł, że ponownie budzi się w nim instynkt opiekuńczy i że choć wcale tego nie chce, znów zaczyna się o nią martwić.

- Jadłaś już lunch?

Pokręciła głową.

- Śniadanie?

-Nie.

- A w ogóle coś dzisiaj jadłaś?

- Wypiłam colę. I wzięłam aspirynę.

- Kupię ci lody w rożku, co ty na to?

Była to spontaniczna propozycja, rzucona głównie dlatego, że Christy wyglądała na kogoś, kto potrzebuje trochę cukru, by nabrać sił i humoru. Dziewczyna jednak zawałała się na moment, jakby niepewna, co powinna odpowiedzieć. Niemal czytał w jej myślach: jeśli miała się z kimś skontaktować, to jego towarzystwo mogło w tym przeszkodzić. Dla Luke'a także było to nie najlepsze rozwiązanie, nie chciał bowiem odstraszyć kogoś, kto mógł zaprowadzić go do Donniego juniora. Christy wyglądała jednak tak samotnie, tak smutno i... nie ma co kryć, tak seksownie, że skutecznie odwołała go od realizacji ułożonego wcześniej planu.

- Więc jak będzie? - W jego głosie pobrzmiwała nuta irytacji, nie chciał bowiem przyznać nawet przed samym sobą, że dziewczyna tak bardzo go pociąga, iż gotów jest dla niej narobić sobie kłopotów.

- Chętnie zjem lody - odrzekła z uśmiechem, który na moment rozjaśnił jej twarz.

Luke po raz kolejny złał się w myślach, kiedy jego serce zareagoowało na te słowa radosnym podskokiem.

- No to chodźmy.

W milczeniu ruszyli w stronę baru. Pilnował się, by nie dotknąć jej ręki i raz po raz powtarzał sobie w myślach, że Christy jest dziewczyną Donniego juniora, że wpadła w poważne kłopoty, i wkrótce prawdopodobnie będzie musiał ją aresztować. Na próżno. Im bardziej się starał, tym wyraźniej stał mu przed oczami obraz z minionej nocy: Christy ubrana w seksowne różowe majteczki i obcisłą koszulkę. I wcale mu nie przeszkadzało, że była wtedy cała okrwawiona.

- Jaki smak? - spytał szorstkim tonem, choć złościł się raczej na siebie niż na nią.

- Waniliowy, jedna gałka, jeden wafel - powiedziała, zwracając się do dziewczyny stojącej za ladą.

Zamówił dwie gałki, zapłacił i oboje przeszli do plastikowych stolików ustawionych pod rozłożystymi gałęziami dębów, które tworzyły oazę chłodnego cienia pośrodku zalanego słońcem parku. Starsza para już odeszła, przy sąsiednim stoliku siedziały dwie kobiety w średnim wieku, które popijały jakiegoś napoje, rozmawiały i obserwowały grupę dzieci bawiących się na trawniku. Wszystko to, łącznie z turkusowym tłem morza i nieba, tworzyło prawdziwie sielską atmosferę. Szkoda, że Christy nie mogła się tym cieszyć.

- Jak tam ramię? - spytał, skupiając wzrok na lekkim zgrubieniu widocznym pod rękawem jej t-shirtu i starając się nie patrzeć na żadną inną część ciała Christy, jak choćby seksowny tyłeczek, który kołysał się miarowo, kiedy szła w stronę stolików.

Wzruszyła ramionami i spojrzała na niego przelotnie.

- Przeżyje.

Usiedli przy stoliku najbardziej oddalonym od rozbawionych dzieci. Lekka bryza przyniosła zapach morza, łagodząc nieco upał. Koło nich wznosiły się potężne, omszałe pnie dębów. Brzęczały owady, śpiewały ptaki, krzyczały rozbrykane dzieci, co przypominało mu, dlaczego wciąż jest sam, pomimo zabiegów kilku jego byłych dziewczyn.

- Ile szwów ci założyli?

- Trzy. Dostałam też zastrzyk przeciwtężcowy. - Skrzywiła się, kiedy wąska strużka roztopionych lodów pocięła jej po palcu. Luke obserwował zafascynowany, jak podniosła dłoń do ust i oblizowała ją. Widok jej języka dotykającego roztopionych lodów skierował jego myśli na niebezpieczny tor. Potrzebował dłuższej chwili, by się opanować i skupić uwagę na aktualnym zadaniu, którym było wyciągnięcie od Christy jak najwięcej informacji.

- Muszę przyznać, że trochę mnie zaskoczyłaś. Myślałem, że po takiej ciężkiej nocy nie będziesz miała siły na wycieczki. Nie powinnaś leżeć w łóżku i odpoczywać?

Christy wbiła wzrok w wafelek.

- Szeryf chciał, żebym wpadła do niego i przejrzała zdjęcia miejscowych bandziorów. Pomyślałam sobie, że skoro i tak już wyszłam z domu, to obejrzę latawiec. - Wzruszyła ramionami. - Jak sam powiedziałeś, turysta musi robić, co do niego należy.

Tak.

- Pewnie zechcesz teraz skrócić trochę wakacje?

- Jeszcze się nad tym nie zastanawiałam. - Przesunęła językiem po lśniącej, białej powierzchni gałki. - Jak poszło spotkanie?

Spotkanie? Przez moment, kiedy patrzył na jej różowy język, nie rozumiał, o co chodzi. Potem odzyskał przytomność umysłu na tyle, by przypomnieć sobie o kłamstwie, którym ją uraczył. A tak, prawda, zostawił ją rano u lekarza, bo musiał jechać na ważne spotkanie.

- Całkiem nieźle - odparł i odgryzł kawałek wafła. - Szeryf ma już jakąś hipotezę?

- Mówił coś o seryjnym zabójcy, ale to tylko jedna z teorii. - Znow polizła lody i nagle podniosła na niego oczy. Luke drgnął, zaskoczony. - Słuchaj, moglibyśmy nie rozmawiać na razie o tym, co się stało? Wolałabym choć na chwilę o tym zapomnieć.

Oznaczało to prawdopodobnie, że Christy, tak jak i Luke, nie wierzy do końca w historię o seryjnym zabójcy. Im dłużej się nad tym zastanawiał, tym bardziej prawdopodobne mu się wydawało, że dziewczyna naraziła się czymś mafii.

- Jasne. - Luke skupił się na lizaniu lodów, obserwując jednocześnie, jak robi to Christy. Nie, ten pomysł nie był dobry. Z trudem ode-rwał od niej wzrok. - Powiedz mi coś. Dlaczego w ogóle przyjechałaś na Ocracoke sama?

W jej oczach pojawił się zdradliwy błysk. Nie umiała dobrze klamać. Luke zauważył ten błysk już wcześniej i był niemal pewien, że oczy jej lśniły zawsze, kiedy mijała się z prawdą.

- Po prostu chciałam wyjechać.

- Twój chłopak nie mógł przyjechać?

- Dlaczego uważasz, że mam chłopaka?

Uśmiechnął się szeroko.

- Taka ładna dziewczyna jak ty musi mieć chłopaka. To pewne. Albo męża. Ale ty nie nosisz obrączki, więc zakładam, że nie jesteś mężatką.

Christy zmarszczyła lekko nos, co odebrał jako podziękowanie za komplement i polizła czubek wafła. I przełknęła. Luke musiał szybko przenieść spojrzenie na dzieci, by nie oskarżono go o obrazę moralności.

Boże, kiedy po raz ostatni przytrafiło mu się coś podobnego?

- Masz rację, nie jestem mężatką. Ale nie mam też chłopaka. Już nie.

- Tak? - To była naprawdę ważna i zaskakująca wiadomość, oczywiście jeśli go nie okłamywała, a ponieważ nie dostrzegł w jej oczach żadnego błysku, zapewne mówiła prawdę. - Wygląda na to, że przydarzyło wam się coś niemiłego.

Luke wbił zęby w wafel, czekając cierpliwie na odpowiedź. Nie miał najmniejszego zamiaru patrzeć na to, co Christy robiła ze swoim różkiem.

Oho. Znów coś błysnęło w jej oczach.

- Nie, wcale nie. Po prostu.... rozstaliśmy się.
- Niedawno? - W porządku, nie potrafił patrzeć wyłącznie na jej oczy. Ponownie wbił wzrok w swój wafel.
- Bardzo niedawno.

To ci dopiero nowina. Christy gryzła powoli swój rożek, jej proste białe zęby zaciskały się na słodkim brązowym wafle. Jej usta smakowałyby jak lodowy rożek... Znów musiał powiedzieć sobie w myślach: Skup się na śledztwie, ty zbrojeńcu.

- Tak, to sporo wyjaśnia. Przyjechałaś tu leczyć złamane serce, tak? Spuściła oczy i milczała dość długo, by zrozumiał, że odpowiedź brzmi: nie.

- Coś w tym rodzaju.

Pomimo najlepszych chęci nie potrafił się opanować i znów przywarł spojrzeniem do jej języka, który wcisnął się głęboko do pustego już rożka. Opamiętał się w ostatniej chwili i odwrócił głowę, by spojrzeć na dzieci i ich matki. Dopiero wtedy odkrył, że dzieci już nie ma; nawet nie zauważył, kiedy odbiegły, co było o tyle zdumiewające, że bachory wrzeszczały bez opamiętania. Ale on przecież skupił się na innych rzeczach.

- Ten chłopak... też jest prawnikiem?
- Christy spojrzała nań spod przymrużonych powiek. Bogu dzięki, że kończyła już jeść swój rożek. Kiedy włożyła do ust ostatni kawałek, Luke omal nie odetchnął głośno z ulgą.
- Dlaczego tak sądzisz?
- Ty jesteś prawniczką. To chyba normalne, że twój chłopak może zajmować się tym samym.
- Wiesz, zadajesz dużo pytań.
- Po prostu jestem ciekaw.
- Naprawdę? Tylko tyle? - Wytarła palce w serwetkę, położyła obie dłonie na stole i podniosła nagle głowę, spoglądając wyzywająco prosto w jego oczy. - W porządku, teraz ty mi coś powiedz: co tak naprawdę tu robisz?
- Musiał przyznać, że go zaskoczyła. Tylko swemu wyszkoleniu zawdzięczał, że udało mu się nic nie okazać.
- Siedzę i rozmawiam z tobą? - Uśmiechnął się krzywo, próbując zyskać na czasie.

Christy zacisnęła usta.

- Bardzo śmieszne. I nie próbuj mi wmawiać, że przyszedłeś obejrzeć latarnię, bo i tak ci nie uwierzę. To zadziwiający zbieg okoliczności,

że znaleźliśmy się tutaj oboje w tym samym czasie. A ja nie wierzę w zbiegi okoliczności.

Zawsze się obawiał, że kiedyś przyjdzie mu radzić sobie z dziewczyną, która będzie nie tylko śliczna, ale i bystra. No i doczekał się.

- Cóż, chyba mnie złapałaś. - Skrzywił się, a potem uśmiechnął ze skruchą. - Dobrze, przynajmniej zobaczyłem cię wcześniej w mieście i śledziłem cię.

- Śledziłeś mnie? - Wyprostowała się na krześle i popatrzyła na niego z wielką podejrziwością. - Dlaczego?

- Jezu, czy naprawdę muszę ci to mówić? Uważam, że jesteś śliczna. Że jesteś seksowna. Szedłem za tobą, bo chciałem zaprosić cię na kolację, ale potem przyszło mi do głowy, że może jesteś już z kimś umówiona, więc czekałem, żeby się o tym przekonać.

- Chciałeś zaprosić mnie na kolację? - Widać było, że zastanawia się nad jego odpowiedzią. Najwyraźniej przyzwyczajona była do różnego rodzaju objawów zainteresowania ze strony mężczyzn. Luke nie zdołał jej jeszcze całkiem przekonać, ale był na najlepszej drodze ku temu.

- Czemu nie? Jesteś sama, ja też jestem sam, a oboje musimy jeść.

Jeszcze raz przyjrzała mu się uważnie.

- Hmm...

- To oznacza tak czy nie?

Jej oczy złagodniały nieco.

- Wiesz, naprawdę bym chciała, ale...

- Więc powiedz „tak”. Co będziesz robić? Jeść sama? Wrócisz do domu i zamówisz pizzę?

- Mam wynajęty pokój w hotelu na tę noc.

- Moglibyśmy się spotkać w hotelowej restauracji. Powiedz tylko kiedy.

- Nawet nie wiesz, w którym hotelu mieszkam.

- Możesz mi powiedzieć. Lepsze to niż samotna kolacja w pokoju.

Na pewno nie chciała znów być sama przez cały wieczór. Nie dziwił się jej. Nie po tym, co ją spotkało minionej nocy.

- Christy? Jaki hotel?

Ich spojrzenia spotkały się na chwilę.

- Silver Lake - skapitulowała w końcu. - Ale pamiętaj, to nie jest randka. To tylko przyjacielska kolacja.

- Rozumiem doskonale. Będę tam o... której? Wpół do siódmej? Siódmej?

- O siódmej.



Spojrawszy na minę dziewczyny, Luke zrozumiał, że Christy zaczyna się już zastanawiać, czy dobrze postąpiła. Uśmiechnął się promiennie.

- Nie martw się, mama nauczyła mnie, że bym nie próbował od razu zaciągnąć dziewczyny do łóżka. - Milczał przez moment i dodał: - Zawsze czekam co najmniej sekundę.

Roześmiała się. Po raz pierwszy widział, jak się śmieje. Dołki w jej policzkach były niemal równie urzekające jak iskry rozbawienia w oczach. Uśmiechnął się szerzej, ucieszony jej radością.

Nagle gdzieś w pobliżu rozległ się dzwonek telefonu.

Christy nagle przestała się śmiać. Otworzyła szerzej oczy. Radość natychmiast zniknęła z jej twarzy. Patrząc na nią, Luke poczuł, że i on zaczyna się denerwować.

- Przepraszam. - Zerwała się z krzesła i odeszła od stolika, szukając w torebce telefonu. Omal jej przy tym nie wypuściła. Potem włożyła torebkę pod ramię, odebrała połączenie i przyłożyła telefon do ucha.

Nie usłyszał ani słowa. Była poza zasięgiem jego słuchu, stała oparta o pień potężnego starego dębu i mówiła przyciszonym głosem. Nie mógł także wyczytać niczego z ruchu jej ust, bo odwróciła się plecami. Tak naprawdę jednak wcale się tym nie martwił. Gary dowiódł niedawno, że rzeczywistość jest geniuszem komputerowym; za pomocą jakichś informatycznych czarów stworzył system, dzięki któremu mogli podслуchiwać wszystkie rozmowy, jakie Christy prowadziła ze swojej komórki.

Toteż Luke błogosławił w myślach kolegę, czekając na powrót Christy. Dopiero gdy dziewczyna ruszyła w jego stronę, uświadomił sobie, co robił do tej pory, i szybko odwrócił wzrok. Wcześniej jednak kolejny raz upewnił się co do tego, o czym wiedział już wcześniej: że Christy Petri- no miała bardzo ładny tyłeczek.

Kiedy wróciła do stolika, była równie blada jak wtedy, gdy wybiegła z damskiej toalety, przygryzała też nerwowo dolną wargę.

- Złe wieści z domu? - spytał, unosząc brew.

Przez jedną chwilę, gdy ich spojrzenia się spotkały, mógł zajrzeć do wnętrza jej serca. Zrozumiał, że jest przerażona i zdesperowana, i poczuł, jak w reakcji na to odkrycie napinają mu się mięśnie. Zrozumiał, że jego misja obejmowała teraz coś więcej niż tylko doprowadzenie Doniego juniora przed oblicze sądu: chciał także ocalić Christy.

- Coś w tym rodzaju. - Uśmiechnęła się do niego, była to jednak tylko nędzna, smutna imitacja uśmiechu, którym obdarzyła go kilka chwil wcześniej. - A co do tej kolacji... Nie mogę się z tobą spotkać. Muszę je- chać.

Potem bez słowa odwróciła się i ruszyła do wyjścia.

Luke pozostał na swoim miejscu. Kiedy już Christy zniknęła mu z oczu, wyjął z kieszeni nadajnik.

- Cześć - rzucił do mikrofonu, zwracając się do Gary'ego, który siedział w samochodzie przed parkiem. - Idzie w twoją stronę. Ja muszę tu jeszcze trochę zostać, więc nie spuszczaaj z niej oka.

## Rozdział 12

Oblany blaskiem księżycyca hotel Silver Lake był jednym z najbardziej romantycznych miejsc na wyspie. Mężczyzna ukrył się przed budynkiem, niedaleko basenu, za kwitnącymi krzewami, które wypełniały powietrze zmysłowym, słodkim zapachem. W jacuzzi siedziały dwie pary, a w basenie pływały jeszcze jakieś dzieciaki, choć dochodziła północ. Obecność innych ludzi w niczym mu jednak nie przeszkadzała. Znów był niewidzialny, zlewał się z otoczeniem.

Christy dostała pokój 322, który mieścił się na drugim piętrze, co mogło sprawić mu pewną trudność, nie była to jednak przeszkoda nie do pokonania. Niestety, jej pokój nie miał balkonu. Balkon zawsze ułatwiał sprawę, można się tam dostać bez większego trudu. Skoro jednak nie mógł skorzystać z tego udogodnienia, musiał znaleźć inne możliwości. Zamknięte korytarze też nie były najgorsze, szczególnie późną nocą. Zazwyczaj bardzo mało gości hotelowych przebywało poza swoimi pokojami około, powiedzmy, trzeciej nad ranem.

A większość turystów w Silver Lake stanowiły starsze pary albo rodziny z dziećmi, co też ułatwiał mu zadanie.

Minusem były kamery ochrony. Niemal wszystkie hotele miały je teraz zamontowane. Podnosiły standard, a jednocześnie stanowiły pewną asekurację przed pozwami gości, gdy w budynku wydarzyło się coś złego. Ale kamery też miały swoje ograniczenia. Niemal bez ustanku kontrolowały główny hol i okolice wind, a tylko od czasu do czasu odwracały się w stronę korytarzy, w których znajdowały się pokoje. I w ogóle nie obejmowały schodów przeciwpożarowych.

Sprawdził to.

Mógł więc przemknąć się niezauważony do pokoju Christy, a potem uciec schodami przeciwpożarowymi.

Pozostawał tylko jeden problem: jak wejść do środka. Zamek i łańcuch nie stanowiły oczywiście większego problemu. Odkrył już jednak, że Christy, ta podejrzliwa suka, barykaduje na noc drzwi i śpi z gazem łzawiącym pod ręką. Powinna czuć się bezpieczna w tym miłym rodzinnym hotelu. Tylko że jeśli wcale się tak nie czuła i ustawiła pod drzwiami jakieś meble, uniemożliwiają mu w ten sposób szybkie wejście do pokoju, niewykłuczone, że zdołałaby w porę podnieść krzyk i zadzwonić po pomoc, a wtedy jego sytuacja byłaby nieciekawa.

Mógł też oczywiście poczekać do następnego dnia, choć niezbyt mu się podobał ten pomysł.

Ale jeśli nadal będzie ją śledził, wcześniej czy później nadarzy się jakaś okazja. Dziś omal jej nie dopadł. Udało jej się uciec, co w ostatecznym rozrachunku i tak nie miało większego znaczenia. Śliczne małe gazele zawsze w końcu trafiły w nieodpowiednie miejsce w czasie odpowiednim dla niego. Niestety, w tym wypadku nie mógł poświęcić na polowanie tyle czasu, ile by chciał, co nieco psuło mu zabawę. No cóż, przecież nie potrzebował jej jako zabawki. Christy Petrino musi umrzeć.

Bo wcześniej czy później może sobie przypomnieć, gdzie go już widziała. On pamiętał ją doskonale. Mógł odtworzyć w głowie ich spotkanie z fotograficzną niemal dokładnością.

To pomyślawszy, dopił napój, który trzymał w ręku, wyrzucił puszkę do kosza i ruszył zdecydowanym krokiem w stronę hotelu.

## Rozdział 13

Świt następnego dnia był piękny i słoneczny, jak przystało na rajską krainę. Christy przekonała się o tym na własne oczy, bo nie spała, gdy wschodziło słońce. Stojąc przy wielkim hotelowym oknie patrzyła, jak fale uderzają o pustą plażę, i podziwiała smugi złota, różu i fioleto przebiegające niebo i ocean. Ten widok jednak wcale jej nie cieszył. Choć zabarykadowała drzwi wszystkimi meblami, jakie tylko udało jej się przesunąć, nie mogła zasnąć. Każdy krok na korytarzu, każde trzaśnięcie drzwi czy stukot okien wyrywały ją ze snu, przyprawiając o szybsze bicie serca.

Lecz nic się nie wydarzyło. Nikt jej nie niepokoił.

Oczywiście ani na moment nie łudziła się, że może to mieć jakieś większe znaczenie. W gruncie rzeczy nic się nie zmieniło. Nie jest bezpieczna. Nie jest wolna.

Rozmowa telefoniczna w parku uświadomiła jej to bardzo dobitnie. Nawet teraz, wiele godzin później, pamiętała dokładnie każde słowo.

- Halo? - rzuciła do słuchawki, świadoma, że Luke ją obserwuje. Odeszła od stolika i odwróciła się plecami. Była pewna, że jej nie słyszy. Kiedy wpadła na niego pod drzwiami toalety, czuła się naprawdę szczęśliwa, że los postawił go na jej drodze. Teraz jednak żałowała, że nie może sprawić, by zniknął, rozwiął się w powietrzu na jedno jej skinięcie.

- Co ty wyprawiasz, do cholery, po co dzwonicz do Amoriego? Myślisz, że on tu rządzi? Nie, to ja decyduję o wszystkim. Nie będziesz dzwonić do nikogo, chyba że ci każe, jasne?

- Kim jesteś? - Czuła, że lada moment upadnie, oparła się więc o pień drzewa, całkiem zapominając o Luke'u. Skąd ten człowiek wie-

dział, że dzwoniła do wujka Vince'a?, zastanawiała się nerwowo. Czy to wuj mu powiedział? A może...

- Królem pieprzonego wszechświata, wystarczy? Słyszałaś, co powiedziałem? Nie będziesz więcej dzwonić do Amoriego!

- Słyszałam.

- I dobrze, bo to nie jest zabawa.

- Ktoś próbował mnie zabić wczoraj w nocy. Czy to ty? - spytała, zdobywając się na odwagę.

W słuchawce na moment zapadła cisza.

- Gdybym to ja cię próbował zabić, już byś nie żyła - padła w końcu odpowiedź. - A teraz słuchaj mnie uważnie. Zmiana planów. Opóźnienie. W ciągu kilku dni ktoś dostarczy ci przesyłkę do domu na plaży. Potem zadzwonię do ciebie i powiem, co masz z tym zrobić. Mniej więcej o tej samej porze co ostatnio, około pierwszej w nocy. Masz tam być, jasne?

- Nie, ja... - Przerazona chciała wyjaśnić, że nie chce, nie może zostać w tym domu, na tej wyspie, nigdzie w promieniu stu kilometrów od tego miejsca przez następną godzinę, nie mówiąc już o kilku dniach, że mężczyzna, który próbował ją zabić, może wrócić i dokończyć dzieła, że chciałaby wrócić do domu, do swojego życia.

Nie zdążyła.

- Bądź tam albo nie żyjesz - powiedział nieznajomy i rozłączył się.

Jego głos, podobnie jak cała rozmowa, wryły się mocno w pamięć

Christy. Była pewna, że to ten sam mężczyzna, który dwukrotnie dzwonił do niej wcześniej: raz, by powiedzieć jej, że ma zanieść walizkę do hotelu Crosswinds, a potem by wyznaczyć spotkanie przy latarni. Była też pewna, że nigdy wcześniej nie słyszała jego głosu. W obu wypadkach, kiedy wykonała jego polecenia, natknęła się na swego niedoszłego zabójcę. A przynajmniej tak jej się wydawało, bo być może but w damskiej toalecie nie należał do niego, może pomyliła się i wpadła w panikę. Nie przypuszczała jednak, że to pomyłka. Jej szósty zmysł włączył sygnał alarmowy, krzyczał „uciekaj”, a jak dotąd intuicja nigdy jej nie zawiodła. Jeśli więc rzeczywiście but należał do mordercy, to albo nieznajomy rozmówca telefoniczny chciał ją zabić, albo przestępca obserwował jej poczynania i dlatego wiedział, że pojechała do latarni.

Istniały dwie możliwości: albo minionej nocy umknęła przed wyrokiem mafii, albo przez wyjątkowo niefortunny zbieg okoliczności stała się celem ataku seryjnego zabójcy.

Tak czy inaczej ktoś chciał ją zabić.

Musiła wymeldować się przed południem. Opuszczenie stosunkowo bezpiecznej przystani, jaką stanowił hotel, nie było łatwe. Ubrana w nowy zestaw prosto ze sklepu z pamiątkami, tym razem składający się z różowej koszulki i czarnych szortów, Christy zebrała swoje rzeczy do plastikowej torby, sprawdziła, czy nie oddzwonił Michael (nie odzwonił) i zjechała windą na parter, aby dopełnić formalności. Kiedy skończyła, nie miała już żadnego pretekstu, by zostać dłużej: musiała iść. Opuszczając klimatyzowane wnętrza hotelu, czuła się tak, jakby wchodziła do rozgrzanego, wypełnionego płynnym żarem naczynia. Choć niemal natychmiast jej ciało pokryła warstwa potu, drżała lekko, zmierzając szybkim krokiem do samochodu. Czuła się niemal jak tarcza strzelnicza, jakby miała wymalowane na czole kółko. Świadomość, że ktoś chce ją zabić, wytrącała Christy z równowagi, odbierała jej spokój. Do tego stopnia, że gdy podeszła do samochodu i wyjęła kluczyki, zniechęciła się na moment, a potem rozejrzała się ukradkiem dookoła i przykucnęła, by sprawdzić, czy pod samochodem nie umieszczono ładunku wybuchowego. Oczywiście nie miała pojęcia, jak wygląda bomba, w tej chwili gotowa była jednak uznać za nią wszystko, co mogło się wydawać podejrzane. Nie znalazła niczego podejrzanego pod samochodem ani pod maską, ani też w bagażniku. Znalazła jednak coś innego, a mianowicie pistolet podarowany jej przez matkę w dniu, gdy Christy wprowadziła się do własnego mieszkania. Dla Carmen, która trzymała jeden pistolet w szufladzie z bielizną, drugi w torbie, a trzeci w schowku na rękawiczki w samochodzie, broń była nieodzownym wyposażeniem domu, czymś równie niezbędnym jak kuchenka mikrofalowa czy żelazko. Dla Christy, która nie cierpiała broni, pistolet był czymś, co należy schować w jakimś mrocznym zakamarku i jak najszybciej o tym zapomnieć.

Aż do teraz. Serce zabiło jej szybciej, kiedy otworzyła pudełko i wyjęła pistolet. Był ciężki i ciepły od rozgrzanego powietrza w bagażniku. Słońce odbijało się w gładkiej stali. Położyła dłoń na spuście, czekając na znajomy ucisk w żołądku, który czuła zawsze, gdy dotykała broni. Owszem, żołądek zacisnął się trochę, ale ów skurcz nie przemienił się w falę mdłości, która ogarnęła Christy, kiedy po raz ostatni wzięła do ręki pistolet, czyli gdy za namową matki chowała go w bagażniku (Carmen nalegała, by córka zaraz po przyjeździe do domu włożyła broń do szuflady z bielizną, co nigdy się nie stało). Z czasem Christy całkiem zapomniała o jego istnieniu: prawdopodobnie stworzyła sobie coś w rodzaju mentalnej blokady. Nienawidziła broni tak, jak niektórzy ludzie nienawidzą pajaków, lecz dzięki dzieciństwu spędzonemu

w Pleasantville, wiedziała, jak się nią posługiwać. Nauczył ją tego kiedyś ojciec.

Nie, teraz nie będzie o tym myślała. Przywoływanie dawnych wspomnień niczemu nie służyło. Liczyło się tylko to, że wiedziała, jak posługiwać się pistoletem. Gdyby jej życie było zagrożone, gdyby musiała się bronić, użyłaby go z pewnością. O tak, pomyślała, przypomniałszy sobie zakrwawione ciało Elizabeth Smolski, a także błyszczące oczy patrzyące na nią zza drzwi łazienki, zrobiłaby to.

Bez chwili wahania.

Pozostał tylko jeszcze jeden mały problem: nie miała naboji. Pistolet nie był naładowany, a pudełko z kulami, które również otrzymała od matki, dawno już gdzieś zaginęło. Ten problem nie był szczególnie trudny do rozwiązania. Włożywszy pistolet do torbki, Christy wsiadła do samochodu i pojechała prosto do sklepu z bronią, który widziała wcześniej w pobliżu biura szeryfa.

- Jest pani chyba dwudziestą kobietą, której sprzedaję dzisiaj pociski albo jakiś pistolet - powiedział sprzedawca. Był to bruchaty, siwy mężczyzna po pięćdziesiątce. Jak głosiła plakietka przypięta do jego rdzawoczerwonej koszulki polo, miał na imię Dave. - Pewnie czytała pani ten artykuł w gazecie.

Zimny dreszcz przebiegł Christy po plecach.

- Jaki artykuł?

- Ten o seryjnym zabójcy. - Sprzedawca podał jej brązową torbę z nabojami i resztę. Wskazując głową na lewo, dodał: - Są tutaj, na stojaku, może sobie pani wziąć.

Christy spojrzała w tę stronę i zobaczyła ustawiony przy wyjściu stójki wypełniony prasą. Rzuciwszy krótkie „dziękuję”, ruszyła do drzwi, wzięła jedną z gazet i wyszła na zewnątrz.

Już w drodze do samochodu zobaczyła wielki tytuł na pierwszej stronie: „Czy na plażach Outer Banks grasuje seryjny zabójca?”. Poniżej widniało osiem zdjęć ułożonych w dwa równe rzędy. Christy od razu rozpoznała twarze dziewczyn, które widziała poprzedniego dnia u szeryfa. Wsiadła do samochodu, włączyła klimatyzację i przeczytała szybko artykuł na pierwszej stronie.

*W ciągu ostatnich trzech lat w miasteczkach położonych przy plażach Outer Banks zniknęło bez śladu osiem młodych kobiet. W nocy z soboty na niedzielę jedna z nich została znaleziona martwa na plaży wyspy Ocracoke. Elizabeth Ann Smolski, lat 21, z Aten w stanie Georgia, żyła jeszcze, kiedy o pierwszej po północy znalazła ją przypadkowa turystka.*

*Później jednak, nim na miejsce przybyła ekipa ratunkowa, zginęła od ran zadanych nożem, padając ofiarą morderstwa, które szeryf Meyer Schultz określił jako wyjątkowo okrutne. Terri Lynn Miller, lat 21, z Memphis w stanie Tennessee, która zginęła wraz ze Smolski 2 sierpnia tego roku, wciąż nie została odnaleziona. Nie została też odnaleziona żadna z kobiet, w wieku od 18 do 25 lat, które zginęły w obrębie dwustumilowego pasa wybrzeża w okolicach Outer Banks. Ani jedna z nich nie mieszkała na stałe w Karolinie Północnej. Poza tym, że przebywały tutaj tylko czasowo, łączyły je także podobne cechy fizyczne: wszystkie określone były jako atrakcyjne młode kobiety o szczupłej budowie ciała i ciemnych włosach. Z wyjątkiem Terri Lynn Miller wszystkie miały włosy sięgające ramion lub dłuższe. Te podobieństwa, w połączeniu z dużą liczbą zaginięć i śmiercią Elizabeth Smolski, każą niektórym przedstawicielom prawa podejrzewać, że w okolicy grasuje seryjny zabójca, którego ofiarą padają młode turystki. Policja nadała mu przydomk Plażowicz...*

Artykuł był znacznie dłuższy, Christy jednak tak bardzo trzęsły się ręce, że nie mogła dłużej czytać. Ujrawszy zdjęcia wszystkich zaginionych dziewczyn razem, musiała przyznać, że łączy je zadziwiające podobieństwo. Mogłyby niemal być siostrami. Wszystkie wyglądały na szczęśliwe, były uśmiechnięte i radosne, nieświadome tego, co niesie im przyszłość. Przypomniawszy sobie los Elizabeth Smolski, Christy omal nie dostała torsji. Musiała oprzeć się o siedzenie i zamknąć oczy, gazeta wysunęła się z jej bezwładnych dłoni i opadła na miejsce pasażera. Christy nie mogła wymazać z pamięci obrazu tamtych chwil, kiedy ta biedna dziewczyna błagała ją o pomoc, a ona uciekła. Lecz gdyby nie uciekła, byłaby teraz martwa, nie miała co do tego żadnych wątpliwości. Co gorsza, wciąż mogła paść ofiarą tego psychopaty.

Choć nie zamierzała do tego dopuścić.

Dorastanie w Pleasantville miało sporo minusów, ale miało też jeden wielki plus: Christy nauczyła się wszystkiego, co konieczne, by przetrwać.

Powoli do jej świadomości zaczęło docierać poczucie, że jest obserwowana. Gdy rozpoznała ten znajomy, dręczący niepokój, usiadła prosto i otworzyła oczy. Z bijącym mocno sercem zacisnęła obie dłonie na kierownicy i rozejrzała się dokoła. Mnóstwo samochodów, mnóstwo ludzi. Nikogo, kto zwracałby na nią uwagę.

Serce jednak nadal było jak szalone, a po plecach przebiegł jej zimny dreszcz.

To wystarczyło. Wzięła głęboki oddech, wrzuciła bieg i wyjechała z parkingu. Katem oka wciąż widziała zdjęcia kobiet na pierwszej stronie gazety. Pomyślała, że mogła być jedną z nich, że wciąż może być jedną z nich. Zimny pot zrosił jej czoło i dłonie, znów zrobiło jej się niedobrze.

Panika w niczym tu nie pomoże, powiedziała sobie w myślach. Lepiej więc zastanowić się nad tym, co może pomóc.

Pierwotnie chciała zatrzymać się w biurze firmy konserwującej domki, by odebrać klucze do nowych zamków, teraz jednak zmieniła zamiar i pojechała prosto do Curl-o-Rama. Z tego, co napisano w gazecie, wynikało, że jest niedoszłą ofiarą seryjnego zabójcy, że uratowała się tylko dzięki jego partactwu. Jeśli tak było w rzeczywistości, zabójca prawdopodobnie chciał ją teraz dopaść, bo bał się, że mogłaby go zidentyfikować. Albo dlatego, że pasowała do opisu jego dotychczasowych ofiar.

Przynajmniej to jedno da się zmienić bez większego trudu.

Christy weszła do Curl-o-Rama i powiedziała dziewczynie za kontuarem, czego chce. Kilka minut później, okryta czarną płachtą, siedziała z odchyloną do tyłu głową, a fryzjer imieniem Claude mył jej włosy. Claude, wysoki i pulchny, ubrany był na czarno, włosy nosił ścignięte w ciasny kosmyk tuż nad karkiem. W innych okolicznościach wolałaby pewnie zrezygnować ze strzyżenia niż oddać się w jego ręce, lecz teraz nie miała większego wyboru.

Claude ustawił fotel tak, by Christy nie widziała własnego odbicia w lustrze, dopóki proces przemiany nie dobiegnie końca.

- Wygląda pani naprawdę bajecznie w tej fryzurze - mówił potem, przesuwając palcami po jej świeżo przyciętych włosach, co miało im zapewne nadać swobodny wygląd. - Tak młodo, tak świeżo...

Kobieta siedząca na sąsiednim fotelu, z pasemkami włosów owiniętymi kawałkami folii, podniosła wzrok znad gazety i otaksowała spojrzeniem nową fryzurę Christy.

- Pani mąż bardzo się zdziwi.

- Nie mam męża.

- Naprawdę? Cóż, nie dziwi mnie to. Mężczyźni nie cierpią, kiedy ich żony zmieniają fryzurę. - Jeszcze raz przyjrzała się włosom Christy, a potem zwróciła się do swojej fryzjerki, pulchnej blondynki, która wraçała właśnie do głównej sali po krótkiej przerwie. - Wiesz co, Lindo, może ja też powinnam się tak ostrzyż?

- Henry by cię zabił. - Linda odkleiła kawałek folii, by sprawdzić kolor. - Zawsze opowiadasz, jak bardzo lubi twoje długie włosy.

- Ale ile przy nich roboty! Noszę długie włosy od czasów liceum, a mam czterdzieści siedem lat!

- Czasami warto zrobić coś innego - przytaknął Claude i obrócił fotel, by Christy mogła wreszcie spojrzeć w lustro. - Inaczej można by umrzeć z nudów. - Jeszcze przez chwilę poprawiał włosy Christy, a potem pochylił się nad nią i spytał z uśmiechem: - No i jak, skarbie, co o tym myślisz?

Patrzyła szeroko otwartymi oczami na swoje odbicie. W ogóle nie była do siebie podobna, a przynajmniej tak jej się początkowo wydawało. Postrzępione niczym pióra kosmyki sięgały jej ledwie do szyi, a przy tym były równie jasne jak włosy Marilyn Monroe.

- Na pewno nie jest to nudne - powiedziała, wciąż przyglądając się swemu odbiciu.

Do tej pory uważała, że blond włosy nie pasują do jej oczu i karnacji. A jednak pasowały.

- Właśnie o tym myślałam, żeby uciec przed nudą - oświadczyła jej sąsiadka z przekonaniem.

- Marilee... - zaczęła Linda ostrzegawczym tonem.

- Mnie też się podoba ta fryzura - stwierdziła recepcjonistka, która opuściła swoje miejsce pracy i podeszła do Christy.

Wszyscy w salonie patrzyli teraz na nią.

- Zawsze mogę je z powrotem ufarbować na ciemno, jeśli pani chce - podsunął Claude, wciąż wyglądając jej włosy. Najwyraźniej wziął milczenie klientki za oznakę dezaprobaty. Christy podniosła wzrok, ich spojrzenia spotkały się na moment w lustrze. Fryzjer patrzył na nią jak urzeczony.

- Nie. - Nie życzyła sobie, by ktoś jej dotykał, nie życzyła sobie także, by ktoś się na nią gapił. Zafascynowana mina Claude'a zaczęła budzić w niej niepokój. Właściwie był tak samo zbudowany... Nie. Nie będzie szukać mordercy za każdym krzakiem. Inaczej wkrótce zwa-riuje. Potrząsnęła głową i wstała. - Jest świetnie. Właśnie o to mi chodziło.

Co wcale nie było kłamstwem, jak pomyślała, krzywiąc się w duchu na widok wysokiego rachunku - metamorfoza sporo ją kosztowała. Sporo też zapłaciła za pokój w hotelu i ubrania w sklepie z pamiątkami, co oznaczało, że stan jej konta powoli zbliża się do zera. Co gorsza, miała też świadomość, że pozostając bez pracy, nie będzie mogła w najbliższym czasie uzupełnić tych braków. Nie warto jednak martwić się o pieniądze, kiedy w grę wchodziło jej życie. A właśnie ochronie jej życia miała służyć ta nowa, kosztowna fryzura.

Kilka godzin później wciąż z trudem się rozpoznawała, ujrzawszy swoje odbicie w jakiejś gładkiej powierzchni czy lusterku samochodowym. Pocieszała się jednak myślą, że zabójca też będzie miał kłopoty z jej rozpoznaniem.

Oczywiście najlepszym potwierdzeniem jej tożsamości będzie fakt, że zamieszka z powrotem w domku nad plażą. Ale głos w telefonie powiedział: „Bądź tam albo nie żyjesz”. Może było to tylko przeczcucie, jednak nie sądziła, by żartował.

Dochodziła już szósta trzydzieści, kiedy Christy zebrała się w końcu na odwagę i wjechała do garażu. Nie chciała zwlekać już dłużej, bo na samą myśl, że musiałaby wchodzić do mieszkania po zmroku, robiło jej się słabo. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie zadzwonić do szeryfa i nie poprosić o ochronę, odrzuciła jednak ten pomysł. Dobrze wiedziała, jak działa mafia. Jej członkowie mogli dostać się wszędzie. Przeniknięcie do biura szeryfa na małej wyspie nie było dla nich żadnym wyzwaniem. A gdyby szeryf przydzielił jej do ochrony Castellana? Gdyby zaufała nieodpowiedniej osobie, wpadłaby z deszczu pod rynnę.

Gorzka prawda wyglądała tak, że Christy musiała polegać teraz jedynie na samej sobie.

Starając się nie zastanawiać nad tym, ile szkód może wyrządzić niewłaściwie użyta broń, wyjęła z torebki pistolet - colt automatic trzydziestkęsemkę - i załadowała go, pocąc się przy tym jak mysz. Temperatura i wilgotność na zewnątrz powoli stawały się znośne, ale słońce wciąż świeciło dobrotliwie nad horyzontem. W domku było chłodno, ciemno i czysto. Lustrując całe wnętrze z pistoletem w spoconych dłoniach, Christy uważała ze zdumieniem, że wszystko wokół wygląda tak, jakby nigdy nie doszło tu do włamania. Szyba w drzwiach na patio została wymieniona, a rozbite szkło uprzątnięte. Komoda stała na swoim miejscu pod lustrem, przy przeciwległej ścianie sypialni. Łazienkę wysprzątało, a zniszczone drzwi wymieniono na nowe. Brakowało tylko etażerki. Pracownik, którego przysłała tu firma zajmująca się domkami, naprawdę solidnie przyłożył się do pracy. Mimo to Christy chciała jak najszybciej się stąd wynieść.

Co było niemożliwe, oczywiście. Najpierw musiała wykonać polecenie nieznanego rozmówcy, czyli czekać cierpliwie na tajemniczą przesyłkę, a potem dostarczyć ją pod wskazany adres. Jedynie, co mogła zrobić w tych okolicznościach, to jak najlepiej zabezpieczyć wnętrze domu. Nie miała już co prawda gazu łzawiącego, ale teraz uzbrojona była w coś znacznie bardziej skutecznego: pistolet. Wszystkie zamki zostały wymienione, a do tego Christy zaopatrzyła drzwi frontowe w wiszący alarm, który po ich otwarciu wył z mocą chyba tysiącacy decybeli (był to



tylko jeden z wielu zakupów, których dokonała przed powrotem do domu). Pod drzwi włożyła także gumowy klin, który teoretycznie uniemożliwiał otwarcie ich z zewnątrz. Podobnie zabezpieczyła drzwi prowadzące z garażu do mieszkania. Trochę więcej kłopotu miała z drzwiami na patio, znalazła jednak odpowiedni alarm także i dla nich. Umocowawszy wszystkie urządzenia na właściwych miejscach, poczuła się na tyle bezpiecznie, że mogła wypakować kupione wcześniej jedzenie. Potem rozsunęła zasłony, by wpuścić do mieszkania jak najwięcej światła, i poszła się przebrać. Po dwóch dniach noszenia ubrań z hotelowego sklepu z radością myślała o włożeniu własnej garderoby.

Kąpiel w łazience, w której została zaatakowana, nie wchodziła w grę. Wzięła więc błyskawiczny prysznic w drugiej łazience - sceny z „Psychozy”, które bez ustanku przebiegały jej przez głowę, znacznie przyspieszyły mycie - wytarła się do sucha, włożyła bieliznę i cytrynowożółtą, długą do kolan sukienkę z dużą różową różą na piersiach. Swoobodny strój doskonale nadawał się do tego, czym zamierzała zajmować się przez najbliższe godziny; siedzieć przed telewizorem i rozmyślać o sposobach wyjścia z tej opresji.

Sukienka w połączeniu z nową fryzurą sprawiła, że wyglądała jak prościółka albo błyskawica - do takiego właśnie wniosku doszła Christy, przyglądając się swemu odbiciu w dużym lustrze na drzwiach łazienki. Albo jak dmuchawiec. Z pewnością ów widok nie miał zbyt wiele wspólnego z jej dotychczasowym wizerunkiem i konserwatywnym stylem, który miał odzwierciedlać pozycję Christy i poważne podejście do życia.

Musiąca jednak przyznać, że w blond włosach wyglądała bardziej... seksownie. Tak, zdecydowanie bardziej seksownie i delikatniej. Jej oczy wydawały się też większe, a kości policzkowe wyższe.

Chciała wierzyć, że blondynki rzeczywiście mają weselsze życie. Albo przynajmniej więcej szczęścia. Jako brunetka nie mogła narzekać na jego nadmiar.

Upewniwszy się jeszcze raz, że wszystkie alarmy są na swoich miejscach, wzięła ostrożnie pistolet do ręki. Znowu poczuła znajomy ucisk w żołądku, gdy zaczęły powracać złe wspomnienia. Odsunęła je, chwyciła broń mocniej i przeszła do salonu. Odłożyła pistolet na stolik, położyła się na sofie i ponownie przeanalizowała wszystkie środki ostrożności, jakie podjęła, by uchronić się przed kolejną napacją. Po piętnastu minutach rozmyślań, które doprowadziły ją do przekonania, że wcale nie czuje się bezpieczniejszej niż uprzednio, poddała się w końcu. Starając się nie ulec panice, wstała, stanęła przed szklanymi drzwiami prowadzącymi na patio i wyjrzała na zewnątrz.

W dali, nad oceanem, widać było fioletowe rozbityski, zwiastujące prawdopodobnie nadejście kolejnej letniej burzy, na razie jednak mieszkańcy wyspy mogli się cieszyć przyjemnym, ciepłym wieczorem. Na plaży, która zaledwie dwa dni wcześniej była miejscem ponurej zbrodni, klebił się tłum spragnionych wypoczynku turystów, choć dochodziła już... Christy zerknęła na kuchenny zegar... siódma trzydzieści pięć. Do wieczora została jeszcze godzina, czas, który zarówno dorośli jak i dzieci wykorzystywali na kąpiel w oceanie, zabawy na piasku i spacer, jakby nigdy nie zlego się tutaj nie wydarzało ani nie mogło wydarzyć. Przez chwilę Christy przyglądała im się z zawiścią. Dałaby naprawdę dużo, by być teraz wraz z nimi, odpoczywać w tym pięknym miejscu, szczęśliwa i wolna od trosk. Albo przynajmniej wolna od strachu.

Kątem oka dostrzegła jakiś ruch w krzakach koło domu. Zastygła na moment w bezruchu, a potem przyjrzała się uważniej rozkołysanym gałęziom. Krzewy były bardzo gęste, lecz miały zaledwie jakieś pół metra wysokości. Jeśli więc nie stała się obiektem ataków jakiegoś karła-mordercy, mogła na razie zapomnieć o strachu. Mimo to wciąż przyglądała się temu miejscu nieufnie, a kiedy nagle coś stamtąd wyskoczyło, omal nie krzyknęła.

Był to duży czarny kot. Kot Luke'a. Marvin, tak właśnie się nazywał. Zapamiętała dobrze zarówno jego wygląd jak i imię.

W pysku kota szamotał się mały szary ptaszek.

Christy natychmiast zapomniała o seryjnych zabójcach i mafii. Wyjęła klin, odłączyła alarm i otworzyła drzwi. Słona bryza uderzyła ją w twarz, uszy wypełniły się szumem morza i wesołymi okrzykami turystów.

- Zostaw go! Ale już! Sio! - wrzasnęła, wychodząc na patio.

Kot drgnął ze strachu i obejrzał się na nią. Był tak zaskoczony, że wypuścił ptaszka, który ćwierkając żałośnie, próbował odskoczyć na bok.

- Sio! - powtórzyła i klasnęła w dłonie, w nadziei że odstraszy kota.

Marvin obrzucił ją pogardliwym spojrzeniem i ponownie skupił uwagę na trzepoczącym skrzydłami ptaku. Przysiadł lekko i naprężył mięśnie, szykując się do skoku, który pozwoliłby mu odzyskać zdobycz.

Christy była jednak szybsza.

- Niedobry kotek - powiedziała, biorąc zdziwionego zwierzaka na ręce.

Marvin był duży, ciężki i muskularny i nie krył niezadowolenia z faktu, że pozbawiono go właśnie kolacji. Wił się w jej ramionach, Christy jednak, która zawsze uwielbiała koty, trzymała go mocno, unieru-

chomiwszy mu przednie łapy. Ptaszek, otrząsnawszy się z pierwszego szoku, podskoczył jeszcze kilka razy i wzbił się w powietrze. Patrząc na niktą w dali zdobył, kot machnął ogonem i zamiauczał żałośnie.

- Och, uspokój się. - Podrapała Marvina za uszami, gest ten jednak wcale go nie udobruchał. Kocur napał się i wydawał groźne pomruki, wyraźnie oburzony tym, co się stało, i Christy czuła, jak jego pazury wbijają jej się w bok.

- Christy, to ty? - zawołała pani Castellano, wychodząc zza płotu i spoglądając na młodą kobietę z niepokojem.

Tym razem ubrana była w długą kwiecistą sukienkę i opierała się na lasce. Na nogach miała niebieskie plastikowe sandały z supermarketu. Odsłonięte kostki-wystające spod skraju sukienki wyglądały jak grube kielbasy. Siwe włosy zaczesane były gładko i umocowane czarnymi spinkami. Za plecami pani Castellano stał Gordie, wciąż w mundurze, z pistoletem u pasa. On także patrzył na Christy z niepokojem.

- Tak, to ja - odrzekła uprzejmie, choć na widok siostrzeńca pani Castellano miała ochotę uciec do wnętrza domku i zamknąć za sobą drzwi.

- Zrobiłaś coś ze swoimi włosami? - Sąsiadka przekrzywiła lekko głowę i przyglądała się Christy spod przymrużonych powiek.

- Tak, postanowiłam zrobić się na blondynkę.

- Aha. No właśnie. - Starsza pani pokiwała głową z satysfakcją i przestała mrużyć oczy. - Chyba wiem dlaczego. To ci dodaje trochę... smaczku. Nie sądzisz, Gordie?

- Tak, to ładna fryzura - odparł, patrząc jej prosto w oczy.

- Dzięki - mruknęła Christy, starając się nie okazywać nieufności i strachu, jakie budziło w niej jego spojrzenie.

- Siedzieliśmy przy grillu przed domem cioci Rosy i usłyszeliśmy krzyki - wyjaśnił zastępca szeryfa. - Po tym, co panią ostatnio spotkało, przyszliśmy sprawdzić, czy nie potrzebuje pani pomocy.

- Nie, ratowałam tylko ptaszka przed kotem sąsiada - wyjaśniła Christy.

Możliwe, że ten mężczyzna był niewinny jak dziecko, ale tak czy inaczej nie czuła się przy nim bezpieczna. Nie podobało jej się to, jak na nią patrzył, nie podobał jej się jego wygląd, koniec kropka. Po prostu się go bała.

- Może chciałybyś z nami zjeść? Mamy pyszny stek - zaproponowała pani Castellano.

- Dziękuję, ale najpierw muszę chyba zanieść tego rozrabiakę do domu, zanim znowu się zgubi. Wrócę tylko po klucze i przejdę się do sąsia-

da. Nie możemy przecież pozwolić, żeby Marvin zjadł wszystkie ptaki, prawda?

Z bijącym sercem, świadoma, że paple jak idiotka, weszła do domu, by wziąć z sofy torebkę. Cały czas miała na oku Gordiego Castellano. Gdyby ruszył w jej stronę, uciekłaby z krzykiem przez frontowe drzwi. Nie zrobił tego jednak, więc i ona zachowała spokój. Powróciwszy na patio, ścisnęła mocniej łokciem Marvina, który wciąż wyrywał się na wolność, zamknęła za sobą drzwi i zatrzaskała zamek.

- No to ja już pójdę.

- Gdyby pani chciała, żebyś później zajrzał do pani, proszę śmiało dzwonić. - Castellano znów spojrzął jej w oczy i uśmiechnął się. Właściwie był całkiem przystojny, Christy jednak wzdrygnęła się na myśl, że to właśnie te uśmiechnięte oczy mogły patrzeć na nią zza uchylonych drzwi łazienki. - Zwykle oglądamy z cicią Rosą telewizję aż do północy.

- Albo nawet dłużej - dorzuciła pani Castellano.

- Dziękuję, będę o tym pamiętać.

Pożegnawszy oboje skinieniem głowy, Christy prawie pobiegła ścieżką prowadzącą do domu Luke'a.

Była już w połowie drogi, kiedy uświadomiła sobie, że idzie do Luke'a, bo odkał zaczął się ten koszmarny, czuła się bezpiecznie jedynie w jego obecności.

## Rozdział 14

Coś się dzieje. Wyszła na patio! - krzyknął Gary z centrum dowodzenia, gdzie śledził wszystko, co się działo w sąsiednim domku. Luke, który przez większość dnia jeździł za Christy po całym Ocracoke, wziął właśnie prysznic i szedł do swojej sypialni.

- Cholera - syknął ze złością, rzucił ręcznik na łóżko i pochwycił pierwsze z brzegu ubranie. - Dokąd ona może teraz iść? - Zmarszczył brwi. - Powiedziałeś, że wyszła na patio?

- Właśnie tak powiedziałem - odkrzyknął Gary. - Poczekaj, wraca. Bierze torebkę. Niesie coś pod pachą... Nie, zamyka drzwi. Znowu wychodzi.

- Wzięła pistolet? - Luke włożył stare dżinsy i sięgnął po jeszcze starszy t-shirt.

- Nie, zostawiła go na stole. Właśnie na niego patrzę.

- Myślisz, że mogła pójść na plażę? Miała na sobie kostium kąpielowy? - Wciągnął koszulkę przez głowę i rozejrzał się, szukając butów. Aha, są, przy szafie.

- Nie widziałem. Może pod ubraniem. Chcesz, żebym za nią poszedł?

- Ja się tym zajmę. Ty rób, co masz robić.

Gary zebrał wszystkie informacje, jakie zawierały gazety ukryte w walizce, którą Christy zaniósła do maximy, i analizował je w swoim komputerze. Był to żmudny proces, i do tej pory nie znaleźli niczego pożytecznego prócz przepisu na *gazpacho*, wypróbowanego ze znakomitym skutkiem przez Gary'ego. Luke nadal miał jednak nadzieję, że uda im się odkryć jakiś zakamuflowany adres, kod, zdanie, które pozwoli rozwikłać zagadkę tej dziwnej przesyłki. Oczywiście nie mógł wyklu-

czyć, że gazety niczego takiego nie zawierały, a był to tylko rodzaj próby dla Christy, ale.

Skakał właśnie na jednej nodze, wkładając drugą tenisówkę, kiedy ktoś zapukał do drzwi.

Zamarł na ułamek sekundy. Niemożliwe. A jednak. Kto inny mógłby tu przyjść?

- Otworzę! - krzyknął Gary. Kiedy Luke usłyszał jego kroki w salonie, natychmiast poderwał się do akcji.

Znając swego kolegę, wcale nie mógł wykluczyć, że ten zapomniał zamknąć drzwi do centrum dowodzenia.

Rzeczywiście zapomniał. Luke w mgnieniu oka dopadł do najbliższej sypialni i zamknął drzwi w tej samej chwili, gdy Gary otworzył drzwi, prowadzące na patio. Luke przeszedł szybko do salonu i ujrzał uśmiechniętą Christy, którą Gary zapraszał właśnie do środka. Luke obrzucił ją spojrzeniem - zdążył już otrząsnąć się z szoku, jakiego doznał, kiedy ujrzał ją po raz pierwszy w nowej fryzurze, wychodzącą z salonu fryzjerskiego - i skupił uwagę na tym, co trzymała w ramionach.

A trzymała kota.

- Twój kot znowu był na moim patio - powiedziała, a stojący za nią Gary otworzył szeroko oczy. - Jest trochę rozłoszczony, bo odebrałam mu ptaka, którego właśnie upolowałam.

Słowo „ptak” wypowiedziane zostało z wyraźną naganą i wyrzutem. Oczywiście nie to niepokoiło Luke'a. Jeśli chodzi o niego, ten przekłety kot mógł wylapać wszystkie ptaki na świecie. Martwił go raczej fakt, że Christy najwyraźniej oczekiwała, iż weźmie od niej rozdrażnionego zwierzęcia.

Luke przywołał na twarz przepraszający uśmiech i spojrzał niepewnie na kota. Ten także patrzył na niego. Jego zmrużone oczy nie wróżyły niczego dobrego, z gardła wydobywał się złowieszczy pomruk, ogon uderzał na boki, a pazury wbijały się w biodro Christy. Tymczasem dziewczyna, najwyraźniej nieświadoma zagrożenia, wciąż czekała, aż Luke uwolni ją od tego puszystego ciężaru.

Wydawało się, że upłynęła cała wieczność, w rzeczywistości minęły jednak ledwie sekunda czy dwie, nim Luke uświadomił sobie groźbę sytuacji. Zwierzę, które trzymała pod pachą Christy, nie było przymilnym domowym pluszakiem. To był potężny, groźny kocur, zapewne już dawno temu porzucony przez właściciela.

Zwierzak przyglądał mu się nienawistnie. Wielki, muskularny, doświadczony w bojach włóczęga z naderwanym uchem wyglądał jak Mike Tyson w kociej skórze.

Sprawił też wrażenie porządnie rozdrażnionego.

- Dziękuję, że go przyniosłaś - powiedział z serdecznym uśmiechem, biorąc kota od Christy i przyznając sobie w myślach Oscara za odegranie tego epizodu.

- Nie mogłam pozwolić, żeby zabił tego ptaszka. - Uwolniona od cię żaru Christy otrzepała ręce i sukienkę. Świetnie. Chmura czarnej sierści opadła na dywan. Gary zachłysnął się z przerażenia.

- Oczywiście. - Luke skinął głową.

Kot był ciężki. I zły. Gdy tylko wziął go od Christy, zwierzak próbował się wyrwać i wyskoczyć przez otwarte drzwi patio. Chętnie by mu na to pozwolił, gdyby nie to, że wypuszczenie z takim trudem odzyskanego ulubieńca na wolność wzbudziłoby zapewne uzasadnione podejrzenia Christy. Poza tym Gary właśnie zamykał drzwi.

- Robi się taki, kiedy jest głodny - wyjaśnił Luke z uśmiechem, stając się za wszelką cenę zachować spokój, i odwrócił głowę, by nie patrzeć już dłużej na kota ani na jego wściekłą minę. - Pójdę go nakarmić.

Ugryź mnie, a skończysz na patelni, brzmiało telepatyczne ostrzeżenie, które przesłał kotu, idąc do sypialni. W odpowiedzi zwierzak syknął i próbował wbić mu pazury w pierś.

- Cholera. - Przekleństwo samo wyrwało mu się z ust. Próbując zamaskować jakoś swoją reakcję, dodał: - Przypomniałem sobie właśnie, że skończył nam się żwirek.

- Dopiszę go do listy zakupów! - zawołał Gary, przylączając się do gry, gdy Luke oderwał potwora od swojego t-shirtu i ciała, wrzucił do sypialni i zamknął drzwi, odcinając mu jedyną drogę ucieczki. Do diabła, kto by pomyślał, że Christy będzie pamiętać o kocie i że, co gorsza, przyniesie go tutaj? Teraz będzie pewnie musiał wziąć zastrzyki przeciw wściekleźnie.

Zatrzymał się na moment w łazience Gary'ego, by przemyć rany, potem posmarował je maścią z antybiotykami i wrócił do salonu.

Ze sztucznym uśmiechem na twarzy.

Christy siedziała na stołku, z łokciami opartymi o bar, i przyglądała się, jak Gary wyjmuje z piekarnika lasagne, które obiecał na kolację. Teraz, kie-

dy Luke nie musiał już poświęcać całej uwagi rozwścieczonemu kotu, zauważył, że Christy ma na sobie żółtą sukienkę-koszulkę, zaledwie o kilka odcieni jaśniejszą od jej nowych blond włosów. Sukienka była dość luźną ale

ponieważ Christy siedziała, bawełniany materiał opinał ciasno jej kształtną pupę. Niżej widać było równie zgrabne, opalone nogi i białe stopy.

Zauważył też, że widzi zarys jej majteczek. Stringi? Nie, raczej majteczki od bikini, takie same, jakie miała na sobie wtedy...

W porę odrzucił tę myśl, choć i tak tętno trochę mu podskoczyło.

- Przepraszam, że to tyle trwało - powiedziała. Christy odwróciła się do niego. - Ale pomyślałem, że powinienem od razu dać... - omal się nie zdradził, kiedy przez moment próbował przypomnieć sobie imię, jakie sam nadał temu cholememu kotu - ...mu kolację.

- Tak, on jest jak chory na cukrzycę. Strasznie się wścieka, kiedy nie dostaje w porę jeść. - Gary, który nic nie wiedział o całej historii z kotem, wykazał refleks, ale spojrzął na partnera pytająco znad grubych okularów. Christy na szczęście również patrzyła właśnie na Luke'a, niczego więc nie zauważyła.

- Gary zaprosił mnie na kolację. Nie masz nic przeciwko temu? - Wydawało się, że nie jest całkiem pewna, czy Luke rzeczywiście życzy sobie jej towarzystwa.

Przypuszczał, że po tym, jak odrzuciła wczoraj jego zaproszenia, miała poczucie winy. Być może czuła się też nieco winna dlatego, że przyszła tutaj wyrazić niezadowolenie z powodu zachowania Jego" kochanki. Kiedy spojrzął jej w oczy - duże, brązowe, obwiedzione długimi rzęsami i kontrastujące uwodzicielsko z jasną grzywką - odkrył z niesmaką, że jego puls znowu wyraźnie przyspieszył.

- Nie. Cieszę się, że przyszedł.

- Powiedziałem jej, że spokojnie wystarczy dla nas trojga - wtrącił Gary, brzęcząc naczyniami.

- Bardzo się cieszę. - Christy się uśmiechnęła.

- Co się stało z twoimi włosami? - spytał Luke, opierając się o bar. Podobala mu się jej poprzednia fryzura - długie kasztanowe włosy, jedwabiste jak jej skóra...

Ejże, wyhamuj trochę. Ta rozczochrana blond fryzura, która nie działała nań tak mocno, jak poprzednia, była pozytywną odmianą w jego życiu. Musiał tylko mieć trochę więcej rozsądku, by to docenić.

Christy uśmiechnęła się doń promiennie, a Luke poczuł, że znów robi mu się gorąco. O Boże, jęknął w duchu. Brunetka czy blondynka, nadal rozpalala go równie mocno jak wcześniej. Co w takich okolicznościach nie było dobre. Ani trochę.

Christy spoważniała nagle.

- Pamiętasz, co ci mówiłam o tym seryjnym zabójcy? W dzisiejszej gazecie jest artykuł o dziewczynach, które mogą być jego ofiarami. Osiem w ciągu ostatnich trzech lat, łącznie z tą zabita na plaży.

- Widziałem to - wtrącił Gary, odwijając lasagne z folii. - Kiedy stałem w kolejce do kasy. Wszystkie były brunetkami.

- No właśnie - przytaknęła Christy znaczącym tonem.

Nastąpiła chwila ciszy.

- Chcesz powiedzieć, że zrobiłaś coś takiego z włosami, bo pomyślałaś, że jeśli zaatakował cię właśnie ten seryjny zabójca, to teraz przestał się tobą interesować? - Luke nie mógł się powstrzymać i wybuchnął śmiechem. To była tak absurdalna, tak typowo kobieca i zaskakująca reakcja, że czuł się jednocześnie rozbawiony, oczarowany i rozbrojony jej pomysłowością.

Christy ściągnęła groźnie brwi. Boże, czyżby zabrzmiało to tak, jakby nie podobały mu się jej nowe włosy? Wiedział z doświadczenia, że coś takiego działa na kobiety jak płachta na byka.

- A tak w ogóle, to bardzo ci ładnie w tej fryzurze - dodał szybko.

- Luke, nakryjesz do stołu? - spytał Gary.

Zadowolony ze zmiany tematu, Luke skinął głową i przeszedł do kuchni. Zaroodporne naczynie z lasagne stało na desce, a Gary sięgał właśnie po coś do lodówki. Luke obszedł go, by dostać się do talerzy. W ciągu kilku dni, które spędził już ze sobą, dokonali podziału ról w kwestii jedzenia. Gary lubił gotować i był w tym dobry. Luke lubił jeść i był w tym dobry. Gary przygotowywał posiłki; Luke nakrywał do stołu i sprzątał po jedzeniu. Zachowywali się niemal jak zgodne małżeństwo, choć Gary, ze swoimi gładko zaczesanymi, rudymi włosami, kościstą sylwetką i dziwacznymi przyzwyczajeniami, z pewnością nie przypominał w niczym tego, jak Luke wyobrażał sobie przyszłą żonę.

- Mogę coś zrobić? Może sałatkę? - spytała Christy, zsuwając się ze stołka.

- Już zrobiona. - Gary triumfalnym gestem wyjął sałatkę z czeluści lodówki, Luke skończył nakrywać i już po chwili cała trójka siedziała przy stole, zjadając lasagne i gawędząc jak starzy przyjaciele. Ze swego miejsca Luke miał doskonały widok na patio. Robiło się już ciemno, po niebie płynęły wielkie, szare burzowe chmury, ludzie całymi grupami schodzili z plaży. Zaczął wiać wiatr. Trawy kołysały się coraz mocniej, w dali widać było spienione grzywy fal.

- Cudowne - mruknęła Christy, wbijając zęby w lasagne. Luke parzył przez chwilę na jej usta, czerwone wargi dotykające widelca, na szczęście zreflektował się w porę i odwrócił wzrok. Spojrzał na Gary'ego, który stanowił świetne antidotum.

- Gary jest doskonałym kucharzem - powiedział, wznosząc szklankę z piwem w stronę kolegi.

- Dzięki. - Tamten zaczerwienił się lekko. Christy wodziła wzrokiem od jednego do drugiego. Gdy się poruszyła, sukienka opinała jej piersi. Sliczne, okrągłe piersi...

Luke zauważył, że znów zaczyna szybciej oddychać i pociągnął łyk piwa.

- Jak się poznaliście? - spytała Christy, sięgając po kolejny kęs lasagne.

Luke bał się patrzeć na jej usta, zaczął więc obserwować szyję. Wyobrażał sobie, jak jego usta przesuwiają się po jedwabistej skórze... Boże, potrzebował kobiety. Innej kobiety. Nie tej kobiety.

- W pracy - odparł, skupiając się na jedzeniu. Wiedział, do czego zmierza, sam nawet o tym pomyślał: Gary i on nie pasowali zbyt do siebie. Oczywiście pierwotnie w ogóle nie miała wiedzieć, że mieszkają ze sobą. W ogóle nie powinna była ich zobaczyć.

- O, ty też jesteś prawnikiem?

Tym razem, Bogu dzięki, zwróciła wielkie brązowe oczy na Gary'ego.

Ten aż zakrzuszył się lasagne.

- Tak - odparł Luke za przyjaciela, który zrobił się cały czerwony, kaszał i sięgał po wodę.

Mijanie się z prawdą nie było mocną stroną Gary'ego. Luke obiecywał sobie, że po zakończeniu śledztwa on też będzie robił to rzadziej. Gdyby nie skłamał, nie miałby teraz w pokoju rozwścieczonego kota i nie musiałby sobie z nim jakoś poradzić. Na razie jednak skazany był na kłamstwa, a lepiej kłamać dobrze niż kiepsko. Dobry łgarz rzadko daje się przylapać, a to właśnie było podstawą udanego śledztwa.

- I to dobrym. Dostaliśmy tygodniowe wakacje i ten domek do użytku - mówił, robiąc skromną minę - jako nagrodę za wygranie naszej ostatniej sprawy.

Gary zakrzuszył się ponownie i wypił potężny łyk wody.

- Jak dotąd nie była to szczególna nagroda, co? - skrzywiła się Christy. - Raczej koszmar.

Aha, dobry pretekst. Jeśli tylko nie będzie cały czas myślał, co można by zrobić z tymi seksownymi ustami, może uda mu się wyciągnąć kilka cennych informacji.

- Dziwię się, że nie wróciłaś jeszcze do Filadelfii.

Podniosła na niego oczy. Ukrywała to całkiem dobrze, ale znając prawdziwe powody jej pobytu na wyspie, bez trudu domyślił się, że próbuje wymyślić jakąś rozsądną odpowiedź.

Każda kobieta przy zdrowych zmysłach, która przeżyła właśnie atak seryjnego mordercy i nie miała żadnej pewności, czy psychopata nie spróbuje uderzyć ponownie, wyjechałaby jak najszybciej do domu. Gdyby mogła. Lecz z rozmów telefonicznych, jakie przeprowadziła ostatnio

Christy, wynikało jasno, że nie mogła tego zrobić. Zmuszona była tu zostać i grać rolę mafijnego listonosza. Do tego nie mogła wykluczyć, że tak naprawdę poluje na nią nie seryjny zabójca, lecz człowiek mafii, a tego obawiała się najbardziej.

Pozostawało pytanie dlaczego? Christy to wiedziała; on jeszcze nie.

Wreszcie odpowiedziała niepewnie:

- To moje pierwsze wakacje od lat... a to było naprawdę niemiłe rozstanie.

- Twój chłopak ciągle jest w Filadelfii? - spytał Luke ze współczuciem. Żaden z jego informatorów nie wiedział o rozpadzie związku Christy i Donniego juniora, ale to nie oznaczało wcale, że Christy kłamie.

- Nie wiem. - Ugryzła kawałek lasagne.

- Myślisz, że on też wyjechał gdzieś na samotne wakacje? A może przyjedzie tutaj i spróbuje się z tobą pogodzić? - Obserwował ją uważnie, starając się jednak, by nie wyglądało to na coś więcej niż zwykłe zainteresowanie.

- Nie wiem - powtórzyła z nieszcześliwą miną.

- Nie rozmawiałas z nim, odkąd tu przyjechałaś?

- Ja... nie. - Odłożyła widelec, wzięła głęboki oddech i spojrzała na Gary'ego. - To naprawdę świetne, ale chyba już nie dam rady.

Na jej talerzu została jeszcze połowa porcji. Najwyraźniej jego pytania tak wprowadziły Christy z równowagi, że straciła apetyt. Luke'owi zrobiło

się trochę głupio, potem jednak przypomniał sobie surowo, że tylko wykonuje

je swoje zadanie. A jego zadaniem było schwytanie Michaela DePalmy.

- Są jeszcze lody na deser - powiedział Gary, posyłając mu pełne dezaprobaty spojrzenie.

- Nie, dzięki. - Christy zerknęła na zegar i zawahała się. Luke spojrział w tę samą stronę i zobaczył, że dochodzi jedenasta. Czas z powrotem do pracy. Im szybciej złapią Donniego juniora, tym szybciej wszyscy będą mieli wolne.

- Odprowadzę cię, jeśli chcesz - zaproponował i wstał.

Christy patrzyła nań w milczeniu. Przez sekundę widział w jej oczach ogromny nieklamany strach. Po tym, co przeszła, wcale jej się nie dziwił. Czuł się jak skończony łajdak, pozwalając jej spędzić tę noc w samotności, choć budziło w niej to tak wielkie przerażenie, nic jednak nie mógł poradzić. Rozeszli się czy nie, ta dziewczyna jest ich jedyną szansą, jedynym tropem, który mógł zaprowadzić ich do Michaela. Jeśli ten człowiek przebywał w pobliżu, a wskazywał na to odcisk palca znalezione na kubku, wcześniej czy później musiał złożyć wizytę Christy. Luke był tego pewien.

I choć Christy nie miała o tym pojęcia, nie musiała już wcale bać się samotnych nocy w pustym domku. Luke wykorzystywał ją jako przynętę, to fakt, ale zamierzał też zrobić wszystko, co w jego mocy, by utrzymać ją przy życiu.

- Ja... - Przez moment wydawało się, że Christy przyzna się do dręczących ją obaw, umilkła jednak i wstała. - Dzięki.

Widział, jak kuli się w sobie, zrezygnowana. Nagle zapragnął pochwycić ją w ramiona, zapewnić, że jest bezpieczna, że Gary, on i cała armia elektronicznych gadżetów czuwają nad nią dzień i noc.

Bez namysłu stłumił w sobie to pragnienie. Schwytanie Donniego juniora było priorytetem.

- Dzięki za kolację, Gary - powiedziała Christy smutnym, niemal żalonym tonem, kiedy Luke przepuszczał ją w drzwiach na patio.

- Wpadaj, kiedy tylko masz ochotę - odrzekł kolega.

Zerkając przez ramię na swego partnera, Luke zrozumiał, że Gary cierpi na to samo atawistyczne poczucie winy, które dręczyło i jego. Tyle że kolega miał taką minę, jakby to poczucie zwyciężało.

Rycerskość to piękna rzecz, w tym wypadku jednak należało o niej zapomnieć.

Luke zamknął drzwi, nim Gary zdołał coś powiedzieć, na przykład przyznać się do wszystkiego. Nie mógł pozwolić, by którykolwiek z nich zawałił to śledztwo z powodu wielkich brązowych oczu Christy.



## Rozdział 15

Zrobiło się bardzo ciemno - odezwała się Christy, kiedy opuścili patio i weszli na piaszczystą ścieżkę.

Szła tuż obok niego, ocierając się ramieniem o jego ramię. Noc rzeczywistości była bardzo ciemna, tak ciemna, że prawie nie widział dziewczyny, za co był wdzięczny losowi. Patrząc w górę, na zachmurzone niebo, czuł na twarzy wiatr od oceanu, a w powietrzu obietnicę deszczu i dzięki temu nie myślał ciągle o jej ciepłym ciele, o gładkiej skórze, o tym, że są tak blisko...

- Będzie burza - powiedział.

Jakby na potwierdzenie jego słów odległa błyskawica rozjaśniła na mgnienie oka fioletowe chmury. Po chwili usłyszeli głęboki, gniewny grzmot. Zapach ziemi niesiony przez wiatr ostrzegał przed nadchodzącym deszczem.

Christy zadrżała. Przysunęła się mocniej do niego i czuł, jak jej ciałem wstrząsają dreszcze. Ścieżka była wąska, cienka linia wydeptana w trawie przez pokolenia plażowiczów. Jeśli Christy chciała iść obok niego, a nie przed nim, musiała trzymać się blisko. Ale może nie aż tak blisko.

- Nienawidzę burz. A tutaj każdego wieczoru jest burza.

- Bo to pora deszczowa.

- Nienawidzę pory deszczowej. - Jej głos także drżał lekko. - Plaże powinny być pełne słońca, piasku i szczęśliwych ludzi, a nie deszczu i...i... - Zamilkła nagle, ale to nie miało znaczenia. Luke dobrze wiedział, co chciała powiedzieć: strachu, przemocy i śmierci.

Niebo przecięła kolejna błyskawica, tym razem nieco bliżej. Usłyszeli grzmot. Christy podskoczyła i przytuliła się jeszcze mocniej. Wzięła go

za rękę. Luke czuł, jak jej palce splatają się z jego palcami, czuł ciepły dotyk jej dłoni.

- Zbliża się bardzo szybko - powiedziała z obawą.

- Mogę cię tylko pocieszyć, że nigdy nie trwa długo.

Nie próbował wyzwolić ręki z jej uścisku. Właściwie zamknął jej drobną dłoń w swojej. Bo najprawdopodobniej, tłumaczył sobie w myślach, jej gesty były tylko instynktowną reakcją, obroną przed strachem. Ściskając jego dłoń, Christy czuła się bezpiecznie, dlaczego więc miałby jej odmawiać tego drobnego pocieszenia?

Co było jedną wielką bzdurą - dobrze o tym wiedział. I tak nie zamierzał wypuścić jej dłoni. Doszli już niemal do domku Christy, widział jego czarny kontur na tle nieco jaśniejszego mroku. Wkrótce i tak zostawi ją samą, więc choć przez chwilę może potrzymać ją za rękę.

- Muszę ci coś powiedzieć. Tak naprawdę nie przyszedłem dziś do ciebie po to, żeby odnieść Marviną. - Christy mówiła tak cicho, że ledwie słyszał jej głos przez szmer wiatru i szum fal bijących o brzeg.

Marvin, pomyślał, zadowolony, że choć na moment może zapomnieć o jej kuszącym ciele. Więc tak miał się nazywać ten cholerny kot.

- Nie? Więc dlaczego?

- Przyszedłem, bo się bałam.

To wyznanie kazało mu natychmiast ponownie skupić uwagę na Christy. Znał ją już dość dobrze, by wiedzieć, że przyznanie się do strachu czy jakiegokolwiek innej słabości nie przychodziło jej łatwo. W końcu zwróciła się do niego, postanowiła mu się zwierzyć, nie były to jednak te informacje, jakie chciał od niej uzyskać. Zależało mu raczej na czymś, co doprowadziłoby go do Donniego juniora, tymczasem Christy zamierzała opowiadać mu o swych emocjach.

Nie chciał tego. Naprawdę tego nie chciał.

- Cóż, po tym, co przeszedłeś, to nic dziwnego. Każdy na twoim miejscu trochę by się bał. - Luke starał się nie okazywać zbyt dużego współczucia, dotarli bowiem właśnie do jej patio, i wiedział, że za moment odejdzie i zostawi ją samą na sam ze strachem.

Nie, nie mógł o tym myśleć.

- Nie boję się, kiedy jestem z tobą.

Jej głos był teraz cichszy od szeptu, Luke jednak słyszał go wyraźnie, czuł ciepło jej palców, czuł, jak jej oczy spoglądają nań w ciemności. Ufała mu; ta świadomość była niczym cios w spłot słoneczny. Zadowolony, że Christy nie widzi wyrazu jego twarzy, zatrzymał się raptownie, zaciskając mocniej dłoń na jej dłoni, szukając jakiejś odpowiedzi, która

wciąż mieściłaby się w granicach wyznaczonych przez jego pracę, obo-  
wiązki i prawdziwy powód, dla którego pojawił się w jej życiu.  
Nie znalazł.

- Luke... - Puściła jego rękę tylko po to, by przesunąć się przed nie-  
go i położyć dłoń na jego piersi. Czuł ich delikatny dotyk tak, jakby by-  
ły rozpalone do czerwoności, jakby przenikały do wnętrza jego ciała.  
Nie widział jej, czuł jednak jej bliskość, łaskotanie włosów, które, uno-  
szone przez wiatr, muskały mu twarz, czuł zapach jej szamponu, słyszał  
łagodny rytm jej oddechu. - Nie chcę być sama tej nocy.

Cholera.

- Christy.

- Hmm?

Oddychał ciężko, zbyt ciężko, jakby właśnie próbował pobić rekord  
świata w biegu na sto metrów. O wiele za ciężko jak na faceta, który  
miał za moment odrzucić względy kobiety. Szukając właściwych słów,  
najlepszej odpowiedzi, pochwycił dziewczynę za nadgarstki, by odsu-  
nąć ją od siebie, spojrzeć na tę sytuację z pewnej perspektywy, kiedy  
jeszcze mógł to zrobić. Lecz było już za późno. Christy już tuliła się do  
niego, przesuwał dłońmi po jego ramionach, czuł jej kragle, jędrne  
piersi, gdy przywarła doń całym ciałem i stanęła na palcach, by go po-  
całować.

Przez sekundę czy dwie, może dłużej, wytrzymał jakoś tortury  
zadawane mu przez jej wilgotne, gorące wargi, choć stracił jednocześnie  
kontrolę nad własnym oddechem. Serce waliło mu w piersiach, krew  
pulsowała w całym ciele, przyprawiając go o natychmiastowy wzwód  
i rozpalając do czerwoności.

Potem się poddał. Po prostu nagle dał za wygraną, odpuścił, uległ  
sile potężniejszej niż jego własna samokontrola.

- Christy...

To był gardłowy jęk, przyznanie się do porażki. Objął ją mocno i zro-  
bił to, co pragnął zrobić od chwili, gdy zobaczył, jak jadła lody. Wsunął  
palece w jej włosy, delikatnie odchylił jej głowę do tyłu i przywarł do jej  
ust, całując ją głęboko, mocno. Wodząc językiem po jej wargach, smaku-  
jąc wilgotne usta i czując, jak drży pod jego dotykiem, zatracił poczucie  
czasu, miejsca i okoliczności. Pragnął jej. Ona także go pragnęła. W tej  
chwili nie chciał, nie zamierzał pamiętać o niczym więcej.

Przerwałszy delikatnie pocałunek, wciąż przytulona do Luke'a ca-  
łym ciałem, przesuwała rozpalonymi ustami wzdłuż jego podbródka.  
Zacisnął mocniej zęby, próbując raz jeszcze obronić się przed tym ku-  
szącym atakiem. Tulił ją mocno do siebie, pragnął jej z całych sił, a jed-

nocześnie powtarzał sobie w myślach, że powinien ją puścić, odejść,  
wrócić do swojego domu.

- Zostań u mnie na noc - wyszeptala mu prosto do ucha.

O Boże, tak bardzo tego chciał. Bardziej niż czegokolwiek w życiu.  
Zakreśliło mu się w głowie, jęknął bezsilnie i ponownie przywarł do jej  
ust, całując ją z coraz większą siłą, z coraz większym żarem. Odpowie-  
działa równie gorącym pocałunkiem i wbiła palce w jego kark. Odwró-  
cił ją tak, by oparła się plecami o ogrodzenie, wsunął nogę między jej  
uda i przykrył jej pierś dłonią.

Była tak cudownie ciepła, cudownie kragła, najstarsza viagra świa-  
ta, której nikt chyba nie mógłby się oprzeć. Czuł, jak sutek twardnieje  
pod jego palcami, pogładził go delikatnie i pomyślał, że nie ma już chy-  
ba najmniejszych szans, by to przerwać.

- Boże, jak ja cię pragnę - mruknął, podnosząc głowę. Pomyślał, że  
ginie w płomieniach pożądania i wcale się tym nie przejmuje. Nim zda-  
żył upomnieć się po raz kolejny o pocałunek, Christy przyciągnęła jego  
głowę do siebie i wsunęła język w jego usta.

-O Boże...

Całowała go, jakby sprawiała jej to największą przyjemność, jak ko-  
bieta, która chce pójść z nim do łóżka, a Luke odpowiedział jej z taką  
namietnością, że żar ogarniający jego ciało spalił go niemal na popiół.  
Serce waliło mu z taką siłą, jakby chciało wyrwać się z piersi. Inna część  
jego ciała niemal już rozrywała spodnie. Przesunął nogę wyżej między  
jej uda, a cichy jęk, który wyrwał się z ust Christy, kazał mu sięgnąć  
pod jej sukienkę.

Chciał ją rozebrać, natychmiast.

Świat wokół nich zapłonął na moment niebieskim blaskiem błyska-  
wicy, rozległ się grzmot i nagle zaczęło padać. Nie był to jednak łagod-  
ny deszcz, stanowiący zapowiedź burzy. Runęły na nich strugi letniej  
wody, jakby ktoś przebił nagle balon z wodą zawieszony prosto nad ich  
głowami.

Luke był już tak rozpalony, że nie sprawiło mu to żadnej różnicy.  
Zerknął tylko w górę, zaskoczony, a potem podjął przerwany pocału-  
nek, natychmiast zapomniawszy o burzy i całym świecie. Christy jed-  
nak delikatnie odsunęła się od niego.

- Chodźmy do środka - powiedziała. Kiedy nie zareagował, wysunę-  
ła się z jego objęć, wzięła go za rękę i pociągnęła za sobą.

Deszcz, który splotał po nich strumieniami, pozwolił Luke'owi choć  
po części odzyskać przytomność umysłu.  
Jasne. Dobry plan. Do środka. Łóżko.

Nim dotarli do domku, byli przemoczeni do suchej nitki, jakby właśnie wyszli spod prysznic. Dlatego więc chłód panujący w środku podziałał na Luke'a niczym impuls elektryczny, uderzył weń z siłą, która przywróciła mu jasność myśli.

Oczywiście wcale nie chciał słyszeć tego, co podpowiadał mu cudem odzyskany rozsądek: pójście do łóżka z ich przynętą było naprawdę bardzo kiepskim pomysłem. Najgorszym z możliwych i to z wielu przyczyn.

Krótko mówiąc, nie mógł tego zrobić. Nawet gdyby miało go to zabić, a w tej chwili wydawało mu się, że właśnie tak to się skończy, musiał zapomnieć o pożądanym, odrzucić jej propozycję i wyjść.

Światło płonące w głębi korytarza rozjaśniło postać Christy, gdy dziewczyna zamykała drzwi na patio. Podobnie jak on oczekiwała woda. Mokre włosy przywierały do jej głowy, a przemoczona sukienka oblepiała ciało. Usta miała lekko rozchylone, oddychała szybko, nieregularnie, pod miękką tkaniną sukienki widać było wyraźnie stwardniałe sutki. Właściwie wyglądała niemal, jakby była już naga. Luke widział wszystko: kształt jej piersi, łagodne krągłości bioder, zagłębienie pępka, zarys stanika i majteczek, i niewielki wzgórek, będący jin dla jego narzmiatego, twardego jak kamień jang.

Zadrzała i odgarnęła przemoczone włosy do tyłu, a potem uśmiechnęła się nerwowo.

Jedyne, czego teraz pragnął, to wziąć ją z powrotem w ramiona, całować bez opamiętania, a potem rozebrać ją i siebie, i kochać się dotąd, aż oboje będą tak rozpaleni, że deszcz wyparuje z nich wielkim obłokiem pary.

Zrobiłby to, wbrew odzyskanemu przed chwilą rozsądkowi, gdyby nie dwie rzeczy: po pierwsze, wiedział, że Gary obserwuje każdy ich ruch, nasłuchuje każdego słowa i dźwięku, nie mogli więc ukryć się przed nim, nawet gdyby wyszli poza pole widzenia kamery, a po drugie, zaczynał coraz mocniej podejrzewać, że Christy go wykorzystuje.

Albo próbuje to zrobić.

Choć wcale nie była to miła prawda, musiał przyznać przed samym sobą, że Christy zapewne nie próbowała go zaciągnąć do łóżka tylko dlatego, że nagle ogarnęła ją niepohamowana żądza. Nie, chodziło jej raczej o to, by zyskać poczucie bezpieczeństwa na nadchodzącą noc.

Innymi słowy, gotowa była dokonać małego handlu wymiennego: ochrona za seks.

Przyglądał jej się posepnie, kiedy podeszła, poruszając kusząco biodrami, przywarła do niego i objęła go w pasie.

Choć oczywiście nie mógł tego słyszeć, był niemal stuprocentowo pewny, że Gary spadł właśnie z hukiem z krzesła.

- Muszę już iść - powiedział, delikatnie rozsuwając jej ramiona i cofając się o krok.

- Co takiego? - Wyglądała na zaskoczoną, a raczej zszokowaną. Luke przypuszczał, że nigdy jeszcze się nie zdarzyło, by facet odrzucił jej propozycję.

- Muszę jutro wczesnie wstać. Wybieramy się z Garym na ryby. - Pistolet leżący na stoliku do kawy przypomniał mu, że Christy naprawdę się boi. Może troszkę go wkurzyła; no dobrze, bardzo go wkurzyła, rozumiał jednak jej motywę. Do pewnego stopnia. - Jeśli chcesz, przed wyjściem sprawdzę jeszcze twój dom.

-Ale...

Oboje ociekali wodą, byli zziębnięci i zbyt skoncentrowani na swoich celach, by próbować zrozumieć drugą stronę. Christy podążała za Luke'em jak cień, kiedy przechodził z pokoju do pokoju, zapalając światła, by przeprowadzić chyba najkrótsze i najbardziej powierzchowne przeszkanie w historii biura. Wiedział, że nie ma tu żadnego zagrożenia, żadnych niespodzianek, ten dom został już tak nafaszerowany sprzętem, że nawet karaluch nie przesłiznąłby się tędy bez wiedzy Luke'a czy Gary'ego. Ta mała wiedźma była tu bezpieczniejsza niż w bankowym sejfie.

Oczywiście ona o tym nie wiedziała.

- Proszę, poczekaj - powiedziała błagalnym tonem, kiedy wrócili do salonu, a Luke ruszył w stronę drzwi. Przystanął odruchowo i obejrzał się za siebie, a Christy podeszła szybko i przytuliła się do niego. Wyglądała na nieco oszołomioną, nie poddawała się jednak; czuł kuszący dotyk jej piersi, nie mógł nie spojrzeć w jej wielkie, brązowe oczy. - Nie chcesz... zostać?

- Innym razem, kochanie - odparł, wysuwając się z jej uścisku. Po-tem rzucił jeszcze szorstko: „zamknij za mną”, i wyszedł.

Partner przyjął go dokładnie tak, jak się tego należało spodziewać: był w szoku.

- Chcesz powiedzieć mi, co tam się działo? - spytał, wychodząc z centrali dowodzenia, kiedy Luke zrzucił mokre buty. Naczynia po koblacji były już pozmywane, a na środku pokoju stał odkurzacz. Gary nie marnował czasu, kiedy Luke odprowadzał Christy do domu. Uśmiešek na twarzy kolegi świadczył o tym, że jego zdaniem Luke wykorzystał swój czas jeszcze lepiej.

- Nie - oświadczył krótko Luke, zmierzając do swego pokoju i ścigając po drodze przemoczone ubranie. Mógł oczywiście skłamać albo poprzestać na jakiejś półprawdzie, nie miał jednak na to ochoty.

- W porządku. - Kolega skinął głową, idąc za nim. - Wiesz, ona naprawdę wygląda na miłą dziewczynę. Może powinniśmy ją we wszystko wtajemniczyć, powiedzieć jej, że jest pod naszą ochroną, zaproponować jej jakiś układ.

- Tak, a jeśli pobiegnie do DePalmy albo Amoriego i wypaple im wszystko, to co zrobimy? Zostaniemy z niczym. - Luke zatrzymał się przed drzwiami łazienki i spojrzał groźnie na Gary'ego. - A poza tym, czy ty nie powinienesz siedzieć teraz przed monitorem?

Nie czekając na odpowiedź, otworzył drzwi. W tej samej chwili z wnętrza łazienki wystrzeliła czarna smuga, która przemknęła po stopie Luke'a, minęła Gary'ego i wpadła do salonu.

- O cholera! Zapomniałem o tym przeklętym kocie!

Luke złapał się za zranioną stopę i zaczął podskakiwać w kółko na jednej nodze, klnąc na czym świat stoi i obserwując z przerażeniem strużki krwi wypływające z zadrapań podobnych do tych, jakie miał już na piersi.

- Jezu! -jęknął Gary, szeroko otwierając oczy. - To nie kot, to jakaś bestia!

Ponieważ nie odniósł żadnych obrażeń, to on pierwszy odzyskał przytomność umysłu i przystąpił do akcji. Obrzuciwszy Luke'a oskarżycielskim spojrzeniem, pobiegł za kotem, który objął się o ściany w salonie. Luke słyszał jego wściekłe wrzaski i loskot przewracanych sprzętów, nie widział go jednak. Nie chciał widzieć. Mimo to, gdy ujrzał Gary'ego skaczącego po kuchni ze ścierką w podniesionej ręce, nie mógł się nie uśmiechnąć.

Miau!

Zgrzyt. Trzask.

- Zostaw ten stek, ty...!

Słyszając odgłosy zażartej walki, Luke uśmiechnął się jeszcze szerzej. Był jednak zawodowcem - nie mógł zostawić partnera samego w potrzebie.

Pokuśtykał do salonu, gdzie zobaczył kota z wielkim stekiem w zębach, skaczącego po barze, potem przeniósł wzrok na Gary'ego, który próbował dzielić zwierzaka ścierką, wreszcie otworzył szeroko drzwi na patio i odskoczył na bok.

Zrobił wszystko, co w jego mocy. Teraz mógł tylko zdać się na opatrzność.

- Sio! Sio! - wrzeszczał Gary, wymachując groźnie ścierką.

Kot, nie namyślając się długo, wypadł na zewnątrz i zniknął w ciemnościach nocy, unosząc ze sobą stek.

Szlachetniejszy człowiek miałby zapewne wyrzuty sumienia, że pozwolił biednemu bezbronnemu zwierzęciu wybiec w deszczową noc. Luke jednak starannie zamknął drzwi i spojrzał na Gary'ego.

- O co chodzi z tym kotem? - spytał partner, wciąż dysząc ciężko i trzymając w dłoni zapomnianą ścierkę. Luke ogarnął spojrzeniem salon, bez większego problemu odgadując, którzy biegł kot; jego trasę znałyby przekrzywione obrazki, przewrócone lampy i rozbite szkło.

- To długa historia - odparł, ruszając do sypialni, by opatrzyć stopę i zdjąć przemoknięte dżinsy. - Nie pytaj.

- Owszem, będę pytał! - wrzasnął Gary. - Ukradł stek, który mieliśmy zjeść jutro na kolację!

Luke uniósł lekko brwi; nie przypuszczał nawet, że jego partner trafi się tak zirytować.

- Spokojnie, chłopie - mruknął, z trudem kryjąc uśmiech. - Odkupię ci to mięso.

- Nie chcę twojego steku. - Gary zgrzytnął zębami. - Chcę wiedzieć, skąd wziął się tu ten popieprzony kot!

- Sprawdź, co u Christy, dobrze? - zaproponował Luke, zatrzasnąjąc drzwi sypialni tuż przed nosem kolegi. Wciąż się uśmiechał, kiedy szedł w stronę łazienki. Właśnie wtedy wydało mu się, że czuje zapach, który nie ma nic wspólnego z wilgotnymi dżinsami i włosami. Spojrzał na łóżko i stanął jak wryty.

- Ten cholerny kot narobił mi na łóżku!

- Luke, Luke! - wołał Gary, dobijając się do drzwi pokoju. - Luke, wychodź, natychmiast!

- Co? - Luke skrzywił się z odrazą, otworzył drzwi i spojrzał groźnie na Gary'ego. Nie miał najmniejszej ochoty słuchać jego histerycznych wyrzutów dotyczących kota i utraconego steku.

- Byłem w centrali. Ona wyjeżdża. Pakuje się i wyjeżdża! Christy!

## Rozdział 16

Jeśli w hotelu nie będą mieli pokoju, spędzi noc w holu. Tak właśnie postanowiła Christy, przechodząc przez kuchnię do garażu. Włączyła światło, wrzuciła walizkę do bagażnika, zatrzasnęła go i dosłownie wskoczyła za kierownicę. Zamknawszy drzwi, włączyła silnik i dopiero wtedy uruchomiła otwieranie wrót garażu. Nie bała się nawet, że narażą się w ten sposób na uduszenie oparami dwutlenku węgla, przed czym zawsze ostrzegala ją mama, napominając, by nigdy nie uruchamiała silnika w zamkniętym garażu. Christy wolałaby sto razy podjąć takie ryzyko niż narażać się na atak złoczyńcy ukrytego w ciemnościach nocy.

Musiąca uciec. Nie mogła już dłużej tego wytrzymać. Nikt nie dostarczył jej dzisiaj zapowiedzianej paczki, nie musiąca więc czekać na telefon o pierwszej w nocy, a przynajmniej nie zamierzała tego robić, bez względu na to, co mówił tamten facet. Nie musiąca czuć przez całą noc, wstrzymując oddech przy każdym głośniejszym dźwięku, drżąc ze strachu przed własnym cieniem. Nie musiąca uspokajać rozszalonego serca ani znosić narastającego z każdą minutą ucisku w żołądku. Nie dzisiaj. Mogła spędzić tę noc w każdym innym miejscu i wrócić rano. Nic, nawet ten dom i sytuacja, w jakiej się znalazła, nie będą się wydawały tak przerażające w blasku dnia.

Zaledwie godzinę temu, kiedy jadła kolację z Lukiem i Garym myślała, że uda jej się jakoś przetrwać noc. Lecz gdy Luke odprowadzał ją do domu, kiedy zaczęła zamykać się wokół nich ciemność i dmuchnął wiatr, a fale uderzały z hukiem o brzeg, gdy perspektywa kolejnej samotnej nocy stawiała się coraz bliższa, Christy zrozumiała, że jednak nie zdoła tego wytrzymać. Strach potrafił zmotywować człowieka do różnych czynów, zdążyła się już o tym przekonać. Strach zmusił ją do

przyjazdu na Ocracoke. Z drugiej jednak strony, strach przed konsekwencjami nieposłuszeństwa względem człowieka, który kazał jej czekać na przesyłkę, był słabszy niż strach przed tym, co mogło spotkać ją tej nocy.

Po chwili zastanowienia doszła do wniosku, że wybór sprowadza się do dwóch możliwości: albo umrze wcześniej, albo zostanie zabita później. Wybrała tę drugą.

Teraz także ten dom zaczął ją przerażać. Christy nie mogła oprzeć się dziwnemu wrażeniu, że nawet wtedy, gdy jest sama, ktoś ciągle ją obserwuje.

Przyszło jej do głowy, że być może jej zabójca ukrywa się gdzieś: w szafie, pod łóżkiem - kiedy Luke już wyszedł, uświadomiła sobie, że nie zajrzał pod nie - za grzejnikiem na wodę czy też w jakimś sekretnym miejscu, z którego wyjdzie, kiedy ona już położy się spać.

Choć oczywiście wcale nie zamierzała spać. Nie ma mowy. Jedyną realną obroną, jaka jej pozostała, był pistolet, ale i on zdałby się na nic, gdyby zasnęła.

Nawet trzymając broń w dłoni, nie mogła przestać myśleć o różnych strasznych rzeczach, jakie mogły przydarzyć jej się tej nocy, co napelniało ją coraz większym strachem. Tak więc już po piętnastu minutach od wyjścia Luke'a postanowiła się spakować i pojechać do Silver Lake Inn, nie zważając na to, że wszystkie pokoje w hotelu były zajęte do końca tygodnia. Przecież ludzie odwołują czasami rezerwację, a jeśli nie, to do drugiej w nocy był czynny bar, a potem mogła posiedzieć w holu. Pewnie nie udałoby jej się tam przespać, ale przynajmniej czułaby się bezpieczna. Pomyślała, że może zadzwonić i spytać, czy nie zwolniły się jakieś pokoje, potem jednak doszła do wniosku, że trudniej splawić kogoś, kto stoi w recepcji, niż przez telefon. Poza tym i tak nie miało to większego znaczenia - postanowiła już, że nie spędzi nocy samotnie. Potrzebowała światła i ludzi.

Spakowała więc trochę rzeczy i wyszła.

Deszcz bębnił o dach jej samochodu z taką samą siłą jak niemal godzinę wcześniej, gdy ulewa się zaczęła. Wtedy Christy zmokła w ciągu kilku zaledwie sekund, podobnie jak Luke. Wspomnienie tej chwili przyniosło jednak również wspomnienie upokorzenia, jakiego doznała, szybko więc odsunęła od siebie tę myśl. Gdy jednak przejeżdżała obok domu Luke'a, nie mogła nie zauważyć, że w oknach wciąż płonie światło. W innych okolicznościach po prostu zatrzymałaby się i bezwstydnie błagała o gościnę. Ale po tym, co między nimi zaszło, wolała spędzić noc na krześle w holu Silver Lake Inn.



Czy ona naprawdę powiedziała: Nie chcę być sama tej nocy, i poczuła go tak, jakby marzyła o zaciągnięciu go do łóżka?

Odpowiedź brzmiała krótko i jednoznacznie: tak. I zrobiła to z zimną krwią, bo nie chciała spędzać tej nocy samotnie, w pustym domu.

Czy naprawdę przycisnęła ją do płotu i całował jak mężczyzna, który robił to już tysiące razy, pieścił jej pierś i wsunął nogę między jej uda, aż naprawdę udało mu się ją podniecić?

Tak, to też była prawda.

A czy potem, kiedy ku kompletnemu zdumieniu Christy rozpałił ją tak mocno, jak sam był rozpalony i doprowadził do stanu, kiedy myślała tylko o tym, by jak najszybciej znaleźli się w łóżku, powiedział: „muszę iść”, i po prostu wyszedł z jej domu, bo jak twierdził, wczesnym rankiem wybierał się z Garym na ryby?

O tak, nie dało się tego ukryć.

Nie miała pojęcia, co sprawiło, że nagle zmienił zdanie, dlaczego kilka chwil wcześniej był gorący jak ogień, by potem nagle stać się bryłą lodu, potrafiła jednak dokładnie powiedzieć, jaki był ostateczny rezultat: złożyła facetowi propozycję, którą ten odrzucił.

Przypomniawszy sobie ową chwilę, poczuła się jeszcze bardziej nie-swojo.

Na szczęście - a może na nieszczęście - miała teraz na głowie znacznie ważniejsze sprawy niż analiza tej zdumiewającej porażki.

Musiła skupić się na tym, jak przetrwać do rana.

Kiedy wyjechała na Silver Lake Road, pojawił się za nią jakiś samochód. Dojrzała blask jego świateł we wstecznym lusterku i zmarszczyła brwi. Nie dlatego, żeby się zdziwiła, iż na drodze są jeszcze jakieś inne pojazdy. Co prawda zbliżała się już północ, a do tego padał deszcz, co raczej nie zachęcało do nocnych eskapad, ale był poniedziałek i kilka miejsc w miasteczku czekało jeszcze na klientów, choćby całonocny sklep, bar w hotelu, klinika, lokal przy przystani...

Ponownie zerknęła we wsteczne lusterko. Widziała tylko światła poruszającego za nią auta, to wystarczyło jednak, by stwierdzić, że ktoś jedzie w sporej odległości za nią. Nie było żadnego powodu, dla którego miałaby się tym denerwować - a jednak się zdenerwowała.

Wrażenie, że ktoś ją śledzi, było zapewne tylko wytworem jej paranoi wyobraźni.

Miała nadzieję, że tak właśnie jest. Modliła się o to.

Popatrzyła szybko dokoła, by upewnić się, że ma pod ręką wszystkie środki obrony: pistolet i telefon komórkowy. Jedno i drugie leżało w jej torebce wraz z nową puszką gazu łzawiącego i elektrycznym klaksonem,

który mógł ogłuszyć swoim dźwiękiem zarówno ją, jak i napastnika. Torbka leżała na fotelu pasażera. Wystarczyło tylko po nią sięgnąć, rozsunąć i zacisnąć dłoń na wybranym elemencie jej podręcznego arsenału.

Co prawda kiedy po raz ostatni próbowała zadzwonić się pod 911, nie przyniosło to żadnego rezultatu. Jak dowiedziała się później, nie było w tym nic dziwnego: na Ocracoke numer 911 nie działał. Teraz postanowiła już, że w razie niebezpieczeństwa nie będzie dzwonił do szeryfa, lecz po straż pożarną. Instruktor samoobrony powiedział jej kiedyś, że zawsze lepiej krzyknąć: „pali się”, niż wołać o pomoc; ludzie bardziej zwracają na to uwagę, bo pożar może także ich dotknąć. Technika ta raz już okazała się skuteczna, Christy liczyła więc na to, że zadziała i przy kolejnej okazji. Do tego stopnia, że miała numer straży pożarnej na pierwszej pozycji w książce telefonicznej komórki.

Nie musiała więc wcale się przejmować samochodem, którego światła widziała w tylnym lusterku. Była przygotowana na każdą ewentualność. Choć oczywiście nie przypuszczała, by mogło stać jej się coś złego. Była w samochodzie, jechała prosto do hotelu, gdzie zamierzała zatrzymać się na wprost wejścia, wyskoczyć z toyoty i przebiec do pełnego światła holu.

Kiedy przejeżdżała obok przystani oświetlonej halogenowymi lampami, przyszło jej do głowy, że może zobaczyć w ich blasku jadący za nią pojazd.

Omam nie wjechała w słup telefoniczny, próbując to zrobić. Było zbyt ciemno i padał zbyt obfity deszcz, by mogła dojrzeć cokolwiek prócz reflektorów samochodu.

Z Silver Lake Road skręciła w Cemetery Road, nazwaną tak od brytyjskiego cmentarza leżącego po zachodniej stronie drogi i zawierającego szczątki marynarzy z okrętu „Bedfordshire”, który podczas drugiej wojny światowej został zatopiony u wybrzeży wyspy Hatteras przez niemiecką torpedę. Za dnia była to jedna z większych atrakcji turystycznych, teraz jednak, w deszczową poniedziałkową noc, cmentarz był zamknięty, a droga pusta. Hotel znajdował się niemal naprzeciwko wejścia, Christy była więc już blisko celu, a przynajmniej tak się pocieszała, mijając park i budynki mieszkalne. Potem wjechała w całkowite ciemności zalegające pod gałęziami sosen, które porastały obie strony szosy. Prócz szumu wycieraczek i miarowego stukotu kropel deszczu nie dochodziły do niej żadne dźwięki. Dopiero teraz uświadomiła sobie, przez jakie odludzie prowadzi ta część drogi, choć z drugiej strony, kiedy jeszcze nie jechała tędy nocą. Nie było tu nic - żadnych sklepów, żadnych stacji benzynowych, żadnych domów.



We wstecznym lusterku wciąż widziała światła tamtego pojazdu. Patrzyła na nie przez sekundę, nim z konieczności spojrziała na drogę przed sobą, która była teraz jedynie lśniącym, wilgotnym pasem czerni rozciągającym się przed maską toyoty. Gęste smugi deszczu przycinały snopy światła rzucane przez reflektory, krople wody rozbryzgiwały się na twardej powierzchni asfaltu.

Christy pomyślała nagle, że jest zupełnie sama. Prócz samochodu, którego światła widziała przez cały czas w lusterku.

I które teraz zaczęły się do niej zbliżać.

Czuła, jak podnoszą jej się włosy na karku.

Czym się tak denerwowała? Światłami samochodu w ciemności?

Dlaczego tak pociły jej się dłonie, a serce waliło coraz mocniej?

To przez tę ciszę, pomyślała. To właśnie ta cisza, w połączeniu z poczuciem odizolowania w środku ciemnej deszczowej nocy tak na nią działała. Sięgnęła przed siebie, by włączyć radio. Tylko szumy i trzaski. Oczywiście radio zaprogramowane było na stację nadające w Filadelfii.

Dokładnie w chwili, gdy wyszukała jakąś stację, a w głośnikach zabrzmiał głos Elvise, światła pojazdu z tyłu zapłonęły mocniej w jej lusterku.

Były bliżej. Znacznie bliżej. Właściwie tuż za nią. Sądząc po wysokości, należały do jakiegoś dużego samochodu, dzipa albo ciężarówki.

Christy zmarszczyła brwi, a potem wyłączyła radio i spojrziała na przedkościomierz. Jechała z szybkością około pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, optymalną przy tej pogodzie i na takiej drodze. Światła były jednak bardzo blisko, za blisko. Gdyby musiała się nagle zatrzymać, tamten wóz uderzyłby w nią z pewnością.

Próbowała dojrzeć we wstecznym lusterku twarz kierowcy, co było, naturalnie, niemożliwe. Nie widziała też nic przed sobą, poza wąskim fragmentem drogi oświetlonym przez reflektory jej auta. Wyglądało to tak, jakby ona, jej samochód i pojazd za nią znajdowali się w środku długiego, smaganego deszczem tunelu.

Światła samochodu z tyłu były już tak blisko, że zaczęły ją oślepiać. Christy zacisnęła dłonie na kierownicy tak mocno, że czuła drgania przekazywane przez koła. Usłyszała sobie nagle, że oddycha ciężko, jak po wielkim wysiłku. Że jest przerażona. Pewnie znowu przesadza, ale za moment zadzwoni po straż pożarną i powie, że widzi jakąś lunę przy końcu Cemetery Road. Jeśli ten facet siedział jej na ogonie celowo, zamierzała zrobić wszystko, by się nie dowiedzieć, co chciał zrobić. Miała już gotowy plan: zadzwoni po straż pożarną, która pojawi się tu lada moment. Kiedy wóz strażacki nadjedzie z naprzeciwka, oboje

będą musieli ustąpić mu drogi, a wtedy ona zawróci i pojedzie za strażakami.

Sięgała właśnie po torebkę, kiedy światła z tyłu zamrugały. Długie-krótkie. Długie-krótkie. Jasne, chciał ją wyprzedzić. Pewnie gdzieś się spieszył, a ona jechała za wolno jak na jego obyczaje. Typowy facet.

To pomyślawszy, wzięła głęboki oddech i próbowała się uspokoić. Tak, właśnie o to chodziło: jechał za nią typowy narwany facet, który zawsze chce być szybszy od innych.

Porzuciwszy na moment plan wezwania straży pożarnej, zacisnęła mocniej dłonie na kierownicy i zjechała nieco na bok, by zrobić mu miejsce.

Wyjechał za niej i dodał gazu. Kiedy się zrównali, Christy zobaczyła, że to pikap. Biały pikap z jakimś napisem na drzwiach pasażera. Ze względu na pogodę i ciemności nie mogła odczytać tego napisu ani też przyrzyć się kierowcy. Pikap wjechał w kałużę, a spod jego kół wystrzeliły fontanny wody. Błotniste bryzgi uderzyły w okno jej samochodu. Obawiając się, że może lada moment wpaść w poślizg, Christy usiadła prosto i z wolnity. Tamten kierowca także zwolnił.

Droga była naprawdę wąska, a biały pikap jechał bardzo blisko. Musiała skupić się na prowadzeniu...

Nagle pikap uderzył w jej samochód. Mocno.

- Nie! - krzyknęła przerażona, spoglądając w bok, kiedy toyota omal nie zleciała z drogi. Przednie prawe koło wpadło na pobocze, kierowca szarpnęła mocno w jej rękach. Christy czuła, jak spod koła pryska żwir, kiedy próbowała odzyskać panowanie nad autem i wrócić na szosę. Serce podeszło jej do gardła, wstrzymała oddech. Gdy znów znalazła się na twardej nawierzchni, omal nie zapłakała z radości. Bała się, że gdyby spróbowała gwałtownie hamować na tak śliskiej szosie, wpadłaby w poślizg i uderzyła w drzewo. Starła się więc nacisnąć na hamulec powoli, łagodnie, wiedząc, że powinna zwolnić i uspokoić się, łudząc się, że pikap pojedzie dalej.

Nic z tego. Gdy odzyskała panowanie nad samochodem, biały kształt po jej lewej stronie zbliżył się znowu i... bum! Huk metalu uderzającego o metal zabrzmiał równie głośnie i przerażająco jak wystrzał z pistoletu.

- Przestań! - krzyknęła, czując, jak strach zamienia jej żołądek w ciężki, twardy kamień.

Wiedziała, że jej krzyki niczego nie zmienią. Kierowca pikapu jej nie słyszał i wcale nie zamierzał przestawać. On robi to celowo, pomyślała z przerażeniem, gdy koła jej samochodu znów wpadły na pobocze. Pró-

bując zapanować nad toyotą i ponownie wyjechać na drogę, znów zwróciła się o pomoc do niebios, błagając w myślach: Proszę, Boże, proszę, Boże...

Żwir uderzał w maskę i bok jej samochodu głośnym, szybkim staccato. Christy przywarła do kierownicy, pochłonięta całkowicie prowadzeniem. Dzięki szczęściu i boskiej pomocy udało jej się drugi raz wrócić na drogę. Ustał przerażający stukot żwiru.

Szybkie spojrzenie w bok powiedziało jej, że napastnik nadal tam jest, że wciąż jedzie obok niej. Christy zaczęła zwalniać, by się zatrzymać i szybko wrzucić wsteczny bieg.

Bum!

Znów uderzył w jej auto. Tym razem była bezsilna: samochód wyleciał na pobocze, a potem zaczął się ślizgać po trawie. W blasku reflektorów dojrzała grupę potężnych dębów. Jechała prosto na nie. Krzycząc przeraźliwie, wcisnęła z całych sił hamulec.

I wpadła w poślizg.

Usłyszała zgrzyt hamulców. Wszystko działo się jakby w zwolnionym tempie. Przez jedną przerażającą chwilę Christy obserwowała, jak biały pikap, poszarpane zielone listowie i brązowe pnie drzew, ubłoczone na trawie i roziskrzona zasłona deszczu wirują wokół niej niczym karuzela, oświetlone na ulamek sekundy blaskiem reflektorów toyoty. Samochód był poza drogą, kręcił się wokół własnej osi niczym łyżwiarz w jakimś śmiertelnym piruecie.

Wreszcie uderzył w coś z ogłuszającym hukiem.

Poleciała gwałtownie do przodu. W tej samej chwili przed jej oczami wybuchło coś białego. Przez moment nie rozumiała, co się dzieje: czuła się tak, jakby ktoś uderzył ją w nos. Zobaczyła gwiazdy, potem poczuła, że coś uciska jej twarz.

Nie wiedziała, że krzyczy, dopóki nie przestała.

Straszliwa martwa cisza była bardziej przerażająca niż poprzedzający ją huk.

O Boże. Miała wypadek.

Nie wiedziała, ile czasu upłynęło, nim sobie to uświadomiła. Musiało to być nie więcej niż kilka minut, bo z poduszki powietrznej uchodziło jeszcze powietrze. Przednia szyba była rozbita, na zewnątrz strugi wody opadały na maskę samochodu. Przed oczami latały jej fioletowe plamy, krew dudniła w uszach. Czuła dziwne łaskotanie na twarzy.

Została ranna? Oddychała, mogła poruszać nogami i rękami. Podniosła rękę do twarzy, by sprawdzić, czy nie krwawi, kiedy przypomniała sobie o białym pikapie.

Strach sparaliżował ją niczym uderzenie prosto w żołądek. Została zepchnięta z drogi. Celowo.

Człowiek, który to zrobił, z pewnością jest w pobliżu. Być może właśnie biegnie przez deszcz do jej samochodu. Kiedy dobiegnie...

Christy przypomniała sobie tamte przerażające, obsydianowe oczy, które patrzyły na nią zza drzwi łazienki; przypomniała sobie dziwny, piskliwy głos i uderzenie siekiery rozcinające jej ramię.

To nie mógł być nikt inny.

Muszę się stąd wydostać!

Dyszcząc ze strachu, odpięła pas, otworzyła drzwi i wytoczyła się na zewnątrz. Natychmiast uderzyły ją strumienie deszczu, a szorty i koszulka, które miała na sobie, nasiąkły wodą. Dzięki temu jednak Christy odzyskała wreszcie przytomność umysłu. Kolana ugięły się pod nią ze strachu, ale ten sam strach dodawał jej sił, utrzymywał ją na nogach i zmuszał do odejścia od samochodu. Nie mogła biec, nie była w stanie, szła jednak chwiejnym krokiem przed siebie.

Rozejrzała się szybko dookoła, ale nie dostrzegła niczego. Było zbyt ciemno, deszcz przesłaniał wszystko i tłumił dźwięki. Widziała jedynie blask reflektorów swojego samochodu, które jakimś cudem się nie rozbiły. Dopiero teraz zrozumiała, że wałnęła w jeden z dębów, jakie dostrzegła na moment przed wypadkiem, ale na szczęście uderzyła w drzewo bokiem, od strony pasażera.

Nie widziała pikapu. Czyżby jego kierowca pojechał dalej, usatysfakcjonowany faktem, że zepchnął ją z drogi?

Chciałabyś!

Światła jej samochodu zwrócone były ku drodze. Christy poszła w drugą stronę, najszybciej jak potrafiła, próbując przypomnieć sobie, jak daleko jeszcze do hotelu, do najbliższego domu czy stacji benzynowej...

Nagle zapadła wokół niej ciemność tak kompletna, że Christy nie widziała nawet własnych stóp. Dopiero po sekundzie uświadomiła sobie, co się stało. Ogarnął ją obezwładniający strach. Zrozumiała, że zgasły światła jej auta.

Zostały wyłączone.

On tu był. Zatrzymał swój samochód, zgasił światła i ruszył w ciemności z jednym celem: odszukać ją.

I zabić ją, jeśli nie leżała już gdzieś martwa.

Gdy ogarnęła myślami sytuację, zrozumiała, że napastnik jest przy samochodzie, że szuka jej, poluje na nią, aby dokończyć to, co zaczął w jej domu. Omal nie wybuchnęła płaczem. Schyliła się, odchodząc jak

najszybciej od toyoty i od drogi, gdzie zapewne będzie szukał jej w pierwszej kolejności. Błoto robiło się coraz głębsze, wciągało sandały, utrudniało każdy krok. Deszcz szumiał jednostajnie, uderzał w jej głowę i plecy, walił o ziemię, zalewał oczy i usta. Czula jego smak i zapach, smak ziemi.

Przypomniała sobie nagle o torebce i zgromadzonym w niej arsenale. Ogarnięta przerażeniem tuż po wypadku, szokowana, całkiem o nim zapomniała. Wciąż znajdował się w samochodzie. Czy powinna zatoczyć koło i spróbować dostać się ponownie do auta, aby odzyskać broń oraz telefon?

Przysłoniwszy oczy dłonią, popatrzyła za siebie. To, co ujrzała, przyprawiało ją o szybsze bicie serca. Wąski strumień światła przecinał ciemność, obracał się na lewo i prawo niczym przerażające oko. Morderca szukał jej z latarką.

Zacisnęła mocniej usta, tłumiąc krzyk. Kto mógłby ją usłyszeć? Nikt prócz niego. Krzyk pomógłby mu tylko ją odnaleźć. Znów ugięły się pod nią nogi, zebrała jednak siły i ruszyła naprzód, wiedząc, że od tego zależy jej życie.

Nagle w ciemności zabłyśły światła samochodu i przesuwały się szybko w przeciwnym kierunku. Christy ruszyła w stronę drogi, licząc na to, że wbiegnie w pole widzenia kierowcy i zdoła go zatrzymać.

Zatrzymaj się! Proszę! Zatrzymaj się!

Nie ośmieliła się wypowiedzieć tych słów głośno, biegła jednak w stronę samochodu najszybciej, jak potrafiła, wymachując obiema rękami. Reflektory omiotły ją tylko i przesunęły się dalej: kierowca albo jej nie widział, albo wołał się nie zatrzymywać. Przystanąła zrozpaczona i odprowadziła go wzrokiem; po kilku sekundach tylne światła auta zniknęły w oddali, pochłonięte przez ciemność i deszcz.

Nadal jednak widziała jakiś błysk. Wąski okrągły promień, przypominający wiązkę lasera, zatrzymał się na jej ramieniu. Kiedy spojrziała w tamtą stronę, najpierw ze zdumieniem, potem z niedowierzaniem, promień przesunął się wzdłuż jej ciała, od głowy do stóp.

Christy uświadomiła sobie z przerażeniem, co to jest.

Latarka jej prześladowcy. Znalazł ją!

Teraz, kiedy nie musiała się już kryć, krzyknęła przeraźliwie i podarowała się do biegu. Ślizgając się w błocie, krzycząc co sił w płucach, biegła w stronę drogi, w nadziei że za chwilę nadjedzie inny samochód, że pojawi się tam ktoś inny niż potwór, który ścigał ją teraz w ciemności.

Deszcz opadał na ziemię z jednostajnym szumem, tłumiąc wszystko. Zdawało się, że otula ją szczerze, pochłania dźwięki i obrazy, odbiera

nadzieję. Gdyby nie promień latarki, nie miałaby pojęcia, gdzie jest napastnik.

Teraz on także biegnie; światło podskakiwało nierówno, przesuwał się szybko do przodu. Biegając w stronę drogi i z trudem łapiąc oddech, Christy czuła się tak, jakby została uwięziona w jednym z tych sennych koszarów, w których próbowała uciekać przed jakimś niesbezpieczeństwem, lecz nie mogła ruszyć z miejsca, nabrać prędkości. Bolały ją płuca, nogi ugiwały się pod nią, robiły się coraz cięższe i cięższe.

Wiedziała już, że nie zdaży. Wiedziała to, choć nadal walczyła, nie zamierzając się poddać; nie chciała biernie przyjąć tego, co nieuniknione. Wkrótce wyczuła raczej, niż zobaczyła, że zbliża się do niej; wyczuła raczej, niż usłyszała jego ciężkie kroki. Serce trzepotało jej w piersi niczym przerażony ptak w klatce; adrenalina dodała nowych sił. Seryjny zabójca czy płatny morderca - to nie miało najmniejszego znaczenia. Ważne było tylko, że chciał ją zabić. Strach pchał ją do przodu; nawet w tym śliskim błocie, nawet pomimo zmęczenia i szoku po wypadku biegła szybciej niż kiedykolwiek w życiu. On jednak był coraz bliżej, wiedziała to. Ciepła, twarda dłoń zamknęła się na jej ramieniu.

Christy krzyknęła, zdołała się wyrwać i skoczyła do przodu.

Mocne pchnięcie w plecy rzuciło ją na kolana. Lodowaty strach objął całe jej ciało, zamykając żołądek w żelaznym uścisku.

Napastnik pochwyił ją za włosy i odchylił jej głowę do tyłu. Przez moment nachylone nad nią ciało osłoniło ją przed deszczem. Wciąż był tylko ciemnym kształtem, postacią z horrorów, wielką i czarną, emanującą złem. Czula ostrą, kwaśną woń, która była zapewne zapachem jej własnego strachu. Strach pochwyił ją za gardło, zalał oczy zimnym potem.

Była tak przerażona, że nie mogła nawet krzyczeć.

Przed oczami stanęła jej twarz Elizabeth Smolski. Czy tak właśnie czuła się ta biedaczka na kilka sekund przed tym, nim Christy zostawiła ją samą na plaży, na kilka sekund przed tym, nim ten potwór poderznął jej gardło?

Czy ona także się modliła?

- Cześć, Christy! - zawołał napastnik tym przeraźliwym, piskliwym głosem, który prześladował ją w snach. Słyszała go poprzez bicie własnego serca, poprzez chrapliwy oddech i szum deszczu. W chwili gdy upewniła się ostatecznie, że rzeczywiście był to ten sam człowiek, który napadł na nią w domu, w chwili gdy zebrała resztki sił, by przygoto-

wać się do walki, by krzyknąć, on przyłożył coś twardego i zimnego do jej szyi.

Nie.

Ból był nagły, przeszywający. Potem - zniknął. Nie czuła nic. Absolutnie nic. Ciemność zamknęła się nad nią niczym fale morza. Pogrążyła się w nicości.

## Rozdział 17

Nie była ciężka, ale jej bezwładne ciało okazało się nieporęczne i śliskie od błota i deszczu. Choć nie należał do słabeuszy, musiał się niezle natrudzić, by przetrzucić ją przez ramię i utrzymać w miejscu.

Przekłęty deszcz wszystko utrudniał.

Po pierwsze, jechał pikapem, a nie camperem. Nie przypuszczał, że uda mu się ją porwać tej nocy, nie był więc odpowiednio przygotowany.

W końcu jednak stało się to, co musiało się stać - śliczna mała gazela odeszła od stada i wpadła mu prosto w ręce. Był cierpliwy, choć wcale nie miał czasu na cierpliwość. Obserwował ją, czekał na swoją szansę, wiedząc, że nadarzy się wcześniej czy później. Zawsze się nadarzała.

Musiał jednak przyznać, że był zaskoczony, kiedy jej samochód wyjechał z garażu. Myślał, że Christy zamierzała spędzić noc w domu, i choć chciał dopaść ją jak najszybciej, postanowił, że nie będzie ryzykował kolejnego włamania. Powstrzymały go przed tym zakupy, jakie zrobiła w ciągu dnia: skoro kupiła naboje, to musiała mieć pistolet. O nie, nie zamierzał dać się zastrzelić. Teraz, kiedy była bardziej czujna, musiał wziąć ją z zaskoczenia, gdzieś na zewnątrz.

Jak teraz.

Przytrzymując jej ciało jedną ręką, szedł w stronę samochodu. Ziemia była rozmokła, buty tonęły w błocie, utrudniając marsz. Starał się iść jak najszybciej, wiedząc, że w każdej chwili ktoś może nadjechać drogą, zobaczyć go z Christy na ramieniu albo jej rozbity samochód pod drzewami. Nie dysponował swą zwykłą siłą. Bestia pozostawała uspio-  
na, był więc zdany tylko na siebie.

To przez jej włosy. Okropne! Odstreżwały go od niej. To, co zrobiła ze swoją fryzurą, było profanacją. Teraz nawet Terri wydawała mu się bardziej atrakcyjna. Bardziej atrakcyjna dla bestii.

I dobrze.

Wiedzieli już, że tutaj jest. Co oznaczało, że choć bardzo lubił to miejsce, musi je opuścić. Będzie musiał poszukać nowych terenów, nowej zwierzyny.

Artykuł w gazecie to wystarczająco przekonujący sygnał. Przeczytał go w sklepie i zrozumiał, że nie ma już czego szukać na Outer Banks. Musiał się spakować i wyjechać. Wiedział, że znów będą go szukać, grzebać w komputerach i bazach DNA, zatrudniać psychologów. Kiedyś już przez to przechodził.

Szkoda, bo naprawdę mu się tutaj podobało. Przekonał się, że najbardziej odpowiadają mu dziewczyny z plaży. Ślicznotka w bikini nie mogła go niczym zaskoczyć. Dostawał dokładnie to, co widział.

Podobało mu się też, że nadali mu imię. Płażowicz. Brzmiało całym nieźle, jak Zodiak albo Zabójca znad Zielonej Rzeki, albo Syn Sama. Nie każdy seryjny morderca miał swoje imię. To dodawało mu prestiżu.

Gdyby jego ojciec żył, byłby z niego dumny. Ale ojciec był głupcem, więc musiał umrzeć.

On natomiast zamierzał żyć długo i intensywnie. Lecz by to osiągnąć, musiał znaleźć sobie nowe tereny łowieckie. I pozbyć się Christiny Petrino, jedyne świadka, który mógł go zidentyfikować.

I był już tego bliski. Christina i jej samochód znikną tej nocy bez śladu. On zaś pokreśli się tu jeszcze przez kilka tygodni, aby jego wyjazd nie wzbudził niczyich podejrzeń, a potem także zniknie.

Tyle że w odróżnieniu od Christy będzie żył i kontynuował swoje dzieło gdzie indziej.

Uśmiechnął się na myśl o tym. Później, kiedy dotarł do samochodu Christy i zsunał ją z ramienia, przyszedł mu do głowy pewien pomysł: może powinien się wybrać do Kalifornii.

Tam też są plaże, a jemu zawsze się podobała piosenka grupy Beach Boys o dziewczynach z Kalifornii.

## Rozdział 18

Luke leżał skulony w jakimś ciemnym ciasnym miejscu i próbował przypomnieć sobie, gdzie jest i co się z nim stało. Pamiętał, że obserwował Christy: przebrał się w suche ciuchy, biegła z pokoju do pokoju, wrzucając różne rzeczy do swojej walizki i najwyraźniej szykując się do opuszczenia domu. Dokąd zamierzała pojechać? Oto było pytanie za milion dolarów. Pamiętał, jak zastanawiał się nad tym, wpatrzony w monitor. Miała się z kimś spotkać? Nikt do niej nie dzwonił...

Nieważne - tak właśnie wtedy pomyślał. Dokądkolwiek się wybierала, musiał jechać za nią. Był zmęczony i zirytowany, miał przed sobą perspektywę sprzątnięcia kociej kupy z poscieli, ale to wszystko bez znaczenia: nie mógł pozwolić, by przynęta wymknęła mu się z rąk. Dobrze, że zatan-kował exploraera, kiedy Christy niszczyła sobie włosy w salonie fryzjerskim. Dobrze też, że zamontował w jej toyocie urządzenie naprowadzające - na wypadek gdyby postanowiła wyjechać gdzieś w nieznaną w środku ciemnej, burzowej nocy. Wiedział już z doświadczenia, że właśnie w taką noc najtrudniej jest śledzić kogoś jadącego samochodem. Musiał trzymać się bardzo daleko z tyłu albo ryzykować, że ów ktoś zobaczy reflektory jego auta w lusterku. Choć Christy była mocno wystraszona, na pewno nie przegapiłaby światła obcego pojazdu podążającego za nią przez dłuższy czas, szczególnie jeśli pomyśleć, jak mało samochodów jeździło późną nocą

po Ocracoke. Urządzenie, które zamontował w toyocie tylko na wszelki wypadek, mogło się dzisiaj okazać prawdziwym darem niebios.

- Sprawdź sygnał nadajnika w jej samochodzie! - zawołał do Gary'ego, przebiegając się w suche rzeczy.

- Nie ma go. - Pamiętał, że tak właśnie odpowiedział Gary, a on zaklął siarczysto w odpowiedzi.

Potem przypomniał sobie całą resztę. Ogarnawszy spojrzeniem aparaturę zamontowaną przez Gary'ego i upewniwszy się, że urządzenie naprowadzające rzeczywiście nie działa, a Christy nadal się pakuje, postanowił wykorzystać odrobinę wolnego czasu, jaka pozostała do jej wyjazdu i sprawdzić, co się dzieje z nadajnikiem. Z latarką w dłoni przebiegł do jej garażu i wśliznął się do środka - teraz już miał klucze do garażu i samochodu, wystarczyło więc, że podniósł wrota i przesunął się pod nimi - i otworzył bagażnik. Urządzenie naprowadzające ukryte było w kole zapasowym. Pochylił się nad bagażnikiem, podniósł wykładzinę i oświetlił latarką wnętrze koła, szukając małego, plastikowego gadżetu - a wtedy usłyszał, jak otwierają się drzwi pomiędzy garażem i kuchnią.

A niech to. W ułamku sekundy, który pozostał mu na jakąkolwiek decyzję, wskoczył do bagażnika, jedynego miejsca, gdzie mógł się jeszcze ukryć. Nim Christy zapaliła światło, on leżał już w bagażniku, przytrzymując kłapę. Potem usłyszał świergotliwy sygnał pilota, co świadczyło, że Christy chciała otworzyć bagażnik.

Cholera, wyglądało na to, że ta nieznoszna baba zamierza schować tam walizkę.

Nie zastanawiając się ani chwili dłużej, Luke przyłgnął do tylnej ściany bagażnika i przykrył się wykładziną, próbując zachować absolutną ciszę, co nie było łatwe, kiedy miał kolana pod brodą, a kurz zatykał mu nos i łaskotał nozdrza.

Wiedział, że jeśli Christy zajrzy do wnętrza bagażnika, pomyśli, że jej wykładzina jest w dziewiątym miesiącu ciąży, co byłoby zjawiskiem dość niezwykłym i jego z pewnością skłoniłoby do bliższych oględzin tejże wykładziny. Na szczęście Christy nie zaglądała do środka. Wrzuciła pospiesznie walizkę, która uderzyła go w kolano i nos, zatrzaskała kłapę i wsiadła do samochodu.

I tak właśnie Luke znalazł się w ciemnościach sam na sam z zakurzoną wykładziną i walizką. Samochód wyjechał przed garaż, zatrzymał się raptownie i ruszył w przeciwną stronę. Luke kłął cicho pod nosem, tracąc zażawione oczy i próbując rozprostować obolałe nogi, po czym, zaskoczony gwałtownym łaskotaniem w nozdrzach, kichnął potężnie. Zastygł na moment w bezruchu, pomyślawszy, że Christy mogła to usłyszeć, ale jechała dalej, po chwili mógł więc założyć, że jest bezpieczny. Miał nadzieję, że deszcz, który dudnił o karoserię auta niczym jakiś szalony dobosz, zagłuszy wszystkie hałasy -jak choćby kolejne kichnięcia - których mógł niechcący narobić.

Bywał już w ciasniejszych miejscach, bardziej niebezpiecznych i mniej wygodnych, to prawda. Ale nigdy jeszcze nie znalazł się w rówie nie absurdalnej sytuacji - zamknięty w bagażniku przez osobę, którą miał obserwować.

Pocieszał się myślą, że w najbliższym czasie na pewno jej nie zgubi. Tylko że musiał znaleźć jakiś sposób na to, by po dotarciu do celu podróży wyskoczyć niepostrzeżenie z bagażnika, znaleźć telefon i zadzwonić do Gary'ego, a jednocześnie przez cały czas mieć dziewczynę na oku.

Wyjście z bagażnika nie będzie takie trudne. Z pewnością uda mu się podważyć zamek za pomocą wieloczynnościowego scyzoryka, który nosił przy kluczach, choć mogło to potrwać nawet kilka minut, a przecież nie powinien tracić Christy z oczu na tak długi czas. Można też wypchnąć tylne siedzenie i w ten sposób dostać się do kabiny samochodu. Albo po prostu przestrzelić zamek.

Cholera! Nie mógł tego zrobić: zostawił pistolet i komórkę w schowku w explorerze, bo właśnie nim zawsze jeździł, śledząc Christy.

Nigdy nie przyszło mu do głowy, że zamieni auto na bagażnik jej wozu.

Gary będzie miał niezły ubaw. Luke skrzywił się na myśl o tym, jak szybko ta historia rozniesie się po całym wydziale.

Ulokowawszy się najwygodniej, jak było to możliwe w ciasnym bagażniku, starał się nie poddawać zwątpieniu i obmyślać różne sposoby wyjścia z tej sytuacji. Właśnie w chwili gdy zastanawiał się, czy Christy jest odpowiedzialnym kierowcą i czy bezpiecznie dowiezie ich na miejsce, usłyszał głośny huk i zgrzyt żelaza. Toyota zjechała z drogi, a on miotał się po bagażniku niczym ziarnko grochu w pustej butelce.

Przypominał sobie jeszcze bolesne uderzenie o twardą powierzchnię i nagle zrozumiał: mieli wypadek. Zaniepokojony wciągnął w nozdrza powietrze. Nie czuł zapachu benzyny. Ani dymu, Bogu dzięki.

Teraz, kiedy wiedział już, co się stało, pojął, że przy zderzeniu musiał stracić przytomność. Szybko przeanalizował sytuację: wciąż leżał w bagażniku, owinięty wokół walizki, z obolałą głową, którą musiał solidnie w coś uderzyć. Samochód stał. Prócz bębnienia kropel deszczu do środka nie docierał żaden dźwięk.

Christy!

Zaniepokojony Luke podniósł głowę i czujnie nasłuchiwał. Gdzie ona jest? Czy została ranna?



Do diabła z tą kobietą, sprawiała mu więcej kłopotów niż dziesięć jego ostatnich dziewczyn i dziesięć ostatnich śledstw łącznie.

Nie słyszał nic prócz szumu deszczu, co jego zdaniem nie wróżyło niczego dobrego. Wyobraził sobie Christy leżącą nieruchomo na kierownicy, nieprzytomną i zakrwawioną, i tak przeraził się tą myślą, że zapomniał o własnym bólu.

Musi się wydostać z tego cholemnego bagażnika.

Przebywanie w tak ciasnym miejscu miało jednak pewną dobrą stronę: wystarczyło kilkanaście sekund, by odnalazł w ciemności po omacku swoją latarkę. Odszukanie seczoryka było jeszcze łatwiejsze: czuł, jak wbija mu się w pośladek, przyciśnięty mocno do tylnej ścianki bagażnika. Właśnie wyjmował go z kieszeni, kiedy usłyszał jakies głucho stuknięcie, znak, że w samochodzie lub obok niego jest jakiś człowiek. Christy? Czyżby nic jej się nie stało?

Następne uderzenie, tym razem gdzieś koło tylnego światła, upewniło go, że to nie trzask opadającej galezi. A więc sprawczynią tych hałasów musi być Christy - bo kto inny? - która szła wzdłuż samochodu, opierając się o niego lub przewracając raz za razem.

Mogło to oznaczać dwie rzeczy: po pierwsze, Christy żyła i miała dość sił, by się poruszać; po drugie, była ranna lub mocno poobijana, inaczej bowiem nie uderzałaby w samochód.

Może była tylko oszołomiona po wypadku.

Luke zawałał się na moment, rozważając dwa wyjścia: mógł ujawnić swoją obecność głośnym krzykiem lub zachować ciszę, poczekać, aż Christy odejdzie dalej, a potem wydostać się na zewnątrz o własnych siłach i działać odpowiednio do sytuacji.

Wyobraziwszy sobie minę, jaką zrobiłaby Christy na jego widok, postanowił jednak trzymać język za zębami i czekać.

Świergotliwy sygnał pilota, którym otwierała drzwi i bagażnik, zabrzmiał w jego uszach niczym wystrzał pistoletu. Luke zamarł w bezruchu, otwierając tylko szerzej oczy.

Z jakiegoś zupełnie niezrozumiałego powodu Christy próbowała dostać się do bagażnika. Szczęśliwie dla niego centralny zamek najwyraźniej nie zadziałał. Tylko dzięki temu Luke zdążył wsunąć się pod wykładzinę, nim w dziurce zazgrzytał klucz.

Pokrywa uniosła się powoli, a w jego nozdrza uderzył powiew wiatru. Poczł wilgotne, zimne powietrze nocy i kolejną porcję kurzu, która drażniła niebezpiecznie nos. Wstrzymał oddech i próbował wymyślić naprędce jakąś wymówkę, która usprawiedliwiłaby jego obecność w tym miejscu.

„Byłem właśnie w pobliżu...”

Usłyszał czyjes stęknięcie i omal nie krzyknął, kiedy spadło nań coś ciężkiego. Sekundę później bagażnik zamknął się z trzaskiem.

Znów leżał w absolutnych ciemnościach. Teraz nie miał już jednak ani odrobiny luzu. Coś, co leżało na nim, zajmowało całe wolne miejsce. Pachniało ziemią.

Luke wysunął się spod wykładziny, by przyjrzeć się bliżej temu obiektowi. Był ciężki, nieruchomy i wilgotny. I sprężysty. I krągły...

I miał włosy. Mokra włosy długości piętnastu czy dwudziestu centymetrów. O jego twarz opierały się ramię i odrzucona do tyłu ręka. Luke odepchnął ją od siebie i przesunął dłonią w dół. Wyczuł wąski nadgarstek, a potem drobną dłoń i szczupłe palce.

Wstrzymał oddech.

Christy. To straszliwe przypuszczenie zamieniło się w pewność, kiedy przesunął dłonią po jej twarzy. Dopiero teraz uświadomił sobie, że jej rysy wryły mu się już mocno w pamięć; pamiętał doskonale gładkie czoło, wysokie kości policzkowe, delikatny nos, spiczasty podbródek. To odkrycie wcale go nie ucieszyło: nigdy nie zamierzał tak bardzo spoufalac się ze swoją przynętą, by rozpoznawać jej twarz wyłącznie dotykiem, w ciemności. Lecz to śledztwo od początku nie szło po jego myśli, a jedynie, co mógł teraz zrobić, to działać tak, jak pozwalała mu na to sytuacja. Musiał też wreszcie przyznać się przed samym sobą, że wciąż jej pragnął, bardziej niż kogokolwiek dotąd. Świadomość, że mógł ją mieć, że bez względu na to, co nią kierowało, gotowa była mu się oddać, doprowadzała go do szału. W innych okolicznościach przeszedłby bosymi stopami po rozpalonych węglach, by dostać się do jej łóżka, ale te okoliczności były takie, a nie inne. Miał za zadanie trzymać się blisko podejrzanej, ale nie za blisko. Mimo to nie uważał jej już tylko za przynętę. Była Christy, seksowną, inteligentną, wrażliwą i wystraszoną kobietą. Uświadomił sobie, że bardziej zależy mu na zapewnieniu jej bezpieczeństwa niż na schwytaniu Michaela DePalmy. Dotąd nie udawało mu się ani jedno, ani drugie.

Usta miała lekko rozchylone - delikatne, uwodzicielskie usta, które minionego wieczora omal nie pozabawiły go rozumu - wydawało mu się jednak, że nie wydobywa się z nich oddech. Zimny strach ścisnął mu serce niczym żelazna pięść. Przesunął dłoń wzdłuż jej szyi, przyłożył palec do zagłębienia pod uchem. Żyła. Była nieprzytomna, ale żyła. Jej puls bił równomiernie, choć bardzo słabo.

Jednego mógł być pewien: nie trafiła do własnego bagażnika na skutek wypadku.

Wziął głęboki oddech, zaskoczony tym, jak szybko bił jego własny puls. Odszukał ponownie latarkę i właśnie miał ją włączyć, gdy z przodu samochodu usłyszał dziwny metaliczny zgrzyt. Znieruchomiał.

Co to mogło być, do diabła?

Z pewnością nic dobrego.

Z bijącym sercem, wyteżając słuch tak bardzo, że wydawało mu się, iż rozróżnia kroki człowieka chodzącego wokół toyoty, leżał w bezruchu i czekał. Najwyraźniej ten, kto wrzucił Christy do bagażnika, nie zamierzał odejść. Luke był przekonany, że to ten sam człowiek, który włamał się do domu Christy i chciał ją zabić. Gotów był też założyć się o sporą część swojej pensji, że człowiek ten jest powiązany w jakiś sposób z Michaeliem DePalma. Czuł, jak narasta w nim wściekłość. Zdażył się już przekonać, że Donnie junior traktował kobiety jak przedmioty jednorazowego użytku. Tym razem jednak Luke nie zamierzał do tego dopuścić. Szcześliwa passa DePalmy musiała się skończyć na Christy.

Problem polegał jednak na tym, że w tej chwili niewiele mógł zrobić. Zamknięty wraz z nią w bagażniku miał naprawdę małe pole manewru. Wystarczyło kilka kul w pokrywę albo zapalona szmata wetknięta do zbiornika paliwa i byłoby po nich. Albo...

Tak, mogli zginąć na wiele różnych sposobów. Oboje byli teraz nie słychanie łatwym celem. Pewną przewagę dawał im jedynie fakt, że człowiek, który zamknął Christy w bagażniku, nie wiedział o obecności Luke'a. Dlatego też jedyne, co mu pozostało, to siedzieć cicho i czekać na okazję.

Teraz, gdy miał trochę czasu do namysłu, uznał, że lepiej nie zapalać latarki, bo jej światło mogło prześwitywać przez szpary. Powoli, bardzo ostrożnie, by nie narobić hałasu i nasłuchując uważnie dźwięków z zewnątrz, zbadał dotykiem czaszkę Christy, jej szyję, ramiona, nogi i tułów, szukając jakichś większych obrażeń czy krwi.

Nie znalazł niczego niepokojącego, to jednak nie oznaczało, że nie jest ranna. Mogła umierać tuż obok niego, a on nawet by o tym nie wiedział.

Ta myśl sprawiła, że oblał się zimnym potem.

Zgrzytliwe hałasy nagle ustały.

Luke natychmiast skupił całą uwagę na tym, co mogło dziać się na zewnątrz. Dochodziły go różne dźwięki głośniejsze od szumu deszczu, nie miał jednak pojęcia, co mogły oznaczać. Jednej rzeczy był pewien: celem wszystkich tych zabiegów jest zabicie Christy. Nie wiedział jeszcze tylko, jaką śmiercią miała zginąć. Miał też nadzieję, że nigdy się tego nie dowie.

Znieruchomiał, usłyszawszy głucho uderzenie tuż nad głową. Próbując znaleźć oparcie dla stóp, by w razie potrzeby natychmiast wyskoczyć z bagażnika i rzucić się do ataku, przesunął niechcący walizkę. Zgrzytliwy dźwięk, jaki temu towarzyszył, zmroził mu na moment krew w żyłach. Czy hałas był na tyle głośny, by zwrócił uwagę człowieka na zewnątrz? Luke nie miał pojęcia: słyszał teraz jedynie bębnienie deszczu o karoserię. Czy morderca stał nieruchomo przy samochodzie, podejrzewając, że Christy odzyskuje przytomność i zaczyna się poruszać? Czy mierzył właśnie do bagażnika z pistoletu? Nawet jeśli tak, Luke nie mógł temu w żaden sposób zapobiec.

Nie była to miła myśl.

Z bijącym sercem, nasłuchując tak intensywnie, że bał się nawet odychać, czekał na huk wystrzału, na trzask otwieranego bagażnika, cokolwiek.

Lecz następny głośniejszy dźwięk dobiegł go od strony maski toyoty. Znow usłyszał zgrzyt metalu o metal, potem samochód drgnął, a jego przednia część zaczęła się unosić, aż auto przechyliło się do tyłu niemal pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Luke zsunął się na Christy, przyciskając ją do ściany bagażnika. Wydała z siebie żalospasny dźwięk, coś pomiędzy jękiem i skamleniem.

Zrobił jej krzywdę? Sprawił ból? Nie mógłby chyba znieść myśli, że jest ranna, a on przysporzył jej jeszcze więcej cierpień.

- Christy? - wyszeptał.

Żadnej reakcji.

Klnąc pod nosem, odsunął się, przelożył walizkę na bok, a potem objął dziewczynę mocno i próbował przetoczyć się nad nią. W ciasnocie nie było to łatwe, w końcu jednak zdołał odwrócić ich oboje tak, że teraz leżał przyciśnięty do ściany bagażnika, a Christy opierała się o niego. Zimna, wilgotna i bezwładna niczym szmaciana lalka. Przytulił ją do siebie, próbując rozgrzać. W rezultacie po chwili sam także był cały przemoczony. Raz jeszcze przesunął dłońmi po ciele Christy, sprawdzając starannie jej kark, plecy, pośladki i nogi. Żadnych większych obrażeń. Żadnej krwi.

Bogu dzięki.

Samochód ruszył powoli do przodu, kołysząc się na nierównym gruncie.

Luke pomyślał, że uderzenie w głowę, jakiego doznał podczas wypadku, odebrało mu chyba zdolność logicznego rozumowania. Teraz rozumiał już doskonale, co działo się z autem: zgrzytliwe dźwięki, które słyszał przed chwilą, spowodował łańcuch owijany wokół przedniej osi.

Wziąwszy pod uwagę dziwny przechyl i nierówne kołysanie, domyślił się bez większego trudu, że samochód jest holowany.

I to nie przez pomoc drogową.

Nie wyglądało to najlepiej, a wręcz wydawało się coraz gorsze, im dłużej o tym myślał. Na wyspie były urwiska, wysokie skalne półki wysunięte nad ocean, nad cieśninę Plamico. O tej porze trwał przyptyw. Gdyby ktoś zrzucił teraz samochód do wody, rano nie byłoby po nim śladu. W północnej części wyspy znajdowało się też czynne złomowisko: zgniatanie samochodu do kostki o rozmiarach pudełka na buty było jednym z najczęstiej stosowanych przez mafię sposobów eliminacji ludzi znajdujących się wewnątrz auta.

Luke miał więc jasno określone cele: po pierwsze musieli się wydostać z tego cholernego bagażnika.

- Christy... - wyszeptał Luke prosto do ucha dziewczyny, odgarniając do tyłu jej mokre włosy. Żadnej odpowiedzi.

Samochód zakoleysał się gwałtownie, potem lekko opadł, a jazda stała się nagle o wiele łagodniejsza. Nabrali też chyba prędkości. Mogło to oznaczać tylko jedno: wyjechali na drogę. Luke nie był pewien, dokąd zmierzają, wiedział jednak, że z każdą minutą są coraz bliżej tego miejsca.

- Christy...

Zaczął rozcierać jej zimne, bezwładne ramiona, by przywrócić normalne krążenie. Musiał ją doprowadzić do przytomności. Musieli wydostać się z samochodu i to jak najszybciej. Najlepiej teraz, kiedy jechali. Później, gdy dotrą już na miejsce, może im być znacznie trudniej tego dokonać.

- Christy, obudź się.

Pomyślał, że jeśli będzie do tego zmuszony, stworzy bagażnik, wyskoczy wraz z nią z auta, a potem weźmie ją na ramię i dojdzie do najbliższej budki telefonicznej. Christy nie była ciężka, z pewnością nie na tyle, by nie mógł jej nieść. Znacznie trudniejsza mogła być pierwsza część planu, czyli wydostanie się na drogę. Bezwładne ciało było bardzo nieporęczne, musiałby więc dokonać cudów zręczności, by wyskoczyć z pędzącego wozu tak, by nie zrobić krzywdy ani sobie, ani dziewczynie. Nie znaczyło to oczywiście, że tego nie zaryzykuje, byłoby mu jednak znacznie łatwiej, gdyby Christy odzyskała przytomność i pomogła mu.

Tak czy inaczej, wkrótce musiał zacząć działać. Jechali dość szybko, a to oznaczało, że nie miał zbyt wiele czasu do namysłu.

- Christy, musisz się obudzić. - Przemawiał teraz głośniejszym, bardziej stanowczym tonem. Poklepał ją lekko po policzkach. Wreszcie zareagowała głębokim, drżącym westchnieniem i jakimś niezrozumiałym

mruknięciem. Potem poczuł, jak coś miękkiego i wilgotnego ociera się o jego policzek; biorąc pod uwagę pozycję, w jakiej leżeli obok siebie, mogły to być tylko jej włosy. Czyżby poruszyła głowę?

- Christy, słyszysz mnie?

Odpowiedziała kolejnym niezrozumiałym dźwiękiem.

- Christy, to ja, Luke. Obudź się, proszę.

Tym razem na pewno się poruszyła.

- L-Luke?

Jej głos był słaby, ledwie słyszalny, ale sprawił mu ogromną, trudną do opisanego radość. Odetchnął głęboko, jakby zbudził się właśnie z dusznego, koszmarnego snu.

- Tak. Jesteś ranna? Coś cię boli?

- Ranna?

Najwyraźniej nie odzyskała jeszcze całkiem przytomności, co wcale go nie dziwiło. Reagowała jednak i poruszała się, a o to mu właśnie chodziło. Czuł, jak się przesuwa, próbując rozprostować nogi. Jej głowa spoczywała teraz na jego piersi, czuł więc też, jak Christy się obraca, chcąc spojrzeć na niego, choć oczywiście nie mogła nic zobaczyć w ciemnym wnętrzu bagażnika. Był teraz równie mokry jak ona, wydawało mu się jednak, że tam, gdzie ich ciała się stykały, robiła się coraz cieplejsza, jakby chłoneła ciepło bijące od niego.

- Gdzie my jesteśmy? - spytała, wciąż oszolomiona.

- W bagażniku twojego samochodu. Christy, posłuchaj mnie: jesteś ranna?

Słyszał oddech dziewczyny, czuł miarowe falowanie jej piersi. Minęło kilka sekund. Nagle jej ciałem wstrząsnął potężny dreszcz.

- O Boże, on zepchnął mnie z szosy! Biały pikap celowo uderzył w mój samochód. A potem... potem, kiedy wypadłam z drogi, ściągał mnie. - Mówiła piskliwym, przerażonym głosem. - Pchnął mnie w błoto i... - znów się wzdrygnęła - przyłożył mi do szyi coś zimnego. Myślałam, że poderżnie mi gardło, jak... jak...

- Szzz...

Dyszała ciężko i drżała na całym ciele. Luke objął ją mocniej i przytulił. Leżał niemal na plecach, z nogami ugiętymi w kolanach, a Christy na nim, z kolanami podciągniętymi niemal pod brodę. Czuł, że za chwilę złapie go skurcz, próbował rozprostować nogi, nie miał jednak na to miejsca. Zaciśnął zęby i zignorował ułtucia ostrzegające go przed nadchodzącym bólem.

- Opowiesz mi o tym później, dobrze? Teraz musimy się stąd jak najszybciej wydostać. Sprawdź szybko, czy nie jesteś ranna, dobrze?

Czekał, trzymając ją w ramionach, słuchając jej oddechu. Był zbyt szybki, zbyt płytki i nierówny. Dotknęła szyi i znów się wzdrygnęła.

- Nie... chyba nie jestem ranna. - Przesunęła się nieco i opuściła rękę. Mówiła drżącym głosem. - On nadal tutaj jest, prawda? Ten człowiek. Zamknął nas w bagażniku. - Zamilkła na kilka sekund, jakby próbując ogarnąć całą sytuację. - My jedziemy, prawda? Co się dzieje?

- Przypuszczam, że ten facet pozbawił cię przytomności i wrzucił do bagażnika, a teraz huluje gdzieś twój samochód.

- O Boże... - Zadrżała gwałtownie. Jej głos wypełniony był przerażeniem. - On nas zabije.

- Tak, chyba właśnie to chce zrobić. Nie wiesz może, jaką ma broń? Ma pistolet?

Christy wzięła głęboki, drżący oddech.

- Nie wiem. Nie widziałam pistoletu. Przyłożył mi... coś do szyi. Nie wiem... może to był paralizator.

To wyjaśniłoby, dlaczego pomimo braku poważniejszych obrażeń przez jakiś czas była nieprzytomna.

- Tak, to całkiem możliwe.

- Luke. - Coś w jej głosie ostrzegło go, że powinien mieć się na baczności. - Jak on złapał ciebie?

W tej chwili nie miał czasu na wymyślenie jakiegóż rozsądnej odpowiedzi.

- Powiem ci później - odparł. - Teraz musimy skupić się na tym, jak stąd uciec.

Samochód zmienił nieco położenie, co ku ogromnej uldze Luke'a odwróciło na chwilę uwagę Christy. Kilka sekund później toyota zwolniła, podskoczyła i znów zaczęła kołysać się na boki. Luke pomyślał, że pewnie zjechali z drogi. Niedobrze. Krew zaczęła szybciej krażyć mu w żyłach, kiedy uświadomił sobie, że prawdopodobnie zbliżają się do końca podróży. Dotknął scyzoryka, który schował do kieszeni, nim zamienił się miejscami z Christy. Nie musiał szukać latarki: czuł, jak wbija mu się w udo.

Czas uciekać.

- Postuchaj, oto mój plan - przemówił, starając się zachować spokojny, beznamiętny ton. - Wyskakujemy z bagażnika i biegniemy co sił w nogach. Jasne?

Kilka sekund ciszy. Luke zaczął się właśnie zastanawiać, czy Christy w ogóle go zrozumiała, w końcu jednak usłyszał:

- Jasne.

Nietrudno było odgadnąć, że wciąż zastanawiała się, jak trafił do bagażnika jej samochodu. Luke natomiast pomyślał, że łatwiej będzie mu

znaleźć jakieś rozsądne kłamstwo, gdy nie będzie musiał zajmować się ratowaniem im życia.

- Możesz trochę się ze mnie zsunąć?

- Spróbuję.

Zmieniła pozycję, ale na tak ograniczonej przestrzeni i przy takim położeniu samochodu nie mogła zdziałać zbyt wiele.

Trzymając w rękach scyzoryk i latarkę, Luke obrócił się, by dosięgnąć zamka. Nie było to łatwe, lecz przy tak silnej motywacji dokonał tego w rekordowo krótkim czasie. Teraz Christy praktycznie klęczała mu na plecach. Luke pomyślał, że byłoby znacznie łatwiej, gdyby mu poświęciła latarkę, kiedy znacznie otwierał zamek scyzorykiem. Ponownie jednak zastanowił się, czy światło nie będzie widoczne z zewnątrz. Mogłoby to przynieść pożądaną skuteczną pomoc, gdyby zauważył je kierowca jakiegoś innego auta i zaintrygowany zadzwonił po pomoc. Tylko że światło mógł także dostrzec we wsteczny lusterku mordera, a to skończyłoby się dla nich fatalnie.

Nie, poradzi sobie bez światła. Wolał nie ryzykować. Jeszcze nie teraz.

- Co ty robisz? - spytała po chwili Christy, zaintrygowana i zirytowana jednocześnie.

- Próbuje otworzyć ten zamek, żebyśmy mogli stąd uciec.

- Dlaczego nie użyjesz dźwigni?

- Masz dźwignię zwalniającą zamek w środku bagażnika?

- Mama kazała mi ją zainstalować na wypadek, gdyby ktoś mnie porwał i wrzucił do bagażnika. Ona ma bzika na punkcie takich rzeczy. -

Wydawało się, że Christy powoli dochodzi do siebie. Czuł, jak zmienia pozycję i przesuwa kolana na jego plecach, sięgając ręką do tyłu. - To jest gdzieś... tutaj.

## Rozdział 19

naniu ze strachem. Christy wręcz czuła jego smak. Ostry, kwaśny smak w głębi gardła był niczym innym jak fizjologiczną reakcją na ogarniającą ją panikę.

- Co ty tam robisz? - syknęła po chwili, która jej wydawała się całą wiecznością.

Czuła, jak Luke się porusza, jak przesuwa się mięśnie na jego plecach, słyszała jakieś zgrzyty, nie miała jednak pojęcia, co to wszystko może oznaczać.

- Śśś...

- Posłuchaj, nie chcę cię poganiać, ale zaraz stąd wychodzę, z tobą czy bez ciebie.

- Śśś...

Christy zgrzytnęła tylko zębami, choć miała ochotę mu powiedzieć, żeby wsadził sobie to „śśś” w odpowiednie miejsce. Nie wiedziała, co robił, z pewnością jednak nie było to na tyle ważne, by opóźnić ich ucieczkę. Nie mieli ani chwili do stracenia. Musieli uciec z bagażnika, by nie dać mordercy żadnych szans na realizację jego planu. Nie wiedziała, na czym polega ów plan, znała jednak jego cel.

Na myśl o tym, jak blisko była już śmierci, zrobiło jej się słabo, a strach przed atakiem paniki musiał ustąpić obawie przed utratą przytomności.

- Luke...

- Już - mruknął, wyraźnie z czegoś zadowolony. Potem dorzucił: - Przeciąłem parę kabli, żeby nie włączyła się lampka, kiedy otworzymy bagażnik.

- Och... - W porządku, może jednak warto było czekać. Wzięła głębokimi oddech, próbując zapanować nad paniką i wyrzucić z płuc nadmiar dwutlenku węgla. - Dobry pomysł.

- Tak. Posłuchaj, policzę do trzech, a wtedy ty pociągniesz za dźwignię. Jak bagażnik się otworzy, wyskoczmy. Spróbuj przetoczyć się na plecy, kiedy uderzysz o ziemię, a potem biegnij w stronę jakiegś kryjówki. Gdybym przypadkiem nie wyskoczył za tobą, nie czekaj na mnie.

- Tak, jasne. - Bez obaw, kolego. W tej chwili myślała tylko o tym, by uciec jak najdalej od tego miejsca, najlepiej aż do swojego domu w Fidelity.

- Raz. Dwa. Trzy.

Christy pociągnęła za dźwignię. Coś kliknęło, ale pokrywa bagażnika się nie otworzyła. Strach ścisnął jej żołądek, złapał za gardło.

- Powiedziałem: trzy.

- Nie otworzył się! - krzyknęła piskliwym głosem.

Poczekaj - rzucił ostro Luke. Tak ostro, że Christy, która myślała te raz tylko o tym, by jak najszybciej wydostać się z bagażnika, znieruchomiała z ręką na dźwigni.

-Co?

- Poczekaj momentik, dobrze?

- Nie jesteś jeszcze gotowy?

- Nie. Śśś...

Śśś? Była oszolomiona, osłabiona, dezorientowana, dobrze o tym wiedziała. Z drugiej jednak strony, doskonale zdawała sobie sprawę z tego, jak cenny jest dla nich każdy moment. Wciąż żyła i nie chciała tego życia stracić. Musieli uciec z bagażnika, nim samochód się zatrzyma, to teraz najważniejsze. Nigdy nie przypuszczała, że będzie wdzięczna matce za jej czarnowidztwo, a jednak tak właśnie było. Dźwignia zamontowana we wnętrzu bagażnika rzeczywiście mogła uratować jej życie, jak twierdziła niegdyś matka.

Pod warunkiem jednak, że Christy w porę go otworzy. Nie myślała już o niczym innym. Do tej pory klaustrofobia była dla niej pustym pojęciem, teraz jednak miała wrażenie, że za chwilę się udusi. Nie mogła się poruszać, z trudem oddychała. Ciało Luke'a zajmowało niemal całą wolną przestrzeń. Zwinęta w kłębek na jego plecach, zaczynała łapczywie chwytać powietrze. Czyżby miała za chwilę dostać jakiegoś ataku hysterii, panicznego strachu? Nigdy czegoś takiego nie doświadczyła, ale widziała, jak zachowują się ludzie w tym stanie. Powietrze w bagażniku był przesiąknięte wilgocią, zatechłe. Co gorsza, bolał ją kark i cały prawy bok, samochód podskakiwał na wybojach, a twarde brzeg walizki wbijał jej się w plecy. Lecz fizyczna niewygoda była niczym w porów-



- Cholera. - Czują, że Luke zmienił pod nią pozycję. - Słyszałem, jak zamek się otwiera. Pewnie coś się zablokowało podczas wypadku. Dobra, poczekaj.

Przesunął się w górę, zapewne napierając ramieniem na pokrywę. Nagle bagażnik się otworzył. Klapa podskoczyła w górę, a potem opa- dła, trzaskając na każdym wyboju. Deszcz przestał wreszcie padać, w powietrzu czuło się jednak wilgoć - cudowny, och, cudowny zapach. Podobnie jak powiew chłodnego powietrza, który wleciał do bagażnika, zapach ten oznaczał wolność.

- Gotowa? Skacz.

Christy nie tyle wyskoczyła, ile wypadła z bagażnika. Luke, który trzymał ją za rękę, wyskoczył tuż za nią, ostatecznie jednak wylądował pierwszy. Christy runęła ciężko, jak worek z piaskiem, prosto w głą- bkie błocko, które nieco złagodziło upadek. Mimo to zetknięcie z ziemią było bolesne, na moment pozbawiło ją oddechu. Zignorowała jednak ból i obejrzała się szybko przez ramię. Pikap holujący jej auto, rozkołysane na boki niczym wielki ogon, jechał dalej. Przednie reflektory przecinały ciemność ostrymi snopami światła, tylne światła patrzyły na nią niczym małe czerwone oczy.

- Miałaś się przetoczyć.

Luke puścił jej rękę podczas upadku i Christy na chwilę straciła go z oczu. Teraz jednak znów był przy niej, kucnął w błocie i pochylony obejmował ją ramieniem. Czują się zaskakująco słaba i oszołomiona. Przez moment jakby zabrakło jej sił, miała ochotę osunąć się na ziemię i zostać tam. Na mgnienie oka oparła głowę o jego szerokie ramię. Upo- korzenie, jakiego doznała od tego mężczyzny kilka godzin wcześniej, zo- stało na jakiś czas zapomniane, odsunięte na bardziej dogodną chwilę i okoliczności. Widziała teraz tylko jego ciemną sylwetkę i choć nie mo- gła sobie w żaden sposób wyobrazić, jak trafił do bagażnika samochodu, poczuła nagle ogromną radość, że Luke jest przy niej.

- Zapomniałam.

- Nic ci nie jest?

- Nie.

- No to chodźmy.

Zacisnął mocniej dłoń na jej ramieniu i pchnął ją do przodu. Zebraw- szy resztki sił, Christy ruszyła wraz z nim w stronę sosnowego lasu po- rastającego obie strony wąskiej drogi, którą tu przyjechali. Stare powie- dzenie o sile ducha i słabości ciała doskonale opisywało jej obecny stan - wydawało jej się, że mięśnie ma równie wiotkie jak papierowe talerzy- ki, a kości w ogóle już nie istnieją.

Światła z przodu rozblysnęły mocniej. Byli już z Lukiem pod drze- wami, schodzili w dół łagodnego, błotnisteo zbrocza odchodzącego od drogi, kiedy kątem oka dojrzała czerwony rozblysk.

- Cholera - mruknął Luke, najwyraźniej zauważywszy to samo. Zła- pał ją mocniej za rękę. W tej samej chwili Christy usłyszała sobie, co oznacza ów czerwony blask.

Pikap się zatrzymał. Zapłonęły światła stopu.

Czyżby morderca zauważył, że zniknęli? Widział coś? Widział ich?

Znów zrobiło jej się słabo.

- Biegniemy - warknął Luke prosto do ucha Christy i ruszył na- przód.

O tak.

Nie powiedziała tego głośno. Nie mogła. Brakowało jej oddechu. Za- uważyła już, że ogromny strach ma jedną zaletę: w chwilach najwięk- szego zagrożenia wyzwała w niej ukryte pokłady energii. Jeszcze przed momentem myślała, że nie zdoła już poderwać się do biegu, skakać nad gałęziami i pniami drzew niczym łania. A jednak teraz to robiła i wyda- wało jej się, że mogłaby tak uciekać przez całą noc. Gdzieś od strony pi- kapu dobiegł ją przytłumiony huk, jakby ktoś ze złością zatrzaskał kla- pę bagażnika. Gdy Christy obejrzała się przez ramię, nie dostrzegła już jaskrawej czerwieni światła stopu, wydawało jej się jednak, że okrągłe, tylne lampy auta robią się coraz większe.

Zrozumiała, że pikap się cofa.

Zajrzał do bagażnika. Widział już, że uciekli. Była tego pewna, choć nie umiałaby wytłumaczyć, skąd brało się w niej to przekonanie.

- Luke, Luke... - Szarpnęła go za rękę. Schylając się pod mokrymi gałęziami, Luke ciągnął ją za sobą, wpatrzony w ciemność.

- Co? - Zwolnił i spojrzął za siebie. Oczywiście, nie mógł zobaczyć więcej niż ona: pod gęstą zasłoną gałęzi było jeszcze ciemniej niż na otwartej przestrzeni. Mimo to Christy widziała jego barczystą sylwetkę, ował twarzy, błysk oczu.

- Spójrz.

Nie musiała mówić na co. Poczwała, jak jego dłoń zaciska się mocniej na jej dłoni: on także zrozumiał, co oznaczają te powiększające się świa- tła. Bogu dzięki, że byli już dość daleko i morderca miał niewielkie szan- se, by ich schwytac - przynajmniej Christy miała taką nadzieję.

Znów rozblysły światła stopu. Christy nie była pewna, wydawało jej się jednak, że pikap przystanął mniej więcej w tym miejscu, w którym wyskoczyli z bagażnika.

- Luke...



- Nie zatrzymuj się.

Wcale się nie zatrzymywała, biegła tylko odrobinę wolniej niż do tej pory. Nogi powoli zaczynały przypominać jej o zmęczeniu, a płuca bolały ją coraz mocniej, jakby chciały zaprotestować przeciw morderczemu wysiłkowi.

- Co to jest, do diabła? - W głosie Luke'a slychać było wyraźnie nutę niepokoju.

Spojrząwszy za siebie, w górę, na zbocze, z którego właśnie zbiegli, Christy dojrzała jasny snop światła omiatający drzewa i krzewy wzdłuż drogi. Pomyślała, że prawdopodobnie zostawili spore ślady w poszyciu, kiedy wbiegali w las. Dość wyraźne, by można ich było znaleźć?

Szybko zrozumiała, że nie chce poznać odpowiedzi na to pytanie.

- On nas szuka - stwierdziła przyciszonym głosem.

- Tak. - Ucisnął mocniej jej dłoń i podjął bieg.

Dyszcząc ze strachu i zmęczenia, Christy ruszyła naprzód, uchylając się przed gałęziami, ślizgając na mokrych igłach, omijając drzewa, skacząc nad powalonymi pniami. Zdyszana, ledwie żywa, trzymała się ręki Luke'a niczym liny ratunkowej.

Odbiegli już na tyle daleko, że stracili z oczu światło latarki - oczywiście, jeśli morderca nadal jej używał. Myśl, że mógł ją wyłączyć, że być może jest tuż za nimi i lada moment rzuci się do ataku, przejęła Christy zimnym dreszczem. Nerwowe spojrzenia przez ramię niczego nie wyjaśniały: widziała tylko ciemne zarysy najbliższych drzew. Obawiała się także, że jej ciężki, chrapliwy oddech zagłusza wszelkie inne dźwięki, także i te, które mogły ostrzec ich przed zbliżającym się złoczyńcą.

Była bowiem pewna, że morderca wciąż ich ściga. I sądząc po tym, jak zachowywał się Luke, on również tak uważał. Nie przystawał ani na moment, co prawda nie biegł już jak szalony, ale maszerował równym, szybkim krokiem. Christy dostała kolki, czuła, że znów zaczyna brakować jej sił, jednak dzielnie dotrzymywała mu kroku.

Morderca już raz ją dopadł i cudem przeżyła to spotkanie. Jeśli złapie ją jeszcze raz...

Ta myśl i odrażające obrazy, które niosła, niespodziewanie dodała jej sił. Christy poderwała się do dalszego marszu.

Chwilę później zeszli, a częściowo zjechali na plecach i pośladkach z kolejnego stromego zbocza na dno wąwozu, pokonali niewielki strumień i wspięli się na przeciwległe wzgórze. Christy zdażyła już w tym czasie dojść do wniosku, że znajdują się gdzieś w gęstym, nadmorskim lesie, który pokrywał spory obszar północnej części wyspy. Szli jednak

tak szybko, że nie potrafiła określić, gdzie znajdowała się droga, nie wspominając już o miasteczku Ocracoke czy jakimkolwiek innym miejscu, w którym mogliby szukać pomocy. Wiedziała tylko, że las, rezerwat przyrody, dokąd zapuszczali się tylko najbardziej zdeterminowani turyści, ciągnął się przez jakieś sześćdziesiąt kilometrów.

Nawet gdyby utrzymywali obecne tempo marszu i szli prosto z punktu A do punktu B, a tak oczywiście nie było, potrzebowaliby dnia lub nawet dwóch, by wyjść z lasu. Oznaczało to, że co najmniej przez najbliższych kilka godzin morderca mógł spokojnie ich tropić.

Ta myśl dodawała jej sił jeszcze przez następnych kilkanaście minut.

W końcu jednak nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Była już tak zmęczona, że ledwie mogła ustać. Wysunęła dłoń z uścisku Luke'a i usiadła na najbliższym pniu drzewa, dysząc ciężko i rozglądając się nerwowo dookoła. Zielony błysk w głębi lasu pozbawił ją na moment oddechu: serce podeszło jej do gardła, kiedy uświadomiła sobie, że widzi jakieś oczy. Kilka par oczu.

Dzikich, zwierzęcych oczu. Taki widok bez wątpienia lepszy był od widoku obsydianowych, złowrogich oczu mordercy, chociaż nie wróżył raczej nic dobrego.

Miała tylko nadzieję, że nie są to ślepiea jakiegoś drapieżnika.

- Co się dzieje? - Luke zawrócił i przykucnął obok niej. Nie widziała jego twarzy, była jednak pewna, że zmarszczył brwi.

- Ten las... ciągnie się przez wiele kilometrów - odrzekła, wciąż zdyszana.

- I co z tego?

- Muszę odpocząć.

- Odpoczniemy, kiedy będziemy bezpieczni.

- Potrzebujemy planu.

- Mam plan.

- Tak? Więc co proponujesz?

- Biec, ile sił w nogach. - Oczywiście nie mogła mieć pewności, czy dawało jej się jednak, że Luke się uśmiecha.

- Och, to świetny plan - odparła z przekąsem.

- Jak na razie się sprawdza.

- Dopóki on nas nie złapie.

- Urodzona optymistka, co? - Znów wyczuła w jego głosie śmiech. Gdyby nie była tak zmęczona, obolała i przerażona, zapewne ta nutka humoru wydawałaby jej się czarująca. Teraz jednak wcale jej nie bawiła.

- Wiesz, chciałabym ci przypomnieć, że całkiem niedaleko jest piewien paskudny facet, który chce nas zabić - powiedziała.
- Wiem o tym.
- Wykonaliśmy twoją część planu, biegliśmy co sił w nogach. Teraz czas wymyślić coś bardziej konstruktywnego.
- Zamieniam się w słuch.

Christy westchnęła z rezygnacją: do tego więc sprowadzała się pomoc jej towarzysza niedoli. Znow wszystko spoczywało w jej rękach. Czyżby tak właśnie miało wyglądać jej życie? Zwykle jakoś sobie radziła. Niestety, w tej chwili była tak zmęczona, że z trudem zbierała myśli.

- W porządku - odrzekła, postanowiwszy walczyć do końca. - Może powinniśmy znaleźć drogę i zatrzymać jakiś samochód?
- Tak, pewnie moglibyśmy to zrobić. Kiedy zrobi się jasno. Czyli raczej. Bo teraz, nawet gdyby udało nam się znaleźć drogę, w co nie wierzę, i nawet gdyby pojawił się na niej jakiś samochód, co jest równie wątpliwe, moglibyśmy tylko wpakować się w jeszcze większe kłopoty. W ciemności nie widzielibyśmy, czy nie machamy przypadkiem do mordercy, a gdyby się zatrzymał, byłoby już za późno. Co prawda nie użył przeciw tobie broni, ale wcale nie jestem pewien, czyjej nie ma.

Racja.

Christy nie powiedziała tego głośno. Zgrzytnęła tylko zębami i ignorując protesty obolałego ciała, podniosła się z miejsca. Luke wstał wraz z nią.

- Więc jak wygląda nasz plan? - spytał, ponownie biorąc ją za rękę.
- Z braku innej propozycji, będę biegła ile sił w nogach - odparła cierpko. Bieg był tutaj jednak określeniem na wyrost. W tej chwili mogła co najwyżej powłóczyć nogami.
- Dzielna dziewczyna. - Tym razem Christy była pewna, że Luke się uśmiecha. Podniosł jej rękę do ust i mocno ucałował. - Może poczujesz się trochę lepiej, jeśli powiem ci, że potrafię orientować się w terenie według gwiazd.

Rzeczywiście, poprawiło jej to trochę humor - na jakies dwie sekundy. Potem spojrzala w góre.

- Przecież nie widać żadnych gwiazd!

- Otóż to - zachichotał Luke. - W porządku, spróbujemy czegoś innego... Woda zawsze płynie w kierunku morza, prawda? Widzisz ten strumień? Może pójdziemy wzdłuż niego?

Christy spojrzala we wskazanym kierunku. Rzeczywiście, niemal tuż pod ich stopami widać było pobłyskującą w ciemności wstęgę strumyka.

Zmarszczyła brwi i spojrzala niepewnie na Luke'a.

- Woda rzeczywiście zawsze płynie do morza?
- W ciemności dojrzała błysk jego białych zębów.

- Przekonamy się.

Wciąż trzymając ją za rękę, odwrócił się i ponownie ruszył w gęstwinę lasu. Chęć nie chcąc, Christy poszła za nim. Wciąż czuła na dłoni ciepło jego ust, a jej myśli zwróciły się ku nieco przyjemniejszym tematom. Przez kilka cudownych sekund zapomniała o ponurych okolicznościach i przypomniała sobie z zaskakującą wyrazistością, jak cudownie potrafił całować Luke.

Choć potem potrafił jednym gestem odtrącić kobietę, którą tak rozpałał pocałunkami.

Przyjemny nastrój pękł niczym bańka mydlana w zetknięciu z brutalną rzeczywistością.

W porządku, dajesz mu piątkę z gry wstępnej i dwóję z całej reszty i mozesz przestać o tym myśleć, przykazała sobie ze złością w myślach.

Szli, aż zaczęła się zataczać, a nogi zaczęły ciążyć jej jak ołów i nabrała przekonania, że jeszcze jeden krok, a runie na ziemię. W końcu zatrzymała się i puściła jego dłoni.

- Luke? - Przez moment brakowało jej ciepła jego palców. Świadomość, że została sama w ciemnościach, przestraszyła i ożywiła Christy na moment - na bardzo krótki moment. Potem popadła w tę samą apatię, która towarzyszyła jej przez kilka ostatnich minut marszu. Pomyślała, że nawet jeśli w pobliżu jest morderca i jeśli zechce ich zaatakować, ona nie będzie już dłużej uciekać. Była tak wyczerpana, że zapomniała o strachu. Martwi przynajmniej nie muszą już biec.

Z apatii wyrwał ją przytłumiony głos Luke'a, dochodzący z odległości kilku metrów.

- Słyszysz to? To chyba morze.

Rzeczywiście, gdy Christy wyteżyła słuch, usłyszała jakiś szmer. Niestety, była niemal całkiem pewna, że to szum jej własnej krwi. Odwróciła głowę w kierunku, z którego dobiegł głos Luke'a, i dojrzała jego ciemną sylwetkę między drzewami.

Chciała właśnie ruszyć w jego stronę, kiedy ktoś pochwycił ją za ramię.

## Rozdział 20

Znalazł ich.

Christy szarpnęła się gwałtownie, wrywając ramię z uścisku. Wrzasnęłaby też z całej siły, gdyby nie to, że strach ścisnął jej gardło i odebrał na moment głos, zamieniając krzyk przerażenia w przytłumiony pisk.

- Cicho - syknął jakiś głos, a czyjaś ręka znów dotknęła jej ramienia. Christy odsunęła się, rozejrzała dokoła i zaczęła powoli się wycofywać.

Z ciemności wyszły kolejne postaci, otoczyły ją ciasnym kołem, były coraz bliżej...

O mój Boże, on się rozmnożył. Seryjny zabójca razy sześć. Nie, siedem.

- L-Luke! - wykrztusiła, wciąż niezdolna do krzyku. Ciemne postaci zbliżały się do niej, lekko pochylone, jakby się czaiły do skoku.

- Nie ruszaj się - szepnęła jedna z nich. - Wystraszysz je.

Kogo? Zastanowiła się zdumiona, a przez głowę przebiegały jej najprzeróżniejsze wizje i sceny z „Archiwum X”. Z pewnością nie był to jej niedoszły morderca, co jednak nie oznaczało jeszcze, że wszystko w porządku. Czyżby trafili prosto na jakiegoś satanistycznego obrzędy? Może to złot czarownic? Łądowanie obcych?

- Kim... kim jesteście? - spytała wreszcie niepewnie, gdy Luke, zsumiawszy, że dzieje się coś niedobrego, ruszył biegiem w jej stronę.

- Obserwujemy żółwie - nadeszła odpowiedź. W tej samej chwili ktoś inny powiedział głośnie: - Znaleźliśmy chyba jajka! - a cała grupa rozproszyła się szybciej niż mgła w blasku słońca.

- Co tu się dzieje, do diabła? - spytał Luke kilka sekund po tym, jak cała grupa obcych minęła go w milczeniu.

- Nie mam pojęcia, ale znaleźli chyba jajka - poinformowała go Christy z nutką wisielczego humoru.

Bez względu na to, czym zajmowali się ci dziwni ludzie, najwyraźniej nie zamierzali zrobić krzywdy ani jej, ani Luke'owi, co czyniło z nich najlepszych przyjaciół.

- Może nam pomogą. Na pewno mają samochód. Albo komórkę. - Luke złapał ją za rękę i bezceremonialnie pociągnął za sobą, choć Christy myślała, że nie zrobi już ani kroku więcej. Tylko świadomość, że dziwni obserwatorzy żółwi mogą udzielić im pomocy, pozwoliła jej jeszcze iść.

Cała grupa stała przyczajona za gęstwiną krzewów i pnączy na skraju lasu. Nieco dalej wąska plaża opadała łagodnym zboczem do oceanu. Pod drzewami zalegały niemal całkowite ciemności.

- Posłuchajcie, potrzebujemy pomocy - powiedział Luke, przykucnąwszy obok nieznajomych. Christy pomyślała, że jako jedyna wyprostowana osoba w okolicy, stanowi teraz najlepszy cel, i szybko zrobiła to samo.

- Cicho, wystraszyacie je - rzucił szeptem przez ramię jakiś mężczyzna.

- Kogo? - Luke był wyraźnie zniecierpliwiony, posłusznie jednak zniżył głos do szeptu.

- Żółwie. Moglibyście się uciszyć? Czekaliśmy na to trzy dni.

- Tak, bądźcie cicho - przytaknął kolejny zirytowany szept.

Skarcony niczym niegrzeczny dzieciak, Luke posłusznie umilkł.

Christy wyczuwała jego zniecierpliwienie, jednak rozumiała także, że nie prócz histerycznego krzyku nie oderwie teraz tych ludzi od ich zajęcia. I choć nie miała nic przeciwko histerycznym krzykom, obawiała się, że akurat teraz przyniosłyby im one więcej szkody niż pożytku. Równie istotny był fakt, że krzyk mógł zwabić kogoś innego, kogo z pewnością wolałaby już nigdy nie spotkać. Uznawszy, że lepiej być w pobliżu ludzi niż z dala od nich, przysunęła się tak blisko grupy obserwatorów żółwi, że niemal czuła ich oddechy. Tamci wszyscy wpatrywali się jak urzeczeni ni w plażę. Christy także spojrzała w tym kierunku.

Przez moment nie widziała nic prócz jasnego piasku, pomarszczonej powierzchni morza i gwiazd przebijających czasem spomiędzy chmur. Potem dostrzegła na plaży coś, co wyglądało jak czarne koło, mniej więcej rozmiarów hula-hoopu. Po chwili zauważyła także, że w jego wnętrzu coś bez ustanku się porusza i przesuwają. Nieco dalej znajdowało się drugie podobne koło.

- Posłuchajcie, to nagły wypadek. - Cierpliwość najwyraźniej nie była główną z cnot Luke'a.

Jeden z członków grupy syknął z irytacją i odwrócił się w ich stronę.

- Jeśli musicie gadać, chodźcie tutaj - wyszeptał i wciąż pochylony nisko nad ziemią odciągnął ich od reszty. Gdy odszedł już na odległość, którą uznał za bezpieczną, przystanął i wyprostował się. Luke i Christy zrobili to samo. Byli kilkanaście metrów od plaży, jednak nie dość daleko, by Christy nie widziała białej smugi piasku prześwietlającej między drzewami. Dopiero teraz dotarli do jej świadomości dźwięki wydawane przez owady, żaby i różne nocne stworzenia. Rozglądając się dokoła niepewnie, Christy przysunęła się do Luke'a i złapała go za rękę.

- Pójdziemy sobie, jeśli tylko pozwolicie nam skorzystać z telefonu odezwał się Luke, ściskając lekko jej dłoń.

- Z telefonu? Tutaj nie ma telefonów. To rezerwat przyrody i...

- Telefonu komórkowego - sprecyzował.

- Nie mamy telefonów komórkowych. Obserwujemy żółwie.

Christy niemal usłyszała, jak Luke zgrzyta zębami.

- Ktoś nas ściga - wybuchnęła, pamiętając jednak o tym, by nie mówić zbyt głośno i nie zwabić nieproszonych gości. - Chce nas zabić. Rozbił moje auto, zamknął nas w bagażniku...

- Chcielibyśmy pożyczyć jakiś samochód - przerwał jej Luke stanowczym tonem.

- Nie mamy samochodu. Przyszliśmy tutaj na piechotę. Jesteśmy przyrodnikami, obserwujemy, jak żółwie składają jaja. Czekaliśmy trzy dni i właśnie się doczekaliśmy. A ja tego nie widzę.

Meżczyzna mówił z takim żalem, że Christy poczuła się w obowiązku go przeprosić.

- Przykro nam, naprawdę...

- Gdzie my właściwie jesteśmy? - spytał Luke. - Czy znajdzie tu gdzieś w pobliżu telefon? Albo kogoś, kto udzieli nam pomocy?

- Najbliżej jest chyba sklep przy przystani promowej, to na zachód stąd. Na piechotę dojdziecie tam za jakieś cztery, pięć godzin. Musicie wrócić tą samą drogą, którą tu przyszlście, przez las.

Christy wzdrygnęła się i przywarła mocniej do Luke'a.

- A dokąd dojdziemy plażą? Możemy iść wzdłuż brzegu? - pytał dalej, z trudem ukrywając zniecierpliwienie.

- Donikąd. To tylko mała, chroniona prawem zatoczka, z niewielką łąką piasku, na którą przypływają żółwie.

- Christy... - Dłoń Luke'a zacisnęła się mocniej na jej dłoni. Christy wiedziała już, czego się może spodziewać.

- Nie moglibyśmy zostać z nimi? Tylko do rana? - zapytała błagalnym tonem.

Na samą myśl, że znów miałaby się przedzierać przez las, robiło jej się słabo. Ta perspektywa napelniała ją też strachem. Morderca na pewno wciąż ich szukał. Jeśli znajdzie ich w lesie, nie będą mieli najmniejszych szans. Tutaj przynajmniej byli w pobliżu inni ludzie.

- Mamy tylko jeden namiot. - W głosie ich niedosznego wybawcy wyraźnie słychać było zniecierpliwienie. - Mogę dać wam parę koców i trochę jedzenia. Ale musicie być cicho i nie wchodzić nam w drogę.

- Oczywiście - przytaknęła skwapliwie Christy.

Luke milczał przez kilka sekund. Potem powiedział:

- Tak. Świetnie.

- Dobrze. Chodźcie tędy. - Meżczyzna odwrócił się i wszedł między drzewa. Christy i Luke ruszyli za nim. Namiot stał na skraju plaży, kilkadziesiąt metrów od miejsca, w którym cała grupa obserwowała żółwie.

- Śśś... - syknął ich przewodnik i wszedł do namiotu. Wrócił po chwili i wcisnął w rękę Luke'a spore zawiniątko. - Chętnie bym wam ja coś jeszcze pomógł, ale... - Najwyraźniej myślał już o tym, by jak najprędzej wrócić do swoich żółwi.

- To wystarczy. Dziękujemy.

- Jeśli chcecie spać na plaży, idźcie tędy - powiedział meżczyzna, wskazując kierunek przeciwny do tego, w którym znajdowały się żółwie. - Będziemy tu przez całą noc. Gdybyście potrzebowali pomocy, krzyczcie.

To powiedziałwszy, obrócił się na pięcie i ruszył spieszenie w stronę swych towarzyszy.

- Chodźmy. - Luke zaczął iść w przeciwnym kierunku, a Christy posłusznie pomaszzerowała za nim. Szli wzdłuż plaży, blisko krawędzi lasu. Christy wciąż dostrzegała tylko kształty, zarysy przedmiotów, widzialność była jednak nieco lepsza niż w lesie. Chłodna, stona bryza od morza unosiła im włosy. Christy czuła, że jej ubranie wciąż jest wilgotne. Głosy leśnych stworzeń zagłuszył szum morza, co jej zdaniem było korzystną odmianą. Od czasu do czasu pomiędzy chmurami prześwitwały gwiazdy i księżyc.

- Nie za daleko - powiedziała Christy, łapiąc Luke'a za ramię. Świadomość, że w razie potrzeby mogła wezwać na pomoc innych ludzi, dawała jej nieco otuchy. Potem jednak przystanąła i opuściła ręce, uderzona przerażającą myślą. - O mój Boże, a jeśli on nas znajdzie i zabije wszystkich?

- To byłoby dość trudne, chyba że miałby ze sobą karabin maszynowy. Poza tym ten facet nie chce zabijać innych ludzi. Za każdym razem, kiedy próbował cię dopaść, byłaś sama.

Rzeczywiście. Christy skinęła głową, podniesiona na duchu. Odrobine.

Luke zatrzymał się kilkanaście metrów dalej, obok niewysokich, sięgających mu pasa skał. Wystawały z ziemi niczym wielkie zęby, przypominające literę V, zwrócone wierzchołkami ku lasowi. Luke przykucnął i położył zawiniątko na piasku. Christy nie tyle przyklekła, ile opadła bezwładnie na kolana. Brała właśnie głęboki oddech, kiedy usłyszała cichy trzask, a tuż obok zapłonęło blade światelko. Otworzyła szeroko oczy i spojrzała na Luke'a, który przeglądał właśnie zawartość tobołka. Wilgotne włosy zwijały się w małeńkie loczki wokół jego uszu i szyi, mokry, ubłocony t-shirt oblepiał ciasno szerokie ramiona, a również mokre dżinsy opinały mocne mięśnie ud. Jego twarz także umazana była błotem, a siateczka drobnych zmarszczek wokół oczu świadczyła, jak bardzo był już zmęczony. Christy dojrzała też, że zawiniątko zawiera dwa beżowe koce, dwie butelki z wodą i paczkę ciastek z masłem orzechowym.

Jednak, co ważniejsze, zobaczyła też źródło światła: Luke trzymał w dłoni małą latarkę. Drugą dłonią zakrywał soczewkę, tak by na zewnątrz nie wydostawało się zbyt dużo światła.

W tych okolicznościach nawet najmniejszy promyk światła mógł sprowadzić na nich zgubę. Luke pewnie uważał, że ich oprawcy nie ma w pobliżu, Christy wolała jednak tego nie sprawdzać.

- Wyłącz to! Jeszcze nas zobaczy!

Luke spojrzał na nią i parsknął.

- Kochanie, uwierz mi, powinnaś martwić się raczej, że wystraszymy zółwie. Niemożliwe, żeby ten człowiek nas wytropił, odeszliśmy zbyt daleko.

- Obyś się nie mylił - mruknęła.

- Na razie jesteśmy tutaj bezpieczni. Uwierz mi.

Wygłoszony tę uspokajającą uwagę, przełożył latarkę tak, by jedną dłonią trzymać uchwyty i jednocześnie zakrywać soczewkę, a potem skierował cienki promień światła na dziewczynę.

- Nie ruszaj się przez moment.

Ujął Christy pod podbródek i obrócił lekko jej głowę. Zrozumiała, że patrzy na miejsce, którego morderca dotknął metalowym przedmiotem. To, co zobaczył, najwyraźniej mu się nie spodobało. Zmrużył oczy i zaczął cisnąć mocniej usta.

- Tak, to paralizator - mruknął.

Christy odruchowo sięgnęła do szyi, by rozmasować obolałe miejsce. Tymczasem Luke przesuwał spojrzeniem po jej ciele, sprawdzając jesz-

cze raz, czy nie odniosła jakichś obrażeń. Christy przeciągnęła palcami przez włosy, odgarniając je z czoła. Także przyjrzała się sobie: biała koszulka i granatowe szorty przywierały do niej niczym druga skóra, gołe nogi i ramiona miała podrapane i brudne, a sandały oblepione błotem i piaskiem.

Była zła na samą siebie, zrozumiawszy, że pomimo tak niecodziennych okoliczności przejmuje się własnym wyglądem. Co gorsza, wiedziała, że przejmuje się tym ze względu na Luke'a. Wbrew temu, jak oceniła go przy pierwszym spotkaniu, teraz wydawał się jej niesłychanie przystojny, a jej kobieca duma domagała się, by on także uznał ją za atrakcyjną. Ziośliwa pamięć podpowiedziała jej, że kiedy po raz ostatni mieli okazję tak dobrze się sobie przyjrzeć, błagała go, by poszedł z nią do łóżka. Jeszcze gorsze było wspomnienie jego reakcji.

„Dzięki, ale nie skorzystam”.

Gdyby nie czuła się tak zmęczona, powróciłoby tamto dojmujące upokorzenie. Ale była nie tylko zmęczona: była wyczerpana, tak wyczerpana, że mogłaby po prostu paść jak kłoda na piasek i zasnąć. Krańcowe wyczerpanie zmniejszało niemiłe wspomnienia do rozmiarów dokuczliwej drobnostki. Tak czy inaczej Luke najwyraźniej nie przejmował się tym, co zaszło między nimi kilka godzin wcześniej, więc i ona postanowiła na razie o tym zapomnieć.

- Co ci się stało w oko? - Kiedy spojrzał na jej lewe oko, w jego głosie zabrzmiała nuta niepokoju.

- W oko? - Christy podniosła rękę do twarzy. Rzeczywiście, wyczuła lekką opuchliznę. Fakt, że zauważyła ją dopiero teraz, był dobitnym świadectwem tego, przez co przeszła w ciągu ostatnich kilku godzin. - Co się z nim dzieje?

- Masz siniaka. - Delikatnie przesunął kciukiem po obolałym miejscu.

- Och, to pewnie poduszka powietrzna. - Christy starała się nie zwracać uwagi na jego pieszczołliwe dotknięcie. - Wybuchła podczas wypadku i uderzyła mnie w twarz. Luke opuścił rękę.

- Będziesz miała szczęście, jeśli do jutra to nie zamieni się w wielki siniac.

- Będę miała szczęście, jeśli dożyję jutra - odparła ponuro. - I ciebie też to dotyczy.

Nie wiadomo dlaczego uśmiechnął się na te słowa. Nagły błysk w jego niebieskich oczach sprawił, że serce Christy zabiło mocniej. No do brze, jest przystojny. I co z tego?



- Jak mówilem, urodzona optymistka.
- Cóż, pesymiści żyją dłużej.
- Udała, że ziewa, próbując w ten sposób uciec od myśli o tym, jak bardzo zaczynała go lubić. Nieoczekiwanie okazało się, że to prawdziwe ziewnięcie. Podniosła dłoń do ust zbyt późno, a potem mrugała, zaskoczona, powiekami, które nagle zrobiły się ciężkie jak ołów.
- Luke uśmiechnął się szeroko i podał jej latarkę.
- Potrzyjmaj ją na moment, dobrze. Przykryj dłoń, wtedy nie będzie świeciła tak jasno.
- Podniósł się z klęczek. Wydawał jej się teraz bardzo wysoki, jego sylwetka prezentowała się dumnie i groźnie na tle nocnego nieba. Christy zaczęła właśnie kontemplować ów widok, gdy Luke rozwinął koc i po-trząsnął nim kilkakrotnie.
- Pomóż mi go rozłożyć, dobrze?
- Musiała wyłączyć latarkę, by spełnić prośbę. Nie zamierzała pozwolić, by świeciła pełnym blaskiem, bez względu na to, co mówił Luke.
- Jak się okazało, ciemności nie przeszkodziły im w rozłożeniu szerokiego, ciepłego koca z polaru.
- Chcesz się rozebrać do naga? - spytał Luke, kiedy skończyli, a Christy zaczęła rozpinąć sandały.
- Co? - W ciemności ledwie widziała jego sylwetkę, mimo to przysiadła na piętach i obrzuciła go groźnym spojrzeniem. Wziąwszy pod uwagę to, co niedawno ich spotkało, pytanie było wielce nietaktowne. Owszem, była gotowa rozebrać się przy nim do naga, ale kilka godzin wcześniej, i on dobrze o tym wiedział.
- Oboje jesteśmy przemoczeni. Jeśli spróbujemy spać w ubraniach, to będzie długa, niespokojna noc.
- Wiesz co? Znam rzeczy gorsze od niespokojnych nocy.
- Na przykład zapalenie płuc?
- Jest zbyt ciepło, żebyśmy dostali zapalenia płuc tylko dlatego, że będziemy spać w wilgotnych ubraniach.
- Więc ty z całą pewnością nie będziesz spać nago?
- Z całą pewnością. - Tak, to był chociaż niewielki plasterek na jej urażoną dumę.
- W porządku, rób, jak chcesz.
- Wydawało jej się, że znów w jego głosie zabrzmiało rozbawienie. Po chwili ze zdumieniem usłyszała - była tego niemal pewna - szelest tkaniny.
- Co ty robisz? - spytała z oburzeniem.
- Chcesz wysłuchać relacji na żywo? Właśnie zdjąłem koszulę. Teraz ściagam buty. Kiedy to zrobisz, zdejmę skarpetki, a potem dżinsy.

- Myślałam, że ty też się nie rozbierzesz! - Świadomość, że Luke siedzi obok niej półnagi, była irytująco ekscytująca. Mimowolnie przypomniała sobie, jak wyglądał bez koszuli, potem szybko odsunęła od siebie ten obraz. Nie, nie mogła sobie na to pozwolić.
- Nie zdejmuję bielizny. Zresztą i tak nie jest mokra.
- A ja nie chcę. To znaczy, nie będę spać tylko w bieliźnie - dodała pospiesznie.
- Zrobisz, co zechcesz. Ale będziemy musieli nosić te ubrania jutro, a na pewno wyschną szybciej, jeśli je na czymś powiesimy. Poza tym jeśli położymy się w mokrych ubraniach, będziemy spać na mokrym kocu, co z pewnością nie jest przyjemne.
- A jeśli on nas znajdzie, a ty będziesz w samej bieliźnie?
- Uwierz mi, zachowam się tak samo bez względu na to, czy jestem ubrany czy też nie.
- Christy zobaczyła, że zmienił pozycję, potem usłyszała, jak rozsuwa zamek przy spodniach. Zirytowana faktem, że jej serce zabiło w tej chwili nieco szybciej, szukała najlepszego sposobu, by wyrazić oburzenie.
- Postuchaj, nie podoba mi się to.
- Co, boisz się, że rzucę się na ciebie?
- Nie!
- No i dobrze, bo nie zamierzam.
- To bezcelne stwierdzenie odebrało jej na moment mowę. Niedostrzeżenie jej atrakcyjności seksualnej stawało się powoli jego specjalnością.
- Postuchaj - dodał zmęczonym tonem, wstając i ściągając spodnie.
- Jest ciemno, więc nawet się nie widzimy, mamy duży koc do przykrycia, więc jeśli chcesz, możesz spać nawet po drugiej stronie plaży, nie obchodzi mnie to. Ale jeśli jesteś mądra, zdejmiesz te mokre rzeczy.
- Odszedł na bok. Słyszała, jak piasek zachrzęcił pod jego stopami.
- Po chwili wrócił i ułożył się na kocu, wzdychając głośno.
- Wygodnie? - spytała zjadliwym tonem.
- Nie uwierzyłabyś.
- Christy przez dłuższą chwilę zastanawiała się nad jego słowami i w końcu stwierdziła z rozdrażnieniem, że miał rację. Ściągnęła sandały, rzuciła nienawistne spojrzenie w jego stronę - bez sensu, oczywiście - potem zdjęła szybko koszulkę i szorty. Cienkie nylonowe majteczki i stanik były niemal suche. Z pewnością nie zamierzała ich zdejmować.
- Rozłożyłem swoje ubrania na skale. Zostało tam jeszcze trochę miejsca.



Gdyby powiedział to triumfalnym tonem, z pewnością rzuciłaby w niego na przykład brudnym sandałem. Na szczęście jego głos brzmiał całkowicie neutralnie.

- Dzięki - odparła z godnością i zrobiła to, co zaproponował. Trwał przypliw, ocean był teraz zaledwie o kilka metrów dalej. Christy widziała spienione grzbiety fal uderzające o brzeg.

- Zamierzasz wrócić tu przed świtem? - spytał Luke cierpkim tonem.

- Chwileczkę - odrzekła. Nie chciała oddalać się od niego zbyt szybko, musiała jednak załatwić nagłą potrzebę. Uczyniwszy to, poświéciła jeszcze minutkę na szybkie obmycie się w oceanie. W innych okolicznościach z przyjemnością wykapałaby się w ciepłej wodzie opływającej jej stopy.

- Jak się czujesz? Lepiej, prawda? - spytał, kiedy uklękła na skraju koca. Dostrzegła, że drugi koc wykorzystał do okrycia się i że unosi teraz jego skraj zapraszającym ruchem.

Uświadomiła sobie, że widzi jej ciemną sylwetkę na tle jasnego piasku i modliła się w duchu, by nie dostrzegł niczego więcej.

- Mhm... - mruknęła, otrzepując stopy z piasku.

Potem weszła na koc, starając się przy tym nie dotykać Luke'a, co nie było łatwe, wyglądało bowiem na to, że zajął o wiele więcej miejsca niż należąca mu połowę koca. Skończyło się na tym, że leżała niemal przy samych skałach. Kiedy jednak obróciła się na bok i przykryła drugim kocem, uznała, że jest jej całkiem wygodnie.

- Chcesz się napić? - spytał Luke, podając jej butelkę z wodą.

- Dzięki. - Podniosła głowę i wypita kilka łyków, potem zakreśliła butelkę, odłożyła ją i ponownie wyciągnęła się na kocu.

- Dobranoc - mruknął Luke.

- Dobranoc. - Christy zamknęła oczy. Lecz chociaż bardzo się starała, nie potrafiła zapomnieć o tym, że Luke leży tuż obok niej. Słyszała jego oddech. Słyszała chrzęst piasku, gdy się poruszał, widziała zarys jego ciała. Mogła...

Przestań o nim myśleć!

Próbowała wsluchiwać się w kojący szum fal, rozluźnić mięśnie, zrełaksować się. Wkrótce jednak zrozumiała, że pomimo ogromnego zmęczenia wciąż jest zbyt zdenerwowana, by zasnąć. Bała się tego, co mogło się czaić w ciemnościach po drugiej stronie skał. Do diabła, bała się też tego, co mogło się czaić w ciemnościach po tej stronie skał. Bolało ją gardło. Bolało ją zranione ramię. Bolały ją nogi.

A Luke zabierał jej cały koc.

Odwróciła się i szarpnęła nakrycie do siebie.

Pociągnął jeszcze mocniej, niemal całkiem ją odstawiając.

- Przestań zabierać mi koc - warknęła, ponownie ciągnąc nakrycie w swoją stronę.

Luke westchnął ciężko.

- No dobrze, skoro i tak nie śpimy, to może powiesz mi, co się stało po tym, jak powiedzieliśmy sobie dobranoc w twoim domu?

Aha, po prostu powiedzieli sobie dobranoc!

- Wyszłam - odparła Christy lodowatym tonem.

- Dlaczego?

- Bo się bałam. Bo nie chciałam być sama. - Bo ty mnie zostawiłeś, dodała w myślach.

- Jasne. Wiesz, domyślałem się, że właśnie dlatego tak na mnie napadłaś.

Omam się nie zakrzuszyła.

- Ja wcale nie... - W porządku, kawa na ławę. - Zgoda, może trochę na ciebie napadłam. I może właśnie dlatego. - Przynajmniej na początku.

- Nie sądzę, żeby było tu miejsce na jakieś „może”.

- I dlatego sobie poszedłeś? Bo podejrzewałeś, że kierowały mną ukryte motywy?

Christy zaczynała wreszcie wszystko rozumieć i tym bardziej starała się zachować spokojny, beznamiętny ton. Zrozumienie motywów postępowania Luke'a umniejszało nieco jej upokorzenie. Oczywiście, jeśli nie domyślał się, jak bardzo dotknęła ją jego odmowa.

- Po części. - Poruszył się, a jego noga otarła się o jej łydkę. Christy nie przypuszczała nawet, że leżą tak blisko siebie.

- Po części? - To nie była żadna odpowiedź.

- Tak, po części. Więc postanowiłaś nie nocować w domu, tak? I dokąd się wybierasz?

- Do Silver Lake Inn.

- A co stało się potem?

Christy opowiedziała mu całą historię.

Kiedy skończyła opisem tego, co czuła, gdy złoczyńca przyłożył jej do szyi paralizator i pomyślała, że skończy jak Elizabeth Smolksi, Luke zaklął pod nosem. Nie wiedziała, czy zmienił pozycję, ale czuła, że są bardzo blisko siebie, że przy każdym ruchu ociera się o niego łokciami i kolanami. Gdyby się nie obawiała, że znów uzna, że ona „napada na niego”, przysunęłaby się pewnie jeszcze bliżej. Jego bliskość ją uspokajała. Powiedzmy.

- Więc to był biały pikap z jakimś napisem na drzwiach - mruknął po chwili. - Drukowane litery czy kursywa?

Christy zmarszczyła brwi, próbując sobie przypomnieć.

- Chyba kursywa - odrzekła wreszcie, zaskakując siebie samą.

- Choć naprawdę nie wiem, co tam było napisane.

- Jedna linijka czy dwie?

- Dwie. - Christy po raz kolejny zdziwiła się własną pamięcią.

- Nie widziałaś przypadkiem tablicy rejestracyjnej?

- Nie, było zbyt ciemno. Poza tym on mnie nie wyprzedził.

- Powiedział coś poza: „cześć, Christy”?

- Nie.

- Jesteś pewna, że to ten sam facet co poprzednio? Krepy, około stu siedemdziesięciu centymetrów wzrostu, ciemna karnacja, ciemne oczy, prawdopodobnie ciemne włosy?

- Tak. - Była tego pewna.

- To dobrze. To już jakieś konkrety. Mamy opis faceta, wiemy, że jechał białym pikapem z napisem na drzwiach pasażera. Na Ocracoke nie może być zbyt dużo takich samochodów.

- Może on nie mieszka na Ocracoke. Może przyjechał tu tylko na jakiś czas.

- Masz rację. - Luke milczał przez chwilę, jakby rozważał różne możliwości. Potem odezwał się ponownie, nieco zmienionym tonem: - Przypuszczasz, że ten facet chce cię zabić, bo widziałas go na plaży tuż przed tym, zanim zabił Elizabeth Smolski, tak?

- A jaki mógłby być inny powód? Dlaczego ktokolwiek w ogóle chciałby mnie zabić? - Jeśli w jej głosie pojawiła się nuta niepewności, to i tak zagłuszył ją szum fal, pocieszała się Christy.

- Ty mi to powiedz.

- Na pewno jest tak, jak mówię - oświadczyła stanowczo. I nie zamierzała nawet myśleć o tej drugiej, może nawet bardziej prawdopodobnej możliwości. By odciągnąć go od niebezpiecznego tematu dodała lekko szyderczym tonem: - Zadajesz dużo pytań.

Chwila milczenia.

- Hej, przecież na tym właśnie polega praca prawnika.

- Właściwie to policja zadaje pytania. My, prawnicy, spieramy się tylko o odpowiedzi.

- Nieważne - mruknął, zbywając w ten sposób jej próbę skierowania rozmowy na inne tory. - Bez względu na to, kim jest ów człowiek, najwyraźniej bardzo mu zależy, aby cię zabić. Próbował zrobić to dwukrotnie w ciągu ostatnich trzech dni.

- Nawet mi nie przypominaj. - Christy się wzdygnęła. Musiał to poczuć, bo objął ją ramieniem. Jego ciepły, mocny dotyk naprawdę ją uspokajał - przekonywała się o tym po raz kolejny. Odkryła też, że bardzo lubi facetów o dużych, mocnych dłoniach i szczupłych palcach.

- Długo jeszcze chcesz się wygłupiać? - spytał łagodnie. - Bo jeśli nie, to przysuń się bliżej.

Przyciągnął ją delikatnie do siebie, a Christy, rozbrojona tym bezpośrednim zaproszeniem, porzuciła resztki dumy i przysunęła się do niego. Otuliło ją ciepło jego ciała, znacznie przyjemniejsze od koca. Szybko też odkryła, że Luke ma na sobie bokserki, tylko lekko wilgotne na udach. Reszta jego ciała była sucha, ciepła i naga.

Niepokojąca naga.

Prowokująca naga.

Dojrzała, inteligentna i przyzwoita kobieta, zmuszona przez okoliczności do tak bliskiego kontaktu z niezwykle przyzwoitym mężczyzną bez wątplenia nie pozwoliłaby sobie na żadne nieprzyzwoite myśli.

Niestety, ona nie była taką kobietą.

Nim ułożyli się wreszcie wygodnie, Christy miała głowę wypełnioną niemal wyłącznie nieprzyzwoitymi myślami. Robiła wszystko, co w jej mocy, by je wyciszyć, ale bez większych sukcesów. Szum fal i zalegające dokoła ciemności sprawiały, że czuła się tak, jakby trafiła na bezludną wyspę. Jej ciało płonęło we wszystkich miejscach, w których stykali się ze sobą - a stykali się ze sobą niemal wszędzie. Opierała głowę na jego ramieniu, Luke obejmował ją obiema rękami, a oboje byli szczególnie otuleni kocem, chroniącym ich przed chłodną bryzą. Jej piersi, okryte tylko cienką tkaniną, dotykały jego boku, a smukłe nagie nogi opierały się na jego umięśnionych udach. Jedną rękę trzymała na piersiach mężczyzny. Z trudem utrzymywała w bezruchu palce.

Wystarczyło tylko nieco przesunąć dłoń, by dotknąć jego sutka. Gdyby przesunęła ją bardziej na środek, natrafiłaby na klin włosów porastających mu piersi. Gdyby przesunęła ją niżej, całkiem niżej...

Wystarczy.

Nie mogła sobie pozwolić na takie fantazje. Szczególnie w tych okolicznościach. Szczególnie wzięwszy pod uwagę fakt, że już raz ją dzisiaj odrzucił.

Ale może zmienił zdanie. W końcu leżała tak blisko niemal zupełnie naga, a on był świadom jej ciała równie dobrze, jak ona jego. Prawdopodobnie jej ciepło, delikatny dotyk piersi i nóg, położenie jej ręki, doprowadzały go do szaleństwa. Prawdopodobnie był już tak podniecony, że

myślał tylko o tym, by ją pocałować. Samo wspomnienie jego gorących pocałunków sprawiło, że czuła rozkoszne dreszcze.

- No i sama powiedz, czy to nie lepsze niż leżenie osobno i bezustanna walka o koc? - spytał niskim, ochrypłym głosem.

O, tak.

- Muszę przyznać, że lepsze - odrzekła, niemal mrucząc jak kot.

- Pewnie, że lepsze - przytaknął, nie kryjąc satysfakcji. Jego ramiona zacisnęły się nieco mocniej. - No dobrze, może teraz uda nam się wreszcie trochę pospać.

## Rozdział 21

Mhm... Właśnie.

Nie to chciała usłyszeć. Nie to spodziewała się usłyszeć. Ale może nie był to taki głupi pomysł. Gdy próbowała przekonać o tym siebie samą, nieoczekiwanie zasnęła.

Obudził ją jakiś dźwięk albo ruch. Nie potrafiła powiedzieć, czy spała kilka godzin czy tylko kilka minut. Otworzyła szeroko oczy i z bijącym sercem wpatrywała się w ciemność, próbując sobie przypomnieć, gdzie jest. Słyszała dziwny szum. Leżała na czymś miękkim, a ktoś trzymał ją w ramionach - Michael?

Nie, nie Michael. Te ramiona były zdecydowanie bardziej muskularne. Ciało, do których należały ramiona, było dłuższe i także bardziej umięśnione. Do tego niemal całkiem nagie i gorące jak piec. Luke. Ta myśl napelniła ją dziwną radością. Potem wszystko wróciło do niej wielką falą wspomnień, a radość zniknęła, ustępując miejsca napięciu i strachowi. Co ją obudziło?

Nie wiedziała.

Lecz na samą myśl o tym, co mogłoby to być, zrobiło jej się zimno ze strachu.

Spokojnie. Nie ma powodu do obaw.

Powoli rozejrzała się dookoła. Na niebie widać było tylko kilka gwiazd. Luke spał. Oddychał głęboko, równomiernie, a jego pierś unosiła się i opadała powoli pod jej głową i ręką. Szum, który wypełniał uszy Christy, był szumem morza.

Leżała w bezruchu, nasłuchując, nie usłyszała jednak niczego prócz jakiegoś przytłumionego łoskotu, być może odgłosu spadającej gałęzi lub dźwięku wydanego przez jakieś nocne zwierzę. Nawet nie

dopuszczała do siebie myśli, że mógł to być skradający się ku nim morderca.

Jak słusznie zauważył Luke, jakie może być prawdopodobieństwo, że zaszedł za nimi aż tak daleko, przez ciemność i las? Jakie było prawdopodobieństwo, że znalazł ich, a nie, powiedzmy, obserwatorów żółwi? Poza tym nie czuła teraz obezwładniającego strachu, nie miała świadomości czającego się w pobliżu zła, która do tej pory tak niezawodnie ostrzegała ją przed niebezpieczeństwem.

Pewnie obudził ją jakiś inny koszmar. Całe jej życie zamieniało się powoli w zły sen, nic więc dziwnego, że nie mogła uwolnić się od dręczących myśli i obrazów.

Uspokój się, śpij, przykazywała sobie w myślach.

Niestety, rozmyślenia o tym, jak bardzo potrzebowała snu, by znieść trudy nadchodzącego dnia, przyniosły efekt odwrotny do zamierzonego. Rozbudzona bardziej niż kiedykolwiek, spróbowała innej sztuczki: skupiła się na mężczyźnie, który trzymał ją w ramionach.

Przytulanie się do Luke'a było niemal równie przyjemne, jak sen we własnym łóżku, czystym, suchym i bezpiecznym. Oboje leżeli niemal całkiem nago, a mimo to zachowywali resztki przyzwoitości. Christy oplatała go niczym nie śpulkę. Jego ciało było ciepłe i twarde, pierś szeroka i sprężysta, a ramiona mocne jak ze stali. Pachniał solą - zapewne tak samo jak ona - esencją męczyzny. Niemał tuż pod jej uchem słychać było powolne, równomierne bicie jego serca.

Wciąż nie mogła zasnąć.

Skupiła uwagę na kontraście pomiędzy gęstwiną jego włosów oplatających jej palce i atlasowym ciepłem skóry. Mięśnie ukryte pod skórą wydawa-

ły się naprawdę imponujące, co wzięwszy pod uwagę jego pracę, dowodziło wielkiej wytrzymałości i troski o sprawność fizyczną. Jego brzuch i biodra by-

ły wąskie i twarde - nie miała co do tego najmniejszych wątpliwości, leżała bowiem przytulona do jego boku - na nogach wyczuwała potężne sploty mięśni, co dowodziło kolejny raz, że musiał spędzać wiele godzin na siłowni.

Przesuwając dłoń w górę ruchem, który miał wyglądać na mimowolny, upewniła się, że mięśnie na piersiach Luke'a są równie imponujące, a sutki twarde i płaskie.

Christy zadrżała, przejęta rozkosznym dreszczem. Na szczęście był to też dla niej sygnał alarmowy, który przywrócił ją do rzeczywistości. Nie powinna molestować obcego mężczyzny, przykazała sobie surowo. Powinna spać.

Podłożyła rękę pod głowę, zamknęła oczy i czekała cierpliwie, aż zmęczenie weźmie górę nad nieprzyzwoitymi myślami. Kiedy okazało się, że

zmęczenie nie daje sobie z tym rady, próbowała innych sposobów: słuchała szumu fal, liczyła barany, wyobrażała sobie poszczególne mięśnie i rozluźniała je, poczynając od stóp. Gdy dotarła do ramion i wykonywała nimi dyskretne krażenia, poczuła, jak napięcie wreszcie opuszcza jej ciało.

- Nie możesz zasnąć? - spytał Luke zachrypniętym głosem, a przestraszona Christyomal nie podskoczyła.

- Obudziłam cię? Przepraszam - odrzekła, choć wcale nie było jej przykro z tego powodu. Ponieważ i tak już nie spał, nie musiała się przejmować, że będzie mu przeszkadzała. Przytuliła się więc do niego trochę mocniej, pamiętając jednak, by trzymać ręce przy sobie. Ciepło i ludzkie towarzystwo z pewnością były tymi czynnikami, których potrzebowała najbardziej, by zapaść w sen.

- Nie spałem.

Christy znieruchomiła, zaskoczona.

- Owszem, spałeś.

- Mhm... - odrzekł i raczej wyczuła jego uśmiech, niż zobaczyła.

Nie wiedziała, czy wierzyć Luke'owi, czy też nie, jednak na wypadek, gdyby mówił prawdę, poszukała szybko w myślach jakiegoś tematu, który odwiódłby jego uwagę od jej niedawnych poczynań.

- Wiesz - zaczęła - nie powiedziałeś mi jeszcze, skąd się wzięłaś w moim bagażniku.

Nastąpiła chwila ciszy.

- To długa historia. - Luke westchnął. - Może wrócimy do niej jutro.

- Więc przestań na krótszej wersji.

- Czy wspominałem ci już, że usiłuję zasnąć?

- Jeśli wyjaśnisz mi, skąd się tam wzięłaś, nie powiem ani słowa więcej. Ani się nie ruszę. Obiecuję.

Kolejna chwila ciszy.

- W porządku. Proszę bardzo. Wersja skrócona. Po tym, jak cię zostawiłem samą, pojechałem kupić żwirek dla Marvina. W drodze powrotnej ze sklepu zobaczyłem twój samochód. Ciekaw byłem, dokąd się wybierasz, i martwiłem się, że coś się stało, skoro wychodzisz z domu tak późno, więc zawróciłem i pojechałem za tobą. Nie widziałem samego wypadku, bo byłem za daleko, a przy tym padał deszcz, ale zobaczyłem twój rozbity samochód. Zatrzymałem się i podbiegłem, żeby sprawdzić, czy nie jesteście ranna, i wtedy dostałem czymś twardym po głowie. Potem ocknałem się w bagażniku obok ciebie.

Christy milczała przez chwilę, przejęta ogromnym poczuciem winy. A więc Luke przez nią wpakował się w kłopoty. Omal nie stracił życia z jej powodu!

- O mój Boże! - jęknęła. - Tak mi przykro. Tak mi przykro, że cię w to wciągnęłam.

Luke objął ją mocniej.

- Nie uważam, że to twoja wina.

Co on tam wiedział.

- Posłuchaj - zaczęła mówić poważnym tonem, obracając się tak, by mogła na niego spojrzeć, choć w ciemnościach widziała tylko błysk jego oczu - kiedy już się jakoś z tego wyplączemy, kiedy wrócimy cali i zdrowi do swoich domów, chcę, żebyś trzymał się ode mnie z daleka. To nie ma nic wspólnego z tobą, naprawdę, i nie trzeba, żebyś naraził się na niebezpieczeństwo. Z dala ode mnie będziesz całkowicie bezpieczny.

Znów zapadła chwila ciszy.

- Christy - odezwał się wreszcie Luke. - Czyżbyś się o mnie martwiła?

Zmrużyła oczy.

- Oczywiście, że się o ciebie martwię. To, co się tutaj dzieje, nie ma nic wspólnego z tobą. Jeśli zginiesz, ja będę temu winna.

- To miłe - odparł. - Nie, to słodkie.

Miłe? Słodkie?

- Co ty wygadujesz? Nie słuchałeś, co do ciebie mówiłam? Masz się trzymać ode mnie z daleka. Znalazłeś się w niebezpieczeństwie tylko i wyłącznie z mojego powodu.

- Dlaczego nie pozwolił, żebym sam się martwił o siebie?

- Bo niczego nie rozumiesz - zirytowała się Christy.

- Więc może mi wytłumaczysz?

- Co mam ci wytłumaczyć? Że jest ktoś, kto próbuje mnie zamordować, i by to osiągnąć, gotów jest zabić wszystkich, którzy stają mu na drodze?

- Seryjny zabójca, tak?

- Może.

- Może?

Christy przygryzła wargę. Zrozumiała, że ten lapsus nie uszedł uwagi Luke'a. Teraz dopiero rozbudziła jego ciekawość. Miała ogromną ochotę zwierzyć mu się ze wszystkiego, opowiedzieć całą tę przerażającą historię. Potrzebowała kogoś, komu mogłaby zaufać, kto mógłby spojrzeć na jej sytuację z innej perspektywy, podsunąć jakieś nowe pomysły i rozwiązania.

Prawdę mówiąc, nie przychodził jej do głowy nikt, kto nadawałby się do tego lepiej niż Luke.

Wiedziała jednak, że jeśli powie mu prawdę, narazi go na niebezpieczeństwo. Wtedy on także stanie się potencjalną ofiarą mafii.

- Jest coś, o czym nie chcesz mi powiedzieć, prawda? Podejrzewałem to od samego początku - odezwał się Luke.

O Boże, milczała zbyt długo. Teraz jego ciekawość zamieniła się w podejrziwość.

- Nie wiem, o czym mówisz - odrzekła niewinnym tonem, choć sama słyszała, jak fałszywie zabrzmiał jej głos. W tej samej chwili Luke przytulił ją mocniej do siebie i przetoczył się na bok, tak że nagłe znalazła się pod nim, przyciśnięta do piasku jego ciężkim, silnym ciałem.

- Możesz mi zaufać, przecież wiesz - mówił cichym, kojącym głosem. Przesunął dłonią po policzku Christy, odgarniając włosy z jej twarzy. - W dodatku i tak już tkwię w tym po uszy. Przypuszczam, że facet, który dał mi po głowie i wsadził mnie do twojego bagażnika, teraz już o mnie nie zapomni.

- Jeśli będziesz trzymał się z dala... - zaczęła zdesperowana Christy.

- To niemożliwe.

Czuła, jak kładzie dłoń na jej szyi, głaszcze ją, pieści.

- Luke...

- Christy... - Przesunął palcem wzdłuż niewielkiego zagłębienia pod jej uchem. - Nie uważasz, że skoro już mnie w to wciągnęłaś, winna mi jesteś jakieś wyjaśnienie? Byłoby mi o wiele łatwiej uchronić się przed niebezpieczeństwem, a także pomóc tobie, gdybym znał prawdę. Coś mi mówi, że nie jesteś całkiem pewna, czy ten facet to seryjny zabójca. Mam rację?

Christy wzięła głęboki oddech. Jego argumenty brzmiały rozsądnie, ale wciąż się bała - o niego i o siebie.

- Nie wiem... - Wypowiadała te słowa powoli, z wahaniem. Tak bardzo chciałyby mu o wszystkim powiedzieć...

- Powiedz mi, kochanie. Powiedz mi całą prawdę.

- Nic o mnie nie wiesz - wyszeptwała żałośnie. - Nie masz pojęcia, o co prosisz. Uwierz mi, to jest coś, o czym wolałbyś raczej nie wiedzieć.

- Czy to ma coś wspólnego z twoim byłym chłopakiem?

Christy wciągnęła głośno powietrze. Oddychała ciężko, jej oczy błyszczały w ciemności.

- Dlaczego tak myślisz?

- Pamiętam, co o nim mówiłaś. Jestem pewien, że sporo rzeczy przemilczałaś. No i to, jak teraz zareagowałaś...

- O Boże... - Więc tak łatwo ją przejrzeć...

- Cokolwiek by to było, teraz siedzimy w tym oboje. I bez względu na to, czy powiesz mi prawdę, czy też nie, nie zostawię cię samej.

- Chcę, żebyś odszedł. Proszę, trzymaj się z dala ode mnie.

- Nie zrobię tego, dopóki nie będę wiedział, że jesteś bezpieczna. -  
Widziała, jak powoli kręci głową. - Opowiedz mi o swoim byłym, Chrysty. Czy on ma z tym związek? Kim on jest, jakimś mafiossem czy co?

- Skąd wiedziałeś? - zachłysnęła się zdumiona. Dopiero wtedy zrozumiała, że nie mówił poważnie, że tylko żartował, a ona odpowiedziała w sposób, który wykluczał wszelką wątpliwość. Te słowa były przyznaniem się do winy, wiedziała o tym. Ale przypuszczenia Luke'a były tak bliskie prawdy... Czy to możliwe, aby okazał się aż tak domyślny?

- Wcale nie wiedziałem, naprawdę. Teraz jednak już wiem. Dalej, Chrysty, opowiedz mi o wszystkim. Chcę ci pomóc, musisz mi zaufać.

Christy wzięła głęboki oddech. Nie mogła już dłużej się opierać. Bar-  
dzo potrzebowała czyjejs pomocy. Potrzebowała pomocy Luke'a.

- Słyszałeś kiedyś o Johnie DePalma?

- Może... Dawno temu.

- Jest szefem mafijnej rodziny Masseria w New Jersey.

- Aha. To on był twoim chłopakiem?

- Jego syn. - Chrysty zaważała się na moment i podniosła rękę do twarzy Luke'a. Leżał teraz obok niej, oparty na łokciu. Dłoń Chrysty spoczęła na jego szorstkim policzku. - Uwierz mi, lepiej będzie, jeśli się tego nie dowiesz.

- Mówiłem ci już, że potrafię się o siebie zatroszczyć. - Pocałował jej dłoń, po prostu musnął ją delikatnie ustami, a Chrysty poczuła rozkoszny dreszcz. - Zakładam, że twój były poszedł w ślady ojca, zgadza się?

- Tak... - Pozwoliła, by jej dłoń opadła na jego potężne ramię. Luke był twardym i silnym mężczyzną; był mężczyzną, w którym kobieta mogła znaleźć oparcie. Mężczyzną, w którym ona mogła znaleźć oparcie? Nie miała jeszcze pewności, ale...kto wie... - Tyle że ja o tym nie wiedziałam. Myślałam...

Umiłła na moment. Jeśli jednak miała wciągnąć go w tę grę, musiał poznać prawdę. Prawdę o niej i o jej życiu. Zaczęła więc raz jeszcze.

- Postuchaj, mój ojciec był żołnierzem mafii. Zastrzelili go, kiedy by-  
łam małą dziewczynką. Oczywiście nikomu niczego nie udowodniono, ale prawdopodobnie chodziło o zabójstwo na zlecenie. Facet mojej matki jest ważną figurą w rodzinie Masseria. Moja siostra wyszła za męż-  
czyznę, który należał do mafii. Jesteśmy mafijną rodziną, rozumiesz? Tak mnie wychowano. Większość ludzi, z którymi dorastałam, to prze-  
stępcy. Ale ja nie chciałam żyć w ten sposób. Trzymałam się więc z da-

ła od tego wszystkiego, poszłam na studia, zostałam prawnikiem. Wia-  
domo, że teraz aż roi się od młodych bezrobotnych prawników, więc kie-  
dy Michael DePalma zaproponował mi pracę za dobre pieniądze i to tuż  
po tym, jak otrzymałam dyplom, nie zastanawiałam się ani chwili. On  
też jest prawnikiem, ma swoją firmę. Słyszałam o nim już znacznie  
wcześniej, choć osobiście poznałam go dopiero wtedy, gdy mnie zatrud-  
nił. Myślałam, że jest taki jak ja, że chociaż też pochodził z mafijnej ro-  
dziny, nie chciał żyć w ten sposób.

Umiłła na moment, by zacerpnąć powietrza. Żałowała, że nie wi-  
dzi dobrze twarzy Luke'a. Potem jednak doszła do wniosku, że woli po-  
znać jego reakcję dopiero wtedy, gdy wyjawí mu całą prawdę.

- Ale myliłaś się - przerwał milczenie.

Christy skinęła głową.

- O tak, bardzo się myliłam. Tylko że przekonałam się o tym dopie-  
ro jakieś półtora tygodnia temu. - Przeknęła ciężko. - Tu zaczyna się  
ta część, której wolałbyś raczej nie znać.

Zacisnęła dłoń na jego ramieniu. W odpowiedzi Luke przesunął pal-  
cami po jej policzku i włosach.

- Owszem, chcę ją poznać. Śmiało, kochanie, powiedz mi o wszyst-  
kim.

Christy zwilżyła wargi.

- Pewnej nocy do mojego mieszkania przyszedł Franky, były mąż  
mojej siostry. Nigdy go nie lubiłam, źle traktował Nicole i dzieciaki, ale  
w pewnym sensie należał do rodziny, więc go wpuściłam. Był bardzo  
wystraszony i błagał, żebym mu pomogła, mówił, że tylko ja mogę to  
zrobić. Spytałam dlaczego, a wtedy powiedział, że Michael, mój Mi-  
chael, wydał na niego wyrok, bo przegrał pieniądze, sporo pieniędzy,  
które miał oddać Rodzinie. Uważał, że jeśli pogadam z Michaelem, to  
może dadzą mu jeszcze jedną szansę.

- I porozmawiałaś z Michaelem?

Christy pokręciła głową.

- Na początku nie uwierzyłam Franky'emu. Zaczęłam sprawdzać  
różne rzeczy. Przejrzałam rachunki bankowe, opisy różnych spraw,  
które już zostały rozstrzygnięte albo dopiero miały się rozpocząć, i zro-  
zumbałam, że coś tu nie gra. Poszłam więc porozmawiać o tym z Michael-  
em. Przyznał się do wszystkiego.

- Przyznał się do czego, Chrysty?

- Że firma jest jedną wielką lipą. Oczywiście zajmowaliśmy się róż-  
nymi sprawami sądowymi, ale stanowiło to tylko przykrywkę dla na-  
szej prawdziwej działalności, czyli prania pieniędzy. Wszystkie nielegal-



ne zyski, jakie rodzina Masseria czerpie z handlu narkotykami i bronią, prostytucji, przemytu, hazardu i Bóg wie czego jeszcze, przechodzą przez firmę Michaela. Pieniądże są tu ukrywane i przekazywane dalej, aż nikt nie jest w stanie określić ich pierwotnego źródła. - Umilkła na moment i skrzywiła się lekko. - Powinieneś wiedzieć, że już te informacje wystarczą, byś stał się potencjalną ofiarą mafii.

- Zaryzykuje.

Beztroska, z jaką wypowiedział to słowo, zdaniem Christy świadczyła o tym, że Luke nie zdaje sobie sprawy z niebezpieczeństwa. Gdyby ona rozumiała, jak groźna jest taka wiedza, nie sprawdzałaby, czym zajmuje się firma Michaela. Do diabła, w ogóle nie otworzyłaby tamtej nocy drzwi Franky'emu. Nadal byłaby szczęśliwa, żyłaby sobie jak u Pana Boga za piecem, za dnia wykonując pracę, którą kochała, i sportykając się wieczorami z narzeczonym.

Skrzywiła się lekko na tę myśl. Żałowała wielu rzeczy, które utraciła wraz z dawnym życiem, ale z pewnością nie żałowała Michaela. Meżczyzna, którego kochała, tak naprawdę nigdy nie istniał. Tak naprawdę aż do ubiegłego tygodnia nie znała prawdziwego Michaela, a gdy go w końcu poznała, poczuła przerażenie i odrazę.

Głos Luke'a wyrwał ją z tych rozmyślań.

- Więc co stało się po twojej rozmowie z Michael'em?

- Pokłóciliśmy się i zerwałam z nim. Potem pojechałam do matki. Zawsze to robię, kiedy coś mi się w życiu nie układa: rozmawiam z mamą. Ale kilka przecznic od jej domu zatrzymali mnie ludzie wuja Vincenta, to ten facet mojej mamy, o którym ci mówiłam. Wyciągnęli mnie z toyoty i zaprowadzili do niego. Wuj Vince czekał w swoim wozie. Oświadczył mi, że jeśli powiem komukolwiek o tym, czego się dowiedziałam, zabiją moją mamę i siostry. Do tej pory go lubiłam...

Głos jej się załamał. Luke mruknął coś niezrozumiałego i wziął ją w ramiona. Przetoczył się na plecy, a Christy leżała na nim, drżąc na całym ciele.

- To nie wszystko - powiedziała po chwili, odpychając się dłońmi od niego. Chciała, by poznał całą prawdę, by wiedział dokładnie, z czym ma - z czym mają - do czynienia. - Wuj Vince zabrał mnie do jakiegoś magazynu, do chłodni. Jego ludzie wprowadzili nas do środka... Byłam taka przerażona, Luke, bałam się, że teraz mnie zabiją... W chłodni był Franky. Leżał na podłodze, na brzuchu. Był nagi. Nie żył. Wuj Vince powiedział, że potrafił go samochód. Te jego zbiry tylko się śmiały.

- Cholera - mruknął Luke. Tym razem, kiedy przyciągnął ją do siebie, nie próbowała się bronić. Objęła go mocno, jakby był jedynym sta-

łym punktem w rozchwytanym świecie. - Jezu Chryste, powiedziałaś o tym komuś? Poszłaś na policję?

- Ty nadal nic nie rozumiesz. - Podniosła głowę. Twarz Luke'a była tak blisko, że czuła ciepło jego oddechu. - Ci ludzie mają policję w kieszeni. Mają swoich sędziów. Prokuratorów. Trzymają w szachu ludzi na samej górze, nie uwierzyłybyś nawet kogo. Jeśli powiem o tym komukolwiek, skończę jak Franky. Albo dopadną moją mamę. Albo moje siostry. Albo nas wszystkich. Nie będą się zastanawiać. Dlatego właśnie myślę, że facet, który próbuje mnie zabić, to człowiek mafii. Myślę, że mógł zabić Elizabeth Smolski przez pomyłkę...

Christy umilkła nagle, jakby jakaś niewidzialna ręka ścisnęła jej gardło. Oparła głowę na piersi Luke'a, spragniona ciepła, pomocy. Słyszała równomierne bicie jego serca.

- Wszystko w porządku - powiedział Luke cicho, głaszcząc ją po plecach. - Nie musisz się już bać. Wszystko będzie dobrze, obiecuję.

Christy uniosła lekko głowę.

- Wciąż myślę o tym, że mogłam zachować się inaczej. Gdybym tylko uwierzyła Franky'emu... Nie lubiłam go, ale kiedy przypomniał sobie, jak żałośnie wyglądał w tej chłodni...

Znów straciła na moment głos. Czują, jak do oczu napływają jej łzy.

- Hej, chyba nie będziesz płakać, co? - spytał Luke.

- Nie. - Zamrugnęła gwałtownie powiekami. - Co by to dało? Poza tym ja nigdy nie płaczę.

- Wiesz co? - Głos Luke'a był jeszcze łagodniejszy niż poprzednio. - Mam ogromną słabość do dziewczyn, które nigdy nie płaczą.

Potem przyciągnął ją do siebie i zamknął jej usta pocałunkiem.

## Rozdział 22

Jego pocałunek był dokładnie taki, jak zapamiętała - wystarczyło, by Luke dotknął jej ust, a jej ciało ogarnął nieugaszony, niesamowity żar. Christy zamknęła oczy, objęła Luke'a za szyję i pocałowała tak, jakby zależało od tego jej życie.

Przyciągnął ją mocniej do siebie i obrócił tak, że leżeli oboje na boku. Głowa Christy opierała się o jego ramię. Ciało Luke'a paliło ją niemal żywym ogniem, przenikało na wskroś emanującym od niego żarem. Wplótszy palce we włosy na jego karku, przywarła doń mocno, czując jego twarde mięśnie, które tak cudownie kontrastowały z jej delikatnymi, kobiecymi kształtami.

Cudowny, słodki ogień, który rozpalili między sobą, osuszył oczy Christy, sprawił, że zapomniała o Frankym, o Elizabeth Smolski, o grożącym im niebezpieczeństwie. Teraz mogła myśleć jedynie o Luke'u i uczuciach, które w niej budził.

- Uwielbiam, kiedy mnie całujesz - wyszeptła, gdy uwolnił jej usta, by pieścić szyję.

Kiedy wilgotny żar przesuwał się po jej skórze, odrzuciła głowę do tyłu i oddała się całkowicie cudownemu doznaniu. Czuli, jak w jej wnętrzu budzi się rytmiczne pulsowanie, kiedy jego usta przesuwały się wzdłuż jej obojczyka, a potem w dół, ku piersi, i dalej, na cienki jedwabisty materiał stanika. Wyrężyła się na moment, gdy język Luke'a odnalazł jej sutek. Teraz nie było już odwrotu: mógł z nią zrobić, co tylko chciał.

- Jesteś piękna - powiedział namiętnym, chrapliwym szeptem. Położył dłoń na jej piersi, a Christy jęknęła pod delikatną pieszczotą palców, które gładziły sutek ukryty pod wilgotną tkaniną. Potem na-

wet ta cienka bariera stała się zbyt dużą przeszkodą i dłoń Luke'a wsuwała się pod stanik. Była dość duża, by zakryć całą jej pierś, dość ciepła i twarda, by przyprawić ją o kolejne dreszcze.

- Pamiętasz, powiedziałem przedtem, że się na ciebie nie rzuce, prawda? - Jego głos był teraz niski, gardłowy, jakby z trudem nad nim panował.

- Tak - odparła, z trudem łapiąc oddech.

- Skłamałem.

Christy wiedziała, że daje jej w ten sposób szansę na odwrót, że pytają tym samym, czy nie chce się wycofać, lecz była to ostatnia rzecz, jaką pragnęła w tej chwili. Kuszący żar jego dłoni na jej piersi odbierał jej rozsądek, przestaniając cały świat. Kiedy wcześniej go całowała, pragnęła zatrzymać go przy sobie i gotowa była zrobić wszystko, byle tylko został z nią na noc. Kiedy zdołał jej odmówić, było to tak niespodziewane i zaskakujące, że wyprowadziło ją z równowagi. Teraz jednak nie kierowały nią żadne ukryte motywy, myślała tylko o tym, by kochać się z Lukiem. Pragnęła go tak mocno, że aż kręciło jej się w głowie, i wiedziała, że on także jej pragnie.

Tak, nie miała co do tego najmniejszych wątpliwości. Czuli wyraźny i dobitny dowód siły jego pożądania. Pulsowanie w jej ciele narastało, potęgując pragnienie. Wtuliła się w niego mocniej i zamknęła ręce na jego plecach. Jego skóra była lekko wilgotna i gładka, a ukryte pod nią mięśnie twarde i sprężyste. Kiedy Christy przesuwała palcami wzdłuż jego kregostupa, wciągnął głośno powietrze i zadrżał.

- Chcę zobaczyć cię naga - wyszeptał jej prosto do ucha, sięgając jednocześnie do zapięcia jej stanika.

- Nagość jest miła. - Chciała być naga. Chciała być dotykana. Chciała, by w nią wszedł.

Rozpiął haftkę stanika. Serce Christy biło jak szalone, gdy czuli, jak cienkie paski zsuwają się z jej ramion, potem wypuściła go na moment z objęć, by mógł odrzucić stanik na bok. Usłyszała tylko szelest, gdy jej bielizna upadła na piasek. Jej dłonie przesuwały się po jego piersi, dotykały sutków, pieściły twarde mięśnie. Gładziła jego ramiona zafascynowana, kiedy Luke pochylał się nad nią ponownie.

Christy wydała z siebie przytłumiony okrzyk i znieruchomiła na moment.

- Luke...

-Hmm?

Zapomniała jednak o tym, co chciała powiedzieć, gdy jego rozpalone wargi dotknęły jej nagiej piersi.

- Och... - jęknęła tylko zaskoczona.
- Czuła, jak jej serce wali w szalonym tempie, a krew pulsuje w żyłach, gdy Luke ssął i przygryzał jej pierś, by potem przenieść się do drugiej. Nie spieszył się, a gdy w końcu jego usta powróciły do jej ust, Christy mogła tylko oddać pocałunek. Nie zauważyła nawet, że znów zmienili pozycję i że z powrotem leży na plecach, dopóki Luke nie podniósł głowy.
- Nawet nie wiesz, jak długo marzyłem o tym, żeby to z tobą zrobić.
- Mówił niskim, uwodzicielskim głosem, który otulał ją niczym akşamit.
- Jak długo? - spytała, drżąc, a potem znieruchomiła, gdy jego dłoń zsunęła się z jej piersi i wędrowała niżej, coraz niżej...
- Odkąd zobaczyłem cię po raz pierwszy. Biegłaś...
- Wstrzymała na moment oddech, kiedy jego dłoń zsunęła się między uda, a potem niżej, sprawiając, że jej ciało napięło się niczym struna.
- Och, Luke... - Zamknęła oczy, poddając się całkowicie pieszczocie jego palców.
- Delikatny szmer piasku pod kocem przypomniał jej, że są na plaży, że robią to właśnie tutaj. Ta myśl była tak podniecająca, że Christy jęknęła głośno. Wbiła palce w piasek i wygięła plecy w łuk, przyzwalając na wszystko, pragnąc go.
- Jesteś tam taka gorąca. Wiedziałem, że będziesz gorąca.
- Odnalazł pulsujący guziczek, który czekał niecierpliwie na jego pieszczoty. Christy westchnęła głośno i zacisnęła uda na jego dłoni, wiedząc, że jeśli Luke nie przestanie, wkrótce się spełni, a nie chciała tego, jeszcze nie teraz, bo to, co robił, było tak rozkoszne, że pragnęła więcej, znacznie więcej. Krzyknęła, a jej biodra zakotływały się pod jego dotykem, jakby błagając, by nie przestawał.
- Spokojnie - wyszeptał. Wydawało jej się, że umrze z rozkoszy. Jego dłoń była tak cudownie gorąca, wiedział dokładnie, co z nią zrobić, jak ją rozbudzić, jak doprowadzić ją do drżenia.
- Luke, przestań. Proszę.
- Zacisnęła mocno nogi, chciała, by przestał, wiedziała, że jeśli nie przestanie, wkrótce skończy. Zrozumiał to, bo podniósł głowę, a jego dłoń znieruchomiła. Potem wysunęła się z niej, zostawiając ją rozpaloną, rozedrganą...
- Christy oddychała nierówno, wyginając biodra do góry na jego spotkanie. Sięgnęła po niego obiema rękami.
- Luke?
- Hm?

- Ja też chce cię zobaczyć nagiego.
- Za chwileczkę.
- Rozsunął jej uda. Christy zadrżała.
- Och, nie, ja... - Wbiła palce w jego włosy, wiedząc już, co chciał zrobić. Nigdy nie było jej wtedy dobrze. Michael tego nie lubił, ona też za tym nie przepadała, a w dodatku...
- Śśś...

- Jego szorstka broda otarła się o jej uda, gdy układał się między nimi. Jej palce znieruchomiły...
- Potem poczuła tam pocałunek. Było to tak niesłychanie erotyczne doznanie, że jęknęła głośno. Całował ją powoli, jego usta i język obdarzały ją płomienną pieszczotą, sprawiając, że drżała z rozkoszy. Kiedy wreszcie podniósł głowę, by okryć pocałunkami jej brzuch i piersi, Christy płonęła niepohamowanym pożądaniem, pragnęła go bardziej niż czegokolwiek w życiu.
- Luke, teraz. Proszę.
- Sięgając po niego i ledwie go widząc w ciemnościach, dotknęła najpierw jego piersi, potem gładziła jego twardego brzuch, by wreszcie wsunąć dłoń w bokserki. Czekał tam, twarde jak skała i wielki, gorący, wilgotny i spragniony. Zamknęła na nim palce. Był wspaniały i nie pragnęła niczego innego, tylko poczuć go w sobie.
- Ach, Christy - jęknął Luke i znieruchomiał.
- Odsunął się od niej na moment, a wtedy Christy pomogła mu sięgnąć bokserki i wreszcie oboje byli całkiem nadszy. Luke położył się na niej i wsunął między jej uda, jednocześnie szukając ustami piersi.
- Uniosła lekko biodra, jej dłonie zamknęły się na jego twardej pośladkach. Jego ciało płonęło z pożądania, a ona czekała już zbyt długo.
- Jak ja cię pragnę - wyszeptał namiętnie.
- Potem wszedł w nią i przycisnął jej biodra do koca. Jęcząc z rozkoszy, Christy przesunęła dłońmi po jego plecach i przyciągnęła go do siebie.
- Wycofał się na moment i wsunął ponownie, głęboko i powoli. Christy krzyknęła ostro z rozkoszy.
- Och, jeśli zrobisz to jeszcze raz... - urwała, dysząc ciężko. Nawet teraz, nawet w takich okolicznościach, nie mogła powiedzieć tego głośno.
- Dokończył za nią, obejmując ją mocno i obsypując pocałunkami jej szyję.
- Będziesz miała orgazm? Dobrze. Chce, żeby się to stało.
- Przycisnął ją do koca, wypełnił, poruszając się powoli i doprowadzając ją do szaleństwa. Jego dłoń wsunęła się między ich ciała, szukając te-

go drżącego punktu, który potrzebował tylko cienia pieśczoły, by eksplodować.

Dotknął jej tam, delikatnie, lecz wystarczająco mocno, by wydała z siebie głośny jęk i przeżyła niezwykłą, oszłamiającą, nieopisaną rozkosz.

- Luke - jęczała. - Och, Luke...

Teraz i on utracił kontrolę nad swoim ciałem. Wbijał się w nią coraz głębiej i mocniej, wciągając ją ponownie w oszłamiający rytm, aż znów zadrzęta, sięgając szczytu.

- Christy! - jęknął Luke. Przycisnął usta do jej szyi, by przeżyć chwilę największej rozkoszy i poddać się upojnym dreszczom. Wreszcie znieruchomiał w jej ramionach.

Potem leżeli oboje przez długi czas, Luke na plecach, Christy na nim. Obejmowała go za szyję, opierając głowę na jego piersi. Był ciepły, wilgotny i rozluźniony, oddychał równomiernie. Wydawało się, że zasnął.

Typowy facet, pomyślała z irytacją i otworzyła oczy. Chmury zniknęły. Nad ich głowami rozciągało się czyste rozgwieżdżone niebo.

Wtedy Luke się poruszył i oderwała się od tego cudownego widoku. Przesunął dłońmi wzdłuż jej pleców, przyciągając ją bliżej. Poczuli się trochę zakłopotana, zrozumiałwszy, że jednak nie spał, nie wiedziała bowiem do końca, co myśleć o tym, co między nimi zaszło, jak się zachowywać i co powiedzieć. Coś w rodzaju: „To był naprawdę niezły seks”, jakoś nie pasowało do tej sytuacji.

Musiąca jednak szybko coś wymyślić, bo tulił ją już do siebie, szorstką brodą dotykając jej policzka. O Boże, czyżby gotów był zrobić to ponownie?

- Ktoś chodzi po lesie - wyszeptał jej nagle prosto do ucha. - Ani mru-mru.

## Rozdział 23

Luke musiał przyznać przed samym sobą, że wbrew temu, co mówił wcześniej Christy, nago nie czuł się równie pewnie jak w najskromniejszym choćby ubraniu. Perspektywa walki w stroju Adama, z jang powiewającym na wietrze, niezbyt go pociągała. Zwłaszcza że ten facet podobno lubił noże. Luke wzdrygnął się i zaczął szukać po omacku białizny.

Znalazł bokserki i wciągnął je szybko.

Christy trąciła go lekko łokciem.

- Może to jeden z tych wariatów od żółwi - szepnęła.

Może. Ale wielbiciele żółwi byli o dobrych kilkaset metrów dalej, a poza tym nie mieli czego szukać w lesie. Gdyby chcieli znaleźć jego lub Christy, poszliby zapewne wzdłuż plaży.

Z drugiej strony Luke wolałby nawet, by nie był to jeden z ich wybawicielei. Tamten łotr zaczął go wkurzać. Kiedy Luke zobaczył podobite oko Christy, ogarnęła go wściekłość, jakiej dawno już nie doświadczył. To nie powinno było się stać i nie należało do jego planu, lecz teraz śledztwo przerodziło się w osobistą wendetę. Obecnie nie tylko chciał dopaść Michaela DePalme, ale i odpłacić mu za wszystkie krzywdy, jakie wyrządził Christy.

Nie miał już prawie żadnych wątpliwości, że to właśnie Donnie junior stał za wszystkim, co ją spotkało. Luke nie zamierzał puścić mu tego płazem. Postanowił już, że nim mafioso trafi do więzienia, on sam osobiście skopie mu tyłek, rozkwasi nos, a potem odejdzie z jego dziewczyną.

Teraz już moją dziewczyną...

Luke uświadomił sobie, że to bardzo niepokojąca myśl, nie miał jednak czasu na analizowanie nowej sytuacji i jej konsekwencji. W szor-

tach gotów był do walki z całym światem. Jeśli ten gnojek, który zaatakował Christy, kręcił się gdzieś w pobliżu, czekała go niemiła niespodzianka.

Chyba że miał broń. Wtedy uklad sił radykalnie się zmieniał.

Uznawszy, że odwaga winna iść w parze z rozsądkiem, Luke ułożył się na brzuchu obok Christy i obserwował las, wypatrując tajemniczego błysku, który zauważył wcześniej. Do świtu została jeszcze co najmniej godzina, a szum morza zagłuszał wszelkie odgłosy. Nawet teraz, gdy na niebie świeciły gwiazdy i księżyc, widział jedynie niewyraźne cienie - i, po raz kolejny, wąski promień światła latarki w lesie.

I to całkiem blisko. Na tyle blisko, że widział dokładnie splecione gałęzie i porośnięte mchem pnie drzew, na które padał blask.

Christy wydała z siebie przytłumiony okrzyk świadczący, że ona również dostrzegła światło. Zesztywniała; Luke słyszał jej przyspieszony oddech, wyczuwał bijące od niej fale strachu.

- Nie ruszaj się stąd - wyszeptał jej do ucha, a potem pocałował w policzek i podniósł się z koca, gotów uczynić to, co powinien zrobić każdy mężczyzna na jego miejscu: walczyć o swoją kobietę. Chwyciła go za rękę, szepcząc coś błagalnym tonem, nie obawiał się jednak, że mogłaby skomplikować tę i tak niezbyt już ciekawą sytuację, idąc za nim. Przecież była naga. Wiedział, jakie to uczucie, a w dodatku była kobietą. Nawet gdyby koniecznie chciała mu towarzyszyć, straciłaby trochę czasu na szukanie i włożenie ubrania, a Luke do tej pory zrobiłby, co do niego należało.

Latarka przesunęła się nieco na południe i przeczesywała dokładnie każdy skrawek terenu, co wskazywało, że trzymająca ją osoba naprawdę przykłada się do pracy. Skradając się ostrożnie plażą, a potem wzdłuż lasu - dopiero wtedy pożałował, że nie włożył jednak butów - Luke zbliżał się powoli do tajemniczego poszukiwacza.

Wykorzystując lata ćwiczeń, przemykał się od drzewa do drzewa, by dopaść swą ofiarę z jak najmniejszej odległości i narobić przy tym jak najmniej hałasu. Widział już całkiem wyraźnie ciemny kształt między drzewami.

Zebrawszy siły, poderwał się do skoku, jedną ręką chwycił mężczyźną za szyję, a drugą zakrył mu usta.

- Ani mru-mru - syknął, a potem zwolnił chwyt, złapał tamtego za ramię i odciągnął dalej w głąb lasu.

- Co ty wyrabiasz, do diabła? - Gary nie wyglądał na zachwyconego tym, jak potraktował go Luke. - Przez ciebie omal nie upuściłem tego GPS-u, a wiesz, ile kosztuje. Może chcesz napisać raport o zniszczeniu aparatury do centrali, ale ja nie mam na to najmniejszej ochoty.

- Mów trochę ciszej, dobrze? I zgasz tę latarkę. Christy została niedaleko, na plaży. To nie jest głupia dziewczyna. Jeśli zobaczy cię tutaj, będzie chciała wiedzieć, jak nas znalazłeś.

- To proste: kiedy nie wróciłeś do domu, zacząłem się denerwować. Doszedłem do wniosku, że pojechałeś z Christy jej samochodem, ale nie mogłem namierzyć tego cholernego urządzenia naprowadzającego. Kiedy wreszcie złapałem sygnał, okazało się, że nadaje z jakiegoś dziwnego miejsca, więc pomyślałem, że lepiej to sprawdzić. Nie mogłem zrozumieć, jak jej samochód znalazł się w środku lasu.

- Nadajnika nie ma już w jej samochodzie. Jest w mojej kieszeni.

W kieszeni dzinsów, które suszyły się na skale, choć oczywiście nie zamierzał wspominać o tym Gary'emu. Najwyraźniej urządzenie naprowadzające zaczęło działać po tym, jak docisnął śrubki spinające obudowę. Miał nadzieję, że tak właśnie będzie, a zaniepokojony jego nieobecnością kolega pospieszy mu na pomoc. I tak się stało. Bo pomimo swych dziwactw Gary był człowiekiem, na którym można polegać.

- Więc co się stało? - spytał przyciszonym głosem.

Luke zdał mu krótką relację, pomijając oczywiście niektóre, mniej istotne dla śledstwa szczegóły.

- Potem zobaczyłem, że szukasz nas w lesie i już.

- Skąd wiedziałeś, że to ja? - zdumiał się partner.

Luke parsknął cicho.

- Twoje buty. Gdy tylko światło padło na te twoje lakierki, wiedziałem,

że to ty. Nikt inny nie wybrałby się na wyprawę do lasu w takich butach.

- Cóż, nie miałem pojęcia, że będę spacerował po lesie, kiedy je wkładałem - odparł z godnością Gary. - Poza tym przyjechałem tu samochodem. Jakies pół kilometra na zachód stąd jest żwirowa droga. Tam zaparkowałem eksplorera.

- Dobrze się sprawiłeś. - Luke poklepał go po plecach. - Nawet te twoje buty na coś się przydały. Gdyby nie one, nie wiedziałbym, że to ty. Dobrze, teraz powiem ci, co masz zrobić...

- Jesteś pewien, że chcesz to rozegrać w ten sposób? - spytał Gary z powątpiewaniem, kiedy Luke przedstawił mu swój plan.

- Tak. Twoja obecność w tym miejscu na pewno wydataby się Christy podejrzana. Zbyt wiele zbiegów okoliczności.

- Nie uważasz, że lepiej byłoby powiedzieć prawdę i namówić dziewczynę do współpracy?

Luke skrzywił się z powątpiewaniem. Naopowiadał Christy już tyle bajek, że wolał nawet sobie nie wyobrażać jej reakcji na prawdziwą wersję wydarzeń.

- Pomyślę nad tym - odparł. - A na razie zrób, co ci powiedziałem, zgoda?

- Ty jesteś tu szefem. - Gary wzruszył ramionami. - Chcesz moją trzydziestkęsemkę?

Luke zastanawiał się nad tym przez moment. Czulby się znacznie bezpieczniej, mając broń, wiedział jednak, że nie zdoła jej ukryć. Prawdopodobieństwo, że znajdzie ich niedoszły morderca Christy, wydawało się niewielkie; prawdopodobieństwo, że Christy zobaczy pistolet, było prawie stu procentowe.

- Nie - zdecydował w końcu.

- Jak chcesz. Twoje dłonie to śmiertelna broń, i tak dalej, tak?

- Coś w tym rodzaju - mruknął Luke. - To był ten sam facet, który zaatakował ją poprzednio. Jeździ białym pikapem z jakimś napisem na drzwiach pasażera. Pewnie to reklama. Kiedy widziałem go po raz ostatni, holował wóz Christy, ale teraz mógł już gdzieś go porzucić. Wypatruj tego pikapu po drodze, sprawdź też, czy nie da się go znaleźć w ewidencji. Pewnie nie jest zarejestrowany na wyspie, ale sprawdź zawsze warto.

- Załatwione.

- Świetnie. - Luke skinął głową i odwrócił się. - Muszę iść.

Nie było go już dobrych dziesięć minut - Christy pewnie umierała ze strachu, a on nie chciał jej przeciwieć straszyc. Gdyby tylko mógł znaleźć jakies lepsze wyjście z tej sytuacji, gdyby mógł wyjawic jej prawdę, zrobiłby to.

- Luke. Jeszcze jedno.

Odszedł już o kilka kroków, gdy zatrzymał go głos Gary'ego.

- O co chodzi?

- Dlaczego nie masz na sobie ubrania?

- Mam bokserki. Cała reszta przemokła, więc zdjąłem ją, żeby szybciej wyschła. Moje dzinsy i t-shirt suszą się teraz na skale.

- Ach, więc to dlatego...

- Tak, właśnie dlatego. Jeszcze jakies pytania?

- Nie. Żadnych.

- Świetnie. Więc do zobaczenia za kilka godzin.

- W porządku - odparł Gary i zniknął w ciemności.

Choć na niebie świeciły gwiazdy, wciąż było bardzo ciemno. Poznawszy już dobrze możliwości Christy, Luke z daleka obwieścił swą obecność głośnym „to ja”, by nie dostać w głowę jakimś ciężkim kamieniem.

- Luke? - wyszeptala.

-Tak.

- Bogu dzięki. Tak się martwiłam...

Objęła go i przytuliła się całym ciałem. Była ubrana w mokre jeszcze ciuchy, a w dłoni trzymała - tak jak przypuszczał - gotową do uderzenia latarkę. Gdyby nie zapowiedział się zawczasu, z pewnością poczułaby ją na ciemieniu. Zrobiło mu się przykro, że tak ją wystraszył, ale poza tym bardzo mu się podobało tego rodzaju powitanie.

- Mówiłem ci, żebyś się o mnie nie martwiła - odrzekł, kładąc ją delikatnie na kocu i całując do utraty tchu. Między pocałunkami opowiedział jej o spotkaniu z jednym z obserwatorów żółwi.

- Musimy stąd uciekać, jak tylko zrobi się jasno - wyszeptala Christy, gdy skończył. Nie drżała już ze strachu, wyczuwał jednak, że nadal jest niespokojna.

No dobrze, nie podobało mu się to, ale co mógł zrobić? Może poczułaby się bezpieczniej, gdyby wyjawil jej, kim naprawdę jest, ale nie był jeszcze gotowy. Miał przeczucie, że jeśli w końcu to zrobi, Christy nie będzie zachwycona.

- Nie musimy się spieszyć. Przy tych ludziach jesteśmy bezpieczni, a nawet jeśli ten łajdak kręci się gdzieś jeszcze w pobliżu, do rana na pewno stąd odjedzie.

- Jesteś pewien?

-Tak.

O tak, był pewien. Poza tym trzymał już rękę pod jej koszulką i przychodziły mu do głowy lepsze sposoby spędzenia kilku najbliższych godzin niż wędrówka po lesie.

Na przykład zdjęcie z Christy wilgotnych ciuzzków...

Nim na horyzoncie pojawiły się pierwsze promienie wstającego słońca, oboje dawno już byli nadzy, a Luke czuł, że ogarnia go coraz większe zmęczenie. Zrobił to z Christy już trzy razy, co okazało się nie tylko bardzo przyjemne, ale i wyczerpujące.

- Nie mogę uwierzyć, że to zrobiłam - mruknęła, podnosząc głowę i spoglądając na niego kilka razy po tym, jak po raz ostatni wspięli się na wyżyny i opadli bezwładnie na piasek.

- Nie możesz uwierzyć, że zrobiłaś co? - spytał, unosząc lekko brwi. Christy leżała na nim naga i z przyjemnością kontemplował widok jej piersi.

- Że wciągnęłam cię w to wszystko. I że to z tobą robię.

Cóż, spodziewał się nieco innej odpowiedzi: myślał, że po tej niezwyklej nocy wyzna mu płomienną miłość.

- Cóż, bywa - odrzekł łagodnie. Położył dłoń na jej tyłeczku - miała naprawdę świetną pupę, okrągłą i twardą - i uszczypnął ją pieszczotliwie. - Musimy iść. Wstawaj i ubieraj się.



- Mmm...

Christy westchnęła ciężko i stoczyła się z niego na piasek. Luke uświadomił sobie, że jak na człowieka, który kochał się niemal przez całą noc, czuje się dziwnie nieszczerliwy. Ubierając się, obserwował, jak Christy wkłada bieliznę, a potem suche już niemal rzeczy. Widok jej różowego ciała, krągłych piersi i kuszącego tyłeczka był tak niezwykle erotyczny, że gdy wkładał spodnie, miał spore kłopoty z zasunięciem zamka.

Niestety, ten niezwykły przyływ sił witalnych nie poprawił mu humoru.

A myśl, że podniecenie działa na niego przygnębiająco, przybiła go jeszcze bardziej.

- Idę na króciutki spacer - burknął.

## Rozdział 24

Bestia nie chciała mu pomóc. Długo błądził po lesie, szukając śladów, lecz zdany tylko na swoje zmysły, nie zdołał wiele zdziałać. Nie mógł uwierzyć, że mu uciekła. Z pewnością jakby los chciał go ukarać za zbytnią pewność siebie. Postanowił, że przy następnej okazji zabije Christy od razu, a dopiero potem ukryje ciało. Albo i nie. Przecież zmarli nie mówią.

Myśl, że w każdej chwili mogła sobie przypomnieć, że mogła go wydać, doskwierała mu coraz mocniej. Nigdy jeszcze nie był tak blisko pamiłki, wiedział jednak, że w żadnym wypadku nie wolno mu stracić nad sobą kontroli. Jeśli tylko zachowa spokój, jeśli zostawi sobie trochę czasu i wyeliminuje Christy, nim stąd zniknie, wszystko wróci do normy.

A wtedy... Witaj, Kalifornio!

Gliniarze dowiedzą się, co zrobił, ale nigdy nie odgadną, kim jest. Ani gdzie się podział.

Teraz musiał pozbyć się jej samochodu i to jak najszybciej. Już sobie upatrzył dobre miejsce. Według wcześniejszego planu wraz z samochodem miało zniknąć ciało Christy. Nie mógł porzucić jej auta byle gdzie, było na nim zbyt wiele śladów, choćby farba z pikapu. Może także włosy czy coś, z czego odczytaliby jego DNA.

Nie, nie mógł ryzykować. Pozbył się samochodu, a potem wrócił na drogę. Powoli robiło się jasno, musiał wracać do domu.

Terri już na niego czekała. Nie mogła pojechać z nim do Kalifornii, choć jeszcze o tym nie wiedziała. Może powie jej później.

Uśmiechnął się lekko do tej myśli, jedyne jasnego punktu w tę pónurą noc.

Droga prowadziła obok przystani. Dotarł do niej w chwili, gdy pasażerowie opuszczali pierwszy w tym dniu prom. Było ich zdumiewająco

wielu, mnóstwo samochodów, mnóstwo ludzi. Pokręcił głową, zdumiony rosnącą popularnością Ocracoke.

Dlaczego nie siedzą w domu?

Przypomniał sobie, że o tej porze w porcie jest już czynny bar ze świeżymi pączkami. Uwielbiał kawę i świeże pączki.

Przy takim zamieszaniu w tłumie ludzi schodzących z promu nie będzie rzucił się nikomu w oczy. Kupił tylko kubek kawy, pączka i zniknął.

Nikt go nie zauważył.

Zaparkował pikap na skraju placu i wszedł do baru połączonego z niewielkim sklepem. Panował tu spory ruch, musiał więc poczekać chwilę w kolejce ludzi kupujących niemal wszystko - od kawy i pączków do lekarstw na alergię i map.

- Dzień dobry - powiedział, gdy nadeszła jego kolej i złożył zamówienie.

- Przepraszam, że musiał pan czekać - odrzekł sprzedawca, wręczając mu styropianowy kubek i papierową torebkę. Pryszczały wyrostek nie był szczególnie zainteresowany swoimi klientami, ponieważ bez ustanku rzucał ukradkowe spojrzenia na drobną blondynkę w obcym topie. On także na nią spoglądał: nie była w jego typie.

- Tłoczno jak na tę porę, co? - spytał, czekając na resztę.

- Dostyc. Dziwne, co? Po tym, co napisali w gazecie...

- A co napisali? - Wziął drobne od chłopaka i schował je do kieszeni koszuli.

- O tym seryjnym zabójcy. Na pierwszej stronie „USA Today”.

- Sprzedawca wskazał głową na automat z gazetami przy drzwiach. - Ocracoke trafiło do ogólnokrajowej gazety. - W jego głosie słychać było nutę dumy: rodzinne miasteczko wreszcie się czymś wstawiło.

- Naprawdę? - Uśmiechając się słabo, odszedł od lady, przy której chłopak mówił już. „Przykro mi, że musiał pan czekać”, do następnego klienta, i znalazł w kieszeni dwie ćwierćdolarówki.

Wrzucił je do automatu i wyjął gazetę.

Z prawego dolnego rogu uśmiechała się do niego Liz. Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w jej zdjęcie i zamieszczony obok tekst, czując, jak coraz mocniej bije mu serce.

## Rozdział 25

Tędy.

Nim poznali się z miłośnikami żółwi i ruszyli w głąb lasu, zrobiło się już całkiem jasno. Luke wciąż czuł się dosyć nieswojo, robił jednak wszystko, co w jego mocy, by przegonić zły nastrój. Dowiedziawszy się od Gary'ego, którzy ma iść, by jak najszybciej dotrzeć do żwirowego traktu, nie musiał bawić się już w szukanie mchu na drzewach czy określanie kierunku według słońca, by znaleźć właściwą drogę.

- Skąd wiesz?

Wierna swej nieufnej naturze, Christy przystanęła i rozejrzała się dokoła. Gęsta zaslona gałęzi i poranna mgła przepuszczały tylko tyle światła, by mogli widzieć siebie nawzajem i najbliższe drzewa.

- Czyżbyś nie ufała mojemu niezawodnemu wycuciu kierunku? No dobrze, powiedział mi jeden z tych facetów od żółwi. - Luke wskazał kciukiem na zachód.

To wystarczyło. Trzymając się za ręce, szli powoli przez las. Luke był już bardzo zmęczony, Christy również, sądząc po jej milczeniu. Nad ziemią unosiły się wstęgi mgły, lśniące niczym pajęczyna w blasku porannego słońca. W drodze towarzyszyły im śpiew ptaków i brzęczenie owadów. Cały świat pachniał teraz jak dzinsy Luke'a: wilgocią i stęchlizną.

- Myślisz, że on nas jeszcze szuka? - spytała cicho Christy.

- Nie, jest już po ósmej, w okolicy kręci się zbyt wielu ludzi. Zresztą ten las jest tak duży, że musiałby mieć wyjątkowe szczęście, żeby na nas trafić.

- Albo my wyjątkowego pecha. Zresztą, czy nie tak właśnie było?

Luke przyjrzał jej się uważniej: wyglądała na bardzo zmęczoną, była biała i przygnębiona. Jej biała koszulka, poplamiona trawą i ziemią,

wydawała się wciąż nieco wilgotna. Smukłe, fenomenalnie zgrabne nogi poniżej długich do połowy ud szortów były brudne i podrapane. Idąc, bez przerwy rozglądała się nerwowo na boki. Jej lewe oko otaczała fioletowosiną obwódka.

Luke niemal zgrzytnął zębami na ten widok.

- Masz podbite oko - powiedział.

Zmarszczyła brwi i podniosła rękę do sińca. Boże, gdyby tylko dostał tego faceta w swoje ręce...

- Opowiedz mi o swoim były chłopaku - powiedział głośno, aby przypomnieć samemu sobie, z jakiego powodu Christy pojawiła się nagle w jego życiu, i wyciągnąć od niej nieco informacji. - Nazywał się Michael, tak?

- Nie ma o czym opowiadać. - Słyszał cień uśmiechu w jej głosie, kiedy dodała: - Muszę przyznać, że jesteś od niego o wiele lepszy w łóżku.

Luke aż zatrzymał się na te słowa.

- Tak?

Odwrócił się, uniósł lekko jej twarz i przyjrzał się uważnie. Pomimo rozczochranych blond włosów, podbitego oka i brudnych ubrań Christy była najpiękniejszą kobietą, jaką widział w życiu. Jednocześnie uświadomił sobie, że nie wróży to nic dobrego, a nawet może stać się dla niego zasadniczym problemem - choć ta świadomość nie powstrzymała go od złożenia kilku płomiennych pocałunków na jej ustach.

- Tak - odrzekła, uśmiechając się do niego, kiedy podniósł głowę.

Pocałował ją ponownie, tym razem nieco dłużej. Kiedy ponownie ruszyli w drogę, był już w trochę lepszym nastroju.

- Więc myślisz, że to on stoi za tym wszystkim? Michael? - rzucił przez ramię, po raz kolejny próbując przywołać się do porządku.

- Może - odrzekła Christy po chwili, ściskając mocniej jego dłoń. - Pewnie tak.

- Czy nie powinnaś go o to zapytać? Możesz się z nim jakoś skontaktować?

- Próbowałam dzwonić pod jego prywatny numer. Nie odebrał i nie oddzwonił do mnie.

- Może nie ma go w mieście. Może przyjechał za tobą tutaj, na Ocracoke?

Luke poczuł, jak Christy zadrżała, i miał ochotę porządnie się kopnąć: znów niepotrzebnie ją wystraszył. Nic dziwnego, na jej miejscu też byłby przerażony.

- Nie musisz się już bać, wiesz o tym - powiedział uspokajającym tonem, obejmując ją. - Obronię cię.

Szydercze parsknięcie, którym zareagowała na te słowa, każdemu mężczyźnie odebrałoby wiarę we własne siły.

- Ciekawe jak! Jesteś tylko prawnikiem. Jak zdołasz przeciwstawić się mafii? Doceniam twoje dobre chęci, ale jeśli mamy wyjść z tego żywi, musisz wrócić do rzeczywistości.

- W porządku. Masz rację.

- Nie powinnam była mówić ci tego wszystkiego. - Pokręciła głową, wyraźnie dreczona wyrzutami sumienia.

- Bardzo dobrze, że to zrobiłaś - odparł stanowczym tonem.

- Jeśli zabiją cię z mojego powodu, nigdy sobie tego nie wybaczę.

- Nie tak łatwo mnie zabić, uwierz mi.

- Oni ciągle zabijają ludzi. Nie mają najmniejszych skrępowań.

Robiła wszystko, co w jej mocy, by uświadomić mu, w jak trudnej sytuacji się znalazł, a w jej głosie słychać było przy tym tyle szczerej troski, że Luke nie mógł się dłużej powstrzymać: odwrócił się i pocałował ją. Christy objęła go za szyję i odpowiedziała słodkim, zdesperowanym pocałunkiem. Potrzebował dobrych kilku minut, by się opanować, odsunąć ją i podjąć przerwany marsz.

Niecały kwadrans później dotarli do drogi, a właściwie wysypanego żwiru traktu, na którym z trudem mieścił się jeden samochód. Głębokie, błotniste koleiny wypełnione były wodą, pozostała po obfitym deszczu z poprzedniego wieczora. Środek był jednak w miarę suchy i stanowiął ogromny postęp w stosunku do leśnych bezdroży, którymi dotąd wędrowali.

- O mój Boże, droga! - zdumiała się Christy, gdy wyszli spomiędzy drzew.

- Trudno uwierzyć, co? - mruknął Luke, prowadząc ją na środek traktu. Cóż, jego talent aktorski miał swoje granice. Był zmęczony, potrzebował kawy tak, jak komar potrzebuje krwi, i ledwie trzymał się na nogach.

- Może powinniśmy raczej iść skrajem drogi, wiesz, pod drzewami? - spytała Christy, rozglądając się bojaźliwie na boki. - A jeśli on jest gdzieś w pobliżu?

- Usłyszymy go z daleka. - Luke uznał, że skoro nie widzieli tego faceta od chwili, gdy uciekli z samochodu Christy, prawdopodobieństwo spotkania go na tej właśnie drodze, w tej właśnie chwili, było naprawdę nikłe. Oczywiście, mogli mieć wyjątkowego pecha, ale w odróżnieniu od Christy był raczej optymistą.

- Jak myślisz, długo jeszcze będziemy musieli iść?

- Pewnie tak. - W rzeczywistości byli już niemal u celu, ale nie mógł

jej tego powiedzieć. Gdzieś niedaleko czekał na nich środek transportu pozostawiony przez Gary'ego.

Zobaczył go jakies dziesięć minut później, a właściwie zobaczył brudną oponę wystającą spod krzaków przy drodze.

Na szczęście Christy zauważyła ją niemal w tej samej chwili.

- Luke, patrz! - krzyknęła podniecona, wskazując na oponę.
- Widzę.

Nim jeszcze pochylił się nad ukrytym w krzakach pojazdem, wiedział już, co to jest: mały motocykl terenowy, pozostawiony tu jakby specjalnie dla nich... Nie był to może bardzo wyszukany środek transportu, ale w zupełności wystarczający na ich potrzeby.

- Myślisz, że działa? - Christy przyglądała się brudnemu motocyklowi z powątpiewaniem.
- Sprawdźmy. - Kopnął pedał rozrusznika. Przy trzeciej próbie silnik zaskoczył.

- Dzięki ci, Boże - powiedziała Christy nabożnym tonem, spoglądając w niebo. Luke omal się nie uśmiechnął, pomyślawszy: raczej dzięki ci, Gary. Potem zmarszczyła lekko brwi i spojrzała na niego niepewnie.

- Myślisz, że możemy go pożyczyć?

Nie mógł się powstrzymać, musiał trochę się z nią podroczyć.

- Sam nie wiem - odparł z powagą. - Niektórzy uznaliby to pewnie za kradzież.

- Odwieziemy go tutaj z powrotem.

- W porządku - powiedział, gdy Christy zaczęła przygryzać nerwo wo wargę, co wzbudziło w nim wyrzuty sumienia. - Tak zrobimy. Wskakuj.

Usiadła za nim, objęła go w pasie i przytuliła się do jego pleców. Ruszyli w drogę.

Siodełko było małe, droga wyboista, a jazda mozolna i męcząca. W miarę jak słońce przesuwało się coraz wyżej po niebie, z lasu wylatywały coraz większe chmary komarów, much i bąków. Luke i Christy przez cały czas się przemieszczały, teoretycznie więc powinni byli pozostawać poza zasięgiem atakujących insektów. W praktyce okazało się jednak inaczej. By utrzymać motocykl na nierównej drodze, Luke musiał mocno zaciskać obie ręce na kierownicy, co oznaczało, że nie może się odganiać od natrętnych owadów. Christy musiała trzymać się go obiema rękami, by nie spaść z motocykla, jej sytuacja wyglądała więc tak samo.

Nim wyjechali na I-12, dwupasmową drogę przecinającą wyspę, minęła co najmniej godzina. Luke był niemal cały pogryziony i podrapany.

Marzył teraz jedynie o gorącym prysznicu albo jeszcze lepiej: o gorącym prysznicu i filiżance kawy.

- Trzymaj się mocno! - krzyknął przez ramię.

Gdy Christy objęła go mocniej, dodał gazu. Rezultaty nie były spektakularne. Maksymalna prędkość motocykla wynosiła jakieś dziesięćdziesiąt kilometrów na godzinę, ale mając za plecami Christy na wąskim siodełku, mógł rozwijać co najwyżej połowę tej prędkości. Ruch na drodze był niewielki, narastał tylko od czasu do czasu, gdy z przystani promowej w północnej części wyspy wyjeżdżały kolejne fale turystów. Samochody wyprzedzały ich jeden za drugim, czasami poganiając motocykl trąbieniem. Wszyscy mierzali w jednym kierunku: na południe, do Ocracoke Village.

- Chcesz wpaść po drodze do biura szeryfa i opowiedzieć mu o wszystkim? - spytał Luke, przekrzykując ryk silnika, gdy zatrzymało ich czerwone światło na obrzeżach miasteczka.

- Nie! Najpierw muszę wziąć prysznic, potem pomyśle, co dalej!

Skinął głową, zadowolony z tej decyzji. Nie chciał ściągać na siebie uwagi miejscowej policji. Po pierwsze, gdyby szeryf postanowił sprawdzić go dokładniej, odkryłby szybko, że Luke Randolph, prawnik z Atlanty, nie istnieje. Po drugie, człowiek, który chciał zabić Christy, nie miał pojęcia, że ktoś pomógł jej w ucieczce z bagażnika toyoty, i lepiej byłoby dla wszystkich, by pozostał w tej nieświadomości.

Problem polegał na tym, że Christy wcześniej czy później i tak opowie szeryfowi całą historię w takiej wersji, w jakiej ją znała.

Luke zastanawiał się, jak z tego wybrnąć, niemal przez całą resztę drogi do domu. Jechali teraz wzdłuż plaży zatłoczoną Front Road. Wśród całej masy różnorodnych pojazdów nikt nie zwracał uwagi na terenowy motocykl z dwójką ubłoconych ludzi.

Zza kolejnego zakrętu wyłonił się wreszcie domek Christy. Dochodziło południe, niebo było błękitne, świeciło piękne słońce, i nikt już nie pamiętał o wieczornej ulewie. Minęli chatkę Luke'a i wjechali na podjazd Christy. Pani Castellano, zajęta jak zwykle pielęgnacją ogrodu i podpatrywaniem tego, co się dzieje u sąsiadów, wyjrzała zaciekawiona zza ogrodzenia. Luke pomachał do niej przyjaźnie. Odpowiedziała uprzejmym skinieniem głowy i ponownie zajęła się roślinami.

- Pilot od bramy jest w moim samochodzie! - powiedziała Christy, gdy zatrzymali się przed jej garażem. Luke skinął głową i zgasił silnik.

Cisza, jaka zapadła nagle wokół nich, wydawała się niemal ogłuszająca.

- Ale mam zapasowy klucz do domu schowany w doniczce - dodała szeptem Christy, schodząc z motocykla. - Wejdiesz ze mną, prawda? - spytała ostrożnie, kiedy Luke zeskoczył z siodełka i ustawił motocykl na nóżce.

Luke ogarnął ją spojrzeniem: wyglądała tak, jakby wyszła właśnie z tunelu aerodynamicznego. Włosy sterczały jej wokół głowy niczym puch dmuchawca, ubranie oklejone było kawałkami liści i drobnych gałązek, jeden pasek od sandała opadał luźno na ziemię. Miała podbite oko i ponurą minę, a do tego ostre, południowe słońce opaliło jej nos na czerwono.

Mimo to znów przyprawiła go o szybsze bicie serca.

- Kochanie, nie pozbyłabyś się mnie, nawet gdybyś chciała - odparł nieco burkliwie, bo to, co się z nim działo, coraz bardziej go niepokoiło.

Christy podeszła do wielkiej doniczki z begonią, pogrzebała w ziemi i w końcu wyciągnęła klucz. Wchodząc do domu, Luke przypomniał sobie, że obserwuje ich Gary, co bynajmniej nie poprawiło mu humoru, ale alternatywne rozwiązanie - czyli zaproszenie Christy do nich - było tak niebezpieczne, że raczej nie wchodziło w grę. Wystarczyło, by otworzyła drzwi do trzeciej sypialni, a wszystko by się wydało. Luke skrzywił się na samą myśl o tym, co by się wtedy działo.

Ignorując Gary'ego, przeschukał szybko mieszkanie Christy, a potem poszedł za nią do głównej sypialni. I zamknął za sobą drzwi.

I podziękował Bogu, że nie przyszło mu do głowy zainstalować kamer w sypialniach.

Godzinę później, odświeżony długim, gorącym prysznicem, który wziął wraz z Christy, odkryty jedynie ręcznikiem, zawiązanym w pasie, Luke przeszedł przez sypialnię, by przenieść wyprane już ubrania z pralki na suszarkę. Christy, podobnie jak on owinięta tylko ręcznikiem, stała przed lustrem w łazience i suszyła włosy, które myła wcześniej co najmniej trzy razy. W splątanych kosmykach znalazła przy tej okazji nie tylko kawałki liści i gałęzi, ale i kilka martwych owadów. Jej histeryczna reakcja jednoznacznie świadczyła o tym, że dziewczyna nie przepada za robalami.

Luke uśmiechnął się lekko na to wspomnienie i wyszedł z sypialni. Nie zrobił nawet dwóch kroków korytarzem, kiedy nagle otworzyły się drzwi drugiej łazienki. Zamarł na ułamek sekundy, a potem natychmiast przyjął pozycję do walki. Kto, u diabła...?

- Christy? - zawołał jakiś damski głos. Z łazienki wyszła młoda, mniej więcej dwudziestoletnia dziewczyna. Miała ogniste rude włosy,

duże oczy, duże piersi i wiele interesujące, opalone ciało wciśnięte w pomarańczowe bikini wielkości znaczka pocztowego.

Tym razem to ona zamarła. Otworzyła szerzej oczy i omiotła go szybkim, taksującym spojrzeniem, by potem ponownie spojrzeć mu w twarz.

- Hm... - mruknęła, zaskoczona i zainteresowana jednocześnie.

- Jesteś na wyposażeniu tego domu?

## Rozdział 26

Po prysznicu jedzenie, a potem długi, słodki sen, myślała Christy, zmierzając do kuchni. Nim jednak tam dotarła, stanęła jak wryta na środku korytarza.

Rudowłosa ślicznotka w bikini dostrzegła ją za plecami Luke'a.

- Christy? - spytała z powątpiewaniem.  
- Angie! - Ogarnięta ogromną radością, zapomniała na moment o całym świecie. Rozpromieniona, przebiegła obok Luke'a i znalazła się w ramionach młodszej siostry.

Po chwili Angie odsunęła ją od siebie i przyjrzała jej się uważnie.

- O mój Boże, co ty zrobiłaś z włosami?

Christy speszyła się lekko.

- Obcięłam. I ufarbowałam. To długa historia. A co, wyglądają okropnie?

Angie się wykrzywiła.

- Może nie okropnie, ale...

- Tak też myślałam - westchnęła Christy z rezygnacją. Problem z siostrami polegał na tym, że zawsze mówiły prawdę, bez względu na to, czy tego chciała, czy też nie. Ale co tam. Kiedy to wszystko już się skończy, wróci do swojego normalnego koloru i z powrotem zapuści włosy. Oczywiście jeśli pożyje dość długo, by to zrobić.

- Właściwie wyglądają całkiem sexy - stwierdziła Angie po krótkim namyśle, mierząc ją wzrokiem. - Tylko nie pasują do ciebie.

- Chcesz powiedzieć, że ja nie jestem sexy? - Christy podparła się pod boki i spojrzała groźnie na siostrę.

Angie wyszczerzyła zęby w uśmiechu. Prawdę mówiąc, Angie, z jej niesamowitymi włosami, zawsze doskonałym makijażem i garderobą,

która ograniczała się do obcisłych szortów, minispódniczek i skąpych bluzek z wielkimi dekolantami, jedyna spośród nich mogła tak siebie określić. Nicole, pochłonięta wychowywaniem dzieci, nie miała teraz czasu na zabawę w seksbombę, a Christy, ubrana zawsze w stonowane kostiumy, odpowiednio dla poważnego prawnika, nigdy nawet nie aspirowała do tego miana. Wszystkie dobrze o tym wiedziały i były zadowolone z takiego układu, choć od czasu do czasu każda próbowała wcielić się w nieco inną rolę.

- Ty jesteś mądra - odparła Angie lojalnie. - I tak jest lepiej.

Christy dopiero w tej chwili uświadomiła sobie, że siostra powinna być w zupełnie innym miejscu, setki kilometrów od Ocracoke.

- A tak właściwie, to co ty tu robisz?

- Zwolnili mnie z pracy, a mama martwiła się o ciebie, myślała, że masz jakiegoś doła po tym rozstaniu z Michaeliem albo coś takiego. Więc powiedziała, że może powinnam tu przyjechać i trochę dotrzymać ci towarzystwa. Pomyślałam, że to dobry pomysł, no i jestem.

Angie przeniosła spojrzenie na Luke'a, który stał kilka kroków dalej i przyglądał im się z lekkim rozbawieniem. Ręce trzymał skrzyżowane na piersiach, nągich, podobnie jak niemal cała reszta jego ciała. Christy dopiero teraz przypomniała sobie, że i ona okryta jest tylko ręcznikiem.

Czuła, jak policzki coraz bardziej ją pieką.

Angie uśmiechnęła się do niej szelmowsko.

- Mama chyba się jednak myliła. Nie wydaje mi się, żeby trzeba cię było pocieszać.

- To jest Luke - powiedziała Christy, dziwnie zawstydzona. - Luke, to moja siostra, Angie.

- Tak, już się poznaliśmy - odrzekł Luke chłodno.

Angie spojrzała nań ponownie i uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

- Myślałam, że on jest na wyposażeniu tego domku, ale mówi, że nie.

- Mieszka obok - wyjaśniła Christy chłodnym tonem.

Siostra przesłała jej rozbawione spojrzenie.

- Miło wiedzieć, że sąsiedzi są przyjaźnie nastawieni.

Christy nie zdażyła jej odpowiedzieć, bo z salonu dał się słyszeć głośny wybuch śmiechu.

- Wzięłam ze sobą dwie przyjaciółki - wyjaśniła Angie w odpowiedzi na pytające spojrzenie Christy. - Myślałam, że zrobimy jakąś fajną imprezkę. Otworzyłyśmy drzwi kluczem, który dała mi mama. Brałaś prysznic, kiedy weszliśmy. - Przeniosła spojrzenie na Luke'a i znów się uśmiechnęła. - Albo coś takiego.



- Pójdę poszukać jakiegoś ubrania - odezwał się Luke. - Miło było cię poznać, Angie.  
- Ciebie też.

Luke wycofał się do sypialni i zamknął drzwi. Uśmiechnięta od ucha do ucha Angie odwróciła się do Christy.

- Chyba go przestraszyłam - stwierdziła.

- Angie... - Christy nie wiedziała, czy śmiać się, czy płakać. Jedno było pewne: Angie i jej przyjaciółki nie powinny tu zostać. Nie mogła też wyjawiać siostrze powodów, dla których nie powinny zostać. A przynajmniej nie wszystkich.

- Posłuchaj, przykro mi, jeśli pokrzyżowałam ci plany tą wizytą. Skąd mogłam wiedzieć, że mieszkasz tu z jakimś facetem?

- Nie mieszkam tu z żadnym facetem.

- Tak? Dla mnie on wyglądał na faceta. Hej, nie masz się czego wstydzisz. Naprawdę niezły przystojniak.

- Angie...

- A co z Michael'em? Między wami naprawdę już wszystko skończono?

- Tak - odparła Christy zdecydowanie, by przynajmniej w tej jednej sprawie nie było już cienia wątpliwości. - Wszystko skończone.

- Dobrze, że nie kupiłam sukienki na ślub. Ale Nicole kupiła. Będzie naprawdę wściekła.

Christy westchnęła.

- Oddam jej pieniądze. - Potem zebrała się w sobie i oświadczyła: - Posłuchaj, ty i twoje koleżanki nie możecie tu zostać.

- Angie, chodź tutaj! Musisz to zobaczyć! - zawołała jakaś dziewczyna, a Christy zrozumiała, że przyjaciółki Angie nie są w salonie, tylko na patio.

- Zaraz przyjdę! - odkrzyknęła Angie. Potem ponownie spojrzała na Christy. - Hej, możesz sypiać, z kim tylko zechcesz, nie obchodzi mnie to. Amber i Maxine też na pewno nie będą wchodzić ci w drogę. Chcemy tylko trochę się poopalać i odpocząć, to wszystko.

- Chodź, bo nie zdążysz! - zawołała ponownie Amber lub Maxine.

- Tak, już idę! - Jeszcze raz spojrzała na Christy. - Nie będziemy wchodzić ci w drogę, dobrze? I powiem dziewczynom, żeby trzymały się z dala od ślicznego pana sąsiada. Za to mamie nie wspomnę o nim ani słowa.

- Angie, nie... - Lecz siostra szła już w stronę patio, a Christy mówiła do jej okragłej pupy, która, prócz wąskiego paska na biodrach, była właściwie goła. Jak można się było od razu domyślić, Angie nosiła stringi.

Christy przewróciła oczami i westchnęła ciężko.

Musiata pozbyć się Angie i jej koleżanek: nie mogła pozwolić, by jej siostra także została wciągnięta w tę historię. Tak, ubierze się, wyjdzie na patio i powie im o seryjnym zabójcy.

Jeśli to nie podziała, nie zostaną jej już żadne racjonalne argumenty.

Weszła do sypialni.

- Masz ładniutką siostrzyczkę. - Luke stał przy jej łóżku i wkładał właśnie spodnie od dresu. Christy znieruchomiła na moment. Znała te spodnie. Były wyciągnięte, nosiła je zazwyczaj wtedy, gdy robiła pranie. Na Luke'u wyglądały jak legginsy. Legginsy sięgające do połowy łydki. Właściwie wyglądały dość dziwnie, choć z drugiej strony podkreślały muskulaturę jego nóg. I zgrabny tyłek.

- Możesz liczyć na wzajemność. Ona uważa, że jesteś prawdziwym przystojniakiem. - Christy otworzyła szafę i zaczęła przerzucać ubrania.

- Cóż mogę powiedzieć? Chyba tylko tyle, że ma dobry gust.

Wyjąwszy z szafy dzinsy i białą bluzkę bez rękawów, Christy obdarzyła go chłodnym spojrzeniem. Odpowiedział jej beczelnym, szelmowskim uśmiechem. Zmęczony, podrapany i posiniaczony wciąż wyglądał tak, że każdej kobiecie wrażliwej na męską urodę na moment zabrakłoby tchu. Miał szerokie, umięśnione barki i klatkę piersiową porośniętą gęstymi włosami, które jednak nie nadawały mu wyglądu goryla, a tylko dodawały męskiego uroku. Jego na wpół wysuszone włosy zwijały się na szyi i za uszami w drobne loczki. Błękitne oczy były naprawdę piękne, nawet wtedy gdy nie uśmiechały się do niej tak ujmująco, jak w tej chwili.

- Nie mogę uwierzyć, że tutaj jest - powiedziała Christy, otwierając szufladę komody w poszukiwaniu bielizny. - Nie pozwolę jej zostać.

- Nie wygląda mi na kogoś, kto łatwo da się spławić.

- Powiem jej o seryjnym zabójcy. Ale nie o całej reszcie. Nie mogę pozwolić, żeby i ona została w to wplątana. - Odnalazszy to, czego szukała, zamknęła szufladę i odwróciła się tyłem do niego. - Żałuję też, że wplątałam w to ciebie.

- Kochanie, uwierz mi, umiem zadbać o siebie. - Podeszedł do niej, uśmiechając się lekko, i ujął jej twarz w dłonie. Przez chwilę patrzył na nią w milczeniu, wreszcie powiedział: - A tak przy okazji, uważam, że jesteś cholernie seksowna.

Potem ją pocałował, a głęboki pocałunek sprawił, że poczuła rozkoszny dreszcz. Christy zamknęła oczy, upuściła bieliznę, pochwyliła Luke'a za ramiona i odpowiedziała równie namiętnym pocałunkiem.

Była zmęczona, oszołomiona i głodna, była przerażona i obolała, a mimo to wciąż potrafił rozbudzić w niej pożądanie.

Ten facet mógłby przewrócić jej świat do góry nogami.

Ta myśl ją zaskoczyła i zaniepokoiła. Nie była pewna, czy chciałyby, żeby tak się stało. W odróżnieniu od Angie, która zmieniała facetów jak rękawiczki, Christy zawsze była stała w uczuciach. Zakochała się w Michaelu - a przynajmniej w mężczyźnie, za którego go uważała. Chciała wyjść za Michaela.

Ale Michael nigdy nie budził w niej takich uczuć.

Ta myśl kazała jej otworzyć oczy.

Luke musiał coś wyczuć, bo uniósł głowę.

- Coś nie tak? - spytał, spoglądając na Christy z niepokojem.

- Nie - zaprzeczyła, nieco wystraszona, że może wyczytać z jej oczu, o czym myślała. - Wszystko w porządku. - Pozbierała się nieco, odzyskując panowanie nad sobą i resztki dobrego humoru. - Jeśli nie liczyć tego, że ktoś próbował mnie zabić siekierą, potem zepchnął z drogi, ogłuszył paralizatorem, wsadził do bagażnika i omal nie zrzucił w przepaść. I tego, że pewnie wciąż się zastanawia, jak znowu mnie dopaść.

- Dobrze - odparł Luke poważnym tonem. - Nie będę tego liczył.

Roześmiała się mimo woli, lecz on nadal był poważny. Potem

uśmiechnął się lekko i przesunął kciukiem po jej policzku.

- Powinnaś częściej się śmiać - powiedział. - Robią ci się wtedy śliczne dołeczki w brodzie.

Z zewnątrz dobiegła ich eksplozja śmiechu. Luke spojrzął na drzwi, a potem ponownie na nią.

- Ani chwili spokoju - jęknął i opuścił ręce.

Christy skrzywiła się lekko.

- Kiedyś wydawało mi się, że tak właśnie powinno być.

Uśmiechnął się, a potem obserwował z rękami skrzyżowanymi na

piersiach, jak Christy zbiera z podłogi swoje rzeczy.

- Wpadnę na chwilę do siebie, przebiorę się i wracam - powiedział, kiedy się wyprostowała. - Obecność twojej siostry i tych jej koleżanek ma swoje dobre strony: nie boję się przynajmniej zostawiać cię samej.

Rzeczywiście. Obecność Angie dawałaby jej poczucie bezpieczeństwa, gdyby nie bała się, że morderca spróbuje zaatakować także i ją.

- Więc jak, dasz sobie radę sama?

- Jasne, nie martw się.

- To brzmi jak moja kwestia - zauważył wesoło Luke. Potem zmarszczył brwi i dodał: - Aha, i poczekaj z wizytą u szeryfa na mój powrót. Będzie nam łatwiej, jeśli zrobimy to razem.

Skinęła głową.

Pocałował ją raz jeszcze i wyszedł. Po chwili z patio dobiegły ją głosy - krzyki dziewcząt. Uśmiechnęła się lekko - Luke musiał mieć z nimi naprawdę ciężką przeprawę.

\* \* \*

Gary wyszczerzył zęby w uśmiechu, kiedy Luke wszedł do centrali dowodzenia w ich domu. Mocno już rozdrażniony całą kaskadą chichotów, znaczących spojrzeń, uśmiezków i pikantnych komentarzy, przed którymi musiał uciekać z domu Christy, Luke odpowiedział swemu partnerowi stalowym spojrzeniem.

- Chcesz mi coś powiedzieć? - spytał wyzywająco.

- Nie. - Gary pokręcił głową, a potem zachichotał. - Ładny tyłek.

Ponieważ tak właśnie brzmiał ostatni komentarz, jakim pożegnały go koleżanki Angie, gdy opuszczał dom Christy, Luke obrzucił kolegę złym spojrzeniem i bez słowa przeszedł do swojej sypialni. Ostrożnie otworzył drzwi. Nic nie śmierdziało. Spojrzął na łóżko. Świeża pościel. Ani śladu kociej kupy.

Jak przekonać Christy, by nie wspominała o nim policji?

„Kochanie, rozumiesz, wyjdę na ofermę, jeśli przyznam się, że jakiś palant przywalił mi w głowę i wsadził mnie do swojego bagażnika. Więc może po prostu pominięsz tę część?”.

Tak, to brzmiało całkiem rozsądnie. Zadowolony z siebie, Luke zdjął przyciasne spodnie Christy, włożył dżinsy i bawełniany t-shirt, a potem przeszedł na bosaka do kuchni, by zrobić sobie filiżankę przyzwoitej kawy. Rozpuszczałne świństwo, które znalazł w szafarce Christy, smakowało jak błoto, a znikoma ilość kofeiny nie obudziła nawet muchy. Wyszedłszy z kuchni, zatrzymał się na chwilę przy centrali dowodzenia, zaintrygowany obrazem widocznym na jednym z monitorów. Dwie dziewczyny nadal siedziały na patio, ale siostra Christy stała w otwartych drzwiach, tyłem do kamery. Był to naprawdę interesujący widok, by nie powiedzieć więcej.

- Ktoś powinien jej powiedzieć, że na tej plaży nie wolno nosić strin-gów - mruknął Gary.

- Tak - odparł Luke, nie odrywając wzroku od monitora. - Ty mo-żesz się tym zająć. Dzięki, że posprzątałeś po kocie.

- Nie miałem wyboru. Śmierdziało na cały dom.

Na monitorze pojawiła się Christy. Była ubrana w wytarte dżinsy i białą bluzkę. Wyglądała tak świeżo, tak cudownie, że jej widok na mo-

ment zaparł mu dech w piersiach. Bez wątpienia wolał oglądać ją ubraną od stóp do głów niż jej seksowną i niemal zupełnie nagą siostrę.

Musiał się poważnie nad tym zastanowić, bo z pewnością nie tak powinien reagować normalny, zdrowy mężczyzna.

- O mój Boże, co ci się stało w oko? - krzyknęła Angie, gdy odwróciła się ku patio i po raz pierwszy zobaczyła twarz Christy w pełnym blasku dnia.

- Miałam wypadek. Wczoraj w nocy. Angie...

- Uch, to dobrze. Bałam się, że zrobił ci to ten przystojniak - powiedziała jedna z dziewczyn.

Obie wyglądały na mniej więcej dwadzieścia lat, obie były blondynkami, obie nosiły obcisłe bikini i miały tyle makijażu na twarzach, że można by nim pomalować cały dom. Obie miały też całkiem przyjemne figury i piersi jeszcze większe niż Angie: w innych okolicznościach Luke z pewnością poświęciłby im więcej uwagi, teraz jednak pochłaniało go coś innego.

- Tak - pokiwała głową druga. - Nigdy nie wiadomo, prawda? Oni zawsze wydają się tacy sympatyczni.

- To była poduszka powietrzna - wtrąciła Christy.

- Christy, to jest Amber. A to Maxine. - Angie dokonała krótkiej prezentacji, gdy Christy stanęła obok niej w drzwiach. Luke mógł teraz patrzeć na dwa zgrabne tyłeczki jednocześnie: jeden niemal zupełnie nagi, drugi w opiętych starych dżinsach.

I znów dżinsy wygrały. Cholera.

- Cześć, Christy - odezwały się Amber i Maxine jednym głosem. Leżały wyciągnięte na leżakach i wystawiały swe młode ciała do słońca.

- Dzięki, że pozwoliłaś nam tu przyjechać.

- Cześć - odparła Christy niepewnie. - Posłuchajcie...

- Masz bombowego chłopaka - powiedziała jedna z dziewczyn, uśmiechając się szeroko. - Daj mi znać, jak ci się znudzi.

- Albo mi - dorzuciła druga.

Gary uśmiechnął się znowu i rzucił Luke'owi kąpiące spojrzenie.

- Mówił, że wynajmuje domek obok - kontynuowała pierwsza.

- Ciekawe, czy jest tam więcej takich facetów jak on?

Amber i Maxine wybuchnęły śmiechem.

- Oto twoja szansa, stary - mruknął Luke. - Trzy śliczne, samotne i napalone dziewczyny. Bierz się do roboty.

Gary skrzywił się lekko.

- Niby tak. Ale Christy jest bardziej w moim typie. Może spróbujecie szczęścia z nią.

Luke miał już powiedzieć coś w rodzaju: „tylko spróbuj”, w porę jednak zrozumiał, że kolega się z niego nabija.

- Jak sobie chcesz - odparł, udając obojętność, i wrócił do kuchni. - Mamy coś do jedzenia? - zawołał przez ramię.

- Resztki lasagne i sałatkę z makaronem. Mielibyśmy też pyszny stek, ale ten twój kot go porwał. - Gary opuścił centralę dowodzenia i przeszedł za Lukeiem do kuchni.

' - Christy go tutaj przyniosła, nie ja. - Luke otworzył szafkę i wziął do ręki puszkę z kawą. Już na sam jej widok poczuł się nieco lepiej.

- To była twoja wina.

- Daj już spokój temu kotu, dobra? - Luke odmierzył kilka łyżeczek, nalał wody do zbiornika i uruchomił ekspres.

- Jasne. Pewnie. - Gary usadowił się na stolku przy barze i milczał przez dobrą minutę, podczas gdy Luke buszował w lodówce. Wreszcie spytał neutralnym tonem: - Sztuczka z motocyklem zadziałała?

- Tak. Dobrze się sprawiłeś. - Luke nie miał ochoty na resztki lasagne ani na sałatkę z makaronem, wyjął więc jakąś starą wędlinę, położył ją na blacie i sięgnął po chleb. - Dowiedziałeś się czegoś o tym pikapie?

- Dwanaście zarejestrowanych tutaj, na Ocracoke. Ponad trzysta na Outer Banks.

- Świetnie. No cóż, pewnie będziemy sprawdzać wszystkie po kolei.

- Już to robię - odparł Gary, obserwując z niesmakiem, jak jego partner smaruje kanapkę musztardą. - Nie rozumiem, jak możesz to jeść.

- Jestem głodny - mruknął Luke, składając kanapkę na pół.

Kolega parsknął tylko pogardliwie i porzucił ten temat.

- Christy nie nabrała podejrzeń, kiedy nagle w środku lasu znaleźliście sprawny motocykl?

- Nie. - Wgryzł się w swoją kanapkę. W powietrzu unosił się już zapach kawy. Przymykając oczy w rozkosznym oczekiwaniu, Luke zrozumiał, że jak wielu poszukiwaczy prawdy w przeszłości, odkrył ją przez przypadek: droga do błogostanu wiodła przez kanapkę z wędliną i świeżą kawę. - Poza tym była już wtedy zbyt zmęczona, aby się zastanawiać.

- Udało ci się z nią? - Gdy Luke znieruchomiał na moment i przesyłał go lodowatym spojrzeniem, Gary zdał sobie sprawę, jak wieloznacznie zabrzmiało jego pytanie. - Miałem na myśli informacje - dodał pośpiesznie.

- Owszem. - Luke ponownie wbil zęby w kanapkę i spojrzął na eks-

pres. Kawa była już prawie gotowa. - Franky Hill nie żyje. Zabili go i pokazali jej ciało. Od tej pory ledwie żyje ze strachu.

- Wiedziałem. - Partner pokiwał głową z satysfakcją. - Powiesz jej teraz o wszystkim?

Luke zamyslił się na chwilę. Sam zadawał sobie to pytanie od kilku godzin i wciąż nie mógł znaleźć odpowiedzi.

- Tak, myślałem już o tym.

- Wydaje mi się... - zaczął Gary, przerwało mu jednak głośne pukanie do drzwi prowadzących na patio. Obaj spojrzeli w tamtą stronę.

Christy, z kocim Mikiem Tysonem w ramionach, pomachała do nich przez szybę.

Luke omal się nie zakrztusił. Potem szybko odłożył resztę kanapki na talerz.

- Marvin znowu złapał ptaszka przy moim ogrodzeniu - oświadczyła Christy, wchodząc do salonu i zamykając za sobą drzwi, by biedny, zaniedbany kotek znów nie uciekł. To uczyniwszy, postawiła go na podłodze. Zwierzak rozejrzał się szybko dokoła, a potem zniknął w korytarzu. - Kiedy Amber usłyszała pisk tego ptaszka, próbowała go uratować, ale Marvin ją podrapał. Więc złapałam go i przyniosłam tutaj. Uważam, że nie powinniście wypuszczać go do ogrodu. Robi się wtedy nerwowy.

Gdyby Luke sam nie był przerażony, roześmiałby się w głos na widok miny Gary'ego. Spotkanie twarzą w twarz z antychrystem nie zrobiłoby chyba na nim równie wielkiego wrażenia.

- Dzięki, że go przyniosłaś - powiedział Luke, podchodząc do Christy. Musiał szybko wyprowadzić ją z domu, zanim kot zdąży wyładować złość na jego łóżku.

- Tak - przytaknął Gary.

- Ależ to drobiazg. - Christy wsunęła ręce do tylnych kieszeni spodni i zajrzała do kuchni. - Mmm, czuję kawę...

- Wiesz, pomyślałem sobie... - zaczął Luke, podchodząc do Christy i ujmując ją pod łokieć. - ...że może powinienem ci pomóc i powiedzieć twojej siostrze o seryjnym zabójcy.

- Już to zrobiłam - odparła pośpiesznie. - Wiesz, jak zareagowały? Amber powiedziała: „fiu, fiu”, a Maxine: „o, nieźle”. Potem Angie zapytała: „Jakie jest prawdopodobieństwo?”, a w końcu uznały, że darmowe wakacje nad morzem warte są ryzyka. - Była tak oburzona reakcją swojej siostry i jej koleżanek, że Luke musiał się uśmiechnąć.

- No dobrze, więc może spróbuj... - zaczął Luke, urwał jednak w pół słowa, gdy powietrze wypełnił głośny, dziewczęcy śmiech. Uświadomił-

szy sobie z przerażeniem, że ów odgłos dochodzi z ich trzeciej sypialni, Luke spróbował spiesznie otworzyć drzwi na patio.

- Dajcie sobie z nim spokój. On należy do mojej siostry - zabrzmiał głos Angie, donośny i wyraźny.

Christy znieruchomiła na moment. Potem jej głowa odwróciła się niemal tak szybko, jak głowa Lindy Blair w „Egzorcycie”. Na szczęście nie musiała wykonać pełnego obrotu. Przez chwilę wpatrywała się w drzwi trzeciej sypialni, potem wyrwała rękę z uścisku Luke'a i przy akompaniamencie głośnego dziewczęcego śmiechu ruszyła w stronę centrali dowodzenia.

## Rozdział 27

Christy długą chwilę stała z otwartymi ustami, nie mogąc uwierzyć własnym oczom. Wśród całej masy sprzętu elektronicznego w pokoju znajdowały się trzy monitory komputerowe. Jeden z nich pokazywał front jej domu, widziany jakby z drugiej strony ulicy. Na następnym widać było dom od tyłu, z odległości około trzydziestu metrów, a na jego tle postacie siostry i jej przyjaciółek opalających się na patio. Trzeci obraz, pochodzący bez wątpienia z wnętrza, ukazywał otwarte wyjście na patio, a na nim Angie i jej przyjaciółki.

Przez moment nie mogła wykonać żadnego ruchu, a w jej głowie kłębiły się tysiące myśli i obrazów. Potem odwróciła się powoli i ujrzała wykrzywioną w ponurym grymasie twarz Luke'a. Tuż za nim stał Gary, który miał tak przerażoną minę, jakby właśnie połknął odbezpieczony granat.

Nie było żadnych wątpliwości co do ich winy: mieli ją wypisaną na twarzach.

- Co wy tu robicie? Jesteście jakimiś cholernymi zboczeńcami? - spytała histerycznym tonem, przypominawszy sobie artykuły o mężczyznach, którzy podglądają obce kobiety w ich domach, bo tylko w ten sposób potrafią się podniecić. Potem odwróciła się na pięcie i natarła na Luke'a, który stał w przejściu. - Zejdź mi z drogi. Dzwonię po szeryfa.

- Christy, nie. - Luke cofnął się o krok, potem jednak złapał ją wpół i przytrzymał. - Poczekaj. Nie mogę ci na to pozwolić.

- Jak to nie możesz mi na to pozwolić? Nie powstrzymasz mnie przed tym, ty chory, odrażający... zboczeńcu.

- Christy...

- Nie mów do mnie Christy.

Pomimo jej wysiłków Luke nadal jej nie wypuszczał. Nagle usiadła sobie, że przypadkiem odkryła sekret, którego Gary i Luke nie chcieli nikomu zdradzić, i że to naraża ją na niebezpieczeństwo. Podglądacze idą przecież do więzienia, prawda? Ogarnięta strachem, zamieniła się nagle w wojowniczą, twarzą dziewczynę, która musiała bronić siebie i swoich sióstr w Pleasantville, i uderzyła Luke'a łokciem w żołądek.

- Au... - Kompletnie zaskoczony, Luke jęknął głucho i zgiął się wpół.

- Świr! - rzuciła mu w twarz Christy, wyrwijając się z jego rąk i ruszając do drzwi patio. Pomyślała, że gdy tylko znajdzie się na zewnątrz, pobiegnie do domu, wrzeszcząc przy tym na całe gardło, zamknie się na klucz i zadzwoni po szeryfa.

-Łap ją, Gary!

Ten, przerażony obrotem wydarzeń, stał pomiędzy nią i drzwiami patio, wymachując rękami, jakby chciał ją przestraszyć.

- Nie jesteśmy zboczeńcami... Nie jesteśmy zboczeńcami... - powtarzał zbolalym głosem, jakby recytując jakąś mantrę. W zaprasowanych w kant spodniach i jasnoniebieskiej koszulce poło, z lekko przekrzywionymi okularami i zaczesanymi na bok włosami, wyglądał równie groźnie jak Jaś Fasola.

Christy nawet nie zwolniła.

- Z drogi - warknęła, odpychając go na bok niczym futbolista. Dopadła do drzwi prowadzących na patio, otworzyła je...

- Jezu, Christy, poczekaj moment! Stój! - Luke rzucił się na nią, pochwycił ją i odciągnął do tyłu. - Gary, drzwi!

Pamiętając, że Angie i jej przyjaciółki są na zewnątrz, Christy wrzasnęła na cały głos. W tej samej chwili Gary dopadł do drzwi, zatrzasnął je i przekręcił klucz. Potem oparł się o nie plecami i spojrzal na Christy, przerażony i ogłupiały jednocześnie, jakby zrozumiał nagle, że wbrew własnej woli zostanie wciągnięty w morderstwo. Tymczasem Luke, który w odróżnieniu od tamtego był mężczyzną silnym i zdecydowanym, przyciągnął ją do siebie niczym rybę na wędce.

O Boże, czy ona naprawdę mu ufała? Czy naprawdę myślała, że może się w nim zakochać? Jak bardzo mogła się mylić w ocenie mężczyzny? Bardziej, niż przypuszczała: pierwszy okazał się mafiosem, drugi zboczeńcem.

- Uspokój się choć na chwilę... - Luke objął ją mocno w pasie, Christy jednak nadal szarpała się jak szalona, walcząc o wolność, a być może i o życie.

- Uspokoić się?! Zaraz się uspokoję, poczekaj tylko, ty... - Odwróci-

ła się błyskawicznie w jego ramionach i zamachnęła do potężnego ciosu, który miał go trafić w nos. Luke uchylił się w ostatniej chwili, a pięść Christy przecięła tylko powietrze. Jednocześnie kopnęła go i to całkiem mocno, choć w ostatnim momencie zdążył chociaż częściowo zablokować jej kolano.

- Au! Cholera! Do diabła, Christy, uspokój się! - ryknął. Potem obrócił ją plecami do siebie, przytrzymał mocno i uniósł z podłogi. Christy kopnęła i wrzeszczała, próbowała zapierać się bosymi stopami o ściany korytarza, kiedy Luke ruszył z nią w stronę swojej sypialni.

- Sprawdź, czy któraś z dziewczyn nie wybiera się tutaj po nią - rzucił do Gary'ego, gdy dotarli do drzwi. Christy próbowała złapać się futryny, Luke jednak nie pozwolił jej na to i wniósł ją do pokoju. Zarejestrowała mimochodem, że sypialnia wygląda niemal identycznie jak jej własna, a potem ze zdwojoną siłą zaczęła krzyczeć, szarpać się i kopać.

- Zostaw mnie! - wrzasnęła mu niemal prosto do ucha, kiedy opuścił ją na łóżko.

Próbowała go kopnąć, lecz wtedy po prostu położył się na niej, chwycił ją za nadgarstki i przytrzymał jej ręce nad głową, a ciężar jego ciała przyniósł ją do materaca i skutecznie unieruchomił nogi.

- A teraz uspokój się na minutkę... - przemawiał do niej tonem człowieka cierpliwego, który został wystawiony na ciężką próbę.

- Zboczeniec! - wrzasnęła po raz kolejny Christy, wierząc, że niczym szalony mustang.

Luke, który wciąż przyciskał ją do łóżka, ledwie drgnął.

- Boże, Christy, dajże spokój...

Nabrała powietrza w płuca i spróbowała innej strategii: krzyczała mu prosto w twarz.

Luke najpierw się skrzywił, potem jedną ręką przytrzymał mocno oba jej nadgarstki, a drugą zatkał usta.

Christy, która poczuła się nagle jak zakorkowana butelka, popatrzyła na niego z niedowierzaniem. Zrozumiała, że została uwięziona. Czy Angie słyszała jej krzyki? Czy ktokolwiek je słyszał? Wątpliwe. Musiała pogodzić się z myślą, że zdana jest wyłącznie na własne siły i że ma niewielkie, jeśli jakiegokolwiek, szanse na ucieczkę.

- Na miłość boską, Luke, nie zrób jej krzywdy! - jęknął Gary od drzwi.

- Nie zrobię jej krzywdy - odparł zniesmaczony. - Oczywiście, że nie zrobię jej krzywdy. Za kogo ty mnie masz? Ale nie możemy też pozwolić, żeby biegała po plaży i darła się, że właśnie uciekła przed dwoma

psycholami. - Przeniósł spojrzenie na Christy, która patrzyła na niego z nienawiścią. - Pozwolisz mi wyjaśnić? Dasz mi szansę?

Jeśli te wyjaśnienia mogły ją przekonać, że jednak nie ma do czynienia z dwoma zbrojcami, gotowa była go wysłuchać. Skinęła głową.

- Grzeszna dziewczynka - mruknął, ostrożnie odsuwając dłoń od jej ust. - Kochanie, wiem, że nie wygląda to dobrze...

To „kochanie” było dla niej prawdziwym szokiem. Przerazona, przypomniała sobie, jakie uczucia żywiła do niego jeszcze przed chwilą, jak ją podniecał...

- O mój Boże, spałam z jakimś popieprzonym zbrojcą - jęknęła.

- Nie ze zbrojcą - wtrącił od drzwi Gary. - Z agentem FBI.

- Agentem FBI?

Luke opuścił głowę na jej ramię, tak że Christy nie widziała już jego twarzy. Ten ruch powiedział jej wszystko. Świadomość, że nie grozi jej żadne niebezpieczeństwo, powinna ją uspokoić, na razie jednak była zbyt zszokowana, by myśleć w ten sposób. Serce nadal waliło jej jak młotem, krew pulsowała, a na dodatek zaczynało jej brakować tchu.

- FBI? - powtórzyła skonsternowana.

Gary skinął posępnie głową.

- Jesteście z FBI? - Tym razem w jej głosie pojawiły się złowrogie nuty.

Luke podniósł wreszcie głowę. Spojrzał jej w oczy. Jego twarz wyrażała ból i żal.

- Tak - odrzekł cicho.

Potrzebowała jeszcze kilku sekund, by ogarnąć ohydny prawdę.

- Ty gnojku! - wydyszała.

- Agencie FBI - poprawił ją pospiesznie Gary.

Luke ponownie opuścił głowę.

- Gary, mój drogi, wracaj do monitorów, dobrze? - odezwał się przytłumionym głosem. - Jedyne, co mogłoby jeszcze pogorszyć tę sytuację, to jakiś niespodziewany gość.

Gary uśmiechnął się do niej przepraszająco. Gdyby Christy miała wolną rękę, rzuciłaby w niego jakimś ciężkim przedmiotem.

- I zamknij za sobą drzwi - dodał Luke.

Tamten skinął głową i wypełnił polecenie.

Na dźwięk zatraskiwanych drzwi Luke ponownie uniósł głowę.

Przez chwilę oboje patrzyli sobie w oczy w milczeniu.

Christy leżała pod nim sztywna jak deska i patrzyła na jego opaloną, przystojną twarz, złote włosy i błękitne oczy tak, jakby widziała je po raz pierwszy.



- Mój Boże - wyszeptala, analizując w myślach ich znajomość.  
- Więc to wszystko było jednym wielkim kłamstwem.

- Nie wszystko - próbował się bronić Luke.  
- Nie jesteś prawnikiem z Atlanty. - Było to raczej stwierdzenie niż pytanie.

- Nie - odrzekł przepaszającym tonem.  
- Nie przyjechałeś tutaj na wakacje. Ty i Gary nie dostaliście tygodniowego urlopu i tego domku w nagrodę.

Pokręcił głową.

- Nie mogę w to uwierzyć. Co wy tu robicie? - Wzięła głęboki oddech i nagle wszystko zaczęło jej się układać w jedną całość. - Szpiegujcie mnie.

Luke skrzywił się na dźwięk tego słowa.

- Nie szpiegujemy, tylko prowadzimy obserwację. Christy...

- Nie - przerwała mu ostrym tonem. - Chcę do tego dojść sama. Tego pierwszego wieczora, kiedy byłeś na moim patio... - Kątem oka dojrzała jakiś ruch i odwróciła głowę w tamtą stronę, przestraszona. Na komodzie siedział Marvin, przyglądając im się złym wzrokiem. Szybkie ruchy ogona nie świadczyły dobrze o zamiarach zwierzaka. Christy otworzyła szerzej oczy, porażona pewną myślą, i spojrzała ponownie na Luke'a. - Marvin... czy to w ogóle twój kot? Wcale nie, prawda? Okłamałeś mnie.

Luke zacisnął mocniej zęby.

- To przybłęda.

- Więc co robieś na moim patio? - Zamarlała nagle, jakby porażona jakąś straszną myślą: - Nie masz nic wspólnego z tym, co stało się z Elizabeth Smolski, prawda?

- Na Boga, Christy, chyba znasz mnie już na tyle...

Przez chwilę patrzyła na niego w milczeniu, a potem pokręciła głowę woli głową.

- Nie, wcale cię nie znam. Czy Luke Randolph to twoje prawdziwe imię i nazwisko?

Luke westchnął ciężko.

- Nazywam się Luke Rand. Jestem agentem specjalnym biura FBI w Filadelfii.

Filadelfia. Christy nie powiedziała tego głośno. Nie była w stanie. Przez moment nie mogła nawet oddychać. Jego ciało jakby nagle zrobiło się dwa razy cięższe, miała wrażenie, że zgniata jej płuca.

- Mógłbyś ze mnie zejść? - spytała cicho.

- Jasne. Jeśli będziesz się normalnie zachowywać. Musimy porozmawiać.

- Więc rozmawiamy. - Głos Christy nie brzmiał przyjaźnie, ale Luke puścił jej ręce i zsunął się z niej, choć wciąż trzymał rękę na jej brzuchu - na wszelki wypadek.

Wcale nie zamierzała jeszcze wychodzić. Chciała - musiała - dowiedzieć się najpierw, jak bardzo była naiwna.

- Filadelfia - powtórzyła w końcu cicho, kładąc ręce wzdłuż tułowia. Pod palcami czuła gładką aksamitną kapę okrywającą łożko. - Od jak dawna mnie obserwujecie?

Luke leżał obok niej, podpierając głowę ręką. Czuła ciepło jego ciała, tak dobrze jej znanego. Gdy spojrziała nań z ukosa, poczuła dojmujący, niemal fizyczny ból: to wszystko było kłamstwem...

- Wiedzieliśmy o tobie, odkąd zaczęłaś pracować w firmie DePalmy.

- O mój Boże... - Zacisnęła dłoń w pięści. - Dwa lata. Nie mogę w to uwierzyć.

Luke pokręcił głową.

- Pod obserwacją znalazłaś się dopiero tutaj, na Ocracoke. Wcześniej zajmowaliśmy się ogólną obserwacją rodziny Masseria i firmy prawniczej, a bardziej szczegółowo przyglądaliśmy się tylko Michaelowi DePalmie.

- Przyjechaliście za mną na Ocracoke. - Odkrywała prawdę po kawałku, jakby jej umysł nie mógł znieść całej naraz.

- Nie śledziliśmy ciebie. Szukaliśmy Michaela DePalmy. Myśleliśmy, że spotka się tu z tobą.

- Michael nadal jest w Filadelfii. - Ostatnie dwa słowa wypowiedziała bardzo niepewnym tonem. - Prawda?

Luke pokręcił głową.

- W zeszłym tygodniu wydano nakaz aresztowania, ale DePalma zniknął, nim zdążyliśmy go zgarnąć. Mamy dowody świadczące, że może być tutaj, na Ocracoke. Nie wiesz przypadkiem, gdzie on teraz jest?

- Nie.

Luke wzruszył ramionami.

- Pomyślałem tylko, że warto zapytać.

- O co jest oskarżony?

- Pranie brudnych pieniędzy. Wymuszanie haraczy. Oszustwa. I zlecenie zabójstwa dwóch świadków, którzy mogą wsadzić go za kratki na co najmniej dwadzieścia lat i którzy dla własnego bezpieczeństwa przebywają teraz w areszcie.

O Boże, Michael zlecał zabójstwa! Podejrzewała, że jest do tego zdolny - teraz jej podejrzenia się potwierdziły.

- Czy wiedział, że został oskarżony? - W ostatnich tygodniach nie

zauważyła u Michaela żadnych oznak zdenerwowania, niczego, co mogłoby świadczyć o jego trudnej sytuacji. Byli szczęśliwi - a przynajmniej ona była szczęśliwa. Aż Franky...

- To miało być tajne postępowanie. Najwyraźniej jednak skądś się o tym dowiedział, inaczej by nie uciekł.

Chwila ciszy.

- Wyciągałeś ode mnie informacje, prawda? Próbowalesz mnie oczarować i nakłonić do zwierzeń, tak?

Luke zacisnął mocniej zęby. Nie musiał mówić ani słowa: Christy sama domyśliła się prawdy. Otworzyła szerzej oczy, przypomniawszy sobie ich różne rozmowy.

- Tamtej nocy... pierwszej nocy... co robiłeś na moim patio? - Czuliła się tak, jakby ktoś ścisnął jej żołądek w imadle. Patrzyła na Luke'a wyczekująco.

- Zakładałem podłuch w twoim domu.

- Zakładałeś podłuch. - Wzięła głęboki oddech. Nie zdawała sobie sprawy, jak mocno zaciska pięści, dopóki ich nie rozluźniła. - Byłam wtedy zaskoczona, że usłyszałeś moje krzyki. Te domy są niemal dźwiękoszczelne. Obserwowałeś mnie przez swój system audio-video, tak?

Spojrzał na nią posepnie.

- Miałaś cholerne szczęście, że tak się stało. Uratowałem ci życie, nie pamiętasz?

- O tak, pamiętam. - Christy pamiętała przede wszystkim, że właśnie wtedy zaczęła mu ufać. Jakaż była głupia!

- Christy... - zaczął Luke.

- Poczekaj. - Podniosła rękę. - Pozwól, że najpierw ułożę sobie to wszystko w głowie, zanim znów zaczniesz mnie okłamywać. Później była latarnia. Nie poszedłeś tam po to, żeby zaprosić mnie na kolację. Obserwowałeś mnie, bo myślałeś, że spotkam się z Michaelem, tak?

- Z Michaelem albo kimś, kto mógłby nas do niego doprowadzić.

- Zaczynam wszystko rozumieć. Kiedy całowaliśmy się na moim patio, zrobiło się już ciemno, a zasłony były zaciągnięte. Wtedy nikt nie mógł nas zobaczyć w kamerze. Na zewnątrz byłeś napalony jak nastolatek. Gdy tylko weszliśmy do środka, straciłeś nagle ochotę. Ale wcale nie dlatego, że bałeś się, że chcę cię wykorzystać, prawda? Przestałeś, bo Gary widziałby wszystko na monitorze, tak?

- Wcale nie straciłem ochoty, nie opowiadam bzdur. Ledwie doszedłem do domu.

- Ale zostawiłeś mnie samą, choć prawie cię błagałam, żebyś tego nie robił.

Jego twarz wyglądała w tym momencie jak wyciosana z kamienia.

- Zostając u ciebie, postąpiłbym nieprofesjonalnie.

- Nieprofesjonalnie - powtórzyła Christy, przeciągając każdy dźwięk. Powoli zaczynała ogarniać cały ogrom zdrady, jakiej dopuścił się Luke, i czuła coraz większy gniew. - Aha.

- Musisz zrozumieć... - zaczął, marszcząc brwi. Jego dłoń przesunęła się po jej brzuchu.

- Och, rozumiem. - Christy rozumiała to tak dobrze, że zrobiło jej się gorąco. Dłonie znów same zacisnęły się w pięści. - Romansowałeś ze mną, żeby wyciągnąć ode mnie informacje. Całowałeś mnie, a myślałeś o tym, co mogę ci powiedzieć. Przeleciałeś mnie, żeby zdobyć informacje. Tam, skąd ja pochodzę, nie nazwaliby cię profesjonalistą. Nazwaliby cię dupkiem.

- Wcale nie romansowałem z tobą, nie całowałem cię i nie kochałem się z tobą po to, żeby wyciągnąć od ciebie informacje. - Zacisnął dłoń na jej biodrze i pochylił się nad nią. Jego twarz była poważna, oczy ciepłe, przeprasające i, tak, pełne pożądania. - Zrobiłem to, bo chciałem. Bo nie mogłem się powstrzymać. Bo jesteś najpiękniejszą kobietą, jaką poznałem w życiu. Bo za każdym razem, gdy jestem przy tobie, chcę się z tobą kochać.

Przez moment patrzyła mu w oczy, wstrzymując oddech. Przez moment serce biło jej mocniej. Przez moment mu wierzyła.

Ale tylko przez moment. Niefortunnie dla niego kiedyś już przechodziła przez to wszystko.

- Nie waż się więcej mówić do mnie w ten sposób! - Rozwścieczona, usiadła prosto i odepchnęła od siebie rękę Luke'a. Zaskoczony, przetończył się na plecy, a potem ześliznął z łóżka, łądując z hukiem na podłodze.

Przez mgnienie oka Christy siedziała nieruchomo, zdumiona, a potem zerwała się z łóżka i rzuciła do drzwi.

- Christy, wracaj, do jasnej cholery! - krzyknął, podnosząc się z podłogi.

- W twoich snach, dupku!

Otworzyła drzwi i wyskoczyła na korytarz. Dokładnie w tej samej chwili z trzeciej sypialni wybiegł Gary, krzycząc:

- Idzie tu! Idzie tu!

## Rozdział 28

Pomocy! - wrzasnęła Christy z całej siły, nim Luke ponownie ją złapał. Gary, który przez przypadek znalazł się w pobliżu, przytrzymał ją dość długo, by kolega zdążył do nich dobiec. Jedną ręką zatykając jej usta, a drugą obejmując dziewczynę wpół, tak by unieruchomić także jej ręce, Luke zaciągnął Christy z powrotem do swojej sypialni. Wiła się jak robak na haczyku, Luke był jednak silniejszy.

- Idzie tu jej siostra - wyjaśnił Gary, kiedy Luke pacyfikował Christy. - Co robimy?

- Zatrzymaj ją. Pogadaj z nią o pogodzie. Wymień się przepisami. Improvizuj.

- A co mam jej powiedzieć, jeśli zapyta o Christy?

- Powiedz, że nie trzeba nam przeszkadzać. Że drzemniemy.

To powiedziałwszy, przeniósł szamoczącą się dziewczynę nad progiem, zamknął ramieniem drzwi, przeszedł do łazienki i także zamknął drzwi, wcześniej zapalając łokciem światło. Potem przysunął się do umywalki i odkręcił wodę, by zagłuszyć wszelkie odgłosy, jakie mogła wydawać Christy.

Na przykład zduszone okrzyki, które wydobywały się spod dłoni przyciśniętej do jej ust.

Zrozumiałwszy, że w ten sposób niczego nie wskóra, Christy przestała się szamotać. Liczyła na to, że uda jej się oszukać Luke'a, uspić jego czujność. Zamierzała dać Angie kilka minut, bo tyle, jak sądziła, mogła jej zając rozmowa z Garym, a potem ugryźć Luke'a w rękę i zacząć wrzeszczeć.

Po chwili zorientowała się, że Luke patrzy na jej odbicie w lustrze. Jego szerokie ramiona wydawały się jeszcze potężniejsze w porównaniu

z jej szczupłym ciałem, jego włosy błyszczały w świetle żarówki niczym złote monety. Z dłonią na jej ustach, pochylony nad nią, wyglądał jak niezwykle seksowny bandyta, zmuszający swą ofiarę do uległości. Problem w tym, że ona wcale nie wyglądała na przerażoną ofiarę. Wyglądała raczej na wściekłą.

I była wściekła. Dzięki temu nie czuła bólu ukrytego tuż pod powierzchnią gniewu. Jak mogła uwierzyć w te wszystkie kłamstwa...

Ich spojrzenia spotkały się w lustrze. Christy zmrużyła oczy. Luke westchnął.

- Posłuchaj, odsłonię ci teraz usta. Jeśli zaczniesz krzyczeć, a twoja siostra cię usłyszy, będę musiał powiedzieć jej, kim jestem, i wtedy ona także zostanie wciągnięta w całą tę historię. Czy tego właśnie chcesz?

Christy wpatrywała się w jego odbicie w lustrze, zaskoczona i zszokowana tym, co właśnie powiedział. Nie wybiegała myślami tak daleko do przodu, a gdyby zrealizowała swój plan, skutki mogły być katastrofalne. Gdyby zaczęła krzyczeć, Angie przybiegłaby jej na ratunek. Wtedy, chcąc nie chcąc, wpadłaby po uszy w grzęzawisko, w którym znalazła się Christy. Nie, nie mogła do tego dopuścić za żadną cenę.

Luke musiał wyczytać to w jej oczach.

- Jest twoją siostrą. Zrobisz, co zechcesz.

Obserwując ją nadal w lustrze, Luke powoli odsunął dłoń od jej ust. Widać było, że nie jest wcale pewien, co robi Christy. Wyczuwała jego wahanie, czuła bijące od niego ciepło, słyszała przyspieszony oddech, widziała, że gotów jest w każdej chwili ponownie ją uciszyć. Trzymał ją mocno, jednak nie na tyle, by wyrządzić jej krzywdę. Christy wiedziała, że ta łagodność to tylko pozory, podobnie jak jego chłopięca uroda - nigdy w życiu nie pomyślałaby, że ten niebieskooki blondas o wyglądzie surfera jest agentem federalnym.

- Idź do diabła - powiedziała do jego odbicia w lustrze, uśmiechając się przy tym słodko.

Twarz Luke'a sposepniała.

- Jezu, Christy, wyluzuj trochę. Naprawdę jest mi przykro, słyszysz?

- Nie. I zabieraj ode mnie te łapska.

- W porządku. Chcesz się na mnie powozywać, proszę bardzo. - Puścił ją, ale potem zrobił krok do tyłu, stając pomiędzy Christy i drzwiami. Włożył ręce do kieszeni i zaczął kołysać się na piętach. - Chciałem ci tylko powiedzieć, że to, co się wydarzyło między nami, nie ma nic wspólnego z tą sprawą.

Christy ściągnęła gniewnie brwi.

- Między nami nic się nie wydarzyło. I nie wydarzy.

Luke przez chwilę patrzył na nią w milczeniu, potem westchnął.

- Czy mogłabyś mnie posłuchać choć przez minutę?

- Och, oczywiście. - Christy skrzyżowała ręce na piersiach i spojrzała na niego wyzywająco. - Powiedz mi jeszcze kilka kłamstw.

Luke zachnął się tylko, zirytowany.

- W porządku, kłamałem, przyznaję. Ale powiedz mi, co innego mogłem zrobić. Podejść do ciebie i się przedstawić? Wykluczone. Jestem agentem FBI, na miłość boską i miałem cię obserwować. I nie zapomniaj dlaczego: bo przyjechałaś tutaj na polecenie mafii.

- Chcesz powiedzieć, że to ja jestem winna temu, że mnie okłamywałeś? - Christy czuła, że znów ogarnia ją niepohamowana wściekłość.

- Do diabła, Christy, chcę powiedzieć, że wykonywałem tylko swoją pracę.

- Niesamowicie! Sam to wymyśliłeś? Ta wymówka jest tak stara i wyświechtana, że nawet już jej nie używamy w sądzie. „Wykonywałem tylko swoją pracę” nie przekonuje nikogo.

Luke westchnął ponownie.

- Posłuchaj, nie zakładałem wcześniej, że będę cię okłamywał. Właściwie w ogóle nie mieliśmy się spotkać. Gdybyś nie złapała mnie na patio, nie miałabyś pojęcia, że jesteś obserwowana. Mogłabyś się o tym dowiedzieć dopiero wtedy, gdybym cię aresztował.

Serce zamarało jej na moment. Takiej możliwości nigdy nie brała pod uwagę.

- Aresztował?

- Tak, aresztował. Gdybyśmy nie dotarli za twoim pośrednictwem do DePalmy, aresztowalibyśmy cię i oskarżyli o jakies przestępstwo. To zawsze działa. Ludzie pójdą na każdy układ, żeby tylko nie trafić do więzienia.

Te słowa jeszcze bardziej rozłościły Christy.

- Więc zamierzasz mnie aresztować, tak? Chwileczkę, teraz nie musisz już tego robić, prawda? Przespałeś się ze mną i wyciągnąłeś ode mnie wszystko, co chciałeś.

- Do diabła, Christy... - Wyciągnął ku niej ręce, lecz odskoczyła szybko na bok, unikając jego dotknięcia. Wypełniał ją coraz większy gniew, który chwilowo przynajmniej pozwolił jej zapomnieć o bólu.

- Nie dotykaj mnie. Nigdy więcej mnie nie dotykaj.

Twarz Luke'a sposepniała jeszcze bardziej.

- Postanowiłaś zrobić ze mnie czarny charakter, podłego, nikczemnego oszusta? W porządku, niech i tak będzie. Ale chcę ci tylko powie-

dzieć, że kochałem się z tobą, bo tego pragnąłem i ty tego pragnęłaś. Nie było żadnego innego powodu. Powinnaś też pamiętać, że ta moja nikczemność przysłużyła się równie dobrze nam obojgu: zdobyłem kilka cennych informacji, to prawda, ale przez większość czasu ratowałem ci tyłek.

- Och, doprawdy? - Christy zmrużyła oczy. - Czyżbym zapomniała ci podziękować? Wybacz, proszę. Chyba zapominam o dobrym wychowaniu. - Wzięła głęboki oddech. Wciąż była wściekła jak diabeł, ale woli odzyskiwała kontrolę nad emocjami. Musiała się uspokoić, by nie zdradzić się z niczym przed Angie, co nie było wcale łatwe, bo siostra znała ją tak dobrze, jak mało kto. - Skoro już tak sobie wszystko wyjaśniamy, to powiem ci tylko, że jesteś kłamliwym gnojkiem i że jeśli kiedykolwiek jeszcze spróbujesz się do mnie zbliżyć, utnę ci fiuta i wsadzę ci w gardło. - Uśmiechnęła się do niego, a raczej wyszczerzyła zęby w drapieżnym grymasie.

- No i dograłem się: aż mi łydki drżą ze strachu. - Luke uśmiechał się lekko, a Christy zdała sobie sprawę, że nie traktuje jej poważnie.

- Czy ty się ze mnie śmiejesz? - spytała złowrogim tonem.

- Ależ skąd. Nawet przez myśl by mi to nie przeszło. - Uśmiech zniknął z jego ust, ale nie z oczu. Luke podszedł do niej, ujął ją pod łokieć i przyciągnął do siebie. - Jesteś piękna, wiesz o tym? Oszalałem na twoim punkcie. Okłamywanie cię było błędem, nigdy nie powinienem był tego robić i już nigdy nie zrobię. Wybacz mi, proszę.

Wciąż patrzając jej w oczy, pochylił się lekko, jakby chciał ją pocałować. Wbrew swojej woli obserwowała zafascynowana jego oczy. Były co raz ciemniejsze, zamieniły się niemal w granatowe. Wydawały się prawie czułe...

Ta czułość - nie mówiąc już o „oszaleniu na twoim punkcie” - omal jej nie zwiodły. W porę jednak przypomniała sobie, z jaką łatwością przychodzą mu kłamstwa.

- Prędzej piekło zamarznie!

Rozwścieczona własną słabością, uderzyła go w brzuch, a kiedy zgiął się wpół, wciągając głośno powietrze, przemknęła obok niego i wybiegła z łazienki.

- Stój. Zaczekaj!

Więc jednak nie uderzyła go tak mocno, a przy tym miał brzuch twardy jak żelazo. W porządku, następnym razem włoży w to więcej serca.

- Zostaw mnie w spokoju, dupku! - rzuciła przez ramię, biegnąc do drzwi sypialni.

Pochwycił ją i odciągnął do tyłu. Sekundę później stała oparta plecami o ścianę, z rękami uwięzionymi nad głową, unieruchomiona twarzą, męskim ciałem. Jego umięśniony tułów napierał na jej piersi, udając przyciskały do ściany jej biodra, a nogi uniemożliwiały jej jakikolwiek ruch. Z irytacją poczuła, że ogarnia ją nagłe przyjemne ciepło.

- Czy wspominałem ci już, że bardzo mnie podniecaasz? - spytał, spoglądając na nią z góry, wciąż lekko uśmiechnięty.

Obrzuciła go gniewnym spojrzeniem. Fakt, że uczucie to było odwzajemnione, w tych okolicznościach wcale nie działał na jego korzyść.

- Czy wspominałam już, że jesteś w łóżku lepszy od Michaela? - odpowiedziała słodkim tonem.

Opuścił lekko powieki, co nadawało jego twarzy lekko rozmarzony, seksowny wyraz, i sprawiło, że Christy jednocześnie miała ochotę się z nim kochać i go zabić.

- Owszem, mówiłaś coś w tym rodzaju.

- Kłamałam.

- Wcale nie.

Powiedział to z taką pewnością siebie, że aż zgrzytnęła zębami ze złości. Tylko myśl, że w pobliżu może być Angie, powstrzymała ją od jakiegoś gwałtownego ruchu - na przykład kolanem w górę. Uznała jednak, że w tych okolicznościach powinna zachować spokój. Inaczej, nie Luke, lecz jej siostra ucierpiałaby najbardziej. Nie mogła pozwolić, by Angie została w to wplątana.

Luke przyglądał jej się z nieodgadniętym wyrazem twarzy. Odpowiedziała mu ostrym spojrzeniem.

- Nie jesteś jeszcze gotowa mi wybaczyć? - spytał z westchnieniem.

- Uwierz mi, w tym zdaniu nie ma miejsca na „jeszcze”.

- Świetnie. Wściekaj się. I tak będę szalał na twoim punkcie, kiedy to wszystko się skończy.

- Możesz darować sobie te bzdury. Na mnie już nie działają.

- Mówię prawdę.

- Aha. Puścisz mnie?

- A nie rzucisz się na moje klejnoty z nożem? - Na jego ustach wciąż błąkał się irytujący uśmiech, w kącikach oczu pojawiły się drobne, sekowne zmarszczki.

- Nie mam noża. - Niestety.

- Więc przynajmniej na razie jestem bezpieczny.

Odsunął się i stanął pomiędzy nią a drzwiami. Skrzyżował ręce na piersiach i oparł się o białą futrynę.

Jakby chciał powiedzieć „nigdzie nie pójdziesz”.

- Czy mógłbyś się odsunąć od drzwi? - Nie chcąc rozpocząć kolejnej awantury, starała się przemawiać spokojnym tonem.

- Za momentik. Teraz, kiedy gra tak radykalnie się zmienia, chciałabym uzgodnić z tobą kilka zasad. Po pierwsze, cały czas jesteś obok mnie.

- O tak, oczywiście. Wypuścisz mnie czy nie?

Luke zacisnął mocniej zęby.

- Kochanie, przykro mi to mówić, ale ta sprawa nie podlega dyskusji: od tej pory będziesz robić wszystko, co ci każę.

Jej rozsałek i troska o siostrę zostały wystawione na ciężką próbę.

- Aha i co jeszcze?

Luke przyglądał jej się przez chwilę w milczeniu.

- Jeśli nie zechcesz ze mną współpracować, mogę to załatwić na dwa sposoby - odezwał się wreszcie. - Albo przydzielę ci ochronę, albo cię aresztuję.

Zauważyła w jego oczach coś, czego nigdy dotąd tam nie widziała. Były twarde, zdeteminowane, bezwzględne. Dopiero teraz zrozumiała, jak wygląda cała prawda o Luke'u: przede wszystkim był policjantem gotowym za wszelką cenę wykonać swoje zadanie. A ona była częścią tego zadania.

- Nie. Och, nie.

Christy zmartwiła, uświadomiwszy sobie, jakie konsekwencje może mieć jej znajomość z Lukiem. Wuj Vince dał jej jasno do zrozumienia: karą za kontakty z policją jest śmierć. Oczywiście w tym wypadku FBI przyszło do niej, a nie na odwrót, nie przypuszczała jednak, by dla mafii miało to jakies znaczenie. Starając się ukryć narastający strach, spytała ostro:

- Nie zdajesz sobie sprawy z tego, co zrobies? Jeśli dowiedzą się, kim jesteś, jeśli tylko zaczyna podejrzewać, że współpracuję z FBI, zabią mnie.

Luke spojrzął na nią chłodno.

- Nie wiem, czy pamiętasz, ale zdaje się, że już od kilku dni ktoś próbuje cię zabić.

- To wcale nie musi być mafia. Może to rzeczywiście ten seryjny zabójca, o którym piszą w gazetach.

- Naprawdę tak myślisz?

Christy westchnęła głęboko.

- Nie wiem. O Boże, nie wiem.

- Ja też nie wiem, ale robię wszystko, co mogę, by się dowiedzieć.

A na razie dopóki cię stąd nie zabiorę, nie będziesz opuszczać mnie ani na krok.

- Dopóki mnie stąd nie zabierzesz? Co chcesz przez to powiedzieć? Nie mogę wyjechać. Ach, no tak, przecież ty nie wiesz, o tym ci nie powiedziałam. Wuj Vince przysłał mnie tu, żebym dostarczyła walizkę do hotelu Crosswinds. Nie wiem, co w niej było, ale właśnie dlatego znalazłam się na plaży pierwszego dnia. Umowa wyglądała tak, że ja dostarczam walizkę, a w zamian oni dają mi spokój. Potem był telefon w łazience morskiej; dzwonił ten sam facet, który kazał mi dostarczyć walizkę. Powiedział, że wkrótce dostanę następną przesyłkę i że mam na nią czekać. Pewnie też będę musiała ją gdzieś zanieść. Nie mogę wyjechać, dopóki tego nie zrobię.

- Hej, obserwowaliśmy cię, zapomniałaś już? Znam twój każdy ruch, odkąd tu przyjechałaś. I słyszałem każdą rozmowę telefoniczną, którą przeprowadziłaś. Wiem, co się tu dzieje. I do diabła z tym. Choć chętnie wykorzystalbym cię jako przynętę na DePalme, ale zrobiło się wokół ciebie zbyt niebezpiecznie. Nie będziemy czekać bezczynnie, aż ktoś znów spróbuje cię zabić. Załatwię ci specjalną ochronę, co nie powinno potrwać dłużej niż kilka godzin, a potem stąd wyjedziesz.

- Luke - Christy wzięła głęboki oddech - mówiłam ci już wcześniej, musisz spojrzeć na całą sprawę realnie. Jeśli mafia wydała na mnie wyrok, będą mnie ścigać do upadłego, bez względu na to, ile miałoby to trwać. Wyrosłam wśród tych ludzi i wiem, jak działają. FBI nie może chronić mnie bez końca. Ty też nie możesz mnie chronić bez końca.

To była prawda, i o tym Luke wiedział, widziała to w jego oczach.

- Jeśli to rzeczywiście oni i jeśli wykonam dla nich to jedno, ostatnie zadanie, to być może naprawdę zostawią mnie i moją rodzinę w spokoju.

Luke wzruszył ramionami.

- Biorąc pod uwagę to, co o nich wiesz, wątpię.

Christy spojrzała na niego, przypomniała sobie Franky'ego i stawiała czoło okrutnej prawdzie.

- Tak - odparła, krzywiąc się. - Masz rację. Teraz ja muszę spojrzeć na całą sprawę realnie.

- Mogę cię wciągnąć do federalnego programu ochrony świadków - powiedział Luke z posępną miną. - Całkiem nowa tożsamość, nowe życie.

Nie chciała nowej tożsamości. Nie chciała nowego życia.

- A co z mamą? I Angie? Co z Nicole i dziećmiakami? Czy ich też możesz wciągnąć do federalnego programu ochrony świadków?

Jego mina nie pozostawiała żadnych wątpliwości: nie.

- Tak też myślałam.

Choć właściwie i tak nie miało to większego znaczenia. Każdy z jej bliskich miał swoje życie: przyjaciół, pracę, szkołę, różne dodatkowe za-

jęcia. Wielka, rozległa rodzina, spleciona ze sobą na różne sposoby, nieraz skłócona, a mimo to tworząca oddany sobie klan, bez którego nie mogłoby żyć. Serce Christy krwawiło na samą myśl o tym, że musiałaby na zawsze zostawić ten świat; Angie, Nicole i jej matka nie zrobiłyby tego za żadne skarby.

Tyle że ten problem istniał tylko teoretycznie: nawet gdyby ona dokonała takiego wyboru, jej matka i siostry nie mogłyby pójść w jej ślady.

Szkoda czasu.

- W porządku - mruknęła, rozmyślając głośno. - Jeśli facet, który próbuje mnie zabić, to człowiek mafii, schwytnie go niczego nie zmieni. Będą próbować dalej. Nigdy nie będę bezpieczna. Pozostają mi więc dwie możliwości: porzucam moją rodzinę i wszystko, co kocham, by przez resztę życia umierać ze strachu, albo zostaję tutaj i walczę. Jeśli złapiesz Michaela i postawicie mu zarzuty, za które może trafić do więzienia na kilkadziesiąt lat, powie wam wszystko, co wie. Pociągnie ze sobą całą rodzinę Masseria i nie wyjdzie na wolność wcześniej niż za dwadzieścia lat.

- Tak. - Wyrzucił twarz Luke'a był nieodgadniony. Christy nie miała pojęcia, jakie myśli kłębiły się w jego głowie. - Ja też tak myślę.

Objęła się rękami, przejęta nagłym chłodem.

- Jeśli rodzina Masseria wpadnie w poważne tarapaty, stanę się wolna. Nie będą mieli czasu ani ochoty zajmować się takimi plotkami jak ja.

- Christy... - Luke wiedział już, co postanowiła. Słyszała to w jego głosie.

Serce waliło jej jak szalone. Zaszło jej w ustach. Musiała zwilżyć wargi językiem, nim mogła mówić dalej.

- Zamierzałeś wykorzystać mnie, aby aresztować Michaela. Nie widzę powodu, dla którego miałbyś to zmieniać. Poczekamy na przesyłkę i telefon, a potem zaniosę ją tam, gdzie będzie trzeba. Wtedy ty zajmiesz się Michael'em.

- Nie. Nie będzie w tym żadnego „my”. Będę tylko ja, agent federalny. I ty, świadek otoczony ochroną, który wkrótce zostanie zabrany w bezpieczne miejsce.

- Nie możesz zabrać mnie w bezpieczne miejsce, dobrze o tym wiesz. Poza tym to twój plan. Ty go wymyśliłeś. Jedyna różnica polega na tym, że teraz ja też go znam.

- Tak, ale odkąd wymyśliłem ten plan, sporo się zmieniło.

- Co się zmieniło? - spytała wyzywająco.

Luke zmarszczył brwi i spojrział jej prosto w oczy.



- Ja się zmienilem. Ty się zmieniłaś.

-Jak?

- Chcesz wiedzieć jak? - Zacisnął usta. - Tak.

Odsunął się nagle od drzwi i niemal rzucił na nią. Nim zdążyła uczytnić choćby najmniejszy ruch, trzymał ją w ramionach i całował, mocno, namiętnie.

Przez chwilę Christy się nie opierała. Zaskoczona, wtuliła się w niego, oszołomiona żarem jego ust, ich łączywością, własną reakcją. Zamknęła oczy i odpowiedziała mu równie namiętnym pocałunkiem.

Potem przypomniała sobie, że to kolejny mężczyzna, którego tak naprawdę wcale nie знаła. Luke Randolph, niosący jej otuchę w trudnych chwilach, mężczyzna, w którego ramionach czuła się bezpiecznie, który rozpałał ją tak bardzo, że aż się tego wstydziła, nie istniał. Ten tutaj to Luke Rand, agent FBI.

Nie chciała znowu zakochać się w iluzji. Poszła już raz tą drogą. I nie chciała tego powtórzyć.

Odchyliła głowę do tyłu, wyslizgując się z jego objęć. Ogarnięty pożądaniem, patrzył, jak odsuwa się od niego.

- Właśnie tak - powiedział cicho.

Christy odetchnęła głęboko. Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu. Jej głupie rozpalone ciało pragnęło do niego wrócić. Jej głupie wygłodniałe serce chciało jeszcze raz dać szansę miłości.

Na szczęście miała chłodny i rozsądny umysł, który tylko czasami dawał się zwieść, a teraz miał dość siły, by powiedzieć: nie.

- Christy... - Luke ponownie wyciągnął ku niej rękę.

- Nie - rzuciła ostro, cofając się o krok. - Luke Randolph, miły prawnik, z którym się przespałam, nie istnieje. Ciebie nie znam. Pomogę ci złapać Michaela, bo chcę żyć. I na tym kończy się nasza znajomość.

## Rozdział 29

Nim jakieś dziesięć minut później Luke i Christy wyszli z sypialni, doszli już do porozumienia. Dopóki sytuacja wyglądała w miarę bezpiecznie, Christy miała zachowywać się tak, jak dotychczas, z jedną tylko różnicą: Luke nie zamierzał odstępować jej ani na krok. Wziąwszy pod uwagę drugie rozwiązanie - spotkanie twarzą w twarz z psychopatycznym zabójcą - Christy przystała na to bez większych oporów. Zakładała jednakże, że ich znajomość nie wyjdzie poza relacje ściśle służbowe. Luke zastrzegł sobie przy tym - co wcale jej się nie podobało - że w każdej chwili może wycofać ją z akcji; ona z kolei zastrzegła sobie - co zupełnie nie podobało się Luke'owi - że nie będą nawet rozmawiać o seksie. W końcu jednak doszli do porozumienia. Christy zakładała, że być może później uda się przekonać go do zmiany tych warunków; przypuszczała też, że Luke poczynił takie samo założenie w sprawie jej warunków.

Przed jej piekło zamarznie...

Gdy Christy wyszła na korytarz, zauważyła, że wieko puszki Pandorę - czyli drzwi trzeciej sypialni - jest szczelnie zamknięte i że nie dochodzi stamtąd żaden dźwięk. Angie, wciąż ubrana tylko w bikini, siedziała przy stole z Garym i jadła babeczkę z jagodami. Oboje popijali kawę i gawędzili przyjaźnie.

- Cześć.

Przywitała Christy szerokim, znaczącym uśmiechem, dając w ten sposób do zrozumienia, że dobrze wie, czym jej siostra zajmowała się przez ostatnie pół godziny. Gary rzucił jej nerwowe spojrzenie. Christy w ostatniej chwili powstrzymała się przed jakimś złośliwym komentarzem. W kwestii uczciwości wcale nie był lepszy od Luke'a: także ją okłamywał i brał udział w konspiracji.

Choć, oczywiście, Gary jej nie uwodził, co dawało mu pewne szanse na częściowe chociaż rozgrzeszenie.

- Cześć - odrzekła Christy, czując się dziwnie zakłopotana, szczególnie gdy Angie przeniosła spojrzenie na Luke'a, który wszedł także do kuchni. Rzeczywiście, oboje wyglądali tak, jakby dopiero co wyszli z łóżka. I jakby byli bardzo zmęczeni. Cóż, ona rzeczywiście była zmęczona. Luke także. Oczywiście miał przekrwione, a małeńkie zmarszczki wokół nich wydawały się bardziej widoczne niż zazwyczaj.

Rzeczywiście wyglądali tak, jakby skończyli właśnie długą i męczącą drzemkę.

Christy zacerwieniła się na tę myśl.

- Kawy - wymamrotał Luke i przeszedł chwiejnym krokiem przez kuchnię.

- Co ty tu robisz? - spytała Christy, przyciągając krzesło i opadając na nie bezwładnie.

- No wiesz, po tych historiach o seryjnym zabójcy zrobiłam się trochę niespokojna, więc kiedy nie wracałaś tak długo, zaczęłam się martwić. - Bezcelny uśmiech Angie mówił sam za siebie.

Nagle dał się słyszeć jakiś łomot, a potem krzyk Luke'a.

- Co to... Dlaczego na podłodze jest miska z mlekiem? Co... Dlaczego w tym mleku jest moja kanapka?

- Kiedy Angie przyszła, Marvin miał właśnie jeden z tych swoich napadów złości, bo skończyła nam się kocia karma - wyjaśnił Gary. - Zapropnowała mleko, a potem włożyła do niego swoją kanapkę, bo ja chciałem ją już wyrzucić. Marvin właśnie ją jadł, kiedy tu weszliśmy. - Gary przeniósł spojrzenie na Angie. - Luke powinien być go zostawić w hotelu dla zwierząt. Ten biedak zrobił się bardzo nerwowy, odkąd tu przyjechalśmy.

Christy musiała niemal przygryźć wargę, by nie krzyknąć: „Bzdura!”. Wyglądało na to, że agenci FBI mieli specjalne zajęcia, podczas których uczyli się łącać w żywe oczy.

- Dokąd on poszedł? - spytał Luke, nalewając sobie kawę do filiżanki.

- Pewnie do twojego pokoju. Wiesz, jak lubi swoją sypialnię - odparł Gary.

- To takie słodkie, że masz kota. Większość mężczyzn woli psy. - Angie uśmiechnęła się do Luke'a.

Christy dobrze знаła swą siostrę. Gdyby nie fakt, że Angie chciała być wobec niej lojalna, dołożyłaby do tego komentarza uwodzicielskie trzepotanie rzęsami i wypinanie biustu. Ze względu na siostrzaną miłość poprzestała tylko na wyprostowaniu ramion.

Kiedy jednak kobieta ma na sobie bikini, które wygląda jak trzy chipsy nawleczone na sznurek, nawet taki ruch przyciąga uwagę każdego mężczyzny.

- Tak, to cały Luke. To naprawdę słodki chłopak - powiedziała Christy, zerkając na niego, by przekonać się, czy patrzył na Angie. Luke pochwylił jej spojrzenie i uśmiechnął się złośliwie.

- Chcesz śmietankę i cukier do kawy? - spytał.

Tak właściwie Christy lubiła cukier i śmietankę z odrobiną kawy, ale nie zamierzała mu o tym mówić.

-Jedną łyżeczkę cukru.

Teraz to Angie spojrzała na nią z ukosa. Oczywiście wiedziała, jaką kawę pije jej siostra.

- A może coś zjesz? Chcesz kanapkę z wędliną? - spytał ponownie Luke.

- Weź sobie babeczkę - zaproponował nieśmiało Gary.

- Tak, są naprawdę świetne. - Angie uśmiechnęła się szeroko do Gary'ego. - Wiecie co, chłopaki? Jesteście naprawdę bombowi. Jak dobrane małżeństwo. Jeden ma kota, a drugi świetnie gotuje.

- Zjem babeczkę - zdecydowała Christy, a potem podziękowała Luke'owi, kiedy ten postawił przed nią filiżankę kawy i talerzyk z babeczką. Sam, z kubkiem w dłoni i jakąś kanapką w ustach, usiadł naprzeciwko.

- Aha, Christy... jeszcze jedno... - odezwała się Angie między kolejnymi kęsami. - Dzwonił do ciebie jakiś zastępca szeryfa. Powiedział, że znaleźli twoją torebkę.

Christy omal się nie zakrzuszyła.

- Co?

- Znaleźli twoją torebkę. Powiedział, że przyniesie ją koto czwartej. Zgodziłam się oczywiście. - Oczy Angie rozblęły jaśniej. - Sądząc po głosie, jest całkiem niezły.

Christy spojrzała na zegar wiszący na ścianie kuchni. Dochodziła już trzecia trzydzieści.

- Mówił, jak się nazywa? - spytał Luke. Zjadł kanapkę, rozsiadł się wygodnie na fotelu i niespiesznie popijał kawę.

- Nie pamiętam, ale wspominał, że będzie przechodził tędy w drodze do swojej ciotki, więc przy okazji wpadnie.

Gordie Castellano. Christy z trudem przełknęła ślinę. Spojrzała na Luke'a, który wpatrywał się ze zmarszczonymi brwiami w swoją kawę. Potem podniósł wzrok, a ich spojrzenia na moment się spotkały.

- O co chodzi z tą torebką? - spytała Angie, spoglądając na Christy.

- Pamiętasz, jak opowiadałam ci, że ten seryjny zabójca zaatakował mnie, a potem wrzucił do bagażnika? Moja torebka była w samochodzie.

- O mój Boże! - Angie przeniosła spojrzenie na Luke'a. - Pamiętam, oczywiście. Tak się cieszę, że tam byłeś. Uratowałeś Christy życie.

Luke wypił kolejny łyk kawy.

- Tak - odparł lekko cierpkim tonem. - Ja też się cieszę. - Spojrzała na Christy. - Wiesz, skoro już opowiadasz wszystkim tę historię, wolałabym, żebyś nie wspominała o mnie. Wstyd mi, że dałam się jakiemuś dupkowi ogłuszyć i wsadzić do bagażnika.

Angie otworzyła szeroko oczy.

- Ależ wcale nie powinieneś się tego wstydić. To mogło się przydarzyć każdemu. Powinieneś być raczej dumny i chwalić się tym na wszystkie strony.

- Hm, może... - mruknął Luke i spojrzał na Christy znad swego kubka.

- Zgoda. - Christy wzruszyła ramionami, a potem zwróciła się do Angie: - Wiesz, to jakieś męskie urojenia.

- Dzięki. - Skinął głową Luke. Angie spojrzała na Christy.

- A co na to wszystko gliniarze? Naprawdę myślą, że poluje na ciebie jakiś seryjny morderca?

- Tak naprawdę, to nie rozmawiałam jeszcze z szeryfem - odparła Christy. Dopadło ją nagle ogromne zniechęcenie, nie miała nawet siły, by myśleć o tym, co wydarzyło się poprzedniego wieczora. - Przynajmniej nie będę musiała nigdzie chodzić. Opowiem o wszystkim zastępcy, a on już zajmie się całą resztą. Potem powinienam chyba zawiadomić firmę ubezpieczeniową o tym, co się stało z samochoodem.

Z korytarza wyszedł nagle Marvin. Luke i Gary wbili weń wzrok i czekali w napięciu na rozwój wydarzeń, kiedy kocur przeszedł spokojnie przez kuchnię. Potem spojrzeli po sobie.

- Ciągle nie mamy żwirku - powiedział Gary.

Luke zesztywniał.

- Może powinniśmy go wypuścić na patio.

- Nie - zaprotestowały Angie i Christy jednym głosem. Kobiety rodziny Petrino różniły się od siebie pod wieloma względami, ale wszystkie uwielbiały koty.

- Jeśli nie chce wam się jechać do sklepu, możecie po prostu przynieść mu trochę piasku - zaproponowała Angie. - Albo podrzeć gazetę na kawałki i wrzucić ją do kuwety.

- Czy do jakiegoś innego pojemnika - dodała cierpko Christy.

Luke i Gary znów spojrzeli po sobie.

- Ja tego nie zrobię - oświadczył Luke stanowczo.

Gary zacisnął usta, potem jednak wstał i wyszedł z kuchni, by zająć się przygotowaniem kociej kuwety.

Dopiwszy kawę, Christy zmusiła się do wstania z krzesła. Zrozumiała, że niepotrzebnie w ogóle z nimi usiadła. Była tak zmęczona, że kręciło jej się w głowie, a nogi niemal uginały się pod nią.

- Nie wyglądasz najlepiej - zauważyła Angie.

Dzięki, siostrzyczko!

- Powinnyśmy chyba wracać do naszego domku. Nie możemy przecież szeryfowi czekać.

Angie i Luke podnieśli się z miejsc, choć Angie zrobiła to zdecydowanie bardziej energicznie.

- Gary, idę do Christy. Zajmij się domem! - zawołał Luke w stronę sypialni, kiedy ruszyli do wyjścia.

- I nie wypuszczaj Marvina - dodała Christy, spoglądając na niego znacząco.

- Tak - zgodził się bez entuzjazmu. - Nie wypuszczaj Marvina.

Byli już prawie przy domu Christy, kiedy Angie, która przez całą drogę paplała coś do na wpół przytomnej siostry, odwróciła się do Luke'a.

- Będziesz tu jeszcze w niedzielę? - spytała, podnosząc nieco głos, by przekrzyczeć szum fal i nawoływania robawionych płazowiczów. - Bo jeśli tak, to urządzimy Christy małe przyjęcie urodzinowe. Oczywiście nie powiem ci, ile lat skończy - dodała, spoglądając na nią z rozbawieniem.

- Dwadzieścia osiem - mruknęła Christy.

Luke wyszczerzył do niej zęby w uśmiechu.

- Aha, jeszcze jedno. - Angie ponownie zerknęła w stronę siostry. - Kiedy wuj Vince dowiedział się, że tu jadę, dał mi prezent urodzinowy dla ciebie. Nie wiem, co to, ale zapakował go w wielkie, ciężkie pudło. Powiedział, że nie wolno ci go otworzyć aż do niedzieli.

Przy pierwszej nadarzającej się okazji Luke wrócił do swojego domu z prezentem Christy w ramionach. Nie miał prawie żadnych wątpliwości, że to właśnie jest przesyłka, której miała oczekiwać. Amori albo sam zaaranżował wyjazd Angie, albo wykorzystał troskę matki o Christy i przekazał tym samym paczkę w sposób, który nie budził żadnych podejrzeń. To, że kazał ją otworzyć dopiero w niedzielę, świadczyło o czymś jeszcze: jeśli coś miało się wydarzyć, to z pewnością miało się wydarzyć przed tym dniem.

- Dobrze się skończyło, co? - przywitał go Gary ciepłym tonem, kiedy Luke wszedł do domu. Gary siedział w centrali dowodzenia, przy otwartych drzwiach. Luke nie mógł patrzeć na te drzwi, nie krzywiąc się ze złości i żalu.

-Tak.

Tak dobrze, że najchętniej wyłby z rozpaczy. Oszalał na punkcie dziewczyny, która teraz z pewnością nie miała już dla niego żadnych cieplejszych uczuć; zastanawiał się bez ustanku, czy powinien narazić ją na niebezpieczeństwo; inne wyjście - czyli objęcie Christy programem ochrony świadków - oznaczało, że na zawsze straciłby ją z oczu, a ta myśl była zbyt przysięgnąjąca, by w ogóle brać ją pod uwagę.

- Bardzo się wściekla? - spytał Gary.

Luke ostrożnie odstawił pudło na stół. Nie wydawało mu się to zbyt prawdopodobne, nie mógł jednak wykluczyć możliwości, że paczka zawierała bombę.

- Nie była zadowolona. Ale zgodziła się z nami współpracować. Po-  
może nam przyskrzynić Donniego juniora.

- O mało nie zemdlełem, kiedy zobaczyła te monitory.

- Może powinienes jednak zamykać te drzwi.

- Wiedziałem, że tu idziesz. Wiedziałem, jak wymykałeś się z garażu z jakimś pakunkiem w rękach. Dopiero teraz otworzyłem drzwi, żeby spytać, co to jest.

Luke przyglądał się paczce ze wszystkich stron.

- Amori przysłał to przez Angie. Dla Christy. Rzekomo jej prezent urodzinowy. Christy ma w niedzielę urodziny.

- Cholera! - syknął Gary i wstał.

Luke spojrzął na niego groźnie.

- Spokojnie, spokojnie. Masz obserwować monitory, pamiętasz? Co się dzieje u Christy?

- Siedzi z Angie, obie rozmawiają z Gordiem Castellano. Wyjął notes, żeby spisać zeznania Christy. - Gary wychylał się zza drzwi, obserwując poczynania kolegi.

- A gdzie bliźniaczki Barbie?

Gary zerknął na monitory.

- W kuchni, podstuchują.

- W porządku. Miej na wszystko oko. - Christy była bezpieczna przez ten krótki czas, który zamierzał poświęcić na zbadanie paczki. - Gdzie aparat?

- W kredensie, przy sztućcach.

Luke wyjął aparat i zrobił kilka zdjęć paczki. To była najłatwiejsza część zadania. Teraz musiał stworzyć pudło tak, by nie poszarpać zbyt-  
nio opakowania i po zbadaniu zawartości przywrócić prezentowi pierwotny wygląd.

Stłumione miauknięcie przypomniało mu o jeszcze jednym problemie, z którym musiał uporać się w najbliższym czasie.

- Gdzie ten cholerny kot? - Pakowanie prezentów nie było jego najmocniejszą stroną. Nie przypuszczał też, by rozpakowanie okazało się łatwiejsze. Wkrótce przekonał się, że zdejmowanie przeróżnych wstążek i ozdóbek, tak by nie uszkodzić żadnej z nich, przekracza jego możliwości.

- Zamknąłem go w twojej łazience. Z talerzem pełnym kawałków wędliny, miską wody i pudełkami z pociętymi gazetami. Nie rozumiem, dlaczego nie możemy go wypuścić z domu.

- Bo Christy powiedziała, żeby tego nie robić. Bo znowu polezie na jej patio, a to ją wkurzy, a i bez tego jest na mnie cholernie wkurzona.

- Mówiłem, żebyś powiedział jej o wszystkim wcześniej. - Gary z politowaniem przyglądał się wysiłkom kolegi.

- Wiesz co, teraz to i ja mogę się wymądrzać.

- Bez urazy, stary, ale nie masz do tego talentu. Może popatrzysz chwilę na monitory i pozwolisz mi się tym zająć?

- Tak. Dobra myśl. - Luke skinął głową i zamienił się z Garym miejscami. Ten, zamiast próbować rozwiązywać wstążkę, z którą Luke męczył się od pięciu minut, po prostu zsunął ją z pudła wraz z przymocowanymi do niej ozdóbkami. Luke był pod wrażeniem.

- Dobra robota - powiedział, gdy Gary wsunął ostrze noża pod papier i jakimś magicznym sposobem, którego Luke nie umiałby odtworzyć, nawet gdyby żył sto lat, wyciągnął pudełko z papieru tak, iż ten pozostał właściwie nienaruszony. Było srebrne, błyszczące i bez wątpienia pochodziło z jakiegoś ekskluzywnego sklepu.

- Mam wprawę. Otwierałem prezenty gwiazdkowe, kiedy mama była w pracy, a potem pakowałem je z powrotem. Nigdy się nie zorientowałem. Chcesz to otworzyć?

Luke zerknął na monitor. Christy wciąż rozmawiała z zastępcą szeryfa. W obecności trzech dziewczyn i pod strażą ukrytych wokół domu czujników, które wysyłały sygnał za każdym razem, gdy ktoś wszedł na teren posesji lub go opuścił, powinna być bezpieczna.

- Tak. - Znow zamienili się z Garym miejscami.

Krzywiąc się lekko - wciąż nie mógł wykluczyć, że w paczce ukryta jest bomba - Luke uniósł pokrywkę pudełka. Mnóstwo bibułki. Rozchy-

liwszy ją ostrożnie, dostrzegł różowe atlasowe pudełko. Podniósł je, zaskoczony. Etni na biżuterię: mnóstwo atlasu i koronek. Nie tego się spodziewał.

- Otwórz to - rzucił Gary, a Luke posłusznie uniósł wieczko. Rozległa się melodia wygrywana przez pozytywkę, a przed lusterkiem ukrytym w wieczku zakreśliła się miniaturowa baletniczka.

Wzrok Luke'a przyciągnęła mała torebka z niebieskiego atlasu ułożona przed figurką. Podniósł ją ostrożnie - była pełna, ale niezbyt ciężka - i rozchylił.

Serce zabiło mu mocniej, gdy ujrzał, co jest w środku.

- No i co? - dopytywał się Gary, najwyraźniej zaintrygowany jego miną.

Luke wysypał zawartość torebki na dłoń.

- Diamenty - odparł, podnosząc wzrok na Luke'a. - Warte pewnie ponad milion dolarów. Na tyle małe, że można je przenieść w kieszeni, a przy tym niewidoczne dla wykrywaczy metali na lotnisku. Bingo: Donnie junior ukrywa się gdzieś tutaj, te diamenty są dla niego, bo pewnie zamierza wyjechać z kraju.

Nim paczka przybrała ponownie swą pierwotną postać, w torebce znalazło się miniaturowe urządzenie nadawcze.

Stracili z oczu poprzednią pozytywkę. Tym razem stawka była większa. Luke nie mógł pozwolić, by kolejna szansa wymknęła im się z rąk.

Angie i Christy siedziały na patio, obserwując wieczorne niebo, które mieniło się różnymi odcieniami lawendy i fioletu. Trawy kołysały się na wietrze; fale biły o brzeg nierównymi, białymi liniami. Maxine i Amber wybrały się na plażę w towarzystwie Gary'ego, który pełnił funkcję ich ochroniarza. Robiło się już chłodno, więc dziewczyny podniosły ręczniki, wytrzepały je z piasku i ruszyły w stronę domu. Gary nie odstępował ich ani na krok. Luke siedział w salonie i oglądał jakąś relację sportową w telewizji. Przez szklane drzwi na patio widział dobrze Christy i Angie. Choć ta świadomość mocno ją irytowała, Christy musiała przyznać, że cieszy się z jego obecności.

Wraz z nadejściem nocy nawet zmęczenie nie było w stanie ukoić jej rozedrganych nerwów. Rozmowa z Castellano nie podziałała na nią dobrze, tak jak i widok jej torebki w jego ręce. Twierdził, że znalazł ją przy przystani promowej jakiś turysta i zaniósł na posterunek. Christy nie miała żadnego powodu - prócz głosu szóstego zmysłu - by mu nie wierzyć. Jak jednak zauważył Luke, gdy zwierzyła mu się ze swych obaw, czy gdyby to właśnie Castellano próbował ją zabić, byłby tak bezczelny,

by nie rzec głupi, aby zwrócić jej torebkę? Nie wiedziała. Była zbyt zmęczona i roztrzęsiona, żeby się nad tym zastanawiać. Potem Luke powiedział jej o diamentach, a świadomość, że w końcu dostała wyczekiwaną przesyłkę, obudziła w Christy jeszcze większy niepokój. W każdej chwili, nawet teraz, mogła otrzymać wiadomość, której tak bardzo się obawiała. Nic dziwnego, że gdy nad plażą zapadł mrok, ogarnął ją ogromny strach. Nie mogła przed nim uciec, nie mogła w żaden sposób się od niego uwolnić. Mogła jedynie się modlić, by jak najszybciej nadszedł świt.

- Więc Luke będzie tutaj spał, tak? - spytała Angie przyciszonym głosem.

- Czemu chcesz to wiedzieć? - odpowiedziała pytaniem Christy, spoglądając wyzywająco na siostrę. Angie wyciągnęła się na leżaku, z którego nie wstała, odkąd zjadły kolację. Christy siedziała na twardym plastikowym krześle. Obawiała się, że jeśli będzie jej zbyt wygodnie, natychmiast zaśnie.

- Te historie o seryjnym zabójcy mnie przerażają. Dobrze, kiedy w domu jest jakiś mężczyzna.

- W porządku, możesz się uspokoić. Luke będzie tu spał. - Tyle że nie w jej łóżku, choć o tym oczywiście nie mogła powiedzieć siostrze.

- Dosyć szybko wam poszło, co?

- A co, nie lubisz go? - Christy zerknęła na nią z ukosa.

- Lubię. Czemu miałabym nie lubić? Jest przystojny jak diabeł, jest miły, ma kota. Musi być niesamowity w łóżku.

- Więc w czym problem?

- W niczym. Po prostu trudno mi uwierzyć, że zesłał się z nim tak szybko, zaraz po rozstaniu z Michael'em. To do ciebie niepodobne.

- Cóż, sytuacja była wyjątkowa. A poza tym, jak powiedziałas, jest niesamowity w łóżku.

- Miła odmiana, co? - Angie uśmiechnęła się do niej porozumiewawczo. Christy postanowiła szybko zmienić temat.

- Jak tam mama?

- W porządku. Spędza dużo czasu z Nicole. Ten gnojek Franky już od sześciu miesięcy zalega z alimentami, a nikt nie wie, gdzie się podział.

Zimny dreszcz przebiegł Christy po plecach. Ona wiedziała, gdzie jest Franky. A przynajmniej wiedziała, co się z nim stało. Gdyby jednak powiedziała o tym swojej rodzinie, naraziłaby ją na niebezpieczeństwo. Prawda o Frankym musi poczekać na odpowiednią chwilę.

- Franky to dupek - powiedziała. Było jej przykro - trochę - że zginął, ale jego śmierć nie mogła przestonić prawdy.

- Owszem.

W tej kwestii Angie i Christy całkowicie się ze sobą zgadzały.

- Wicie co, przez tego cholernego zabójcę w ogóle nie można cieszyć się plażą - odezwała się Amber, wchodząc wraz z Maxine i Garym do domu.

- Ani chłopakami - przyłączyła się Maxine. - Nie mogę nawet pa-trzeć na tych przystojnych, bo zaraz myślę, że może to któryś z nich.

- Oczywiście prócz Gary'ego. - Amber zwichrzyła mu włosy. Otworzył szeroko oczy, przerażony, Christy nie mogła się nie uśmiechnąć: wyglądał jak jeleń, który usłyszał w oddali huk strzałów.

- Bardzo chętnie będę was tu gościła, ale na waszym miejscu wracałabym do domu. Seryjny zabójca to ktoś, kogo lepiej nie spotkać. - Christy wstała i wyglądziła spodnie.

- Postanowiliśmy, że nie będziemy się zadawać z miejscowymi chłopa-kami - oświadczyła Maxine. - Chcemy się tylko trochę poopalać.

- Oczywiście nie mam na myśli Gary'ego. - Amber obdarzyła go za-lotnym uśmiechem i ruszyła do drzwi. Gary rzucił Christy błagalne spojrzenie, ale uśmiechnęła się do niego złośliwie.

Zapłata za grzech jest... Maxine i Amber.

- Luke zostanie tu na noc - poinformowała przyjaciółki Angie, wsta-jąc z leżaka.

- Sześciara - westchnęła Maxine, spoglądając na Christy. - Wy-starczy, że na niego spojrzę, a już mi się robi gorąco.

- Co drugi facet tak na ciebie działa. - Angie parsknęła lekceważą-co. - I trzymaj się od niego z daleka. Należy do mojej siostry.

- A co z Garym? - spytała Amber. - On też zostanie tu na noc?

- Eee... za mało tu miejsca - wychrypiął przerażony Gary.

- Szkoda - westchnęła Amber i otworzyła drzwi patio. Ze środka do-biegł głos spikera telewizyjnego.

- ... podejrzewa, że na plażach Outer Banks grasuje seryjny morder-ca. Na miejsce oddelegowani zostali przedstawiciele służb federalnych. Poszukiwany jest biały mężczyzna o ciemnej cerze i krępej budowie ciała, ma około stu siedemdziesięciu centymetrów wzrostu. Opis poda-ny został przez kobietę, która przeżyła atak mordercy, nazywanego przez policję Plażowiczem.

- O Boże! - jęknęła Angie. - Christy, mówią o tym w telewizji! Ta kobieta... na pewno chodzi o ciebie!

Stłoczyli się przed telewizorem, wpatrując się w obraz z otwartymi ustami. Christy uświadomiła sobie, że trwają właśnie wieczorne wiado-mości, a gdy ta sekwencja zakończyła się krótkim wywiadem z kobietą w bikini, stojącą na tle Nags Head, było jej już niedobrze ze strachu.

- Wszyscy żyjemy w strachu - mówiła kobieta do kamery. - Te wa-kacje zamieniły się w koszmar.

Potem twarz kobiety zniknęła z ekranu, a spiker oznajmił:

- A teraz zajmujemy się zupełnie innym tematem...

- Czy ktoś zamknął drzwi na patio? - pisała Maxine.

Angie podeszła do drzwi, zamknęła je na zamek, a potem szczerze zaciągnęła zastony.

Christy wzięła głęboki oddech. W telewizji nadal trwały wiadomości, w ogóle ich jednak nie słyszała. Dopiero po chwili zauważyła, że ktoś obejmuje ją mocno w pasie. Nie musiała się oglądać, by wiedzieć, że to Luke. Podeszedł do niej, kiedy słuchała wiadomości. Opierała się o niego od dłuższej chwili, choć nawet nie była świadoma jego obecności.

- Co to ma być, do cholery? - zawodziła Amber. - Pierwsze wakacje nad morzem od czasów szkoły i co? Człowiek ledwie żyje ze strachu!

- Wicie co, może jednak powinniśmy wrócić do domu - odezwała się Maxine z nieszcześliwą miną.

- Dobry pomysł - przytaknął Gary.

- Gotowa do snu? - wyszeptał Luke do ucha Christy, gdy dziewczyn-ny dyskutowały głośno o wszystkich za i przeciw pozostania na wyspie. Wciąż opierała się o niego, rozdygotana, pozbawiona sił.

Skinęła głową.

- Wszystko w porządku, Christy? - spytała Angie, odrywając się na moment od dyskusji. Christy uświadomiła sobie, że musi być bardzo blada.

- Tak, nic mi nie jest.

- Ledwie się trzyma na nogach - wyjaśnił Luke, wciąż podtrzymu-jąc ją w pasie. - Ja zresztą też. Idziemy spać.

- A ja idę do domu - oświadczył Gary, ruszając do wyjścia. - Do zo-baczenia jutro.

Podniósł rękę w pożegnalnym geście i zniknął pomimo chóralnych protestów dziewcząt.

- Mówiłam ci, że za bardzo na niego lecisz - powiedziała Maxine do Amber, kiedy Angie poszła zamknąć drzwi za Garym. - No i wystraszy-łaś go. A my go potrzebujemy.

- Jest taki słodki - broniła się Amber. - Trochę dziwny, ale słodki.

- Czy wy, dziewczyny, potraficie myśleć tylko o jednym: o seksie? - Angie odwróciła się od drzwi i spojrzała na przyjaciółki z niesmakiem.

- Nie - odparła Amber.

- Czasami myślę też o tym, jak fajnie byłoby wygrać na loterii - do-dała Maxine.



- Dobra, my się już żegnamy - przemówił głośno Luke, obejmując spojrzeniem Amber, Maxine i Angie. - Jeśli zostaniecie w domu, przy zamkniętych drzwiach, nie macie się czego obawiać. Jak będę wam do czegoś potrzebny, wystarczy krzyknąć.

Dziewczyny nadal spierały się zajadle, gdy Christy i Luke zniknęły w sypialni.

## Rozdział 30

Żeby nie było żadnych nieudomówień: nie śpisz ze mną - oświadczyła Christy przyciszonym głosem, gdy zamknęły się za nimi drzwi. Była tak zmęczona, że ledwie widziała na oczy, a jednocześnie tak niespokojna, że serceomal nie wyskoczyło jej z piersi, nie zamierzała jednak ustąpić ani na krok w tej kwestii. Jedynym uczuciem, które z całą pewnością żywiła teraz do Luke'a, był gniew. Wyprostowana jak struna, podeszła do komody i wyjęła z szuflady przydużą bawełnianą koszulkę. W jego obecności nie mogła pozwolić sobie na zwykły nocny strój.

- Kochanie, możesz być pewna, że z mojej strony nic ci nie grozi. Zasnę, gdy tylko przyłożę głowę do poduszki.

Spojrzała na niego przez ramię: Luke stał przy drzwiach, z rękami skrzyżowanymi na piersiach.

- Przyłożysz głowę do poduszki na podłodze.

- Chcesz, żebym spał na podłodze? Proszę bardzo. Daj mi tylko poduszkę i koc.

Christy wzięła je z łóżka, zwinęła ciasno i wepchnęła Luke'owi w ramiona, idąc do łazienki. Gdy wracała, umywszy starannie twarz i zęby, leżał już na plecach, na dywanie, przykryty po pachy kocem. Sądząc po jego nagich ramionach, rozebrał się do bokserek. A przynajmniej miała nadzieję, że nie zdjął także bokserek.

Na myśl o tym, że Luke śpi w jej pokoju, w bieliznie czy też bez, Christy zrobiło się gorąco. Najwyraźniej jej ciało nie pojęło jeszcze, że to kąmliwy gad.

Rozejrzała się szybko wokół i odkryła, że jego rzeczy leżą na krześle w rogu - dżinsy, koszula i skarpety. Na podłodze przy krześle ustawiał tenisówki. Christy zmarszczyła brwi i przyjrzała się ubraniu uważniej.

Spod koszuli wystawało coś czarnego - przeszła przez pokój i podniosła ją, by się upewnić - kabura. A w niej równie czarny pistolet.

Serce zabiło jej mocniej, strach ścisnął żołądek. Opuściła koszulę i powiedziała do siebie w myślach, że to idiotyczna reakcja. Oczywiście, że musiał mieć broń: przecież jest agentem FBI. Do tej pory nie widziała jej tylko dlatego, że ten oszust ukrywał przed nią pistolet - podobnie jak swą prawdziwą tożsamość.

Jej własna broń, razem z całą zawartością torebki i samą torebką była teraz w biurze szeryfa. Wysłuchawszy opowieści Christy, Castellano zatrzymał wszystko jako dowód w sprawie. Zgodził się tylko oddać jej zawartość portfela - pieniądze, prawo jazdy, karty kredytowe - i to tylko dlatego, że niemal go o to błagała i że portfel wyglądał na nietknięty.

Właściwie powinna być zadowolona, że nie są bezbronni.

W pewnym sensie była zadowolona, ale nie do końca. Broń ją przerażała. Jeszcze bardziej przerażała ją świadomość, że Luke jest agentem FBI, choć wolała nie przyznawać się nawet przed samą sobą, dlatego ta myśl budzi w niej tak wielki strach; powodem tym był fakt, że oszustwo Luke'a sprawiło jej ogromny ból.

Zbyt wielki, by mogła nazwać to, co do niego czuła, jedynie pociągiem seksualnym.

Wcześniej powiedział, że oszalał na jej punkcie. Nie wiedziała, czy może mu wierzyć czy też nie, ale wiedziała z całą pewnością, że ona oszalała na jego punkcie.

Nie zamierzała jednak zastanawiać się nad tym, szczególnie teraz, gdy była tak strasznie zmęczona.

Zamierzała natychmiast położyć się do łóżka.

Przechodząc obok Luke'a, spojrzała nań spod przymrużonych powiek. Jeśli cała ta historia także sprawiła mu ból, to ukrywał go naprawdę bardzo starannie. Miał zamknięte oczy, ręce trzymał złożone na piersiach, oddychał głęboko i miarowo. Wyglądało na to, że śpi.

Christy zacisnęła usta. Przynajmniej leżał między nią i drzwiami.

Przyjrzała mu się dokładniej. Naprawdę wyglądał na pogrążonego w głębokim śnie. Gdyby miał spać tak przez całą noc, nie przydałby się jej zbytnio w razie ataku mordercy. Chyba że ten potknąłby się o niego i uderzył o jakiś mebel.

Wiedząc, że jeśli tego nie zrobi, nie zmruży oka przez całą noc, Christy podeszła do komody i zaczęła pchać ją pod drzwi.

- Co ty wyrabiasz, do diabła?

Christy obejrzała się przez ramię, zaskoczona. Luke patrzył na nią spod lekko uniesionych powiek.

- A jak myślisz? Barykaduję drzwi.

- Nie wierzysz, że cię obronię?

- Nie.

To powiedziałwszy, ponownie zaczęła przesuwać komodę, spodziewając się, że lada moment Luke przyjdzie jej z pomocą. Nie przyszedł. Nie ruszył się. Nim komoda stanęła pod drzwiami, wyglądał tak, jakby ponownie zapadł w głęboki sen.

Dysząc i sapiąc z wysiłku, rzuciła mu nienawistne spojrzenie, obezła go i wśliznęła się do łóżka. Zgasiła światło.

A wtedy usłyszała chrapanie. I znowu. I znowu.

W porządku, przynajmniej dopóki chrapał, wiedziała, że tam jest i że żyje.

Pomimo zmęczenia nie mogła zasnąć. Była zbyt zdenerwowana, zbyt niespokojna, nasłuchiwała zgrzytu klucza w zamku, dzwonek telefonu...

- O mój Boże! - krzyknęła, siadając gwałtownie na łóżku.

- Co? Co? - Nie widziała go, była jednak niemal pewna, że i on usiadł na dywanie.

- A jeśli zadzwoni telefon i odbierze Angie albo Amber, albo Maxine?

- Jezu, Christy, aż mnie nastraszyłaś! - Luke westchnął ciężko.

- Możesz spać spokojnie. Zająłem się tym.

- Zająłeś się czym?

- Telefonem.

- Jak to: zająłeś się telefonem? Co to znaczy?

- Linia z numerem domowym podłączona jest tylko do twojej sypialni. Pozostałe telefony są teraz na innej linii.

- Kiedy to zrobies?

- Kiedy rozmawiałeś z siostrą na patio.

- Jak to zrobies?

- Przecież tym właśnie zajmują się agenci federalni? Zamierzasz wreszcie spać czy nie?

Christy zacisnęła usta. W porządku. Chciał spać, to oczywiście. Cóż, ona też. Wzięła kilka głębokich oddechów i skoncentrowała się na rozluźnianiu mięśni. Najpierw stopy, potem łydki... Nagle kolejna przerażająca myśl wychynęła na powierzchnię wiru kłębiącego się w jej głowie i kazała otworzyć oczy.

- Dobrze, załóżmy, że skoro tu jesteś, ja mogę czuć się bezpieczna, ale co powstrzyma tego faceta, jeśli zechce skrzywdzić Angie, Amber albo Maxine?

Luke znówu westchnął ciężko.

- Zawsze masz takie problemy z zaśnięciem?
- Posłuchaj, to naprawdę ważne. Jeśli ten facet działa na zlecenie mafii, to może zamiast mnie zabić Angie, żeby dać mi nauczkę. - Zrobiła jej się zimno na tę myśl. - A jeśli to seryjny zabójca, to może mu być wszystko jedno. Rzuci się na którąś z nich, bo łatwiej mu się będzie do nich dostać.
- Ten budynek jest teraz chroniony lepiej niż Biały Dom. Po tym, jak ten świr zaatakował cię pierwszej nocy, założyłem wszelkie możliwe zabezpieczenia. Kamery to tylko wierzchołek góry lodowej. Są tutaj detektory ruchu, różnego rodzaju czujniki i alarmy. Nikt nie dostanie się do środka ani nie wyjdzie stąd bez naszej wiedzy. Więc możesz przestać się wreszcie martwić i zasnąć.

- W porządku. Przepraszam. Dobranoc.

Luke odchrząknął tylko. Chwilę później usłyszała jego chrapanie.

Christy leżała nieruchomo i nasłuchiwała. Wdech, wydech. Wdech, wydech. Mocny, jednostajny rytm. Liczyła oddechy Luke'a niczym bary i w końcu także zasnęła.

Była szósta czterdzieści dziewięć następnego ranka. Słońce wspanało się powoli na błękitne niebo, trwał odpływ. Kilku zapalonych biegaczy truchtalo po plaży: jakiś staruszek z wiadrem i małymi grabkami brodził w wodzie, szukając krabów; trójka dzieciaków ścigała się z falami. W odróżnieniu od tych wszystkich ludzi Luke nie dostrzegł się jeszcze do nowego dnia. Noc upłynęła tak spokojnie, jak mogła upłynąć noc spędzona na podłodze. Co oznaczało, że nikt nie krzyczał, nie dzwonił telefon, żaden złoczyńca nie dobijał się do drzwi. Luke spał dość długo, by odzyskać przytomność umysłu, za krótko jednak, by wstać w dobrym humorze. Po kilku godzinach twardego jak kamień snu, zaczął przewracać się i kręcić, szukając jakiegoś wygodnej pozycji, aż w końcu się poddał. Bolały go plecy, zesztywniała szyja, musiał wziąć prysznic, ogolić się i napić kawy, niekoniecznie w tej kolejności. Christy spała jak kamień, zwinęta w kłębek i okryta po szyję kołdrą.

Zastanawiał się przez moment, czy nie wejść do niej do łóżka, nie wyciągnąć się wygodnie na materacu i nie pocałować jej różowych, lekko rozchylonych ust.

Potem jednak pomyślał, jak by się wtedy wkurzyła, i postanowił raczej wpaść na chwilę do swojego domku.

- Nie uwierzysz w to!

Gary, wciąż ubrany w niewiarygodnie niebieską piżamę, wypadł z centrali dowodzenia jak gumowa piłka, gdy Luke wszedł do salonu przez drzwi od strony patio. Luke spojrzał na niego posepnie. Nikt nie powinien mieć tyle energii tak wcześnie rano.

-Co?

- Rozpracowałem te numery. A właściwie komputer je rozpracował.

- Co? - Luke przyjrzał mu się uważniej.

- Numery. Na stronach gazety. Z walizki, którą Christy włożyła do maximy pierwszego wieczora. Przez cały czas mieliśmy to przed oczami. Tylko numery stron! To skrzynka pocztowa i szyfr do zamka.

Serce zabiło mu mocniej. Teraz nie był już ani trochę senny.

- Robisz sobie ze mnie jaja.

- Nie. Wiem nawet, gdzie jest ta poczta. Po drugiej stronie zatoki, w New Bern.

- Pokaż mi to.

Luke przeszedł za Garym do centrali dowodzenia, zerknął szybko na monitory, by sprawdzić, czy w sąsiednim domku nie dzieje się nic podejrzanego, a potem spojrzał na wydruk, który partner z dumą podsuwał mu pod nos.

- Patrz, to numer urzędu pocztowego, to numer skrzynki, a to jest szyfr.

- Jezu... - Teraz, kiedy Luke widział to czarno na białym, wszystko wydawało mu się wręcz banalnie proste. Zbyt proste, jak na tyle czasu, jaki musieli temu poświęcić, i obliczeń. Przez chwilę patrzył na kartkę, bębniąc palcami w grube szkło pokrywające blat toaletki. - Używają tego pewnie jako skrzynki kontaktowej. Może wykorzystali ją tylko raz, specjalnie dla Donniego juniora, a może nadal jest aktywna. Jeśli to zwykła poczta, będą tam setki odcisków palców, więc to nam nic nie da. Zadzwoń do Boyce'a, niech wezmą to miejsce pod obserwację. Musimy się dowiedzieć, kto zapłacił za tę skrzynkę. Oczywiście pewnie i tak używał fałszywego nazwiska, ale sprawdzić warto.

- Mam je tutaj - powiedział Gary, wyjmując inną kartkę.

- Brawo, chłopie - mruknął z aprobatą Luke, spoglądając na kartkę. Anthony B. Newton, zamieszkały w New Bern. Nigdy wcześniej nie słyshał o tym człowieku, ale też nie spodziewał się, że będzie to jakiegoś znane nazwisko. Wziął kartkę do ręki i wyszedł do kuchni, by zaparzyć sobie kawę i zadzwonić do Boyce'a.

Nim skończył rozmawiać, pił drugą filiżankę kawy i zjadł trzecią babeczkę.

- Jak się miewają nasze drogie panie? - spytał Gary'ego, zatrzymując się przy centrali dowodzenia w drodze do sypialni.

- Jeszcze śpią.

- A ty spałeś choć trochę?

- Tak. Ustawiłem system tak, że gdyby coś się działo, to maleństwo... - Postukał palcem w plastikowe pudełko, na które Luke nie zwracał dotąd najmniejszej uwagi. - ... wyje jak cztery alarmy przeciwpożarowe razem wzięte. Zbudziłoby nawet umarłego. Oczywiście w ciągu dnia zmniejszam siłę dźwięku.

- Dobry plan.

- Ustaliles coś z Boyce'em?

- Tak, zaraz tam kogoś wyśle. Ale mamy inny problem.

- Mianowicie?

- Skoro Donnie junior jest tutaj i chce się skontaktować z Christy, nie zrobi tego, jeśli będzie kręcić się wokół niej stado dziewczuch.

Gary oparł się o toaletkę, skrzyżował ręce na piersiach i spojrzał podejrzliwie na partnera.

- Więc?

- Więc dopóki nie wymyślimy czegoś innego, będziesz musiał je jakoś odciągnąć od Christy. Zaprowadzisz je na plażę. Pokażesz im wyspę.

- O nie. Nie ma mowy! Ja się do tego nie nadaję. Jestem agentem FBI, a nie opiekunką do dzieci. Poza tym kto wtedy będzie się zajmował komputerami? Sprawdzał telefony? Obsługiwał monitory?

- W ciągu dnia, kiedy jestem z Christy, nie warto bez przerwy ogłądać wszystkiego - odparł Luke. - Nie sądzę, żeby wtedy wydarzyło się coś ważnego. Jeśli Donnie junior albo któryś z jego ludzi będzie chciał spotkać się z Christy, zrobi to na plaży, wśród ludzi, a wtedy ja będę jej pilnował. Tylko w nocy musisz mieć oko na monitory.

- A co ze sprawdzaniem właścicieli białych pikapów? Kto się tym zajmie? Kto będzie ściągał dane z baz policyjnych, z kempingów i hoteli?

- Daj spokój, Gary. Potrzebuję cię. Jakoś to wszystko pogodzimy.

Partner spojrzał na niego gniewnie.

- Wiesz co? Czasami nienawidzę tej roboty.

Luke roześmiał się, poklepał go po ramieniu i poszedł wziąć prysznic. Kiedy otworzył drzwi łazienki, przywitał go okropny smród i widok kota siedzącego niczym sfinks na klapie toalety. Pod umywalką stała kuweta, z której wydobywał się ów fetor. Pod drugą ścianą stała miska z suchą karmą - Gary musiał ją kupić wraz z kuwetą poprzedniego wieczora - i druga, z wodą.

Aż do tej chwili Luke całkiem zapomniał o tym przeklętym zwierzaku. Kot machnął ogonem i zmrugał oczy. Ta reakcja wskazywała jednoznacznie, że Marvin o nim nie zapomniał.

Myśl o wyrzuceniu go z domu była tak kusząca, że Luke omal tego nie zrobił.

Potem jednak zdrowy rozsądek zwyciężył. Christy i tak jest na niego okropnie wkurzona. Musiał się naprawdę bardzo starać, by odzyskać jej względy. Był niemal pewien, że gdyby teraz wypuścił kota na zewnątrz, ten zaraz pognałby na patio Christy, a wtedy Luke znalazłby się w jeszcze gorszej niełasce.

Cholera. Spoglądając nieufnie na zwierzaka, Luke wszedł do łazienki i zamknął za sobą drzwi. Potem ogolił się szybko i wziął prysznic.

Gdy wyszedł spod prysznicza, smród był jeszcze bardziej intensywny. Kot nie siedział już na muszli, lecz w kuwecie. A właściwie kuczał. Robił kupę.

- Jesteś obrzydliwy - powiedział Luke, podnosząc rękę i zmierzając do drzwi. W odpowiedzi kocur spojrział na niego tak, jakby chciał pokazać mu wyprostowany środkowy palec.

## Rozdział 31

To czekanie mnie dobija.

Christy leżała na ręczniku i obserwowała z ponurą miną roześmianych urlopowiczów, którzy bawili się w najlepsze na białym piasku i w ciepłych falach morza. Ona nie bawiła się dobrze. Było późne popołudnie, dwa dni po tym, jak Angie przywiozła jej diamenty, i dotąd nie wydarzyło się nic istotnego.

Prócz tego, że przygarnęła biednego, znerwicowanego Marvina i nie kochała się z Lukiem.

- Chcesz powiedzieć, że cię to nie bawi? - Wesoły głos Luke'a odezwał się prosto do jej ucha ze słuchawki, w którą wyposażyli ją kilka godzin wcześniej. Luke leżał na swoim ręczniku jakiś dziesięć metrów dalej. Był czwartek, co oznaczało, że na plaży jest bardziej tłoczno niż zwykle, bo do turystów dołączyli miejscowi mieszkańcy, którym udało się wziąć wolny dzień i przedłużyć weekend. Seryjny zabójca, który rzekomo grasował w tej okolicy, stał się już bohaterem ogólnokrajowych wiadomości, nie wyglądało jednak na to, by odstraszył kogokolwiek od wypoczynku na słońcu.

- Wiesz co, to chyba nie ma sensu - grymasiła Christy, zgodnie z instrukcją patrząc prosto przed siebie. - Mam już dość bycia przynętą.

Leżała na boku, podpierając ręką głowę. Miała na sobie jednoczęściowy, czarny kostium, który Luke wybrał dla niej dlatego, że najlepiej ukrywał mikrofon. Mały aparat umieszczony między jej piersiami wykrywał wszystko, co mówiła i co ktoś mówił do niej. Niestety, do tej pory zarejestrował jedynie głos jakiegoś dziecka, który wpadł na dziewczynę podczas zabawy i przeprosił ją grzecznie.

- Zrelaksuj się i ciesz widokiem oceanu - podsunął jej Luke.

- Wiesz co, leżę tu i gapię się na ocean od kilku godzin. Morze faluje, ludzie przychodzą i odchodzą. Tak to mniej więcej wygląda.
- W porządku, masz rację. Ja na szczęście mam znacznie lepszy widok.
- Leżysz zaraz za mną.
- Tak, ale widzę górki i doliny. Kragłości. Opaloną skórę. Najzgrabniejsze nogi, jakie kiedykolwiek widziałem w życiu. Seksowny tyłeczek, który...
- W porządku - przerwała mu, celowo przekręcając się na brzuch, by w mikrofonie słyszał tylko trzaski i trzeszczenie. - Przeostań, albo za raz stąd pójde.
- Hej, nie rób tego, boli mnie ucho.
- Dobrze ci tak.
- Dzisiaj też każesz mi spać na podłodze?
- O tak. Możesz być tego pewny.
- Jesteś surową, nieprzejeжданą kobietą, Christy Petrino.
- A ty kłamliwym...
- Przepraszam, którzy do hotelu Crosswinds?

Jakaś kobieta, trzymająca za rączkę małą dziewczynkę, przystanęła przed Christy i zadała jej to pytanie. Christy uznała, że w tak skromnym stroju kąpielowym wygląda na dojrzałą, rozsądną osobę, która może to wiedzieć.

- Tędy - odrzekła, wskazując drogę. Kobieta podziękowała i odeszła, prowadząc za rączkę swoją małą córeczkę.
- Zaraz się tu usmażę - narzekła Christy. - Wydaje mi się, że mój krem do opalania przestał działać już z godzinę temu. Nie mogę nawet pobrodzić sobie w oceanie?
- Jedna kropla wody i mikrofon przestanie działać. Poza tym musiałbym pójść za tobą, a wtedy ktoś mógłby zauważyć, że jesteśmy razem.
- Nie chcę cię martwić, ale wydaje mi się, że nikt na nas nie patrzy.
- Możesz mieć rację. Ale możesz też jej nie mieć. Nie wiem jak ty, ale jeśli udałoby się złapać DePalmę na plaży, w środku dnia, zamiast ganiać się z nim gdzieś po nocy, z paczką pełną diamentów, to ja wolę to pierwsze.

Christy nie mogła się z nim nie zgodzić. Na samą myśl o kolejnym telefonie od mafii robiło jej się zimno, co przy takim upale nie było może najgorsze.

- Więc chociaż ze mną porozmawiaj. Wyjaśnij mi, dlaczego twoim zdaniem Marvin cię nienawidzi. - Christy przekręciła się z powrotem na bok i poprawiła okulary. Podczas jednej z ich nocnych rozmów - na-

dal była wieczorami bardzo niespokojna i wciąż miała kłopoty z zasypianiem - Luke opowiedział jej o początkach znajomości z Marvinem. Przyznał się też, że zamyka biednego kota w łazience. Christy uwolniła go następnego ranka i przyzwyczajała do cywilizowanego życia w swoim domu.

- Nie wiem, dlaczego ten cholerny kot mnie nienawidzi. Po prostu mnie nienawidzi i już.

- A skąd ty możesz to wiedzieć? Jesteś jakimś kocim psychologiem czy co?

- Gdy tylko mnie zobaczy, robi kupę.

Christy się roześmiała.

- To prawda. Przysięgam na życie mojej babci!

Roześmiała się ponownie.

- A czy ty w ogóle masz babcię?

- Oczywiście, że mam babcię. Mam też mamę i młodszego brata.

- A co z ojcem?

- Umarł tuż po tym, jak skończyłem służbę w piechocie morskiej.

Jakieś dziesięć lat temu.

Wiedziała, co znaczy stracić ojca.

- Przykro mi.

- Dzięki.

- Więc byłeś w piechocie morskiej? Naprawdę? - zapytała po chwili milczenia.

- Co znaczy: naprawdę? Po prostu byłem. Wiedz, że nie skłamałem ci ani razu, odkąd... - Umilkł, jakby próbował sobie przypomnieć.

- Odkąd przylapałam cię na wszystkich poprzednich łgarstwach?

- podsunęła Christy słodkim głosem.

- Tak, mniej więcej od tego czasu.

- W porządku, więc byłeś w piechocie morskiej - powiedziała. - Co robiłeś potem?

- Skończyłem college. I poszedłem na studia prawnicze.

Wciągnęła głośno powietrze, choć najchętniej odwróciłaby się i zgroziła go spojrzeniem.

- Ty kłamiwa kupo...

- Naprawdę. Studiowałem na Emory University. Potem zacząłem pracę w FBI.

- Czy to prawda? - spytała podejrziwym tonem.

- Kochanie, muszę ci wyznać, że twój brak zaufania mnie rani, naprawdę mnie rani.

Christy parsknęła tylko szyderczo w odpowiedzi.

- Gdzie są teraz twoja mama i brat? Jesteś z nimi blisko? Widujesz ich często?

- Moja mama jest nauczycielką. Wciąż mieszka w Atlancie, w domu, w którym się wychowałem - sama więc widzisz, że naprawdę jestem prawnikiem z Atlanty i nie okłamałem cię tak bardzo, jak myślisz. Odwiedzam ją, gdy tylko mogę, podczas urlopu, świąt, w jakiś wolny weekendy. Tak, jesteśmy ze sobą blisko. Mój brat ma trzydzieści lat, ja trzydzieści dwa, gdybyś chciała wiedzieć, i jest dentystą. Jesteśmy ze sobą na tyle blisko, że zawsze gdy się spotykamy, chce oglądać moje zęby. Pod koniec świąt czuję się zwykle jak koń.

Christy nie mogła powstrzymać się od śmiechu.

- Wiesz co? Twój śmiech jest prawie tak seksowny jak twoje nogi.

- Wystarczy - powiedziała, przetaczając się na brzuch. - Idę stąd.

- Moje ucho - jęknął Luke. Potem, kiedy wstała i sięgnęła po ręcznik, dodał: - Nie, poczekaj, cofam to. Twój śmiech jest równie seksowny jak twoje nogi, a to już naprawdę coś znaczy, bo twoje nogi są bardzo, ale to bardzo kuszące.

Christy widziała go teraz, rozciągniętego na piasku kilka metrów dalej, z głową opartą na ręce i szelmowskim uśmiechem na ustach. Miał błękitne kąpielówki i duże okulary przeciwsłoneczne. Wyglądał tak cudoownie, że Christy wstrzymała na chwilę oddech, zmagając się z atakiem niewiarygodnie silnego pożądania. Coraz trudniej przychodziło jej pamiętać, że Luke jest ohydny kłamcą, chociaż w tym momencie mogła przypomnieć sobie o tym bez większego problemu: wystarczyło dotknąć ukrytego pod kostiumem mikrofonu. Tworzył wokół niej iluzję, odkąd go poznała, a jego obecny wygląd i zachowanie też były tylko iluzją. Bardzo dobrą iluzją, seksowną i smakowitą - Christy wcale nie czuła się zaskoczona, zauważywszy, że jakieś dwie młode dziewczyny leżące na kocu za Lukiem przyglądają mu się z nieukrywaniem zainteresowaniem - lecz wciąż tylko iluzją.

Prawda wyglądała tak, że odkąd Christy po raz pierwszy go ujrzała - i nawet w tej chwili - Luke ciężko pracował. Wygląd leniwego, rozrywkowego plażowicza był rodzajem przebrania, owczą skórą, pod którą krył się wilk - agent federalny gotów zrobić wszystko, byle tylko wykonać swe zadanie.

Łącznie z wykorzystaniem jej. Pomimo słodkich słów, którymi bezustanku ją zasypywał, w gruncie rzeczy była tylko środkiem prowadzącym do celu.

Jeśli nie chciała wrócić do domu ze złamanym sercem, musiała o tym pamiętać.



- Nieźle wyglądasz, ślicznotko - powiedział, kiedy przechodziła obok niego.

Zacisnęła zęby i minęła go spokojnie, choć miała ogromną ochotę sypnąć mu piaskiem prosto w twarz.

Nim dotarła do domu, niemal wpadła w histerię. Wiedziała, że Luke idzie za nią, obserwując każdy jej ruch, nie mogła jednak pozbyć się napięcia, które towarzyszyło jej nieustannie od kilku dni. Podskakiwała przy każdym gwałtownym ruchu i głośniejszym dźwięku, a wrazenie, że jest obserwowana, było tak silne, że czuła je niemal fizycznie. Oczywiście, że była obserwowana, zarówno przez Luke'a jak i przez jego kamerę, więc jej szósty zmysł mógł być nieco przytępiony. Jednak świadomość, że gdzieś w pobliżu jest Michael ze swoimi zbirami, że ktoś pragnie jej śmierci i dwukrotnie już próbował ją zabić, nieustannie wprawiała Christy w nerwowy nastrój.

A w dodatku zadurzyła się w człowieku, który mógł zniknąć z jej życia tuż po tym, jak je uratuje, co także ani trochę nie poprawiało jej humoru.

Przeszła przez patio, zerknęła przez szklaną taflę drzwi do środka i zamarała. Widok, jaki ukazał się jej oczom, sprawił, że na chwilę zapomniała o wszystkich swoich problemach. Zanim Christy poszła z Luke'em na plażę, Angie i jej przyjaciółki zabrały Gary'ego na zakupy. Teraz byli już z powrotem. Agent siedział na stołku, ramiona miał okryte prześcieradłem. Angie i Amber kręciły się po kuchni, a Maxine z nożycami w dłoni pochylała się nad jego głową. Rude włosy opadały na prześcieradło niczym śnieg podczas zamieci.

Christy otworzyła szeroko usta.

- O mój Boże! - wyszeptala i otworzyła drzwi.
- Co się dzieje? - rozległ się w jej słuchawce głos Luke'a.
- Nie uwierzysz.
- Cholera.

Wyjęła słuchawkę z ucha, wyłączyła mikrofon i weszła do środka. Gary spojrzął na nią błagalnie, jakby była jego ostatnią deską ratunku. Christy dopiero po chwili zorientowała się, że nie miał okularów.

- Co wy robicie? - spytała, spoglądając na Maxine.

- Zmieniamy całkowicie wygląd Gary'ego - wyjaśniła Amber, spoglądając na nią przez ramię.

- Powinnaś zobaczyć jego nowe ubrania - dodała Angie.

- O mój Boże - jęknęła Christy ponownie, zauważywszy, że Gary stracił już połowę swych gestych włosów. Spojrzała na niego jeszcze raz.

- Sam tego chciałeś czy cię zmusiły?

- Pół na pół - odparł z wymuszonym uśmiechem.

- Och, biedaku - westchnęła Christy ze współczuciem. On też był kłamliwym draniem, jednak nie tak kłamliwym jak Luke, i w tej chwili naprawdę zrobiło jej się go żal. Bez wątpienia znalazł się w rękach sił, których nie mógł kontrolować.

- Jest fajnie - powiedział tonem skazańca, postanawiającego zachować godność do końca egzekucji.

- Pewnie, że fajnie - przytaknęła Maxine. - Musisz wiedzieć, że jestem zawodową fryzjerką. Normalnie musiałbyś zapłacić za takie strzyżenie sześćdziesiąt dolarów.

Christy odwróciła się, usłyszawszy szmer odsuwanych drzwi na patio. Pojawił się w nich Luke, zdyszany i zlany potem. Miał na sobie tylko kąpielówkę; koszulę, rękawiczki i okulary trzymał w dłoni. Pierwszą osobą, na którą spojrzął, nie był jednak Gary, lecz Christy.

- Maxine strzyże Gary'ego - wyjaśniła.

Luke wziął jeszcze jeden głęboki oddech i zamknął usta. Christy odpowiedziała na jego wściekłe spojrzenie niewinnym uśmiechem, uswiadomiwszy sobie, że pędził tu z plaży co sił, bo myślał, że grozi jej jakieś niebezpieczeństwo.

- Ja też byłam zaskoczona - powiedziała.

- Cześć, Luke - przywitał go niepewnie partner.

Luke odwrócił się wreszcie w jego stronę. Wpatrywał się w Gary'ego przez chwilę osłupiały, a potem wyszczerzył zęby w uśmiechu. Maxine odłożyła nożyczki.

- Amber, podaj mi żel - rozkazała.

Koleżanka wykonała jej polecenie. Maxine wycisnęła trochę żelu na dłoń i rozartała go.

- Postanowiliśmy całkowicie go odmienić - wyjaśniła Amber Luke'owi, kiedy Marine stanęła przed Garym i przeciągnęła dłońmi przez jego włosy.

Luke wszedł do środka i zasunął za sobą drzwi.

- *Voilà!* - wykrzyknęła Maxine i ściągnęła prześcieradło z ramion Gary'ego. Odsunęła się o krok, a oszołomiony agent wstał powoli ze stołka.

Na chwilę w pokoju zapadła całkowita cisza, zakłócana jedynie wrzaskiem telewizora.

Przystrzyżone krótko włosy Gary'ego przypominały teraz nażelowane igielki sterzące na wszystkie strony, zgodnie z najnowszą modą. Partner Luke'a ubrany był w ciężkie sandały, workowate zielone spodnie sięgające mu tuż za kolana i jasnoniebieską hawajską koszulę,

narzuconą na granatowy t-shirt z napisem „Coors”. Wyglądał dobrze. Wyglądał ciekawie. Na pewno nie jak ofiara losu.

- Niewiarygodne - powiedziała zdumiona Amber.
- Świetna robota - dodała Angie.
- Naprawdę tak myślicie? - Gary wyglądał na zadowolonego i niepewnego jednocześnie. Odszukał spojrzeniem Christy i stojącego za nią Luke'a.

- Wyglądasz świetnie, Gary.

Christy naprawdę tak myślała. Oczywiście nie był typem przystojniaka, nie mogły zmienić tego ani żadna fryzura, ani ciuchy, ale przynajmniej nie wyglądał już jak ofiara. Mógł chodzić teraz razem z Amber i Maxine, wcale się od nich nie odróżniając.

Luke zmierzył go spojrzeniem i uśmiechnął się szeroko.

- Nieźle wyglądasz, chłopie - powiedział.

Gary zaczął coś mówić, przerwał mu jednak sygnał wiadomości dobiegający z telewizora. Wszyscy spojrzeli na ekran.

Przed niewielkim drewnianym domem, otoczonym żółtą taśmą policyjną, stał reporter. W tle widać było poruszające się sylwetki policjantów.

- Poinformowano nas właśnie, że prawdopodobnie odnaleziono serijnego zabójcę, terroryzującego kobiety na Outer Banks. Policja, zawiadomiona przez sąsiada, który słyszał strzały dochodzące z domu podejrzanego, ujrzała na miejscu scenę żywca wyjętą z filmów grozy. Podejrzany mężczyzna, którego tożsamość nie została jeszcze ujawniona, prawdopodobnie popełnił samobójstwo. Do tej pory odnaleziono szóstki pięciu ofiar. Policja przypuszcza, że może ich być więcej. Trwa ustalanie tożsamości ofiar, lecz należące do nich ubrania i przedmioty każą policji przypuszczać, że są to niektóre z kobiet zaginionych ostatnio na plażach Outer Banks, będące domniemanymi ofiarami zabójcy nazwanego Plażowiczem.

## Rozdział 32

Super! - krzyknęła Maxine, gdy w wiadomościach zaczęła się jakaś inna relacja.

- No i co, nie cieszysz się teraz, że nie pojechałyśmy do domu? - triumfowała Amber.

- Christy? Nic ci nie jest? - zapytała cicho Angie, stając obok siostry i trącając ją w ramię. Christy uświadomiła sobie, że wciąż wpatruje się w telewizor jak zahipnotyzowana. Zrobiło jej się słabo, serce waliło jak młot... Czy to możliwe? Czy naprawdę mężczyzna, który ją zaatakował, nie żyje?

To niemożliwe. Zbyt piękne, by mogło być prawda.

- Christy? - powtórzyła Angie.

Christy zerknęła na siostrę i zrozumiała, że Angie martwi się o nią.

- Tak, jasne, oczywiście, że nic mi nie jest. To dobre wiadomości - powiedziała, przywołując na twarz radosny uśmiech.

W tej samej chwili uwagę Angie odwrócił okrzyk Maxine:

- Impreza!

Christy spojrzała na Luke'a, który wciąż stał pod drzwiami. Ich spojrzenia się spotkały, a wtedy Luke przeszedł przez pokój i stanął obok niej. Czują, jak obejmuje ją w pasie i była zadowolona z jego obecności. Oparłszy się o niego, chłonęła wilgotne ciepło jego skóry i twarzą dotyk mięśni niczym spragniona roślina wodę. Zrozumiała, że go potrzebuje. Potrzebuje jego obecności, jego wsparcia, świadomości, że on także wie, co jej grozi.

- Im-pre-za! Im-pre-za! - skandowały Maxine i Amber, wykonując coś w rodzaju triumfalnego tańca i trzęsąc przy tym swymi nieprzecięt-

nymi atutami. Wystraszony Marvin, który krył się do tej pory pod sofą, umknął w głąb korytarza.

- W porządku, dziewczyny, wystarczy. Marvin się was boi - zawołała Angie do swoich przyjaciółek, dając im jednocześnie znaki, by się uspokoiły.

- Kogo obchodzi Marvin? Ja się ich boję - mruknął Gary, który stanął właśnie obok nich. Christy spojrziała na niego przez ramię, była jednak jeszcze na tyle nieprzyzwyczajona do jego nowego wyglądu, że musiała spojrzeć jeszcze raz, by upewnić się, że to rzeczywiście on.

- Musimy to uczcić. - Maxine przestała krzyczeć, nadal jednak poruszała się w rytm jakiejś melodii, słyszanej tylko przez nią - i Amber, która także nie przestawała tańczyć.

Christy przyglądała im się przez chwilę: dwie piersiaste blondynki z Jersey, w skąpych, obcisłych ciuchach. Ten widok wystarczył, by obudzili się w niej tęsknota za domem.

- Chodźmy gdzieś coś zjeść - zaproponowała Amber, podchodząc tanecznym krokiem do Gary'ego i biorąc go pod ramię. Christy czuła, jak biedak przysunął się do niej w daremnej próbie ucieczki.

- A potem wpadniemy może do jakiegoś klubu. Mam ochotę się zabawić.

- O tak, musimy się zabawić - odpowiedziała jak echo Maxine.

Christy przygotowała się już wewnętrznym na kolejną porcję krzyków.

- To jest Ocracoke - ostudziła zapal koleżanek Angie. - Tu nie ma żadnych nocnych klubów.

Maxine machnęła na to ręką.

- To pójdziemy do jakiegoś baru. Bo chyba są tutaj jakieś bary, co? Mam ogromną ochotę na margaritę.

- Ten seryjny zabójca tak nas wystraszył, że bałyśmy się wychodzić z domu wieczorem - przytaknęła Amber. - Teraz możemy się wreszcie zabawić.

- Za-ba-wić - zaczęła znów skandować Maxine.

- Tak, to niezły plan - odezwał się Luke, chcąc w ten sposób przede wszystkim nie dopuścić do kolejnej fali wrzasków. - Gary, może zabierz panie do miasta?

- A co z tobą? - Biedak niemal załkał, gdy Amber zaczęła nim obracać w rytm jakiejś melodii, słyszanej tylko przez nią. Christy spojrziała na jego nieszcześliwą minę i uśmiechnęła się ukradkiem.

- Chcesz iść? - spytał cicho Luke.

Pokręciła głową. Wciąż nie mogła uwierzyć, że jej największy problem został tak łatwo rozwiązany. Albo policja się myliła i zabójca wciąż żył, albo też rzeczywiście popełnił samobójstwo, ale dla niej nie miało to żadnego znaczenia, bo ścigał ją człowiek mafii.

- My chyba spasujemy. Odpocznijmy trochę w domu - oświadczył głośno Luke.

- Chcesz, żebym została z tobą? - spytała cicho Angie. - Nie wygładasz najlepiej.

Christy pokręciła głową.

- Muszę odreagować całą tę historię, to wszystko - odparła.

- Jasne. - Angie pokiwała głową ze współczuciem. Potem spojrziała na Luke'a: - Masz się nią opiekować, jasne?

Głos miała dziwnie surowy. Christy zrozumiała, że to pytanie jest oznaką aprobaty, zaufania, jakim siostra postanowiła obdarzyć Luke'a. Angie, która wychowała się w rodzinie składającej się wyłącznie z kobiet, nie ufała zbytnio mężczyznom. Jej pytanie było więc nie tylko świadectwem wiary w jego dobre intencje, ale i komplemenciem najwyższego rzędu. Oczywiście Luke o tym nie wiedział: nie znał Angie na tyle dobrze, by zrozumieć, jakie podteksty kryją się w tym jednym, krótkim zdaniu.

Nie widziała twarzy Luke'a, czuła jednak, jak jego ręka zaciska się mocniej wokół jej talii.

- Nie martw się, będę.

- Idźcie się pobawić - zachęciła siostrę Christy i uśmiechnęła się do niej.

Dopiero gdy ta skinęła głową i poszła w głąb korytarza, by przygotować się do wyjścia, Christy zdała sobie sprawę, że oparła dłoń na ręce Luke'a. To odkrycie tak ją poruszyło, że nie słyszała nawet gorących protestów Gary'ego, który po odejściu Amber i Maxine próbował nakłonić partnera do zmiany decyzji.

- Pójdę wziąć prysznic i przebrać się - oświadczyła Christy, uwalniając się z uścisku Luke'a. Ten, choć rozmawiał z kolegą, odprowadził ją wzrokiem do samych drzwi pokoju.

Spędziła pod prysznicem dobre pół godziny, ciesząc się gorącym strumieniem wody, wdychając słodki zapach szamponu, nie pozwalając by jakkolwiek zła myśl zepsuła jej tę przyjemność. Wreszcie zakręciła kran, owinęła się ręcznikiem i przeszła do sypialni. Zastała na swoim łóżku Marvinna. Kot uchylił leniwie powieki, gdy podrapała go za uszami, a potem ponownie pogrążył się we śnie.

Gdy chwilę później Christy wróciła do salonu, miała na sobie białe szorty pożyczone od Angie - jej własna garderoba została znacznie uszczuplona w związku z utratą walizki - i różową koszulkę. Jej usta błyszczały lekko, pociągnięte różowym błyszczakiem, poza tym jednak nie miała żadnego makijażu, co wprawiało ją w lekkie zakłopotanie. Przy Michaelu zawsze starała się być umalowana; nigdy nie krył, że lubi, gdy jego dziewczyna dobrze wygląda, i że sprawa mu przyjemność świadomość, że zadała sobie dla niego trochę trudu. Przy Luke'u nawet nie przeszło jej to przez głowę. Charakter ich związku, a także okoliczności, w jakich się poznali, sprawiły, że niemal w ogóle nie myślała o swoim wyglądzie, pochłonięta innymi, znacznie ważniejszymi sprawami. Pomyślała, że przy Luke'u mogła w znacznie większym stopniu być sobą niż przy Michaelu.

Ta myśl także wydawała się niepokojąca.

Luke był w kuchni, szukał czegoś w lodówce. Christy usiadła na stołku przy barze i przyglądała mu się w milczeniu. W domu panowała przyjemna cisza, niezakłócona dźwiękiem telewizora ani wrzaskami dziewczyn.

- Głodna? - spytał przez ramię. Zauważyła, że nadal miał na sobie niebieskie kąpielówki. Włożył też szary t-shirt, który, o ile pamięć jej nie myliła, miał z przodu jakiegoś sportowe logo.

- Nie mów mi, że potrafisz też gotować - powiedziała, podziwiając jego kształtny i muskularny tyłek, który nawet w starych, wypłowiałych kąpielówkach prezentował się niezwykle atrakcyjnie.

- Pewnie, że potrafię. Chcesz zobaczyć? Zostało tu trochę pizzy. Może wstawię ją do mikrofalówki?

Christy roześmiała się lekko. Powoli uchodziły z niej strach i napięcie, które czuła od chwili obejrzenia wiadomości.

- Brzmi nieźle.

- Świetnie. - Wyjął z lodówki pudełko i miskę, postawił miskę na blacie, kawałki pizzy z pudełka ułożył na talerzu i wstawił go do mikrofalówki. - Jest też trochę sałatki. - Wskazał na miskę.

- Nie mogę się doczekać. - Zmarszczyła brwi, przejęta nagle pewną myślą. - W domu gotujesz sam czy ktoś robi to za ciebie?

Luke odwrócił się, oparł o kredens i skrzyżował ręce na piersiach.

- Agenci FBI nie zarabiają tyle, żeby stać ich było na zatrudnienie kucharki. Przynajmniej ja tyle nie zarabiam.

Christy zgromiła go spojrzeniem. Dobrze wiedział, o co jej chodzi.

- Mam na myśli dziewczynę. Albo żonę.

- Kochanie, nie uważasz, że na tym etapie naszej znajomości trochę

za późno już na pytanie, czy jestem żonaty? - W jego głosie pobrzmiwała nutka rozbawienia.

- Odpowiedz na pytanie, dobrze?

- Nie. Nie jestem żonaty i nigdy nie byłem. Mój ostatni poważny związek skończył się dwa lata temu, kiedy moja dziewczyna dostała pracę w Teksasie i chciała, żebym z nią tam pojechał.

Zabrzącał dzwonek i kuchenka się wyłączyła. Luke wyjął pizzę i trzasnął drzwiczki. Kilka minut później siedzieli przy stole, jedli pizzę i gawędzili przyjaźnie. Za szklanymi drzwiami rozciągał się zapierający dech w piersiach widok. Było już po siódmej, słoneczny blask przybrał łagodny złoty odcień, fale oceanu uderzały o brzeg, lazuru nieba nie mąciła ani jedna chmurka. Plaża wciąż była zatłoczona, chociaż nie tak bardzo, jak w ciągu dnia. Cień domu przesunął się powoli przez patio w stronę wydm.

- Myślisz, że facet, o którym mówili w telewizji, to ten sam, który mnie zaatakował? - spytała, gdy przyniesili naczynia do kuchni. Zdecydowała się wreszcie poruszyć sprawę, która dręczyła ją już od kilku godzin.

- Nie wiem. - Luke wziął od Christy talerz, włożył go do zmywarki wraz ze swoim i odwrócił się do niej. - Biuro nadal zajmuje się tą sprawą, więc postaram się zdobyć jakieś informacje. Do jutra będziemy wiedzieli znacznie więcej. Na razie bezpieczniej będzie założyć, że ktoś nadal chce cię zabić.

Christy skrzywiła się i podeszła do drzwi na patio.

- Tak myślałam - powiedziała po chwili, wpatrzona w horyzont. - Boże, tak bym chciała, żeby to się wreszcie skończyło.

-Hej!

Podszedł od tyłu i objął ją w pasie. Christy znieruchomiała na moment. Tak przyjemnie było opierać się o niego, czuć jego ramiona, wiedzieć, że bez względu na to, co mogło się jeszcze stać, nie jest już sama. Pachniał mydłem i olejkiem do opalania; Christy zrozumiwała, że kocha ten zapach. Przytulona do niego, czuła, jaki jest wysoki, silny, muskularny - i uwielbiała to uczucie. Potem pochylił się i musnął ustami jej kark, a Christy pomyślała, że i to jest cudowne, że uwielbia także dotyk jego ciepłych warg i szorstkiego podbródka.

Opuściła powieki, rozluźniła się i przeciągnęła dłońmi po jego rękach. Potem uprzytomniła sobie, że Luke prawdopodobnie pozostanie jeszcze w jej życiu nie dłużej niż kilka dni: przypomniawszy sobie wszystkie jego kłamstwa i to, kim naprawdę jest: i przypomniawszy sobie, przede wszystkim, że nie chce mieć złamanego serca.

- Zawarliśmy umowę - powiedziała surowym tonem, choć miała ogromną ochotę odwrócić się w jego ramionach, zarzucić mu ręce na szyję i pocałować go. - Pamiętasz pierwszą zasadę? Żadnego seksu.

Odepchnęła jego ramiona, a Luke, ku jej zaskoczeniu, puścił ją bez słowa protestu. Christy skrzyżowała ręce na piersiach i patrzyła, jak podszedł do sofy. Rozsiadł się wygodnie i spojrzał z powagą.

- Pamiętam, jak zobaczyłem cię po raz pierwszy - odezwał się, a Christy skinęła głową.

- Na patio. Powiedziałeś, że szukasz Marvinina - uzupełniła oschłym tonem.

Luke pokręcił głową.

- Nie. Pierwszy raz zobaczyłem cię o wiele wcześniej. Pamiętam, że obserwowałem DePalme już od jakiegoś czasu. To było jakieś dwa lata temu, jesienią. Pamiętam, bo kiedy wysiadłaś z jego samochodu i szłaś razem z nim do restauracji, z wielkiego dębu przy drodze spadały liście, a jeden z nich wpadł ci we włosy. Musiał się zaplątać, bo męczyłaś się z nim chyba z minutę. DePalma próbował ci pomóc, a wtedy popatrzyłaś na niego i roześmiałaś się. Wtedy zobaczyłem po raz pierwszy twoje dółeczki w policzkach. Pomyślałem, że jesteś piękna i że ten drań nie zasługuje na taką dziewczynę. Kiedy wyszłaś z nim z tej restauracji, pocałował cię w rękę.

Christy wciągnęła głośno powietrze. W głosie Luke'a słysząc było nutę żalu, który chwycił ją za serce.

- Pamiętam - powiedziała cicho. - Wynegocjowałam właśnie duży kontrakt, a Michael zabrał mnie z tej okazji na lunch.

- Pamiętam, jak mnie wkurzyło to, że całował cię w rękę. Pewnie już wtedy podświadomie pragnąłem, żebyś była moja.

Christy zadrzała. Żar bijący z jego oczu nie mógł być fałszywy.

- No i znowu próbujesz wziąć mnie na słodkie słówka. - Próbowała zapanować nad emocjami, powtarzając sobie raz po raz, dlaczego nie powinna mu uwierzyć. - Nie tóż się, nie uda ci się.

Luke uśmiechnął się krzywo.

- Ja otwieram przed tobą serce, a ty potrafisz tylko być podejrziwa.

- Pokręcił głową zde gustowany. - Kochanie, nigdy nie przyszło ci do głowy, że jesteśmy w sobie zakochani?

Christy poderwała głowę i drgnęła, jakby uderzona pięścią. Luke przyglądał jej się spokojnie - opalony młody bóg w kąpielówkach i rozciągniętym t-shirtcie, i już ten widok wystarczył, by krew zaczęła szybko krążyć w jej żyłach, a policzki zapłonęły żywym ogniem. Przez chwi-

le patrzyli na siebie w milczeniu, a powietrze między nimi niemal iskrzyło od tłumionych emocji.

- Nie. Nie.

To nie może być prawda. Nie chciała, żeby to była prawda. Taka myśl ją przerażała.

- Zastanów się nad tym - powiedział cicho, bardzo cicho, a potem wstał, chwycił jej dłoń, przyciągnął Christy do siebie na sofę i pocałował.

## Rozdział 33

Gdy tylko ich usta się zetknęły, przegrała. Całował ją delikatnie, czule, pieszcząc jej wargi. Christy położyła ręce na jego szerokich ramionach i całowała go tak, jakby zależało od tego jej życie. Przywierając do niego mocno, upajała się jego zapachem, dotykiem, twardymi męskimi mięśniami, delikatnymi lokami na szyi. Kiedy wsunęła w nie palce, Luke jęknął głucho i posadził ją sobie na kolanach, tak by mogła oprzeć głowę na jego ramieniu. Potem jego pocałunki nabrały mocy, przejęły nad nią władzę, rozpałały ją i przyprawiały o dreszcze. Jego dłoń odnalazła jej pierś...

W tej samej chwili Christy pomyślała o czymś i odsunęła głowę.

- Poczekaj, Luke, nie - wyszeptala, odpychając jego ramiona. Podniósł głowę i spojrzał na nią nieprzytomnymi oczami.
- Christy... - wychrypiał przez zaciśnięte zęby.
- Kamery. - To była kapitulacja, i oboje o tym wiedzieli. Nie mogła zrobić nic innego. Pragnęła go tak mocno, że traciła nad sobą kontrolę. Widziała, jak jego oczy niebezpiecznie ciemnieją i wciągnęła głośno powietrze.
- Do diabła z kamerami - odparł, ale potem wziął ją na ręce, wstał i ruszył w stronę jej sypialni.
- Uwielbiam twój smak - wyszeptala, tuląc się do niego i przesuwaną ustami wzdłuż jego szyi.
- Boże, jak ja cię pragnę - odparł zduszonym głosem. - Pragnąłem cię od lat.
- Luke... - Nie zdążyła dokończyć, bo Luke położył ją na łóżku.

Było rozścielone, a prześcieradło pachniało delikatnie jakimiś kwiatami.

mi. Christy przyciągnęła go do siebie, szczęśliwa, że wciska ją swym ciężarem w materac, że jego ciało jest twarde, a ramiona drżą z pożądania.

- Patrz, co mi zrobiłaś. Ostatnio trzęśły mi się tak ręce, kiedy miałem szesnaście lat - wyszeptał, a potem jego usta, gorące, wilgotne i spragnione, ponownie odszukały jej wargi. Palce Luke'a odnalazły jej pierś i zamknęły się na niej. Christy jęknęła głucho i przesunęła dłońmi w górę jego pleców, próbując ściągnąć mu t-shirt.

- Chcę cię zobaczyć nagiego - przerwała na moment pocałunek, by powtórzyć słowa, które przedtem powiedział do niej. Uśmiechnął się lekko.

- Nagość jest miła - odparł i usiadł prosto, by ściągnąć koszulkę przez głowę.

Christy leżała nieruchomo, wbijając palce w łóżko i patrząc, jak zsuwa kapielówki. Przez chwilę podziwiała jego wspaniałe, opalone ciało. Jej zafascynowane spojrzenie skupiło się na jawnym dowodzie jego pożądania, wielkim i nabrzmiałym. Luke pochylił się nad nią, rozpiął jej szorty, a potem ściągnął je wraz z majteczkami. Christy usiadła i zdjęła t-shirt, a Luke natychmiast sięgnął za jej plecy, by rozpiąć stanik. Stał przez moment nieruchomo i patrzył na nią. Siedziała na środku łóżka, odchyłona do tyłu, naga. Gdy w milczeniu pozerła ją wzrokiem, ogarnęła ją fala pożądania tak wielkiego, że zaczęła drżeć.

- No, no, i kto teraz drży - powiedział cicho. Jego oczy były rozpalone i czule jednocześnie. Potem pochylił się nad nią, przycisnął ją do materaca i zaczął całować.

Christy odpowiedziała mu równie gorącym pocałunkiem, wsunęła język między jego wargi. Jego dłoń wcisnęła się pomiędzy jej uda. Christy sięgnęła po niego obiema rękami, rozpalona do białości, nienasycona.

- Christy... - Próbował się odsunąć i zwolnić tempo, lecz ona nie mogła już dłużej czekać, pragnęła go tak bardzo, że jej biodra uniosły się same w niemym błaganii.

- Teraz. Proszę.

Jęknął i poddał się. Wszedł w nią, twardy jak stal, a Christy nagle poczuła, że szczytuje, krzyknęła z rozkoszy i przywarła do niego całym ciałem, a on wbijał się w nią miarowymi, głębokimi, ostrymi ruchami, brał ją z brutalnością, której potrzebowała, której łaknęła.

- Luke, Luke, Luke - krzyknęła w końcu, wyginając się w łuk.

- Christy! - jęknął w odpowiedzi i zanurzył się w niej po raz ostatni, by znaleźć cudowne spełnienie.



Potem było już po wszystkim. Leżała w bezruchu, zdyszana i pozbawiona sił, rozkoszując się ciężarem jego ciała.

- Ty pieprzona dziwko! - Ten głos dochodził z jej najgorszych koszmarów. Paraliżował ją, przerażał, sprawił, że oblała się nagle zimnym potem. Michael!

Dokładnie w tej samej chwili Luke odepchnął ją, tak że spadła po drugiej stronie łóżka, a sam rzucił się w przeciwnym kierunku. Zewsząd otoczyły ich męskie głosy. Rozległ się huk wystrzałów.

Luke krzyknął, a potem dało się słyszeć głucho uderzenie, jakby odgłos ciała padającego na podłogę. Christy nic nie widziała, nie mogła wstać, bo sięgnęła z łóżka kapek, która krępowała teraz jej ruchy.

- Luke! - krzyknęła, szarpiąc się z nakryciem, wreszcie zdołała się podnieść na kolana i zobaczyła go leżącego na dywanie. Obok stał Michael, z pistoletem w dłoni, oraz dwóch innych mężczyzn.

- Michael, nie! - krzyknęła. Zerwałaby się na równe nogi, gdyby miała swobodę ruchów, lecz ciężkie nakrycie nie pozwalało jej na to. Zrozumiałszy, że to jej jedyny strój i że bez niego stanęłaby naga przed Michaeliem i jego towarzyszami, przestała się szarpać, przycisnęła gruby materiał mocno do piersi i raz jeszcze spróbowała wstać.

DePalma odwrócił się i spojrzał na nią. Jego twarz wyglądała jak wykuta z kamienia. Nie był tak wysoki jak Luke, ale równie przystojny włoską, południową urodą: miał krótkie, czarne włosy, orli nos, mocno zarysowaną szczękę i oczy tak ciemne, że wydawały się niemal czarne. Te oczy płonęły teraz wściekłością, a Christy uświadomiła sobie z przerażeniem, że jego duma została urażona, że, jego zdaniem, przyłapał swoją kobietę, swoją własność, na gorącym uczynku, w łóżku z jakimś innym mężczyzną.

- Ty pieprzona dziwko! - powtórzył. Potem zwrócił się do swoich ludzi: - Pilnujcie go. - Odstąpił od Luke'a i podszedł do niej.

- Michael, uspokój się - powiedziała, próbując znaleźć jakieś wyjście, uratować siebie i Luke'a, bo sytuacja była tragiczna. DePalma chciał ich zabić, widziała to w jego oczach, w jego ruchach. Gary poszedł do miasta, nikt nie obserwował monitorów, byli więc zdani na łaskę gangstera, który mógł zrobić z nimi wszystko, co chciał. Podszedł do niej i uderzył ją w twarz. Uderzył tak mocno, że poleciała do tyłu.

- Chcesz swoje diamenty? - spytał Luke.

Mówił stłumionym, drżącym z bólu głosem, lecz Christy tak się ucieszyła, że jest żywa, iż nie zwróciła na to najmniejszej uwagi, dopóki nie podniosła się z powrotem na klęczki i nie spojrzała w jego stronę. Luke siedział na podłodze, jedną rękę trzymał na udzie, a spo-

między jego palców wyływała jasnoczerwona krew. O Boże, postrzeżili go!

- Jasne, że chcę swoje diamenty - odparł Michael, odwracając się do niego.

Trzymał teraz broń opuszczoną, nie miało to jednak większego znaczenia, bo dwaj pozostali mężczyźni mierzyli do Luke'a. Podobnie jak Michael ubrani byli w ciemne spodnie i jasne koszule z krótkimi rękawami, lecz w odróżnieniu od niego wyglądali na pozbawionych cienia inteligencji zbirów.

- Gdzie moje diamenty? - spytał Michael.

Christy próbowała się podnieść, podtrzymując przy tym nakrycie. Było niesamowicie ciężkie, usłyszawszy jednak przytłumiony syk, zrozumiała dlaczego: Marvin...

- Puść Christy wolno, a dostaniesz je.

DePalma roześmiał się szyderczo. Był to nieprzyjemny, przerażający dźwięk, który przejął ją zimnym dreszczem. Ten śmiech nie pozostawił cienia wątpliwości: Michael zamierzał zabić ich natychmiast, jak tylko dostanie diamenty.

Och, dlaczego, dlaczego, dlaczego nie byli bardziej ostrożni?

- Mam mu strzelić w kolano, szefie? - spytał jeden ze zbirów, a Christy zachłusnęła się z wrażenia.

Znała ten głos: był to mężczyzna, który rozmawiał z nią przez telefon. Serce zamarło jej na moment, oblała się zimnym potem. Krępy, miał około stu siedemdziesięciu centymetrów wzrostu i ciemną karnację. Był łysy, ale mógł wtedy nosić czapkę. Czy to jej niedoszły zabójca? Możliwe: prawdopodobne...

- Cześć, mała! - zawołał, widząc jej przerażone spojrzenie, i pomału do niej. Gdy Christy spojrzała na moment w te ciemne oczy, zrobiło jej się słabo ze strachu.

- Nie będę się bawił w żadne gierki. Chcę dostać diamenty. - Michael odwrócił się do Christy i podniósł broń.

Spoglądając w lufę pistoletu, zrozumiała, co to jest rozpacz. Tak bardzo chciała żyć, pracowała tak ciężko, by żyć, zrobiła wszystko, co w jej mocy, by żyć, ale i tak miała wkrótce umrzeć. To niesprawiedliwe.

Marvin mruknął i przytulił się do jej nogi. Czula jego miękkie, ciepłe futro tuż nad kolanem.

- O Boże, Michael, proszę. Błagam, nie rób mi krzywdy. - Christy skuliła się, niemal zgięła w pół, składając ręce i spoglądając na gangstera wielkimi, pełnymi łez oczami. - Zrobię wszystko, co zechcesz. Proszę. Proszę.

- Dawaj mi te pieprzone diamenty! - warknął z wściekłością.  
Christy dobrze go znała i wiedziała, że powoli tracił kontrolę nad sobą. Wiedziała też, że kiedy Michael już przestanie panować nad swoim zachowaniem, nic ich nie uratuje. Jeszcze kilka minut i wpadnie w furję, a wtedy ona i Luke zgina.

- Przyniosę je. Tylko nie rób mi krzywdy. Proszę.

Gotowa zrobić wszystko, co jej każe, aby w ten sposób być może uratować życie, Christy podniosła się niezdarnie i podciągnęła wyżej nakrycie, tak by mieć pod ręką to, czego teraz najbardziej potrzebowała.  
- Pospiesz się.

DePalma, który najwyraźniej nie spodziewał się z jej strony żadnego zagrożenia, odwrócił się do Luke'a. Christy wykorzystała tę chwilę nieuwagi i użyła swej tajnej broni: Marvina. Wypuściła z dłoni nakrycie i rzuciła kota na Michaela. Marvin trafił prosto w cel, a mężczyzna krzyknął i wypuścił broń z ręki.

Christy natychmiast rzuciła się po pistolet, kątem oka rejestrując heroiczną walkę Marvina z Michaeliem, pełną przekleństw, wrzasków i miauknięć. Luke także nie próżnował: udało mu się wytrącić broń zaskoczonym zbirom i celnymi ciosami powalić ich na podłogę. Christy dostrzegła także jakiś ruch za jego plecami, w holu.

- Nie ruszać się, dranie! - ryknął Gary, wpadając do sypialni w swoich nowych spodniach i z nową fryzurą. Potem stanął na lekko ugiętych nogach i podniósł rewolwer zaciśnięty w obu dłoniach. - FBI!

Prócz Marvina, który zeskoczył z ramienia Michaela i wypadł jak szalony z pokoju, wszyscy znieruchomieli.

Michael podniósł ręce nad głowę, czerwony z wściekłości.

Christy wróciła po porzucone nakrycie i zdążyła się nim owinąć, nim ugięły się pod nią kolana i osunęła się na podłogę obok łóżka. Luke, nagi i zakrwawiony, wstał ostrożnie i sięgnął po broń.

- Wstawać - warknął do zbirów, którzy wciąż leżeli na podłodze. - Ręce do góry i pod ścianę.

Kiedy Michael i jego ludzie wykonywali polecenie Luke'a, Gary rozejrzał się dokoła i zebrał pozostałe pistolety. Potem podał Luke'owi bokserki.

Pół godziny później wokół domu Christy kłębił się spory tłum. Nie minęła jeszcze dziesiąta, więc sąsiedzi, zaintrygowani migającymi światłami policyjnych aut i karettek, ścigali tu licznie, by zaspokoić swoją ciekawość. W domu byli już szeryf Schultz i jego ludzie, łącznie z Gordiem Castellano, którzy spisywali zeznania, robili zdjęcia, zbie-

rali dowody. Zjawił się też Aaron Steinberg, który niemal ślinit się na myśl o kolejnej niesamowitej historii. Amber i Maxine chodziły za Garym niczym dwa rozentuzjzmowane szczeniaki, a Angie trzymała się blisko Christy. Michael i jego obstawą zostali zabrani przez agentów federalnych z zespołu zajmującego się seryjnymi zabójstwami. Luke siedział na łóżku, opatrywany przez sanitariuszy, i spierał się z nimi, czy musi czy też nie musi jechać do szpitala. Christy, już całkiem ubrana, siedziała na krześle obok niego. Wciąż jeszcze lekko paliły ją policzki po tym, jak składała zeznania. Nietatwo było wyjaśnić, co takiego robili z Lukiem, że oboje dali się tak łatwo zaskoczyć Michaelowi i jego zbirom.

Właściwie pozwoliła sobie opuścić to i owo.

- Obandażujcie to tylko, a jutro się do was zgłoszę - mówił zniecierpliwiony Luke do sanitariusza, który opatrywał mu udo. On także był już ubrany, choć teraz zsunął spodnie, by odsłonić ranę, która znajdowała się tuż nad kolanem. Właściwie rana była raczej powierzchowna, kula uszkodziła skórę i mięśnie, nie czyniąc większej szkody, lecz zranione udo dość mocno spuchło, a sanitariusz koniecznie chciał zabrać Luke'a choćby do sali zabiegowej.

- Chyba przydałoby ci się parę szwów - powiedziała Christy z uśmiechem. Podniósł na nią wzrok i także się uśmiechnął. Sanitariusz zostawił go na moment, by naradzić się z kolegą, a Luke pochylił się do Christy i wyszeptał:

- To będzie jedno z moich ulubionych wspomnień: Michael DePalma pokonany przez nagą kobietę z kotem.

- Śśś... - uciszyła go Christy, rozglądając się ostrożnie dokoła.

Oczywiście nie mogli ukryć prawdy przed Garym, Angie, Amber i Maxine, którzy znudzeni długim oczekiwaniem w restauracji postanowili wrócić do domu, gdzie Gary miał zrobić kolację. Christy nie wiedziała, co właściwie widzieli - gdy spytała o to Angie, ta tylko wyszczerzyła zęby w uśmiechu - Gary jednak z pewnością zobaczył wystarczająco dużo, biegnąc im na ratunek.

- Jak tam twoja twarz? - Luke delikatnie dotknął miejsca, w które uderzył ją Michael.

- W porządku. - Tak naprawdę policzek trochę ją jeszcze bolał, ale nie widziała powodu, dla którego miałaby o tym mówić. Uśmiechnęła się do niego. - Hej, udało się! Mamy Michaela. Już po wszystkim. Luke wykrzywił lekko usta.

- Obawiam się, że najwcześniejsze jutro będę mógł skakać z radości. Christy roześmiała się z ulgą.

- Jeśli jest pan pewien, że nie chce jechać na pogotowie, dziś tylko to obandażujemy, a zgłosi się pan do nas jutro - oświadczył sanitariusz, kucując przy Luke'u i otwierając torbę.

- Jestem pewien - oświadczył stanowczo Luke. Kiedy sanitariusz zaczął rozwijać bandaż, Christy wstała i podeszła do drzwi na patio, by mu nie przeszkadzać.

Zasłona nadal była odsunięta, a za szybą widać było ciemną tafle oceanu i białe grzywy fal. Błady sierp księżycy dopiero rozpoczynał swą wędrówkę po niebie; Christy widziała jego odbicie w wodzie. Przez chwilę stała nieruchomo, chłonąc piękno nocy i nasłuchując jednym uchem odgłosów dobiegających z wnętrza domu. Czuliła, jak powoli opuszcza ją napięcie, jak odzyskuje spokój ducha.

Już po wszystkim. Mogła wrócić do swojego życia. Nie miała pracy, ale raczej nie spodziewała się większych problemów ze znalezieniem czegoś. Nie była już w związku - nie, cofała to. Uśmiechnęła się lekko, dojrzawszy odbicie Luke'a w oknie. Była w nowym związku. Miała nadzieję, że jest.

Luke spytał ją, czy nie uważa, że się w sobie zakochali.

Na samą myśl o tym robiło jej się gorąco i kręciło jej się w głowie.

Podniosła głowę, dojrzawszy jakiś ruch na patio. Wyteżyła wzrok i dojrzała parę żółtych oczu błyszczących w blasku księżycy, zwróconych w jej stronę.

Marvin: w całym tym zamieszaniu zdołał wy dostać się na zewnątrz.

Christy westchnęła ciężko i odsunęła drzwi.

Ciepła bryza owionęła jej twarz, kiedy Christy szła cicho wzdłuż płotu, ścigając Marvina, który najwyraźniej znów wybrał się na polowanie. Powietrze pachniało morską wodą, kryła się w nim zapowiedź deszczu. Christy pomyślała, że nad ranem pewnie znów nadejdzie burza.

- Marvin!

Zobaczyła go. Był na skraju wydmy. Christy przystanąła na końcu patio, dziwnie zaniepokojona. Choć zostawiła za sobą otwarte drzwi i słyszała dochodzące z domu głosy, salon wydał jej się nagle bardzo, bardzo odległy.

Usłyszała chrzęst piasku, jakby czyjeś kroki, i zadrżała. Spojrzała w stronę, z której dobiegał ten dźwięk, gotowa w każdej chwili do ucieczki.

- Czy to ty, Christy? — Zza ogrodzenia wyszła pani Castellano, wsparta na lasce.

- Och, dobry wieczór, pani Castellano - odrzekła dziewczyna, oddychając z ulgą.

- Dzwoniła twoja mama - odezwała się sąsiadka, podchodząc bliżej. Zastanawia się, czemu do niej nie dzwonisz.

Christy otwierała właśnie usta, by jej odpowiedzieć, kiedy pani Castellano objęła ją za ramiona. Christy spojrzała zaskoczona na jej twarzą rękę i poczuła, że coś dotyka jej szyi.

Ból przeszył jej ciało niczym ostrze noża. Nie wydawszy z siebie żadnego dźwięku, osunęła się na ziemię.

## Rozdział 34

Ktoś kołysał ją lekko, lecz stanowczo, jakby chciał ją obudzić, a nie uspić. Christy czepiała się rozpaczliwie otaczającej ją ciemności, nie chciała się wynurzać z błogosławionej pustki. Podświadomie czuła, że na jawie nie czeka jej nic dobrego...

Zgrzyt metalu o metal był na tyle ostry i głośny, że zmusił ją do otworzenia oczu. Przez kilka błogosławionych sekund świat przed jej oczami pozostawał zamazany i niewyraźny, potem jednak obraz się wyostrzył. To, co zobaczyła, zmroziło jej krew w żyłach. Leżała na drewnianej podłodze, uwięziona w celi, otoczona z trzech stron żelaznymi kratami. Wszystko wokół chwiała się w łagodnym, leniwym tempie i to kołysanie wyrwało ją ze snu. Statek, pomyślała z przerażeniem. Była na statku. Uwięziona w celi na statku.

- Słyszysz mnie? - dobiegł ją czyjś szept z prawej strony. Rozejrzała się dokoła i spróbowała usiąść. Kiedy poruszyła nogą, coś zabrzęczało. Popatrzyła w dół i omal nie krzyknęła, zobaczywszy kajdany otaczające jej nogę w kostce i połączone grubym łańcuchem z hakiem wbitym w ścianę.

O Boże. To musiał być jakiś koszmar. Przecież wszystko miało się już skończyć. Miała być bezpieczna.

- Hej. - Szept był teraz głośniejszy. - Nie mamy dużo czasu. Jak się nazywasz?

Tym razem Christy podniosła wzrok i zobaczyła dziewczynę w sąsiedniej celi. Wokoło panował półmrok, rozpraszany jedynie przez pojedynczą, słabą żarówkę zawieszoną pod sufitem. Mimo to Christy doj-

rzała ciemne włosy, niewiele dłuższe od jej własnych, drobną sylwetkę opatuloną kocem, szczupłą, bladą twarz i zrozpaczone oczy.

- Christy. - Nawet jej głos brzmiał dziwnie. Cienko, niesamowicie. - Ja jestem Terri. Musimy jakoś się stąd wydostać. On nas zabije.

Ostry elektryczny impuls przebił się przez mgłę otaczającą umysł Christy.

-Kto?

- Nie wiem, jak się nazywa. To psychopata. Każe mówić do siebie „panie”.

- Nam? Jest was więcej?

- Och, nie... - Głos Terri załamał się nagle. - Liz... Liz uciekła. Nie wiem, co się z nią stało. Powiedziała, że sprowadzi pomoc. Ale minęło już tyle czasu... - Jej głos ucichł, zamieniając się w cichy szloch.

Nagle w głowie Christy zapaliła się lampka.

- Liz? Terri? - Wzięła głęboki oddech, by do końca oczyścić umysł i zacząć logicznie myśleć. - Elizabeth Smolski? Terri Miller?

Terri przywarła do krat rozdzielających obie cele.

- Tak. Tak. Skąd znasz nasze nazwiska?

- Wszyscy was szukają. Zostaliście uznane za zaginione. Myśla, że jesteście ofiarami seryjnego zabójcy. - Nagle ogarnęła ją groza. - O Boże, ten facet jest seryjnym zabójcą.

- Masz coś, czym mogłybyśmy otworzyć te zamki? Spinkę do włósów? Klamerkę?

- Nie. - Christy zamysliła się na moment, szukając rozpaczliwie jakiegoś rozwiązania. - Liz uciekła. Jak ona to zrobiła?

Terri wzięła głęboki, drżący oddech.

- Nie miała kilku kości w stopie, po wypadku, i mogła bardzo mocno ją wygiąć, ścisnąć. Pracowała nad tym, aż któregoś dnia, udało jej się zsunąć te kajdany. Wtedy była już bardzo szczupła, tak szczupła, że mogła przesliznąć się między kratami. I tak zrobiła. Ale nie mogła wy dostać stąd mnie. A bała się zostać. Zapadła noc, łódź była na morzu, a on popłynął na wyspę. Liz wyskoczyła za burtę. - Terri umilkła na moment. Christy słyszała jej ciężki, chrapliwy oddech. - Wiem, że jej się nie udało. Inaczej dawno już przystałaby pomoc.

Christy wolała nie mówić jej, co się stało z Liz.

- Dlatego właśnie jesteś w tej celi - ciągnęła Terri. - Wcześniej nigdy nie trzymał nas obok siebie. Ale nie może dojść do tego, jak Liz uciekła, a ja udaję, że nie wiem. Myśli, że w tej drugiej celi jest jakiś ukryty właz czy coś w tym rodzaju. - Terri wydała z siebie dźwięk przypominający chichot.

- Próbowaliście krzyknąć? - dopytywała się Christy gorączkowo.  
- Co się dzieje, kiedy krzyczycie?

- To nic nie daje. - W głosie Terri zabrzmiała rozpacz. - Nikt nie przychodzi.

Łódź zakotyła się, a Christy usłyszała skrzywienie, jakby ktoś otwierał drzwi. Dochodzące do niej dźwięki były ledwie słyszalne, niewinne, mimo to śmiertelnie ją przerażały.

Odgłos kroków na schodach był już całkiem wyraźny i znaczył tylko jedno.

- Idzie - ostrzegła ją Terri piskliwym głosem i pospiesznie odsunęła się od krat, by przycupnąć pod przeciwległą ścianą.

Christy usłyszała delikatne szeżekanie łańcucha. Zrobiło jej się zimno, kiedy uświadomiła sobie, że dźwięk ten dochodzi z sąsiedniej klatki. Terri była tak przerażona, że się trzęsła.

Serce podeszło Christy do gardła, kiedy kroki uciły na dole schodów. Widziała tylko cień - przysadzisty, czarny cień. Oddychając ciężko, patrzyła, jak cień odwraca się w jej stronę.

Potem zobaczyła, kto to jest, i na chwilę zamarła ze zdumienia. Przeszła oddychać. Zrobiło jej się ciemno przed oczami.

- Cześć, Christy - powiedziała pani Castellano cieniem, niesamowitym głosem, który przesładował Christy w snach. Potem, kiedy dziewczyna patrzyła na nią z otwartymi ze zdumienia ustami, zdjęła perukę.

Ciepły wiatr owionął mu twarz. Luke podniósł wzrok znad opartywanej nogi i spojrzął na otwarte drzwi na patio. Zmarszczył brwi i rozejrzył się po pokoju. Wszędzie było pełno ludzi, ale ani śladu Christy.

Ogarnął go dziwny niepokój. Jeszcze raz rozejrzył się wokół i odszukał wzrokiem Angie rozmawiającą z Gordiem Castellano.

- Angie. - Kiedy spojrziała w jego stronę, przywołał ją gestem i spytał: - Widziałaś gdzieś Christy?

Angie pokręciła głową i także rozejrzała się dokoła.

- Była tutaj. - Spojrzała na otwarte drzwi na patio i zmarszczyła brwi. - Wyszła z domu?

- Nie wiem. Drzwi są otwarte. - Zniecierpliwiony, odsunął sanitariusza, który pieczołowicie oklejał opatrunek plastrem.

Angie była już przy drzwiach.

- Zaraz sprawdzę.

- Poczekaj na mnie. - Luke nie wiedział dlaczego, ale miał coraz gorsze przeczucia. Naprawdę źle przeczucia. Wyszedł za Angie na patio

i rozejrzył się dokoła. Ani śladu Christy. Tylko Marvin przycupnięty pod krzesłem.

- Chodź tutaj, kotku. - Angie wzięła go na ręce. Luke zastanawiał się przez sekundę, co takiego widzą w tym zwierzaku siostry Petrino, a potem powrócił do ważniejszych spraw.

- Co wy tu robicie? - spytała Maxine, wychodząc na patio.

- Widziałaś gdzieś Christy? - spytali Luke i Angie jednym głosem.

- Nie. - Maxine spojrzała na nich, zaskoczona. - A co, zgubiliście ją?

- To nie jest zabawne, Maxine - odparła Angie ostrym tonem.

- Przepraszam. - Dziewczyna wróciła do pokoju i zawołała głośno:

- Czy ktoś widział Christy?

- Była na patio - odpowiedział jej Aaron Steinberg. - Rozmawiała z panią Castellano.

- O mój Boże - wyszeptła Christy, kiedy pani Castellano zerwała z policzków plastikowe zmarszczki. Potem wyprostowała się, uniosła ramiona i nagle zrobiła się o wiele wyższa i potężniejsza.

Pani Castellano - kimkolwiek była w rzeczywistości - uśmiechnęła się wyczekująco. Pokład zakochał się mocniej, a światło żarówki padło prosto na jej twarz.

- Wujek Sally - wykrztusiła Christy. Minęło wiele lat - osiemnaście - ona jednak pamiętała jego twarz, jakby widziała go wczoraj.

Mężczyzna uśmiechnął się szerzej.

- Przypuszczałem, że będziesz mnie pamiętać - powiedział z satysfakcją. - A właściwie wiedziałem. Zawsze byłaś inteligentną dziewczynką.

- Ale... Myślałam, że nie żyjesz. Że cię zabili. Zawsze myślałam, że zabili cię w odwecie za to, co zrobiłeś mojemu tacie. - Głos Christy zaczął drżeć przy ostatnich słowach.

- Dlaczego myślisz, że zrobiłem coś twojemu tacie?

Christy poczuła się tak, jakby ktoś ścisnął jej klatkę piersiową żelazną obręczą. Z trudem oddychała, z trudem wydobywała z siebie głos. Jedynie, co mogła zrobić, to wpatrywać się w ten koszmarny przeszłości - i przypominać sobie.

- Wiem, że to zrobiłeś. Zawsze wiedziałam. Wyszłam z domu, a on leżał na dróżce, z pistoletem w ręce. Podbiegłam do niego i podniosłam pistolet. Był jeszcze ciepły i czułam dym; ktoś chwilę wcześniej z niego wystrzelił. Tata przed chwilą wyszedł z domu. Przed chwilą ze mną rozmawiał. Nie było żadnego powodu, aby to on strzelał. Słyszałam, jak ktoś uruchomił silnik samochodu. Podniosłam głowę i zob-

czyłam ciebie za kierownicą. Widziałam cię tak wyraźnie, jak widzę cię teraz.

- Tak. - Sally skinął głową. - A ja widziałem ciebie.
- Moja mama się bała. Ciągłe mi mówiła, że się pomyliłam. Wmawiała mi, że niczego nie widziałam.
- Twoja matka to mądra kobieta.
- Oni cię zabili. Dlaczego nie umarłeś? Powinieneś być umrzeć. - Głos Christy nabral piskliwych tonów, był bliski hysterii. - Myślałam, że umarłeś.
- Widzisz, to jest tak... - zaczął Sally, sięgając do zamka jej celi. Christy zauważyła, że trzyma w dłoni klucz, i zadrżała z przerażenia.
- Nie lubię umierać. Co innego zabijać. Lubię zabijać. I z wielką przyjemnością zabiję ciebie.

\* \* \*

- Słodki Jezu - wyszeptał Gordie Castellano. Stał kilka metrów dalej, Luke jednak usłyszał go i odwrócił głowę tak szybko, że świat przed jego oczami zlał się na moment w jedną niewyraźną plamę. Zastępca szeryfa był błądy jak ściana i Luke zrozumiał, że dzieje się coś bardzo niedobrego.
- Ty coś wiesz - powiedział, ruszając w stronę Gordiego i zapominając o bolącej nodze. Castellano spojrział na niego ze strachem i niepewnością. Luke pochylił się nad nim, przyparł go do ściany i warknął:

- Powiedz mi.

Tamten tylko wciągnął głośno powietrze.

- Christy jest w niebezpieczeństwie, a ty coś o tym wiesz. Powiedz mi.
- Thumaczyłem mu, że ona nie jest żadnym zagrożeniem. Co mogła zapamiętać taka mała smarkula, mówiłem. Ale on miał obsesję na jej punkcie. Po prostu odbiło mu. Uparł się, że ona go widziała, kiedy zabił Joe Petrino. Był tego pewien. Śledził ją, odkąd tutaj przyjechała. Mówiłem mu, że jeśli nie zostawi dziewczyny w spokoju, to w końcu rzeczywiście sobie o nim przypomni. Ale uważał, że tak czy inaczej Christy go pamięta.

- Kto? - spytał ostro Luke. - Kto?

- Ciotka Rosa - odparł Castellano. - Tyle że tak naprawdę to nie jest ciotka Rosa. To mój kuzyn Sally, Salvatore Castellano. To wariat, zawsze go ponosiło, zabijał ludzi, których miał tylko nastraszyć i tak dalej. Więc postanowili go zlikwidować. Udało mu się uciec, ale musiał się ukrywać. Ciotka Rosa trzymała go w piwnicy przez piętnaście lat.

Od czasu do czasu wychodził na zewnątrz nocą, ale to wszystko. Zaczęło mu odbijać. Chciał widzieć słońce. Więc kiedy ciotka Rosa umarła, dogadał się z pewnym facetem, charakteryzatorem, który przebrał go za ciotkę, a wtedy Sally przeprowadził się tutaj. Tak, jakby to ona postanowiła na starość przenieść się nad morze, rozumiesz?

- Dokąd ją zabrał?

- Chryste, nie wiem. Poczekaj! Ma starą łódź, nazywa się „Lorelei”. Czasami, kiedy już ma dość udawania ciotki Rosy, ucieka na tę łajbę i znów może być sobą. Prowadzi nawet mały zakład na przystani, naprawia motorówki. - Castellano opuścił głowę. - Wiem, że nie powinienem być mu pomagać, ale to w końcu krewniak. A poza tym myślałem, że nie robi nikomu krzywdy.

Luke był teraz tak wystraszony, że niemal trzęsły mu się ręce.

- Gdzie ona jest? Gdzie ta łódź?

W końcu Castellano mu powiedział.

\* \* \*

Terri zaczęła cicho lamentować. Piskliwe zawodzenie brzmiało niczym głos uosobionej grozy, sprawiając, że Christy włosy stanęły dęba. Sally odwrócił się w stronę Terri.

- Zamknij się! - warknął, uderzając pięścią w kraty. Dziewczyna natychmiast umilkła, lecz było już za późno. Ściągnęła jego uwagę.

- Chcesz być pierwsza? Jasne, możesz być pierwsza. To nie ma znaczenia, bo i tak zabiję was obie. Przenoszę się do Kalifornii. Plażowicz jedzie do Kalifornii!

W jego głosie znów pojawiły się upiorne, piskliwe nuty, które zmroziły krew w żyłach Christy. Poprzednio mówił tak, tuż zanim ją zaatakował. Oznaczało to więc zapewne, że szykował się do popełnienia morderstwa...

- Ale przecież znaleźli już Plażowicza - powiedziała głośno, próbując go zagadać i utrzymać jak najdłużej w normalnym stanie. Przypuszczała, że do tej pory zauważyli jej zniknięcie i już jej szukają. Szukają desperacko. Luke. Angie.

Skąd jednak mogą wiedzieć, gdzie jest?

Nie myśl o tym, przykazała sobie surowo. Musisz zachować spokój. Musisz być opanowana.

- Mówili o tym w wiadomościach - kontynuowała, kiedy przystanął i spojrzął na nią przez ramię. - Znaleźli go razem ze szczątkami kilku ofiar w domu w Nags Head.

Sally parsknęła drwiąco.



- To głupcy - powiedział. - Ja im go podsunąłem. Ten facet to świr, nazywał się Andrew Madden. Chodził po mieście i zagładał ludziom do okien. Podrzuciłem mu kilka moich dziewczyn, to znaczy to, co z nich zostało, zostawiłem trochę dowodów, w końcu upozorowałem samobójstwo. Może się zorientują - przez to cholerne DNA - a może nie. Nawet jeśli się połapią, że ich wykiwałem, będę wtedy daleko stąd. - Ruszył ponownie w stronę Christy. - I nigdy już nie będę musiał martwić się tobą.

Stanął przed drzwiami celi i wsunął klucz do zamka.

Słyszając zgrzyt przekrecanego klucza, Christy zadrżała.

Terri znów zaczęła jęczeć.

\* \* \*

Nim dotarli do starej, drewnianej przystani, do której zaprowadził ich Gordie Castellano, Luke był spocony jak mysz, niemal chory ze strachu, obezwładniony obawą, że nie zdąży, że znajdzie Christy martwą.

Na samą myśl o tym robiło mu się słabo.

Proszę, Boże, zachowaj ją przy życiu.

Nie był pobożny, ale teraz modlił się, jak nigdy w życiu, gdy biegł wraz z innymi - Garym, Gordiem, szeryfem Schultzem i jego ludźmi - po chyboliwym drewnianym molo. Łódź stała przycumowana na samym końcu: stara, rozpadająca się łajba, na pierwszy rzut oka równie zdatna do żeglugi jak czołg. Dotarłszy na koniec pomostu, Luke zwolnił w obawie, że jeśli wskoczy na pokład, łódź się zakolysze i zabójca zorientuje się, że ktoś go znalazł.

Wszedł więc ostrożnie na pokład, uciszając gestem postępujących za nim mężczyzn. Dojrzał ledwie widoczny błysk światła wokół drzwi. Podkradł się do nich, przekręcił gałkę, uchylił powoli i ruszył ostrożnie schodami w dół, trzymając broń gotową do strzału.

Christy krzyknęła. Jej głos był przytłumiony, odległy, lecz tak pełen trwogi, że przeciął powietrze niczym ostrze noża.

Strach chwycił go za gardło. Nie myśląc już dłużej o zachowaniu ostrożności, Luke pokonał resztę schodów kilkoma susami. Na dole były kolejne drzwi. Otworzył je kopniakiem, a wtedy krzyk Christy uderzył go prosto w twarz.

Spocony, zdyszany zeskoczył z ostatnich kilku stopni.

I zobaczył Christy. Stała pochylona nad stołem, podczas gdy Sally Castellano wiązał jej ręce za plecami. Christy szarpała się, krzyczała, robiła wszystko, by utrudnić mu zadanie.

- Stój, FBI! - krzyknął Luke.

Christy wzasnęła jeszcze głośniej. Morderca rozejrzał się dokoła pochwycił ją za włosy i podniósł nóż. Światło rozkołysanej żarówki odbiło się w ostrzu srebrnym blaskiem.

Luke położył go jednym strzałem w tej samej chwili, gdy na górze rozległ się tupot stóp nadbiegających policjantów.

Potem zraniona noga ugięła się pod nim i musiał usiąść.

## Rozdział 35

/uż po południu następnego dnia Luke stworzył oczy, spojrzął na zegar przy łóżku i jęknął. Naszpikowany środkami przeciwbólowymi, które podano mu po opatrzeniu, oczyszczeniu i zszyciu rany, padł na łóżko tuż przed piątą i natychmiast zasnął. To oznaczało około siedmiu godzin snu. Potem zauważył, że jest sam: Christy zniknęła. Przekreślił się na bok, by się upewnić. Dotkliwy ból w nodze przypominał mu o wszystkim, co się wydarzyło poprzedniego wieczora.

Uwolnione z rąk psychopaty Christy i Terri zostały natychmiast zabrane na pogotowie. Wyglodzona i wyniszczona psychicznie Terri została potem przetransportowana helikopterem na stały ląd, gdzie czekała już na nią rodzina. Jeśli nie liczyć kilku otarć, siniaków i guzów oraz rozstrojonych nerwów, Christy wyszła z tej straszliwej opresji bez szwanku. Luke, który został jeszcze przez jakiś czas na „Lorelei”, by wyjaśnić wszystko przybyłym na miejsce funkcjonariuszom, przyjechał na pogotowie w chwili, gdy Christy była właśnie wypisywana. Poczekala, aż lekarz opatry mu nogę, a potem zawiozła go wraz z Garym do domu i położyła do łóżka. Oszołomiony lekarstwami, zasnął natychmiast, zapamiętał jednak jeszcze ciepło jej ciała obok siebie.

Teraz nie było jej przy nim. Leżał sam w jej łóżku, w ciemnym pokoju, za zamkniętymi drzwiami.

Resztki strachu z minionego dnia przyprawiły go o szybsze bicie serca. Musiał powtórzyć sobie kilkakrotnie, że już po wszystkim: Christy jest bezpieczna. Mógł spokojnie na powrót zamknąć oczy i pograżyć się we śnie.

Tak, jasne.

- Christy? - Musiał wstać i ją odnaleźć.

Zabandażowane udo bolało jak chory ząb, zdołał jednak jakoś wciągnąć spodnie i pokuśtykać do salonu, wypelnionego blaskiem słońca. Nie licząc roztańczonych drobni kurzu i rozspanego Marvinna, dom był pusty.

Gdzie się wszyscy podziali?

Marvin wstał, przeciągnął się, podszedł do drzwi na patio i miauknął.

Nie kuś mnie, kocie, pomyślał Luke, stając obok niego i wyglądając na zewnątrz. Niebo było cudownie błękitne, niezmacone najmniejszą choćby chmurką, ocean skrzył się w blasku słońca, a piasek błyszczał niczym karmelowa polewa na smakowitym ciastku. Na plaży roilo się od rozradowanych, beztroskich urlopowiczów. Mnóstwo ludzi taplało się w wodzie. Co najmniej jeden szczęśliwiec unosił się w powietrzu, szybując na paralołni.

Z jakiegoś niewiadomego powodu wzrok Luke'a powędrował ku zgrabniutkiej blondynie w czarnym bikini, odwróconej do niego tyłem i machającej do kogoś. Zgrabniutkiej blondynie z równie zgrabniutkim, kuszącym tyłeczkiem.

Christy. Stąd to magnetyczne przyciąganie. Odsunawszy Marvinna nogą, Luke zdołał jakoś wymknąć się na zewnątrz, nie wypuszczając przy tym kota. Potem ruszył, utykając, w stronę plaży.

Christy stała na brzegu, obserwując, jak jej siostra, bliźniaczki Barbie i Gary pływają na jaskrawych, nadmuchiwanych materacach i wygłupiają się przy tym jak dzieci. Musiała wyczuć jego obecność tak, jak on wyczuł jej, bo odwróciła się do Luke'a, zanim jeszcze ją zawołał.

- Cześć - powiedział.

- Jak się czujesz? - spytała, przyglądając mu się uważnie.

- Doskonale.

Uśmiechnęła się szeroko, jakby wiedziała, że bezczelnie ją okłamuje.

Luke odpowiedział jej równie szerokim uśmiechem.

Jak na kogoś, kto poprzedniej nocy dwukrotnie otarł się o śmierć, wyglądała naprawdę dobrze. Przyglądając jej się z uznaniem, Luke doszedł do wniosku, że ma słabość do kobiet z krótko przyciętymi blond włosami, czerwonymi obwódkami wokół oczu i siniakami na policzkach.

A może miał tylko słabość do Christy.

- Gotowa wykorzystać kilka ostatnich dni lata i byczyć się na słońcu? - spytał.

Christy skrzywiła się lekko.

- Prawdę mówiąc, myślę, że na razie mam dość Ocracoke.

- Ja też. - Luke pokiwiał głową. - Zastanawiam się, czy nie spakować rzeczy i nie wracać do Filadelfii. Chcesz się zabrać?

- Mogę wziąć ze sobą Marviną?  
Luke zmrużył oczy. Czy życie zawsze musiało tak wyglądać? Łyżka dzięgiu w beczce miodu.
- Jasne. Ale ostrzegam was oboje: jeśli ten kot narobi mi na siedzeniu w samochodzie, dalej będzie jechał autostopem.  
Christy roześmiała się głośno.  
Patrząc na nią, Luke czuł, jak znikają resztki złych emocji i ogarnia go prawdziwa, szczerą radość.
- Zastanawiałś się już nad tym naszym zakochaniem?  
- Tak, zastanawiałam się.  
-I co?  
- Jestem za - odpowiedziała i uważając, by nie urazić jego zranionej nogi, stanęła przed nim i zarzuciła mu ręce na szyję.  
Potem go pocałowała.  
A potem, gdy już przestała go całować, wzięli się za ręce i razem ruszyli w stronę domu.